

ROBERT
ROTENBERG

OBWINIONA



Prószyński i S-ka

ROBERT ROTENBERG

OBWINIONA



Fot. John Navvelli

Robert Rotenberg jest pisarzem i jednym z najlepszych adwokatów w Toronto. Jak sam mawia, broni każdego: od mordercy po sklepowego złodziejzaka. Mieszka w Toronto wraz z żoną Vaune Davis oraz trójką dzieci.

„Obwiniona” to druga po „Apartamencie 12A” powieść autora z detektywem Ari Greene’em i oficerem Danielem Kennicottem.

Genialne! Robert Rotenberg robi dla Toronto to, co Ian Rankin dla Edynburga.

Jeffery Deaver

Rozwód Terrance’a Wylera, najmłodszego syna dobrze znanej w Toronto rodziny handlowców, to wydarzenie, o którym piszą wszystkie gazety. Tymczasem pierwszego dnia rozprawy, opiekunka do dzieci odnajduje zwłoki niedoszłego rozwodnika, noszące ślady licznych ran zadanych ostrym narzędziem. Na miejsce zbrodni natychmiast przybywa detektyw Ari Greene. Kilka godzin później żona ofiary zjawia się w kancelarii swojego adwokata z zakrwawionym nożem. Jej wina wydaje się oczywista, jednakże detektyw Greene już wkrótce się przekona, że rodzina Wylerów ma niejedną pilnie strzeżoną tajemnicę. Śledztwo prowadzi do procesu, coraz liczniejsi świadkowie składają wstrząsające zeznania, ale nikt nie wie, po czyjej stronie opowie się ława przysięgłych.

Patronat medialny

ANTYRADIO

StacjaKultura.pl

 **students.pl**



Cena 36 zł

ISBN 978-83-7648-824-0



9 788376 488240

 **www.proszynski.pl**

ROBERT
ROTENBERG
OBWINIONA

Przełożył
Michał Juszkiewicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału OLD CITY HALL

Copyright © 2011 by Robert Rotenberg All rights reserved

Projekt okładki Dark Crayon/Piotr Cieśliński

Redaktor prowadzący Katarzyna Rudzka

Redakcja Magdalena Koziej

Korekta Katarzyna Szajowska

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-824-0

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp, z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA

03-828 Warszawa,

ul. Mińska 65

Moim rodzicom
Gertrude Rotenberg (21 XII 1921-19X1999)
Dr Cyrilowi Rotenbergowi (9 III 1920-10 W 2009)
Oni zawsze we mnie wierzyli

Bez względu na wszelkie przepisy, na możliwość zgłaszania sprzeciwu, na przyjemne złudzenie obyczajności, rozprawa w sądzie to i tak nic innego jak zajadła, pierwotna walka o przetrwanie.

Robert Traver, *Anatomia morderstwa*

CZEŚĆ PIERWSZA

Sierpień

1.

Arceli Ocaya nie mogła spać. Nawet dla niej było za gorąco. Od wielu dni fale nieznośnego upału zalewały miasto. Już o szóstej rano w jej maleńkim mieszkaniu było jak w piecu. Mąż i piątka dzieci - wszyscy zostali w domu, w Manili - nigdy by nie uwierzyli, że w Kanadzie może być aż tak ciepło. W przyszłym roku mieli się do niej sprowadzić; zamierzała do tej pory znaleźć większe lokum i była pewna, że w żaden sposób nie zrozumieją, gdy im opowie, co znaczy takie życie w pojedynkę, kiedy latem dręczy upał, zimą mróz, a na co dzień, bez względu na porę roku, wieczna samotność.

Cieszyła się jednak, że wstała tak wcześnie. Tego poranka jej pracodawca, pan Terrance Wyler, bardzo potrzebował wszelkiej pomocy. Biedny człowiek. Biedny bogaty człowiek.

Autobus, który codziennie zawoził ją na stację metra, przyjechał o czasie, ale na Eglinton Avenue były utrudnienia w ruchu, bo znów kręcili tam jakiś film. W Toronto to nie należało do rzadkości. Pojazdy sunęły wąwozem wytyczonym bokami przyczep ustawionych wzdłuż krawężników. Na jednej z kamiennych fasad Arceli Ocaya zauważyła nowiutką tablicę z napisem „Sąd okręgowy miasta Baltimore”. Zaparkowane w pobliżu radiowozy nosiły na drzwiach nazwę tejże amerykańskiej metropolii i emblematy tamtejszej policji.

W metrze, niestety, większość pasażerów czytała poranną gazetę, gdzie na pierwszej stronie widniało zdjęcie pana Wylera trzymającego w objęciach April Goodling, słynną amerykańską aktorkę, z którą obecnie się spotykał, DZIŚ POCZĄTEK ROZWODU Z PIEKŁA RODEM, wołał nagłówek. Dlaczego, pomyślała Arceli Ocaya, dlaczego oni

wypisują takie okropności? Przecież od wyjazdu z Filipin nie trafiłam jeszcze na miłszego pracodawcę.

Wysiadłszy na Bayview Avenue, rzuciła się do ruchomych schodów, a gdy wybiegła na ulicę, jęknęła w duchu, widząc odjeżdżający autobus, prychający czarnym jak sadza dymem z rury wydechowej. Mieszkanie pana Wylera znajdowało się sześć przecznic dalej; postanowiła pójść na piechotę.

Maszerując rażno, dotarła do Hillside Drive, wciąż mając przed oczami tamten głupi nagłówek z widzianej w metrze gazety. Rozwód z piekła rodem? Piekło, wiedziała o tym dobrze, wygląda inaczej: zostawić rodzinę, wyjechać do obcego kraju i przez sześć lat zobaczyć bliskich tylko jeden raz. W porównaniu z tym rozwód to dzieci-nada. Pan Wyler był świetnym ojcem, a oskarżenia, którymi w zeszłym roku obrzuciła go żona Samantha, nie miały najmniejszego sensu.

Minąwszy trzecią przecznicę, Arceli poczuła, jak na kark występują jej kropelki potu. Trawniki przed drogami rezydencjami zaczynały się brązować od nieustępującego upału, a podjazdy były w większości puste. Nie zwolniła kroku, chociaż dalej ulica biegła już pod górę.

Wielu mieszkańców Toronto, jak się dowiedziała po przybyciu do tego miasta, w sierpniu wyjeżdżało na urlop - był to zwyczaj szczególnie popularny wśród bogaczy. Mówiło się o tym „jedziemy na północ”. Kiedy Simon, syn pana Wylera, był jeszcze niemowlakiem i miał oboje rodziców, Arceli Ocaya wybrała się z nimi na sierpniowy urlop w domku myśliwskim. Nie mogła pojąć, dlaczego przeprowadzili się na tydzień z klimatyzowanej rezydencji do chałupy ze starą lodówką, gdzie dookoła roiło się od węży i robactwa. Najbardziej zadziwiło ją jednak wędkarskie popołudnie, kiedy to państwo Wyler złowili siedem ryb i wrzucili wszystkie z powrotem do jeziora.

Codziennie przychodziła do pracy o siódmej trzydzieści. Pan Wyler zawsze był już wtedy na nogach. Uganiał się po kuchni w takt puszczonej głośno muzyki i kroił świeże owoce. Czasami grał na

fortepianie. Kiedy Simon był u niego, przy robieniu śniadania towarzyszyły mu piosenki wokalisty nazwiskiem Billy Joel, który też grał na tym instrumencie. Pan Wyler lubił tego artystę i nawet nazwał swojego psa Billy.

Simon niedawno skończył cztery lata, a już uczył się czytać. Radził sobie na razie tylko z prostymi słowami, ale i tak tata był z niego bardzo dumny. Przed kilkoma tygodniami kupił kolorowy magnetyczny alfabet i co wieczór układał jedno słówko na lodówce, a Simon po zejściu na śniadanie czytał je sobie. Pierwszy był K-O-T, potem D-O-M, potem P-I-E-S i T-O-R-Y.

Wchodząc po kamiennych schodkach prowadzących do głównych drzwi, Arceli Ocaya zauważyła ze zdziwieniem, że nikt nie zabrał gazety. Zazwyczaj pan Wyler czytał ją, jeszcze zanim opiekunka przyszła do pracy, a jeśli wydawało mu się, że jakiś artykuł ją zainteresuje, dostawała go do przeczytania, kiedy już się zjawiała. Tego ranka miał pewnie jednak zbyt wiele na głowie i na gazetę nie starczyło czasu. Podniosła ją z wycieraczki i wsunęła klucz do zamka. Drzwi nie były zamknięte. Najprawdopodobniej pan Wyler wyszedł na chwilę z domu, jeszcze zanim przejechał roznosiciel prasy, a potem zapomniał.

Założę się, że całą noc nie zmrugał oka, biedaczysko, pomyślała. Poprzedniego dnia przyjechali do niego na niedzielny obiad rodzice oraz dwaj starsi bracia; Arceli przyszła do pomocy i słyszała, jak się kłócą o rodzinny interes. I jeszcze ta dzisiejsza rozprawa... Nic dziwnego, że się tak zamartwia.

W domu panowała cisza. Nie słychać było żadnej muzyki, w kuchni nie postukiwały talerze, Simon nie tupał małymi stopkami. I gdzie się podział Billy? Kiedy Arceli wchodziła do domu, zawsze witał ją radosnym szczeniem i stawał na tylnych łapach.

Niemiłosierny skwar wisiał w powietrzu. Pan Wyler często zapominał włączyć klimatyzację przed pójściem spać; teraz, przy tylu zmartwieniach, zdarzało mu się to jeszcze częściej. Arceli zsunęła z ramion plecak, wsuwając go pod stół stojący w holu wejściowym. Złowiła uchem pobrzękiwanie metalowych identyfikatorów na obroży

Billy'ego. Nareszcie; z drzwi prowadzących do salonu wychynął psi pysk.

- Billy, kochany piesek! - Uśmiechnęła się, składając dłonie. - A gdzie jest Simon?

Imię Simona zawsze wywoływało natychmiastową reakcję, ale tym razem Billy był zupełnie obojętny. Zwiesił głowę. To pewnie z gorąca, pomyślała Arceli.

- Chyba trzeba dać ci trochę wody. - Otworzyła drzwi do kuchni, ale pies nie kwapił się wcale, żeby iść za nią.

Najpierw poczuła zapach. Mocny. Obrzydliwy.

Potem zauważyła krew, ciemnoczerwony rozprysk na czystej białej posadzce. Pod zlewem są ścierki, zaraz to zmyję, pomyślała.

I wtedy zobaczyła pana Wylera.

Leżał na podłodze, tuż obok lodówki. Oczy miał otwarte. Puste.

- Co się stało, upadł pan? - Podbiegła do niego.

Biała koszula, którą uprasowała mu w piątek, była cała podziurawiona, a w każdej dziurze ziała rana. Miał też rany na szyi. A dookoła było mnóstwo krwi. Więcej krwi człowiek w sobie mieć nie może.

Serce waliło jej jak młotem. Oddychała z wielką trudnością. Myśl goniła myśl.

Chwileczkę, powiedziała sobie, nasłuchując ciszy wypełniającej dom.

- Simon! - krzyknęła tak głośno jak jeszcze nigdy w życiu i rzuciła się biegiem w stronę schodów.

2.

Każdego lata ojciec detektywa Ariego Greene'a chciał mieć odmalowaną poręcz na schodach przed domem. Nikt oprócz niego nie wiedział, komu to potrzebne. Przyjdzie taki dzień, że zdrapię do czysta całą tę farbę, pomyślał Greene, potrząsając barierką, aby sprawdzić, czy dobrze się trzyma. Chwiała się trochę - trzeba więc też podlać zaprawy.

Pora była wczesna, ale słońce dawało się już we znaki. Betonowe stopnie nasiąkały upałem. Ojciec zaparzył detektywowi herbatę w dzbanku, a sam popijał rozpuszczalną kawę ze starego kubka ozdobionego godłem drużyny hokejowej Toronto Maple Leafs.

Greene rozłożył na schodach przeczytaną poranną gazetę i otworzył śrubokrętem puszkę czarnej farby kupioną przed dwoma laty.

- Jeszcze chyba na następny rok zostanie - powiedział.

- Miejmy nadzieję - odparł ojciec, mieszając płyn długim patyczkiem.

Pager Greene'a zadzwonił dokładnie w momencie, kiedy detektyw wziął pędzel w dłoń. Nie spodziewał się wezwania, bo był dopiero czwarty na spisanej odręcznie i wiszącej w komendzie liście funkcjonariuszy wyznaczonych do poprowadzenia kolejnych śledztw. Wyjął komórkę i zadzwonił do pracy.

- Toronto zamienia się w miasto zbrodni - poinformowała go dyspozytorka, twarda weteranka imieniem Denise. Znał ją od lat. - Cztery morderstwa w ciągu jednej nocy.

- To przez ten upał - skomentował.

- Raczej przez to, że w powietrzu jest tyle wilgoci - odparła, po czym ochoczo i ze szczegółami opowiedziała mu o pierwszych trzech morderstwach. W dzielnicy Jane and Finch wybuchła strzelanina, a jedna z zabłąkanych kul trafiła siedmioletnią dziewczynkę bawiącą się na przyjęciu urodzinowym na świeżym powietrzu. W śródmiejskiej okolicy kulturalno-rozrywkowej student medycyny pochodzący z Buffalo próbował rozdzielić dwóch walczących mężczyzn i dostał nożem. Na zachodnim krańcu miasta, w Etobicoke, włamywacz zakatował opiekunkę do dzieci, bo nie otworzyła mu domowego sejf.

- A co masz dla mnie? - zainteresował się Greene.

Ojciec detektywa zamknął puszkę z farbą i postukując w pokrywkę trzonkiem pędzla, wbił ją mocno na miejscu. Ari pracował w wydziale zabójstw już od pięciu lat. Obaj dobrze znali zasadę mówiącą, że kiedy przychodzi wezwanie do morderstwa, detektyw rzuca wszystko i bierze się do roboty.

- Mówi ci coś nazwisko Terrance Wyler? - zapytała Denise. - To właściciel marketu spożywczego Wyler Foods. Spotykał się z April Goodling, hollywoodzką gwiazdą, która zmienia facetów jak rękawiczki. Dziś miała się rozpocząć jego rozprawa rozwodowa.

Greene rzucił okiem na pierwszą stronę gazety rozłożonej na schodach.

- Rozwód z piekła rodem... - mruknął.

Jego ojciec pobierał pędzle i patyczki do mieszania farby.

- No więc amant nie żyje. Dziś rano znalazła go opiekunka jego syna, z pochodzenia Filipinka. Zginął od wielokrotnych ran kłutych.

- Denise z entuzjazmem przekazywała złe wiadomości. - Chłopiec, czterolatek, był w pokoju na piętrze. Spał. Na razie nie wie jeszcze, co się stało.

- Jadę tam - powiedział Greene, kiedy tylko podała mu adres.

- To ja posprzątam - odezwał się jego ojciec.

- Zadzwoń wieczorem. - Detektyw pochylił się i pocałował staruszkę w czoło, a potem wskoczył za kierownicę i wystawił na dach alarmowego koguta.

Dziesięć minut później jego oldsmobile rocznik osiemdziesiąty ósmy zatrzymał się za radiowozem zaparkowanym przy Hillside Drive 221. Greene wysiadł, a poranek przywitał go jasnym blaskiem słońca. Dokładnie, bez pośpiechu obejrzał sobie dom stojący na wzniesieniu, dość wysoko ponad poziomem ulicy.

- Posterunkowa Mudhar - przedstawiła się młoda policjantka, którą zobaczył na szczycie schodów prowadzących do wejścia, kobieta hinduskiego pochodzenia, szczupła, o smukłym nosie. - Witam, panie detektywie. Byłam pierwsza na miejscu zdarzenia.

- Greene. - Ucisnął wyciągniętą ku sobie dłoń, mokrą od potu.
- To pani pierwsze zabójstwo?

- Tak jest.

- Gdzie jest chłopiec?

- Na górze, z opiekunką - wyjaśniła. Głos miała słaby. - Poleciłam, aby nie wypuszczała go z pokoju.

- Widziała pani?

- Przelotnie. Dopiero co wstał. Opiekunka zeznała, że po przyjeździe do pracy znalazła pana Wylera na podłodze w kuchni. - Posterunkowa Mudhar otworzyła służbowy notes wielkości dłoni. - Było to mniej więcej o siódmej trzydzieści. Zbadałam ciało. Brak jakichkolwiek oznak życia.

- Wezwała pani wsparcie? Trzeba zamknąć tę ulicę.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Niestety nie.

- To nic - uspokoił ją Greene. - Po drodze zadzwoniłem na komendę. Przyjadą, tylko ich patrzeć. Proszę wysłać kogoś do Tim Hortons po mleko czekoladowe i pączka z posypką.

- Tak jest.

- Powiedziałem dyspozytorce, że ma nie wzywać karetki, dopóki nie wywieziemy stąd dziecka. Czy w domu jest ktoś jeszcze?

- Nie. Sprawdziłam. Wszędzie czysto.

- Dobra robota.

Mudhar uśmiechnęła się i zamknęła notatnik.

- Jak się nazywa ta opiekunka? - zapytał Greene.

Notatnik trzeba było otworzyć z powrotem.

- Arceli Ocaya. Powiedziała mi, że podobno matka chłopca od kilku tygodni dziwnie się zachowywała.

Kiedy Greene jechał na Hillside Drive, dyspozytorka Denise poinformowała go o niedawnej interwencji policyjnej w sprawie żony przedsiębiorcy. Samantha Wyler nękała swojego męża - wkrótce już eks-męża - telefonicznie, nagrywając mu jadowite wiadomości na pocztę głosową, zasypywała go też pełnym złości e-mailami, utrzymanymi w tonie bardzo bliskim groźbie. Wysłano do niej dwoje posterunkowych prosto po szkole, z ostrzeżeniem, że ma tego zaprzestać; normalka.

Cztery morderstwa - to oznaczało, że detektywi będą sobie wrywać dobrych funkcjonariuszy do pomocy przy śledztwie. Greene zadzwonił do Daniela Kennicotta, bystrego młodego policjanta, z którym pracował przy swojej poprzedniej sprawie. Kennicott miał ustawiony w komórce specjalny dzwonek dla Ariego Greene'a.

- Słucham, panie detektywie - odezwał się w słuchawce jego głos.

- Gdzie jesteś? - zapytał Greene.

- Na patrolu. Pół godziny temu zacząłem zmianę. - Kennicott był wyraźnie śpiący. - Pierwszy dzień po powrocie z wyjazdu. Co się dzieje?

Detektywa łączyła z policjantem dość skomplikowana relacja. Przed pięcioma laty Michael, starszy brat Kennicotta, został zamordowany. Daniel był wtedy prawnikiem w jednej z czołowych śródmiejskich kancelarii. Dwanaście miesięcy później, gdy śledztwo utknęło w martwym punkcie, rzucił pracę i wstąpił do policji, przysięgłszy sobie, że dostanie się do wydziału zabójstw w rekordowo krótkim czasie. Morderstwo Michaela Kennicotta było jedyną nierozwiązaną sprawą, jaką miał na koncie detektyw Ari Greene.

- Kolejne morderstwo - poinformował młodego policjanta, po czym podał mu adres. Zamierzał zlecić mu najbardziej niewdzięczne zadanie pierwszego dnia śledztwa: rozmowę z rodziną i przekazanie informacji o śmierci bliskiej osoby.

- Będę za dziesięć minut - odparł Kennicott.

Greene zerknął na posterunkową Mudhar.

- Jak się nazywa ten chłopiec, który siedzi na piętrze? - spytał, zauważając, że po twarzy policjantki spływają perliste kropelki potu. Praca w wydziale zabójstw miała to do siebie, że największe żółtodzioby z reguły pojawiały się na miejscu przestępstwa długo przed wszystkimi.

Tym razem notatnik nie był już potrzebny.

- Simon - odpowiedziała Mudhar, a dolna warga zaczęła jej nerwowo drżeć. - To okropne.

Greene położył jej dłoń na ramieniu.

- Proszę zostać tutaj i pilnować wejścia. - Uniósł głowę; niebo było błękitne, bez jednej chmurki. W powietrzu unosił się zapach mięty. Pewnie rozdeptałem parę gałązek na ścieżce, pomyślał.

- Tak jest. - Na twarzy posterunkowej Mudhar odmalowała się nieklamana ulga.

Greene przeciął przedpokój i łokciem otworzył drzwi do kuchni. Wiedział, co tam zastanie, lecz widok nie był przez to ani odrobinę mniej przerażający. Terrance Wyler, wysportowany, szczupły mężczyzna, leżał bezwładnie na posadzce. Ręce miał rozrzucone szeroko, jakby chciał pokazać, że nie mógł się obronić przed nożem, który pozostawił głębokie rany na klatce piersiowej, ramionach i szyi.

Detektyw pochylił się nad ciałem, uważając, żeby go nie dotknąć. Na dłoniach i przedramionach nie dostrzegł żadnych zranień. Sprawdzenie, czy pod paznokciami nie ma fragmentów skóry albo innych śladów DNA, należało do technika kryminalistycznego, ale na pierwszy rzut oka denat nie miał typowych ran powstałych podczas walki, w wyniku samoobrony. W kuchni było gorąco, a w powietrzu wisiał obrzydliwy smród.

Rozglądając się dookoła, Greene zauważył na blacie połówkę melona kantalupe oblepioną przez muszki owocówki. Poza tym wszędzie panował wzorowy porządek, tak samo jak w przedpokoju. Wszystkie szafki zamknięte. Detektyw zbliżył dłoń do zmywarki. Urządzenie było chłodne, podobnie jak piekarnik, gdzie na rączce

od drzwiczek wisały rzędkiem trzy ścierki do naczyń, jedna biało-czerwona i dwie biało-zielone. Pomiędzy drugą a trzecią - tymi biało-zielonymi - był odstęp, w którym zmieściłaby się jeszcze jedna ścierka. Na blacie obok zlewu stał klocek z kompletem noży o czarnych rączkach. Największa szczelina była pusta. Brakującego noża nie było w zasięgu wzroku: ani na podłodze, ani na szafce.

Przed przybyciem technika kryminalistyki Greene nie mógł zrobić już nic więcej na miejscu zdarzenia. Nagle zapragnął opuścić ten zakątek śmierci. Musiał iść na górę i porozmawiać z chłopcem, który stracił ojca.

3.

Ted DiPaulo otworzył swoją kancelarię i stanął w drzwiach gabinetu, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w biurko. Co za cholerny bałagan, pomyślał. Jak ja nienawidzę papierkowej roboty. Jeszcze bardziej nie znosił jednak nudy, a tydzień zapowiadał się wyjątkowo nudny. Nic się nie działo, co najwyżej można było właśnie pogrzebać w papierach. Następnego dnia bronił pijanego kierowcy, który przyznał się do winy, na środę było wyznaczone ogłoszenie wyroku w sprawie o oszustwo, a w czwartek miał się spotkać z nowym klientem, oskarżonym o to, że okradł swojego pracodawcę. Piątek - wolny. Poradzi sobie z palcem w nosie.

DiPaulo nie cierpiał nieuczciwych prokuratorów i niekompetentnych sędziów, ale jeszcze gorzej znosił brak zajęcia. Trudno mu było, kiedy nie prowadził jakiejś dużej głośnej sprawy, nie bywał w sądzie na przesłuchaniach świadków, a dziennikarze nie spijali słów z jego ust.

Cholerne lato, westchnął w myślach. Mam kancelarię adwokacką, ale nie ma w niej żadnego ruchu, jakby wszyscy wyjechali sobie na wakacje. Nawet moi najlepsi niezawodni przestępcy.

Dla Teda DiPaulo sąd był tym, czym dla aktora jest scena. Z tego właśnie powodu został oskarżycielem publicznym: w takiej pracy człowiek jest na nogach od rana do nocy. Uwielbiał rozprawy i był niezwykle wydajny, więc piął się szybko i w wieku czterdziestu jeden lat został najmłodszym kierownikiem prokuratury miasta Toronto w historii tego urzędu.

Kwitł na tym stanowisku. Nieustanne napięcie służyło mu równie dobrze jak wysoki status. Ani jednego, ani drugiego nigdy nie miał dość. Aż wreszcie, przed pięćmioma laty, jego żona Olive nagle zachorowała. Wykryto u niej raka wątroby. Zmarła po trzech miesiącach, a on nagle został sam z dwójką nastoletnich dzieci. Dotąd praktycznie mieszkał w biurze, więc był ojcem tylko od wielkiego dzwonu. Teraz to musiało się zmienić. Zrezygnował ze stanowiska i otworzył prywatną kancelarię, żeby mieć więcej czasu.

Z początku dzieciaki Ignęły do niego: Kyle miał wtedy czternaście lat, a Lauren dwanaście. Było nie do pomyślenia, żeby nie zjawił się w domu na kolację. Ale, co dziwne, akurat gdy zdążył się do tego przyzwyczaić i zaczął tęsknić za ich towarzystwem, one wyrosły i stały się nastolatkami pełną gębą, takimi, którym wiesz, że kiedy tato może codziennie pokazać się w sądzie, jest znacznie łatwiejszy w obsłudze. Wkrótce DiPaulo wciągnął się z powrotem w głośne rozprawy, zaczął zarywać noce i wracać do domu o skandalicznych porach, lecz tym razem dodatkową radość dawała mu odnaleziona na nowo więź z dziećmi. Niestety, dni tej radości były już policzone. Kyle, który był na spływie kajakowym i wracał dopiero za sześć tygodni, we wrześniu wyjeżdżał na studia. Lauren spędzała lato w Toronto, bo zapisała się na letni kurs, ale za rok też miała opuścić dom.

DiPaulo zatrzymał się przy komodzie stojącej obok drzwi gabinetu i wziął do ręki zdjęcie oprawione w ramki. Olive umarła cztery miesiące po dwudziestej rocznicy ich ślubu. Na pierwszy Dzień Matki po jej śmierci dzieci dały mu w prezencie tę właśnie fotografię, portret rodziców na szczycie Ayers Rock. Wybrali się do Australii z okazji swoich wspólnych czterdziestych piątych urodzin, bo tak się złożyło, że przyszli na świat w odstępnie jednego tygodnia. Ted był potężnie zbudowany i bardzo wysoki, miał blisko dwa metry wzrostu. Olive przeciwnie, była niska, drobna i delikatna.

Wchodząc do gabinetu i wychodząc z niego, DiPaulo zawsze

musiał spojrzeć na to zdjęcie; był to jego osobisty rytuał. Praca wymagała od niego pełnej dyspozycyjności i zaangażowania emocjonalnego, postanowił więc, że przynajmniej ten okruczeństwo prywatnego życia pozostanie nietknięty.

Usiadł za biurkiem i właśnie wtedy zadzwonił telefon. Uśmiechnął się pod nosem. W sobotę był na kolacji u znajomych, gdzie poznał kobietę imieniem Chiara. Inteligentna i niezależna, miała kilka lat więcej niż on i była chirurgiem ortopedą, a w dodatku Włoszką z pochodzenia, ciemnowłosą sycylijską pięknoscią, bardzo odmienną w typie od jego blond urody, typowej dla północnych regionów Italii. Przekomarzali się, kto wcześniej wstaje w poniedziałek do pracy, a wychodząc, Ted dał jej swoją wizytówkę ze słowami:

- Zadzwoń, jeśli będziesz chciała. Im wcześniej, tym lepiej.

Po śmierci Olive przez kilka lat nie spotykał się z kobietami, a gdy już zaczął, nie ustrzegł się oczywistych błędów: mówił bez końca o zmarłej żonie, o dzieciach, o swojej prokuratorskiej karierze. To była dobra szkoła. Tej szansy nie zamierzał zmarnować.

Sięgnął po słuchawkę i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Witaj - zamruczał ciepłym, wręcz seksownym głosem.

- Ted, jak miło, że taki z ciebie ranny ptaszek - odpowiedział mu mężczyzna, którego rozpoznał natychmiast: to był Winston Feindel, adwokat rodzinny. DiPaulo dostawał od niego dużo pracy.

- Winston? Cześć! - Zerwał się, siadając wyprężony jak struna.
- Domyślałem się, że jedziesz do sądu?

Feindel był już w podeszłym wieku. Pochodził z Anglii, gdzie też miał praktykę adwokacką. Przeprowadził się do Kanady przed dziesięcioma laty. Angielski akcent, nienagannie skrojone garnitury i wytworne maniery pomogły mu w krótkim czasie zdobyć status gwiazdy sądów rodzinnych. Specjalizował się w reprezentowaniu żon rozwodzących się z bogatymi mężczyznami. Kiedy trzeba było przygotować klientkę do składania zeznań na rozprawie, przysyłał ją do Teda DiPaulo. Aktualnie ich wspólną podopieczną była Samantha

Wyler, kobieta o wyjątkowo trudnym charakterze. DiPaulo pracował z nią od początku lipca, a tego dnia miała się odbyć jej pierwsza rozprawa rozwodowa.

- Niestety nie - odpowiedział Feindel. - Postępowanie odwołano.

Tylko tyle. Typowo angielskie niedopowiedzenie. Cały Feindel.

- Odwołano? - powtórzył DiPaulo. - Dlaczego?

- Moja rola skończona. Od tej chwili pani Wyler jest twoją klientką.

- Moją? Rozwód to nie jest czyn karalny.

- Owszem, ale morderstwo - tak.

- Co? - zdziwił się DiPaulo. - Ktoś nie żyje?

Przypomniał sobie, że od kilku tygodni Samantha, czy też Sam, bo tak prosiła, aby do niej mówić, zachowywała się dziwnie; widać było, że coraz bardziej się rozkleja. Co ona nawyprawiała?

- Dziś rano znaleziono zwłoki jej męża. Leżał na podłodze we własnej kuchni. Przyczyną śmierci były najprawdopodobniej bardzo liczne rany klute. Trudno będzie ich teraz rozwieść.

- No nie... - westchnął DiPaulo.

- Przed chwilą dzwonił do mnie detektyw z wydziału zabójstw, niejaki Ari Greene. Masz przyjemność go znać?

- Tak, to dobry gliniarz.

- Interesowało go, gdzie aktualnie przebywa nasza do niedawna wspólna klientka.

DiPaulo szczyił się tym, że potrafi zachować spokój w obliczu zaskoczenia. Nauczyły go tego długie lata występowania w sądzie. Potrzebował jednak kilku chwil, aby przyjąć ten nowy fakt do wiadomości. W klimatyzowanym gabinecie nagle zrobiło mu się gorąco.

- Gdzie jest Sam? - zapytał. Tryby w jego mózgu zaczynały już się zazębiać.

- Kilka minut temu znalazłem ją na schodach przed moją kancelarią - odparł Feindel absolutnie spokojnym tonem, jakby

opowiadał pierwszemu lepszemu koledze, dokąd wybrał się na lunch. - Teraz siedzi u mnie w gabinecie i bynajmniej nie jest w dobrym sosie.

Taka klientka to dla ciebie zagrożenie, pomyślał DiPaulo. Było oczywiste, że Feindel chce się jej pozbyć jak najszybciej, bo coś tutaj śmierdzi. Jego luksusowo urządzone „gabinety”, bo tak zwykł mawiać na całą swoją kancelarię, mieścił się w eleganckiej kamienicy w Yorkville, modnej śródmiejskiej dzielnicy, niedaleko wszystkich najlepszych restauracji, gdzie bywała jego klientela, bogate panie ze śmietanki towarzyskiej. Samochodem to było tylko kilka minut drogi.

- Już tam jadę - powiedział DiPaulo.

Sięgnął po swoją starą skórzaną teczkę, chwycił kilka długopisów oraz czysty blok do notatek i wybiegł z biura, wiedząc, że Samancie Wyler w każdej chwili grozi przesłuchanie, a nawet aresztowanie.

Wynajmował pomieszczenia na dziesiątym piętrze. Wyświetlacz nad drzwiami windy pokazywał malejące liczby: sześć, pięć, cztery. Do diabła z tym, warknął w myśli adwokat, ruszając w kierunku klatki schodowej. Przeskakiwał po dwa betonowe stopnie naraz, przytrzymując się stalowej poręczy.

Dopiero na drugim piętrze olśniło go, że wychodząc, nie spojrzał na zdjęcie z Ayers Rock. Zacisnął palce na poręczy, ale się nie zatrzymał.

4.

Wymarzony pokój dla chłopca, pomyślał Ari Greene, zamykając za sobą drzwi i uśmiechając się do ciemnookiego malca, który siedział na łóżku stojącym na wprost drzwi, otulony kocykiem. Pod tym samym kocykiem siedziała z nim niewysoka kobieta; razem przeglądali książkę zatytułowaną „Największe pociągi świata”. Nad ich głowami uśmiechał się z plakatu Tomek - lokomotywa, bohater kreskówki „Tomek i przyjaciele”. Na dywaniku widniała scena z animowanego serialu „Ciekawski George”: brązowa małpka, tytułowy George, uciekała przed panem w żółtym kapeluszu. We wnęce okiennej znajdowała się ława, a na niej stała niedokończona budowla z klocków Lego; za oknem była ulica.

- Dzień dobry. - Chłopczyk uśmiechnął się do detektywa, w najmniejszym stopniu nie krępując się obcego, który nagle pojawił się w jego pokoju. Było to dość niezwykle. Poklepał niedużego psa, który leżał obok niego.

- Ty pewnie jesteś Simon - powiedział Greene.

- Aha - przytaknął malec. - Arceli mówiła, że ktoś przyjdzie się ze mną zobaczyć. Podobno tato musiał wcześniej wyjść z domu. To jest Billy, mój piesek.

Greene nie przestawał się uśmiechać.

- Arceli bardzo cię lubi.

- Jeden pociąg w książce nazywa się Wiktor, ale ona czyta „Biktor” - zaśmiał się chłopiec.

Opiekunka skinęła Greene'owi głową i też się roześmiała, choć widać było, że jej śmiech jest wymuszony.

Simon miał ciemne, głębokie oczy.

- Siedziałeś kiedyś w wozie strażackim? - zapytał detektyw.

- W przedszkolu uczyli nas, że jak zapali się na kimś ubranie, to nie wolno biegać, tylko trzeba upaść na ziemię i się turlać. - Malec wyskoczył z łóżka, przez chwilę stał wyprostowany, a potem rzucił się na podłogę i poturlał pod nogi Greene'a, który przyklęknął na jedno kolano.

- A jechałeś kiedyś radiowozem?

- Mam radiowóz. - Chłopiec zerwał się i wyciągnął spod łóżka koszyk wyładowany różnymi samochodami i pociągami. Sięgnął do niego, z wprawą wyławiając czarno-biały wóz z kolorowym kołosem na dachu.

- To mój najlepszy samochód - powiedział, tocząc go skrajem łóżka i naśladując warkot silnika: brum, brum. - Uwaga, policja! Uwaga, policja! - zawołał najgrubszym głosem, jaki tylko mógł wydobyc z gardła.

- Wiesz co? - zagadnął go Greene. - Pojedziesz dziś prawdziwym radiowozem. Do Arceli.

Simon obejrzał się na niego ze speszoną miną.

- Dzisiaj idziemy na wycieczkę z przedszkola. Do zoo.

- Jest za gorąco. Zwierzęta nie mogą wychodzić na dwór - wyjaśnił detektyw.

Chłopiec zastanowił się przez chwilę.

- U Arceli też jest gorąco. Sama mi mówiła.

- Co chcesz zabrać ze sobą?

Simon dał nura pod łóżko i tym razem wyciągnął stamtąd plastikowe wiaderko. Poszperał w nim przez chwilę, wyławiając odznakę policyjną.

- To - odpowiedział, pokazując ją Greene'owi. - I Berta - dodał, chwytając żółtą maskotkę z „Ulicy Sezamkowej”, a potem spojrzął na psa, który nie ruszył się z łóżka. - I Billy'ego. Psy mogą jeździć radiowozem?

- Jasne. Pani policjantka przyniosła ci mleko czekoladowe i pączki na śniadanie. Arceli zaraz po nie pójdzie. Zjesz tutaj.

Simon zmarszczył czoło.

- Mama pozwala mi jeść przed telewizorem, ale tatuś mówi, że od jedzenia jest kuchnia albo jadalnia.

- Słusznie, ale dziś możemy zrobić coś inaczej niż zawsze.

Opiekunka wyszła z pokoju, a Greene wyjrzał przez okno. Radiowozy, które wezwał, jadąc tutaj, zablokowały już ulicę z obu stron. Rozejrzał się dookoła, a dostrzegłszy koszyk pełen drewnianych torów kolejowych do układania, wyciągnął go i postawił na środku.

- Chcesz się tym pobawić? - zapytał.

- Jasne. - Simon wyciągnął się na podłodze.

W kilka minut złożyli z torów dużą ósemkę, a dookoła niej drugi tor, połączony z nią bocznica. Druga bocznica biegła pod wiaduktem, kończąc się na drewnianej, jaskrawo pomalowanej stacji.

- Fajnie się z panem bawi - powiedział Simon.

Sięgając po kolejne elementy torowiska, Greene poczuł na ręce coś miękkiego. To była dłoń chłopca.

Kiedy mały Ari miał sześć lat, jego ojciec wrócił wcześniej z pracy i zabrał go do sklepu z modelami pociągów. Sklep nazywał się U George'a i był daleko - musieli się przesiąść do innego autobusu. Gdy Ari wszedł do środka, z wrażenia aż zaparło mu dech w piersiach. Półki na ścianach ugięły się pod ciężarem ręcznie malowanych lokomotyw, a sprzedawcy, sami starsi panowie, nosili konduktorskie czapki. Najlepsze jednak było to, że wysoko na ścianach, dookoła całego sklepu, biegły tory, po których pędził olbrzymi pociąg i gwizdał co minutę.

Pan Greene kupił synkowi tylko jeden kolisty tor, lokomotywę i tender - na więcej nie miał pieniędzy. Ułożyli tory w piwnicy; Ari potrafił tam siedzieć godzinami i puszczać swój pociąg. Razem z lokomotywą dostał butelkę specjalnego płynu. Trzeba było wlać trzy kropelki do komina, a kiedy silnik się rozgrzał, szła z niego para.

Opiekunka wróciła do pokoju Simona, szybko zamykając za sobą drzwi.

- Proszę, tu masz pączka - powiedziała - a do tego mleko czekoladowe.

- Z posypką... - Simon sięgnął po pączka, uśmiechając się szeroko.

- Najpierw wypij mleko. - Arceli Ocaya wbiła w kartonik słomkę. - Tylko ostrożnie - ostrzegła, podając go chłopcu. - Żebyś nie rozlał.

- A ten pan lubi pociągi, tak jak mama - oznajmił Simon po pierwszym łyku.

- I jak większość ludzi - odparła.

- Arceli przyleciała do Kanady samolotem i to była bardzo długa podróż - wyjaśnił chłopiec detektywowi. - Jej rodzina została daleko, ale ona wcale nie płacze. Mój tato też nie płacze, ale mama zawsze płacze, kiedy się żegnamy.

- To znaczy, że cię kocha. - Greene wstał z podłogi.

- Przychodzi w nocy, kiedy myśli, że już zasnąłem i mnie całuje, ale ja wiem, że płacze. I tak samo płakała...

- Pij, Simon - przerwała mu opiekunka. - Nie mów tyle.

- Powiedziałem tylko, że mama płacze. - Chłopiec wsunął słomkę do ust.

- Tak jest. Proszę, masz pączka. - Podała mu ciastko zawinięte w serwetkę. - Uwważaj, nie nakrusz.

- Dziś w nocy też płakała - powiedział Simon.

Greene i Ocaya wymienili spojrzenia.

- Nie bądź niemądry. - Filipinka się uśmiechnęła. - Dziś w nocy spałeś tutaj, a nie u mamy.

- Mama tutaj była. Weszła do pokoju, żeby mnie pocałować. I płakała. - Simon przełknął kęs pączka. - Powiedziała, że teraz długo nie będziemy się widzieć. Dlaczego? - zapytał, nie patrząc na swoją opiekunkę, tylko na Greene'a, człowieka, który niespodziewanie pojawił się w jego życiu, układał z nim tory na podłodze i powiedział mu, że tego dnia nie pójdzie do przedszkola. - Dlaczego? - powtórzył, skubiąc czerwoną posypkę na pączku.

5.

Szukam sklepu Wyler Foods. - Wskoczywszy z radiowozu przed Ontario Food Terminal, ogromnym centrum handlu spożywczego w południowo-zachodniej części Toronto, posterunkowy Daniel Kennicott chwycił za ramię umięśnionego faceta dźwigającego oburącz kosz pełen świeżych kolb kukurydzy.

- Główny budynek. - Mężczyzna skinął głową, pokazując kierunek. - W prawo, a potem znów w prawo. Na pewno pan trafi.

- Dzięki. - Kennicott ruszył biegiem przed siebie. Do Ontario Food Terminal, jednego z największych centrów handlu świeżą żywnością w Ameryce Północnej, zjeżdżali klienci z całej prowincji; parking był pełen po brzegi samochodów, prywatnych oraz dostawczych, należących do farmerów. Uwagę funkcjonariusza zwróciła jedna z furgonetek, cała wymalowana na zielono i pomarańczowo, ozdobiona hasłem ŚWIEŻE, BO OD WYLERÓW, wypisanym drukowanymi literami o staromodnym kroju.

Kennicott wiedział, że ściga się z czasem.

- Przekażesz wiadomość o śmierci Wylera najstarszemu z jego braci, Nathanowi, temu z billboardów - poinstruował go detektyw Greene pół godziny wcześniej na miejscu zajścia. - Ich rodzice mieszkają za miastem z najmłodszym synem, Jasonem, który cierpi na jakąś rzadką chorobę i jest niepełnosprawny. To daleko, nie ma sensu tam jechać. Lepiej niech Nathan sam powiadomi rodzinę. Włącz koguta i bądź tam jak najszybciej. Nie chcę, żeby dowiedział się z gazet.

Kennicott rozejrzał się po ulicy zatarasowanej radiowozami. Wiedział, że Greene mógł zlecić tę robotę pierwszemu lepszemu policjantowi z drogówki.

- Nie ma sprawy - odparł.

Ontario Food Terminal był to olbrzymi magazyn z rozległym otwartym dziedzińcem w środku. Po zewnętrznej stronie biegły dookoła witryny sklepowe o malowniczych nazwach: „Banany u Rosie”, „Zielone i zdrowe”, „Romano i spółka, makarony”, „Sery z Górnej Kanady”.

Cały teren oplatała gęsta sieć betonowych ścieżek, po których bez przerwy śmigały elektryczne wózki załadowane wszelkimi możliwymi produktami przemysłu rolno-spożywczego. Jedne wjeżdżały do sklepów, inne z nich wyjeżdżały, a kierowcy buczeli klaksonami, pędząc przed siebie jak gokartowi rajdowcy na dobrze znanym torze.

Nietrudno było znaleźć sklep Wyler Foods. Jaskrawy transparent zawieszony wysoko nad wejściem krzyczał hasłem ŚWIEŻE, BO OD WYLERÓW oraz firmowymi barwami: zieloną i pomarańczową. W środku wrzało jak w ulu. Farmerzy znosili swój towar w kartonach, a pracownicy Wylerów, każdy w pomarańczowo-zielonym fartuchu, starannie go sprawdzali. W samym centrum tego rejwachu, za podłużnym prostokątnym stołem uwijał się Nathan Wyler. Pasiasta muszka, jego znak rozpoznawczy, była lekko przekrzywiona. Szczekliwym głosem wydawał polecenia, przerzucając jednocześnie świeże produkty, które podwładni przynosili mu na tacach.

Kennicott rozpoznał go błyskawicznie. Luksusowy sklep Wyler Foods działał w centrum Toronto, gdzie był bardzo popularny. Niedawno firma zaczęła kampanię reklamową, a w całym mieście pojawiły się billboardy, z których spoglądał Nathan Wyler w swojej charakterystycznej muszce; mankiety miał podwinęte, a ręce pełne świeżych owoców i warzyw. Za nim widniały dwie stare fotografie przedstawiające mężczyzn w podobnych muszkach i także z naręczami produktów rolnych. Napis na plakacie brzmiał: „Nazywam się Nathan Wyler. Świeże, bo od Wylerów - już od trzech pokoleń”.

- Zastrany upał - warknął Nathan Wyler, barczysty, przygarbiony olbrzym, wrywając z rąk jakiegoś pracownika tackę pełną borówek. - Do dupy - ocenił krótko. - Suche i pomarszczone.

Kennicott zbliżył się do stołu. Chociaż był w mundurze, to jakoś nikt go nie zauważył.

- No patrz, jaki szajs chowają pod spodem. - Wyler zanurzył rękę w kartonie sałaty rzymskiej i z samego dna wyciągnął małą główkę o brązowiejących liściach.

- Przepraszam pana - powiedział Kennicott.

Wyler utkwił w nim spojrzenie oczu, które miały niezwykłą, przejrzyste zieloną barwę. Jako mężczyzna nie był atrakcyjny: jego brązowe włosy z bliska wyglądały jak tania peruka, podwójny podbródek zwisał nisko. Ale oczy - gdy się ma takie oczy, nikt nie zwraca uwagi na resztę twarzy.

- Słucham. - Wyler jakby w ogóle się nie zdziwił na widok policjanta w swoim sklepie. Mocno chwyciwszy w obie dłonie melona kantalupa, włożył go z powrotem do skrzynki. - Te są dobre - zwrócił się do innego pracownika. - Zapytaj, czy ma melony kasaba.

- Mogę zamienić z panem słowo? - zapytał Kennicott.

Wyler wyciągnął w jego stronę olbrzymie awokado.

- Ekologiczne, prosto z Florydy. Coś niesamowitego. Słucham, o co chodzi?

- Wolalabym porozmawiać na osobności - Kennicott wziął od niego zielony owoc o grubej, ziarnistej skórce.

Wyler urwał listek ze świeżej bazylii, którą ktoś wcisnął mu w dłoń, wybierając jeden z rosnących najniżej. Wsunął go do ust.

- Nie ma lepszej bazylii - wyjaśnił. - W Ameryce mają specjalną metodę szybkiego chłodzenia. Wszystko zachowuje świeżość przez dziesięć dni. - Zabrał policjantowi awokado i wyciągnął do niego dłoń, na której leżał zielony listek. - Proszę spróbować.

- Nie, dziękuję, naprawdę musimy...

- Niech pan tylko spojrzysz. - Wyler szerokim gestem wskazał produkty płynące ku niemu szerokim strumieniem. - W poniedziałek

z samego rana zawsze najwięcej się kupuje. Przy takim upale wszystkim brakuje towaru.

- To pilne.

Wyler przebiegł palcami po zielonych cukiniach w kolejnym koszyku.

- Nie najlepsze, ale lepiej je wziąć. Zapytaj, czy ma też żółte - przykazał jeszcze innemu pracownikowi, po czym odwrócił się z powrotem do Kennicotta: - Domyślam się, że jest pan nowy w tym rejonie. Proszę się przejść po sklepie i coś sobie wybrać. Zapraszam.

- Chodzi o pańskiego brata.

Wyler otworzył szeroko oczy i wciągnął głowę w ramiona, zaciśnięciem palce na główce selera.

- O Jasona? Znów trafił do szpitala?

- Bardzo pana proszę - powiedział policjant. - Czy możemy gdzieś porozmawiać na osobności?

- W moim biurze. - Wyler rzucił selera kolejnemu pracownikowi. - Nieźle. Rozejrzyj się za marchwią. - Paulette! - zawołał, odwracając się w stronę wejścia. - Za pięć minut wracam!

Młoda rudowłosa dziewczyna stojąca za kasą uniosła głowę. Miała prześliczny uśmiech.

„Biuro” kierownika była to maleńka klitka w kącie magazynu. Pod ścianą stało tam wiekowe biurko ze stalowej blachy, a na nim piętrzyły się książki zamówień. Powyżej wisiała tablica gęsto obwieszona przeróżnymi karteczkami. Widać też było dwie okrągłe czarne popielniczki pełne niedopałków, czasem zgaszonych już w połowie.

- U nas się nie szpanuje - oznajmił Nathan Wyler, zamykając drzwi. W powietrzu wisiał mdlący zapach spleśniałych owoców. - Mój ojciec i dziadek też tutaj pracowali. Słucham, gdzie jest Jason?

Kennicott zrozumiał: jego rozmówca z góry założył, że coś się stało najmłodszemu, niepełnosprawnemu bratu.

- Nie przyszedłem w sprawie Jasona. Chodzi o Terrance'a.

Na twarzy Wylera rozlał się wyraz ulgi, a zatroskanie natychmiast ustąpiło miejsca rozdrażnieniu i złości.

- Samantha znów coś wymyśliła? Jakieś nowe oskarżenia?
- Nie.
- Więc co zrobiła? - Wyler autentycznie się pogubił.
- Mam dla pana tragiczną wiadomość - zaczął szybko Kennicott. Już raz miał okazję rozmawiać jako pierwszy z rodziną zamordowanego człowieka i to doświadczenie nauczyło go, że najlepiej mówić wprost. - Dziś rano w domu pańskiego brata Terrance'a odnaleziono jego zwłoki.
- Zwłoki? - powtórzył handlowiec, otwierając usta ze zdziwienia.
- Ktoś go zabił.
- Wyler wstrząsnął się nerwowo. Zielone oczy wyszły mu z orbit, ale po chwili skryły się z powrotem pod powiekami. Zrozumienie uderzyło w niego niczym grom; zatoczył się, jakby oberwał kijem prosto w spłot słoneczny.
- Zabił? - Z wielkim wysiłkiem wyrzucił z siebie to słowo.
- W tej chwili raczej nie mogę powiedzieć nic więcej, ale wszystko wskazuje, że było to morderstwo.
- Morderstwo? - Wyler oddychał ciężko, z widocznym trudem.
- Terry zamordowany?
- Znalazła go opiekunka Simona.
- Arceli? - Najstarszy z braci ukrył twarz w dłoniach. - Przecież była wieczorem u niego. Zaprosił nas wszystkich na kolację. Jason odwiózł ją do domu.
- To było dziś rano, kiedy przyszła do pracy.
- Co z Simonem? W tym tygodniu jest u Terry'ego.
- Wszystko w porządku. Zawieźliśmy go do mieszkania opiekunki.
- Kto zabił mojego brata?
- Tego jeszcze nie wiemy.
- Wyler skinął głową. Był oszołomiony.
- Teraz rozumiem - powiedział cicho, niemalże szeptem.
- Co pan rozumie?

Handlowiec sięgnął do paska spodni. Rozległ się głośny, plastikowy trzask, a chwilę później przed nosem policjanta pojawił się wysłużony, odrapany blackberry.

- Dzwonię do brata dwadzieścia razy dziennie i wysyłam mu tyle samo e-maili, a dziś od rana nie mogłem go złapać. Myślałem, że to przez tę rozprawę jest taki rozkojarzony.

Spojrzał Kennicottowi prosto w oczy, szukając w nich odpowiedzi. Jego wzrok był przeszywający.

- Co z Samanthą? - warknął. Gniew zdominował na chwilę inne gwałtowne emocje. - Gdzie jest ta szmata?

6.

Ted DiPaulo wjechał na żwirowy podjazd, zatrzymując swojego lexusa tuż za mercedesem Winstona Feindla. Tablica rejestracyjna angielskiego adwokata była zrobiona na zamówienie; widniał na niej napis ALIM\$NTY. Drzwi wejściowe stały otworem. Gabinet Feindla znajdował się na parterze, od frontu. W środku, na miękkiej kanapie, siedziała Samantha Wyler. Miała na sobie krótką czarną spódnicę, luźną bawełnianą bluzkę i sportowe sandały. Dygotała na całym ciele, oplatając się ramionami i kołysząc w przód i w tył. Feindel czekał za biurkiem. Przez okna za jego plecami mocno świeciło słońce.

Żona Terrance'a Wylera uniosła głowę, spoglądając na Teda DiPaulo. Jej ciemne włosy, nieumyte i oklapnięte, opadały na twarz. Potrząsnęła głową, odrzucając je z czoła. Był to jej nerwowy tik; DiPaulo zauważył go już przy pierwszym spotkaniu. Patrzyła zmęczonym wzrokiem, a jej mina świadczyła o głębokim znużeniu i wyczerpaniu.

Jednakże nawet w tak opłakanym stanie Samantha Wyler wciąż była atrakcyjną kobietą, o smukłej szyi, szerokich ramionach i pełnej twarzy rozświetlonej ciepłym spojrzeniem brązowych oczu. W ciągu ich kilkutygodniowej współpracy DiPaulo zdążył zauważyć, że uroda była dla niej raczej ciężarem niż szczęściem.

- Pani Wyler nie powiedziała ani słowa, odkąd się u mnie pojawiła - oznajmił Feindel wyjątkowo powściągliwym tonem.

- Muszę porozmawiać ze swoją klientką w cztery oczy - rzekł DiPaulo.

- Domyślałem się tego. - Adwokat wyskoczył zza biurka. Był typowym niezgrabiaszem, długorękim i długonogim. - Idę na kawę. W pobliżu jest Starbucks. - Głoskę „a” wymówił z angielska, prawie jak „o”.

DiPaulo nasłuchiwał jego cichnących kroków, a gdy rozległ się trzask zamykanych drzwi wejściowych, przysunął do kanapy najbliższe krzesło. Samantha Wyler siedziała ze spuszczoną głową, ale zaczęła kołysać się nieco gwałtowniej. Na niskim podręcznym stoliku stał dzbanek na herbatę, a w powietrzu unosił się ulotny aromat jakiegoś egzotycznego naparu.

- Sam - szepnął DiPaulo - musimy porozmawiać, i to jak najszybciej. Policja znajdzie cię w ciągu kilku minut.

Kobieta zwinęła się w kłębek, niemalże dotykając czołem kolan. Adwokat zauważył, że tuli coś do piersi, tak jak dziecko ściska w ramionach ulubiony kocyk.

- Będą cię szczegółowo przesłuchiwać.

Uniosła na niego oczy. Po jej policzkach cienkimi kreskami spływał tusz do rzęs.

- Masz prawo zachować milczenie - przypomniał. - Nie musisz odpowiadać na żadne pytania.

Skinęła głową.

- Ale i tak będą cię pytać. Będą chcieli wiedzieć, gdzie byłeś dzisiaj w nocy. Jeśli masz alibi, od razu mi o tym powiedz, nawet jeśli się wstydzisz, że robiłeś coś głupiego. To nie jest czas na wstyd.

Nagle Samantha przestała się kołysać. Znieruchomiła.

- Nie obchodzi mnie, gdzie byłeś, a policja nie...

Kobieta wzdrygnęła się mocno, całym ciałem. DiPaulo myślał, że to torsje, ale ona tylko rozłożyła ramiona i wyciągnęła w jego stronę biało-czerwona ścierkę do naczyń, złożoną na cztery.

Już miał ją wziąć, ale prawniczy instynkt ostrzegł go w porę; cofnął rękę.

- Sam, posłuchaj mnie - poprosił. - Połóż to na podłodze i rozwiń. Powoli.

Nie spuszczać adwokata z oka, Samantha Wyler położyła zawiąniętko na dywanie i zaczęła metodycznie odrzucać kolejne warstwy materiału, jak jubiler rozpakowujący drogocenny klejnot.

DiPaulo poczuł mrowienie w koniuszkach palców. Widział już dokładnie, jaki przedmiot znajduje się w środku.

- To z naszej kuchni - wyjaśniła żona Terrance'a Wylera.

Były to jej pierwsze słowa. Na rozłożonej tkaninie leżał nóż z czarną rączką, poplamiony krwią od góry do dołu.

Z naszej kuchni, powtórzył w myślach DiPaulo. Ciekawy dobór słów.

Samantha spojrzała na niego. W jej ciemnych oczach nagle odbiła się konsternacja.

- Zabrałam go - dodała.

- No cóż. - Adwokat z najwyższym wysiłkiem panował nad głosem. - Trzeba będzie coś zrobić, żeby trafił tam, gdzie powinien.

7.

Margaret Kwon wiedziała, że nie wolno jej teraz nawet drgnąć. Ściskając w dłoni aparat, czaiła się tuż za uchylonymi drzwiami pokoju numer 403, który wynajęła specjalnie na tę okazję. Pracowała dla plotkarskiego magazynu „Faces” już od dwudziestu lat i zjeżdżała cały kontynent w pogoni za hollywoodzkimi gwiazdami, lecz w dalszym ciągu to właśnie chwile takie jak ta nadawały sens jej życiu.

Zeszłego wieczoru za pięćdziesiąt dolarów kupiła bombową informację: kierowca limuzyny do wynajęcia, z pochodzenia Somalijczyk, zdradził jej, że April Goodling nie mieszka w Four Seasons, gdzie zwykle zaszywały się gwiazdy przyjeżdżające do Toronto, ale w Gladstone, luksusowym hoteliku w zachodniej części śródmieścia.

Było to jej typowe gwiazdorskie zachowanie. April Goodling, zdaniem Margaret Kwon, lubiła mieć wszystko pod kontrolą, więc nieustannie narzekała na uganiających się za nią dziennikarzy, jednocześnie robiąc wszystko, aby ściągnąć na siebie ich uwagę. Najbardziej było to widać tuż przed premierą nowego filmu albo wtedy, gdy chciała pochwalić się nowym facetem.

We wrześniu aktorka przyjechała do Toronto, aby promować swój ostatni obraz na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym. Spotkała się wtedy z Terrance'em Wylerem na firmowym pikniku sklepu Wyler Foods. Należy wspomnieć, że nie było to ich pierwsze spotkanie, bo blisko dwadzieścia lat wcześniej, jeszcze na studiach - oboje kończyli niedużą uczelnię w Vermoncie - byli parą. Związek

dobiegł końca, a oni od tej pory nie widzieli się już nigdy. Teraz jednak miało się wrażenie, że April Goodling naprawdę zależy na mężczyźnie.

Margaret Kwon co roku przyjeżdżała do Toronto na festiwal filmowy, który był dla niej nie lada okazją. Dostała cynk od pewnego aktora, który dorabiał sobie jako kelner na pikniku Wyler Foods, i zjawiwszy się na miejscu z aparatem, przyłapała Goodling i Wylera, jak całowali się za namiotem. Sensacja obiegła cały świat - kto nie lubi historii o starej miłości, która nie rdzewieje? Tydzień później Wyler rozstał się z żoną.

Kwon wiedziała, że April Goodling zamówiła limuzynę na ósmą piętnaście i będzie chciała wymknąć się z hotelu bocznym wejściem. Ustawiła na ulicy dodatkowego fotografa, który czał się na przystanku autobusowym, przebrany za bezdomnego. Drugi, wystrojony w dres, siedział w hotelowym holu. Ona sama wynajęła taki pokój, aby przez szparę w drzwiach mieć dobry widok na apartament gwiazdy, numer 408, po skosie naprzeciwko.

Margaret Kwon uwielbiała takie chwile w swojej pracy. To wyczekiwanie na właściwy moment. Nawet najbogatsi i najślawniejsi nie potrafią po prostu zniknąć z hotelu, czarów nie ma. I nie ma teleportacji. Wcześniej czy później każdy musi wystawić nos za drzwi - a ona już będzie wiedziała, co wtedy zrobić.

Praca, ciężka praca. To właśnie niej Kwon zawdzięczała swoje sukcesy: sensacyjne doniesienie o tym, że Bradowi pękła prezerwatywa, że Britney wstawiła sobie implant, a Jessica ma sześć palców u nogi. Aby dostać się do odpadków z życia gwiazd, przekupywała pracowników hoteli, bajerowała stewardesy i podlizywała się pielęgniarkom. Czatowała długie godziny na parkingach nocnych klubów, w holach hotelowych i nieprzepisowo zaparkowanych samochodach. Przede wszystkim zaś musiała być zawsze sprytniejsza niż tępo głowi aktorzy i ich aroganccy agenci.

Rzecz jasna, w tym wieku tak naprawdę powinna zajmować się czymś innym. Łowca sensacji, mając czterdzieści pięć lat, dawno już

awansował na redaktora i wołał pracę za biurkiem i w wygodnym fotelu, całonocne czaty i grzebanie w śmieciach sławnych ludzi pozostawiając różnym młodym pistoletom.

Rodzice byli zdania, że Margaret marnuje się w plotkarskim dziennikarstwie. Nie dalej jak w zeszły weekend wybrała się do nich na Long Island na kolację. Zaprosili też jej dwie młodsze siostry, które stały się obowiązkowo w towarzystwie swoich mężów (rzecz jasna, białych) i z dziećmi wystrojonymi w firmowe ciuchy z OshKosh i od Ralphi Laurena. Wszyscy oczywiście zjawili się na czas. Margaret miała godzinę spóźnienia.

Czy można było się jej dziwić? Przecież właśnie odkryła, że Marc i Jennifer poddają się satanistycznym zabiegom podwyższania płodności. Tyle że jej rodzina widziała akurat co innego: Margaret nie ma ani męża, ani tytułu naukowego. Skończyło się tym samym co zwykle: karczemną kłótnią w prawdziwie koreańskim stylu.

Drzwi do pokoju April Goodling uchyliły się odrobinę. Mam cię, pomyślała Kwon.

Znieruchomiała. Na korytarz wyszedł zwalisty facet w baseballowej kurtce i spojrzał w stronę windy. Pokój, który wynajęła dziennikarka, znajdował się na drugim końcu korytarza; zanim ochroniarz zdążył odwrócić głowę, Kwon szybko zamknęła swoje drzwi. Zaczęła liczyć na palcach. Dziesięć sekund powinno mu wystarczyć na ocenę sytuacji i wyprowadzenie Goodling z pokoju. W nocy zmierzyla odległość: od jej pokoju do drzwi z numerem 408 było dziesięć kroków, a stamtąd do windy - kolejnych piętnaście.

Osiem, dziewięć, dziesięć. Doliczywszy do końca, wymaszerowała na korytarz. Od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Ochroniarz stał przed drzwiami pokoju 408 i zaglądał do środka, wyraźnie zaniepokojony. Goodling jeszcze nie wyszła.

Kwon nie miała wyjścia. Cofając się, zwróciła na siebie uwagę ochrony, a zamierzała wejść z gwiazdą do windy i nakręcić po kryjomu film z ręki. Ruszyła więc przed siebie.

Kilka kroków dalej usłyszała głos dobiegający spod numeru 408:

- Nie. Nie!

To była April Goodling. Krzyczała, głośno krzyczała.

Serce dziennikarki zaczęło bić szybciej. Nie zatrzymała się, szła dalej. Do drzwi pozostało pięć kroków. I wtedy zrobiła głupi szkolny błąd - przyspieszyła.

Ochroniarz złowił kątem oka ten gwałtowny ruch i błyskawicznie odwrócił głowę, po czym zerwał się z zadziwiającą u tak potężnego człowieka zwinnością, wskakując z powrotem do pokoju.

Wiadomo było, że zatrzaska się za sobą drzwi. Pozostało jedno rozwiązanie: Kwon wcisnęła klawisz nagrywania wideo i rzuciła się całym ciałem do przodu, jak bramkarz skaczący do wysokiej piłki posłanej w sam róg bramki. Usłyszała, jak Goodling coś krzyczy, a jej twarz owiało powietrze; drzwi zamknęły się z hukiem.

Najpierw walnęła w drewnianą podłogę podbródkiem, aż tylne zęby zagrzechotały od wstrząsu, a w następnej chwili zwała się ciężko całym ciałem.

Naprawdę robię się na to za stara, pomyślała rozciągnięta jak długa na środku pustego korytarza. Uniosła aparat do oczu, przełączając na odtwarzanie. Przez wyświetlacz przeleciał krótki film, na którym można było rozpoznać April Goodling. Obejrzała go ponownie, tym razem po jednej klatce, jak te amatorskie zdjęcia z zamachu na prezydenta Kennedy'ego, które w Dallas zarejestrował Abraham Zapruder.

Wciąż się trzęsła od wyrzutu adrenaliny. Pierś i żebra bolały, z podbródka ciekła krew, a tylne zęby były jakby ściśnięte. Tylko że to wszystko nie miało już najmniejszego znaczenia. Magaret Kwon upolowała swoją bombę. Nie było żadnych wątpliwości: trzydziesta czwarta klatka jej filmu musiała trafić na okładkę następnego numeru „Faces”.

8.

Ari Greene wysiadł z windy na dziesiątym piętrze biurowca przy Bay Street 350, naprzeciwko sądu w Starym Ratuszu. Zerknął na zegarek. Była dziewiąta pięćdziesiąt. Jak zwykle zjawił się przed czasem. Na ścianie słabo oświetlonego korytarza wisiała wąska metalowa tabliczka z napisem „DIPAULO i PARISH, SPECJALIŚCI PRAWA KARNEGO, 1105” oraz strzałką wskazującą w prawo.

Do numeru 1105 prowadziły drzwi w nijakim szarym kolorze. Po ich otworzeniu niewidoczny dzwonek wydał wysoki, przenikliwy sygnał. Poczekalnia kancelarii nie była urządzona starannie: kilka starych, niedobrych kanap i stosik nieaktualnych czasopism, na którego szczycie leżał numer „Hockey News” obwieszczający z wielką pompą zaskakujące zwycięstwo Toronto Maple Leafs w wiosennym finale turnieju o Puchar Stanleya. W lecie drużyna rozstała się z wieloletnim bramkarzem, niespodziewanym bohaterem tegorocznej serii rozgrywek, i zwerbowała na jego miejsce pewnego młodego Szweda. Ojciec Greene'a dostał szału.

Biuurko recepcjonistki było puste. Za nim znajdowało się okno zasłonięte zakurzoną żaluzją. Greene zajrzał za biurko; piętrzyły się tam stosy kartonowych pudeł na dowody rzeczowe. Pod przeciwległą ścianą stał staroświecki zegar szafkowy tykający w rytm pracy wahadła.

- Ari - zabrzmiało powitanie.

Greene obejrzał się za siebie. W wąskim korytarzu pojawił się Ted DiPaulo. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, a krawat zwisał mu krzywo. Podał detektywowi rękę, uśmiechając się od ucha do ucha.

Był to zwycięski uśmiech, zdolny rozświetlić każde pomieszczenie, do którego wszedł adwokat, i używany w charakterze zawodowej broni do zjednywania świadków, przypochlebiania się sędziom oraz czarowania ławników.

- Dziękuję, że przyjechałeś. - DiPaulo uniósł dłoń. - I to nawet odrobinę wcześniej.

- Taki mam nałóg - odparł Greene, ruszając za adwokatem korytarzem. Myślał przy tym, jak zawsze, gdy spotykał się z Tedem DiPaulo, że postura tego człowieka idealnie odpowiada jego tubalnemu głosowi i wybujałemu ego.

Minęli gabinet współpracownicy adwokata, Nancy Parish, którą Greene poznał przy okazji jednego z wcześniejszych śledztw. Drzwi były zamknięte.

Greene pamiętał dobrze czas, gdy DiPaulo stał na czele prokuratury okręgu śródmieście. Był surowy nawet dla młodych, dobrze zapowiadających się prawników, którzy i tak go ubóstwiali. No i kochał się w dużych, głośnych sprawach. Im większe i głośniejsze, tym lepiej.

- Co słycać u twoich dzieci? - zapytał po wejściu do gabinetu adwokata. W odróżnieniu od zaniedbanej poczekalni, to wnętrze było urządzone starannie i ze smakiem.

- Dorastają. Trochę za szybko. - DiPaulo wskazał mu fotel pod oknem, a sam zajął drugi, tuż obok. Drzwi do gabinetu pozostawił otwarte.

- Syn pewnie już studiuje - zauważył Greene.

- Wyśmienita pamięć, panie detektywie. - Adwokat się uśmiechnął. - Tak, tylko córka została jeszcze w domu, ale w przyszłym roku i ona wyjedzie.

Greene rozejrzał się dookoła. Na komodzie przy wejściu stało zdjęcie Teda i Olive, jego zmarłej żony, pięknej Amerykanki chińskiego pochodzenia. Uśmiechali się do aparatu ze szczytu jakiejś góry. Obok tłoczyły się fotografie ich dzieci, w różnym wieku. Uroczę dzieciaki, pomyślał Greene.

Spojrzał z powrotem na adwokata. Obaj zdawali sobie sprawę, że

czas na pogaduszki od serca dobiegł końca. DiPaulo zadzwonił do niego przed godziną i poprosił o spotkanie. Jak najszybciej. Powiedział, że to pilne.

- Chodzi o Samanthę Wyler - wyjaśnił po chwili milczenia, spoglądając na zegarek. - Jest teraz moją klientką. Jej mąż nie żyje, więc zakładam, że chciałbyś z nią porozmawiać.

- Siedem ran kłutych - oznajmił Greene - wskazuje na to, że nie była to śmierć z przyczyn naturalnych, a raczej morderstwo.

Adwokat skinął głową. Panował nad twarzą, a z jego miny nie dało się wyczytać, czy wie coś o ranach i ich liczbie, czy też nie.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie ją znajdę? - zapytał detektyw.

- Mogę, ale muszę mieć trochę czasu, żeby sam z nią porozmawiać - odparł DiPaulo, obracając na palcu złotą obrączkę ślubną.

- Jeśli Samantha Wyler ma alibi na wieczór i noc, to chciałbym je poznać. Jak najszybciej.

Adwokat ponownie zerknął ukradkiem na zegarek.

Gra na zwłokę, pomyślał Greene. Czeka na kogoś.

W tym momencie sygnał dzwonka oznajmił, że ktoś wszedł do poczekalni. DiPaulo uśmiechnął się szeroko.

Na korytarzu rozległ się przenikliwy stukot obcasów, a chwilę później w drzwiach gabinetu stanęła chuda jak patyk, ciemnoskóra kobieta w szpilkach i długiej spódnicy. Była młoda, a w dłoni trzymała plastikową torbę na zakupy z napisem „Delikatesy Longo”.

- Przepraszam - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Szukam detektywa Ariego Greene'a.

Greene wstał.

- I znalazła go pani. - Wyciągnął do niej rękę.

- Nazywam się Barbara Delacroix. - Uścisk jej szczupłej dłoni był zadziwiająco mocny. - Pracuję w kancelarii Levine i Sundralingham.

Greene spojrzął na jej torbę.

- W czym mogę pomóc?

- Czy moglibyśmy... porozmawiać w cztery oczy? Jeśli pan pozwoli, oczywiście.

Ted DiPaulo zerwał się z fotela, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Zaprowadzę państwa do sali konferencyjnej.

Chwilę później Greene i Delacroix siedzieli przy owalnym stole w pokoiku bez okien.

- Panie detektywie... - Kobieta położyła torbę na stole i zaczęła recytować wyćwiczonym, monotonnym głosem:

- Kancelaria Levine i Sundralingham, reprezentując interesy klienta, który pragnie zachować anonimowość, otrzymała instrukcje, aby przekazać panu niniejszą przesyłkę.

Podsunęła mu torbę z taką miną, jakby było w niej pełno zarazków.

Greene rozsunął ją jednym palcem. Zobaczył szczelnie zamkniętą przezroczystą plastikową kopertę. W środku znajdowała się białoczerwona ścierka do naczyń.

- Domyślam się, że nie wie pani, co zawiera ta przesyłka - mruknął.

- Mam przekazać panu tylko to, co powiedziałam.

- Czy to jest ciężkie?

- Niezbyt... Nie mogę mówić już nic więcej.

- Ostre?

- Tak... - Urwała. Zaczęła oddychać z wysiłkiem. - Przepraszam... panie detektywie. Pracuję w zawodzie dopiero od dziesięciu miesięcy.

- Dobrze sobie pani poradziła. - Greene zamknął torbę.

- Proszę powiedzieć w firmie, że dostarczyła pani zakrwawiony nóż. Zadanie wykonane.

Delacroix ulotniła się szybko, a po chwili ponownie zabrzmiał dzwonek u drzwi. Greene wyszedł z sali konferencyjnej i wrócił do gabinetu Teda DiPaulo, który siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon, ale szybko odłożył słuchawkę.

Obaj dobrze rozumieli, co miała znaczyć ta scenka. Adwokat dostał poplamiony krwią nóż od Samantha Wyler i zatarł ślady w prawniczym stylu, podwójnie: najpierw zatrudnił kancelarię Levine

i Sundralingham, ponieważ jako ich klient miał prawo do ochrony danych osobowych, a potem zostawił gdzieś nóż i polecił im go odebrać, sam zaś zaprosił do siebie Greene'a, aby wysłanniczka firmy mogła dostarczyć mu tę przesyłkę. W ten sposób do jego własnej klientki, czyli pani Wyler, nie prowadził już żaden trop.

- Ciekawa rozmowa. - Detektyw zademonstrował torbę utrzymaną w dłoni.

- Doprawdy? - DiPaulo błysnął swoim popisowym uśmiechem, po czym wskazał dłonią telefon. - A do mnie dzwoniła pani Wyler.

- Gdzie ona jest?

Adwokat wzruszył ramionami.

- Na razie wolałbym tego nie mówić. Ona nie zniknie, uwierz mi. Tak jak wspominałem, najpierw sam muszę się z nią spotkać.

Greene przypomniał sobie zamknięte drzwi do gabinetu Nancy Parish. Był przekonany, że znalazłby tam żonę Wylera.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, że w świetle prawa moja klientka nie ma żadnego obowiązku z tobą rozmawiać - dodał DiPaulo. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Greene znał go i wiedział, że zawsze gra ostro. Uwielbiał wygrywać, ale trzeba mu było przyznać, że nigdy nie łamał przepisów, więc i teraz powiedział prawdę: Greene nie miał prawa zmuszać Samantha Wyler do zeznań. Jeśli nie chciała z nim rozmawiać, mógł ją tylko aresztować, a wtedy najprawdopodobniej zamilkłaby na dobre.

- Z miejsca przestępstwa zniknął nóż kuchenny i biało-czerwona ścierka do naczyń - oznajmił detektyw, unosząc torbę. - Chcę wiedzieć, gdzie pani Wyler spędziła dzisiejszą noc.

Przy tak trudnej sprawie jak to morderstwo dobry adwokat i prowadzący śledztwo detektyw mają do siebie coś w rodzaju zaufania, choć trzeba przyznać, że jest ono kruche. DiPaulo zadziałał bardzo szybko i zrobił co trzeba, aby zakrwawione narzędzie trafiło w ręce policji, co świadczyło o jego dobrej wierze. Czasami lepiej nie przeszkadzać adwokatowi - a nuż uda mu się przemówić podejrzanemu do rozsądku i przekonać go, aby przyznał się do winy, poszedł na ugodę i zyskał, co tylko może?

- Ile chcesz czasu? - zapytał Greene.
- Mamy sporo do omówienia.

W gwarze adwokatów znaczyło to: „Daj mi nad nią popracować. Wciąż się zapiera”.

- Uprzedzę cię, gdybym miał ją aresztować - obiecał Greene.
- W porządku.
- Jej alibi z każdym dniem będzie coraz mniej wiarygodne. Ta sprawa jest jak ryba: szybko zacznie śmierdzieć.

- Myślisz, że nie wiem? - mruknął adwokat, przyglądając się torbie, którą trzymał detektyw. Dotknąwszy obrączki, znów obrócił ją na palcu. Miał minę hazardzisty, który dostał słabe karty, ale zabrnął już za daleko, żeby wycofać się z gry. I naprawdę nie ma już powodów do radości.

9.

Proszę nacisnąć czterdzieści osiem. - Daniel Kennicott podziękował uśmiechem kobiecie stojącej obok tablicy z przyciskami w zatłoczonej windzie. Zajął ostatnie wolne miejsce: kabina była pełna mężczyzn w garniturach i kobiet w kostiumach. Większość z nich dzierżyła w dłoniach czarne teczki, a co najmniej połowa postukiwała w klawiatury swoich blackberry. Reszta nie odrywała wzroku od zainstalowanego w windzie monitora, na którym wyświetlano wiadomości.

Cztery lata temu wyglądałem identycznie, pomyślał, wspominając czasy, kiedy był młodszym asystentem w dużej kancelarii i piął się po drabinie firmowej hierarchii. Wtedy nie wyróżniałby się niczym w tej grupie ludzi: miałby na sobie modny garnitur i ręcznie szyte buty. Teraz, w zapiętym pod szyję mundurze, czuł się całkowicie nie na miejscu.

Winda ruszyła w górę, przyspieszając z każdą chwilą. Kennicott dotarł do celu w okamgnieniu i wysiadł w recepcji kancelarii adwokackiej. Jej pełna nazwa brzmiała Anita Starr i Wspólnicy: Adwokaci i Radcy Prawni, Specjaliści Prawa Rodzinnego. Podłoga była wyłożona lśniącym marmurem, a naprzeciwko windy stało biurko z ciemnego palisandru. Rozjaśniał je bukietik herbacianych róż. Siedziała za nim młoda recepcjonistka ze słuchawkami i mikrofonem na cienkim druciku.

Kennicott wyjął policyjną wizytówkę. Recepcjonistka zasłoniła mikrofon dłonią, uśmiechając się do gościa. Pod jej dolną wargą lśnił maleńki brylancik.

- Daniel Kennicott, policja. Przyszedłem na spotkanie z panią Starr.

- Pani Starr czeka na pana - padła odpowiedź. - Życzy pan sobie cappuccino, ziołową herbatę, wodę...?

- Nie trzeba, dziękuję - odparł.

- Gabinet pani Starr znajduje się na końcu korytarza. Proszę wejść.

Na ścianach było aż gęsto od nowoczesnego malarstwa i fotografii. W obszernym gabinecie Anity Starr stało olbrzymie biurko ze szklanym blatem wspartym na czterech kolumnkach z takiego samego marmuru jak podłoga na zewnątrz. Obok, na niskim stoliku, również jaśniały herbaciane róże. W całym pomieszczeniu było tylko jedno siedzenie dla klienta - fotel obity luksusową czarną skórą.

Anita Starr, szczupła kobieta ubrana w kostium z gatunkowego lnu, nosiła jadeitowy naszyjnik i kolczyki do kompletu. Jej włosy, mocno rozjaśnione bależem, były idealnie ułożone.

- Ależ miałam poranek - mówiła właśnie do słuchawki telefonu, a gdy wszedł Kennicott, wskazała mu gestem fotel naprzeciwko biurka. - Nie do wiary, że coś takiego trafiło akurat na mnie.

Leżały przed nią dwa segregatory z dokumentami. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, podniosła jeden z nich i podała policjantowi.

- Dasz wiarę? - ciągnęła dalej. - Przez ten rozwód odwołałam nasz wyjazd do Barcelony!

Segregator był opisany nazwiskiem WYLER, TERRANCE. Dokumenty starannie uporządkowano w różnokolorowych koszulkach.

- Normie chce mnie zabić - zachichotała Anita Starr. - Oj, źle, że to powiedziałam. Jest u mnie policjant. Nie jestem podejrzana, mam nadzieję. Przekaż wysokiemu sądowi, że za mniej więcej godzinę stawię się u, niego z wnioskiem. Dzięki serdeczne.

Odłożyła słuchawkę i wyszła zza biurka. Kennicott wstał, aby się przywitać.

- Anita Starr - przedstawiła się, ujmując jego dłoń oburącz. - Cieszę się, że mógł pan przyjść. Terrance był cudownym klientem. Do tej pory pamiętam, jak zjawił się u nas pierwszy raz. Wszystkim dziewczynom zmięknęły kolana.

- Liczymy, że będzie mogła pani pomóc nam w śledztwie.

- Dwadzieścia cztery lata praktyki prawniczej - wyrecytowała, nie wypuszczając dłoni funkcjonariusza - i nigdy czegoś takiego. - Odwróciła wzrok w stronę cienkiego laptopa stojącego na blacie biurka. Co kilka sekund w głośniczku rozlegało się ciche brzęknięcie. - Bez przerwy ktoś do mnie dzwoni albo pisze. Wszyscy chcą wiedzieć, jak sobie radzę.

- To dla nas? - Kennicott uniósł segregator trzymany w wolnej ręce.

- Oczywiście. Zrobię wszystko, żeby pomóc w śledztwie.

- Poklepała go po wierzchu dłoni. - Zakładam, że wie pan o fałszywych oskarżeniach, które w zeszłym roku wysunęła Samantha. O tym, co pisała w e-mailach i nagrywała Terrance'owi na pocztę głosową. Otrzymała za to opomnienie od policji.

- Wyciągnęliśmy wszystko z archiwum - zapewnił.

- Feindel, jej adwokat, nie jest głupi, ale stracił nad nią kontrolę. Na pewno już do niego dotarliście.

Kennicott potrząsnął głową.

- Nie wolno mi rozmawiać z panią o śledztwie.

- Przepraszam. Norman, mój mąż, mówi, że jestem radcą z powołania: zawsze doradzam, czy trzeba, czy nie trzeba. Ale teraz czuję się całkiem bezradna. - Westchnęła, wypuszczając wreszcie jego dłoń z uścisku i wzięwszy z biurka drugi segregator, przerzuciła go kilkoma lekkimi, wprawnymi ruchami. - Dokumentacja każdego klienta jest uporządkowana dokładnie tak samo. Finanse - niebieska koszulka, opinie dotyczące opieki nad dziećmi - zielona, pisma procesowe i oświadczenia dla sądu rodzinnego - czerwona. Korespondencja jest w żółtej. - Prawniczka przygryzła dolną wargę. - A miałam zniszczyć Samanthę na przesłuchaniu...

- Kiedy po raz ostatni kontaktowała się pani z Terrance'em?

- Wczoraj wieczorem. Przez cały weekend pisaliśmy do siebie e-maile. Feindel rozumiał, że jego praca musi pójść na marne, więc w piątek rano, w ostatniej chwili, złożył nam propozycję ugody. Samantha od początku chciała wywalczyć wspólną opiekę nad Simonem, na co nie było najmniejszej szansy, więc teraz przedstawiła nam cały harmonogram podziału opieki nad dzieckiem. Powiedziałam Terrance'owi, że ma nie odpowiadać, bo to tylko znaczy, że zaczęli się bać. W niedzielę napisał mi, że rodzina była u niego na kolacji i wszyscy solidarnie orzekli, że nie będzie takiej ugody. A dziś rano sprawdzam pocztę... - Sięgnęła po blackberry, który leżał na biurku i zajrzawszy do skrzynki pocztowej, zaczęła czytać: - „Pani Starr. Wiem, że będzie pani ze mnie niezadowolona, ale przyjąłem propozycję Sam. Tak jest najlepiej dla Simona. Za pół godziny Sam przyjdzie do mnie i dogadamy szczegóły. Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła”. - Adwokatka wciąż stała tuż obok Kennicotta. - Byłam w szoku.

- Kiedy został napisany ten e-mail? - zapytał.
- Zrezygnowałam z wakacji, żeby zająć się tą sprawą.
- O której godzinie? - powtórzył.

Potrząsnęła głową.

- Zero trzydzieści siedem. - Wróciła za biurko. Komputer brzęczał już co chwilę. Kennicott usiadł i od razu zrozumiał, dlaczego w gabinecie jest tylko jeden fotel: miało to sprawić, aby klient czuł, że poświęca mu się całą uwagę.

Anita Starr zabębniła palcami w klawiaturę.

- Składam w trybie nadzwyczajnym wniosek jednostronny o wydanie Samancie Wyler zakazu zbliżania się do syna.

- Na jakiej podstawie? - Gadam jak prawnik, pomyślał Kennicott.

Starr spojrzała na niego.

- Na takiej, że chłopiec nie jest przy niej bezpieczny.

Spodziewał się, że po tym krótkim wyjaśnieniu wróci do pisania, ale ona przyjrzała mu się uważnie.

- Wiem, że jest pan z wykształcenia prawnikiem. Wiem też,

dlaczego został pan policjantem. Studiowałam razem z pańskim bratem w ramach wspólnego programu LLM-MBA. Michael był najbardziej błyskotliwym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się poznać.

Takie chwile nie należały do rzadkości. Michael Kennicott zapisał się w pamięci bardzo wielu ludzi. Jego młodszy brat często napotykał dawnych kolegów albo znajomych zmarłego, zupełnie przypadkowo. Postanowił puścić uwagę Anity Starr mimo uszu.

- Dlaczego pani zdaniem Samantha Wyler zagraża swojemu synowi?

Prawniczka parsknęła zaskakująco gardłowym śmiechem.

- Bo zabiła swojego męża.

- Wie pani dobrze, że nie skomentuję takiej uwagi.

- W porządku. Chce pan poznać okoliczności?

- To bardzo świeża sprawa, sprzed zaledwie kilku godzin. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej.

- Zacznę od Samantha. Pochodzi z jakiegoś małego miasteczka na północy. Dziura jak się patrzy. Jej rodzina prowadziła tam stację benzynową. Samantha była bardzo ambitna: poszła na studia, zdobyła stypendium, zatrudniła się w banku, a potem znalazła posadę w Wyler Foods. Nathan, najstarszy z braci, prowadził wtedy firmę i powoli doprowadzał ją do ruiny.

- Jak poznała Terrance'a Wylera?

- Przyjechał ze Stanów, bo tam wtedy mieszkał, na rodzinne grillowanie. To był szalony romans: Terrance sprowadził się z powrotem do Kanady. Jego matka chciała im urządzić wielkie wesele, ale Sam namówiła go na potajemny ślub z dala od Toronto. A potem trzask-prask, zaszła w ciążę. To była kompletnie niedobrana para.

- Jak to?

- Terrance przez całe życie dostawał wszystko do ręki. Nie chciał mu się ciężko pracować. Kiedy urodził się Simon, oszalał na jego punkcie. Samantha nie ciągnęła za bardzo do dziecka, a do tego nie znosiła głupiego życia towarzyskiego. Bale, premiery operowe, całe lato w tym nudnym jachtklubie. Miała to wszystko w nosie.

Jedno jej muszę przyznać: naprawdę rzetelnie pracowała.

- Co się stało z ich małżeństwem?

- Namówiła Terrance'a, żeby odszedł z Wyler Foods i otworzyli razem własny sklep, w tej samej branży. Klęska. A w zeszłym roku on spotkał April Goodling i było po ptakach. Wrócił do rodzinnego biznesu i świetnie mu się pracowało z braćmi.

- Zna ich pani?

- Niezły bajzel mają w tej swojej rodzinie. - Anita Starr przesunęła dłonią po włosach. - Nathan, najstarszy, ma pięćdziesiąt trzy lata i trzecią żonę. Zobaczymy, ile jeszcze to potrwa. A Jason jest ciężko chory. Za rok będzie pewnie jadł przez rurkę. Biedny facet. Jeśli nie dasz rady przerzucać worków z warzywami o trzeciej nad ranem, to u Wylerów jesteś do niczego.

- Rozmawiałem dziś rano z Nathanem Wylerem - powiedział Kennicott. - Nie przepada za Samantha.

- Mhm - mruknęła adwokatka. - Cała rodzina jej nienawidzi.

Stuknęła w klawisz, a z drukarki sypnęły się kartki.

- Jak Terrance zareagował na tamte obraźliwe e-maile i telefony? Martwił się czy raczej złościł?

Anita Starr potrząsnęła głową.

- Nie był mściwy. To ja go zmusiłam, żeby zadzwonił na policję i prawie złamałam mu przy tym rękę. Mąż mówi na mnie „bicz boży”. Przy mnie, powiada, Atylla, wódz Hunów, to bułka z masłem.

Owszem, pomyślał Kennicott. Rozjechana przez walec drogowy. Wstał, wsuwając segregator pod pachę.

Prawniczka odprowadziła go do drzwi, a na progu ponownie ujęła za rękę. Dłonie miała silne.

- Brat wiele mi o panu mówił - wyznała.

- Michael opowiadał pani o mnie? Dlaczego?

- Ja też miałam młodsze rodzeństwo. Siostrę. Nazywała się Arlene. - Starr puściła dłoń policjanta. - Odebrała sobie życie na pierwszym roku studiów podyplomowych. Z Michaeliem umiałam o tym rozmawiać.

Kennicott wcale nie chciał jej słuchać, ale jednocześnie nie mógł przestać.

- Michael mówił, że musi być trudno wykazać się w rodzinie, gdzie ojciec jest słynnym sędzią, matka wybitną dziennikarką, a starszy brat w młodym wieku osiągnął tyle, co on. Arlene też nie było łatwo mi dorównać.

- Dziękuję pani. Porozmawiamy sobie o tym przy innej okazji.

Starr ani drgnęła. Wycelowała w niego świdrujące spojrzenie; kiedy tylko zechciała, miała wzrok skupiony jak wiązka laserowa. Wyobraził sobie klientów posadzonych przed jej obliczem na samotnym fotelu. Zahipnotyzowanych siłą jej oczu.

- Michael opowiadał, że wszystko przychodziło panu z łatwością. Podobno od szóstej klasy podstawówki dziewczyny uganiały się za panem. W szkole obijał się pan jak mógł, a i tak był jednym z najlepszych uczniów. Ale denerwował się też na pana za to, że nigdy się pan nie stara. Do tej pory pamiętam, jak psioczył, że wszędzie pan się spóźnia.

Kennicott słynął w rodzinie ze swojego spóźnialstwa. „Mój brat Daniel, zawsze na medal, nigdy na czas” - tak przedstawiał go Michael. Ich ostatnia rozmowa dotyczyła spotkania w restauracji. Umówili się na siódmą trzydzieści.

- Tym razem zrób mi niespodziankę i bądź punktualnie - powiedział Michael, co rozbawiło setnie ich obu. Daniel przybył na miejsce za dziesięć ósma. Za późno.

- Życie bez rodziny musi być bardzo samotne. - Anita Starr puściła go wreszcie. - Wiem, że brat byłby teraz z pana dumny.

- Dziękuję. - Kennicott ruszył w stronę drzwi.

Prawniczka zaszeleściła zadrukowanymi kartkami, które trzymała w drugiej ręce.

- Uzyskam ten zakaz. Przez siedemdziesiąt dwie godziny Samantha nie zobaczy się z Simonem - oznajmiła już ściśle oficjalnym, służbowym tonem.

- Dlaczego akurat przez siedemdziesiąt dwie?
- Bo w czwartek będzie pogrzeb.
- Ale śledztwo może potrwać, i to długo.
- Za kilka dni ją aresztujecie - odparła niewzruszona. - Żaden sędzia nie pozwoli jej widywać Simona, kiedy będzie oskarżona o morderstwo. A gdy ją skażą, ten zakaz przedłuży się na czas nieokreślony. Nie zobaczy swojego syna już nigdy, postaram się o to.

10.

Był u mnie detektyw Greene. Wyszedł przed chwilą - oznajmił Ted DiPaulo. Winston Feindel podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale. - Terrance Wyler otrzymał siedem ran kłutych.

- To nie koniec złych wieści - odparł Feindel. - Anita Starr, adwokat rodzinny Wylera, uzyskała w trybie nadzwyczajnym zakaz sądowy, który nie pozwala Samancie zbliżyć się do syna przez najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny. Twoja klientka nie ucieszy się z tego.

- Z całą pewnością. - DiPaulo podziękował Feindlowi i się rozłączył. Samantha czekała na niego tuż obok, w gabinecie Nancy Parish. Wiedział, że powinien po nią iść, ale zatrzymał się przy komodzie obok drzwi gabinetu i wziął do ręki zdjęcie z Ayers Rock.

Niedługo po tym, jak u Olive wykryto raka wątroby, DiPaulo zaliczył bezsenność: zamiast spać, siedział przed biblioteczką w salonie i gapił się na półki z książkami. Wreszcie wyciągnął egzemplarz „Rozmów o śmierci i umieraniu” Elisabeth Kübler-Ross, stary, jeszcze ze studiów, zawinął się w tradycyjny wełniany koc z Kompanii Zatoki Hudsona i czytał aż do samego rana. Zaprzeczenie, gniew, negocjacje, depresja, akceptacja: pięć etapów umierania. Na jego oczach Olive przeszła je wszystkie.

Wiedział, że jego klienci przeżywają dokładnie do samo. Potrzeba było długich tygodni, a czasami nawet miesięcy, aby wyperswadować im zaprzeczanie, stłumić gniew i położyć kres negocjacom, a potem przeprowadzić ich przez otchłań depresji i nakłonić do

ostatecznej akceptacji. Jego kancelaria w większej części była zaniedbana, ale to mu nie przeszkadzało w najmniejszym stopniu. Poczucie bezpieczeństwa musiał dawać tylko jego gabinet, czyli serce firmy, a o wszystkim decydowało to, jak klient zostanie potraktowany podczas pierwszego spotkania.

Niemalże wszyscy przychodzili do niego w ciężkim szoku. Dlatego właśnie urządził to wnętrze tak, aby zapewnić im maksymalny komfort psychiczny. Na drewnianym biurku zawsze panował porządek, we wnęce okiennej stały drzewka szczęścia i wisiały nieduże akwarele, a ściany ozdobione były plakatami starych filmów noir i osobistą twórczością dzieci adwokata. Do przyjmowania klienta służyły dwa obrotowe fotele - obrotowe po to, aby można je było ustawić frontem do siebie. DiPaulo zawsze prosił klienta, żeby zajął fotel stojący bardziej w głębi, sam zaś wybierał ten bliżej drzwi; na pierwszym spotkaniu nigdy nie przyjmował ludzi zza biurka.

Wyszedł na korytarz i udał się po Samanthę. Czasu nie było zbyt wiele. Jeśli miała alibi, musiała mu o tym natychmiast powiedzieć. To było jednak raczej mało prawdopodobne. Przecież osobiście przyniosła zakrwawiony nóż do Feindla.

Sam wróciła z nim do gabinetu i opadła ciężko na pierwszy fotel, najbliżej drzwi. Ona jedna ze wszystkich jego klientów nigdy nie chciała usiąść pod oknem.

- Nie znoszę być przyparta do muru - wyjaśniła od razu na ich pierwszym spotkaniu. - Zostałam kiedyś napadnięta, jeszcze w szkole średniej. Od tej pory zawsze muszę mieć wyjście awaryjne.

DiPaulo zamknął drzwi i podał jej szklankę wody, którą postawiła na podkładce leżącej na skraju biurka.

- Dobrze się czujesz? - Obrócił fotel stojący pod oknem w jej stronę.

- Nie - odparła, wbijając wzrok w szklankę. Głos miała głuchy, wzrok rozbiegany. Podręcznikowe objawy szoku psychicznego.

- Musimy porozmawiać - oznajmił neutralnym tonem, bez przesadnego współczucia.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, podirytowana tym nietypowym u niego chłodem.

- Terry nie żyje, Bóg jeden wie, kiedy zobaczę Simona, a... - Urwała w pół słowa, potrząsając głową.

- Terry nie żyje? To za mało powiedziane. Terry został zamordowany.

Wbiła w niego spojrzenie swoich brązowych oczu. Nawet w takiej chwili rozpaczy te oczy tchnęły ciepłem.

- Nie zabiłam go. - Jej głos był tak niski, że chcąc ją dosłyszeć, musiał bardzo mocno nastawić uszu.

Nie dziwiło go to wyznanie. Na pierwszym spotkaniu znakomita większość klientów twierdzi, że jest niewinna. Wiedział, że adwokatowi nie wolno ani w to wierzyć, ani też wątpić, zdawał sobie jednak sprawę, że zaprzeczenie czasami sięga bardzo głęboko. Z drugiej strony, jeśli Samantha naprawdę ma alibi, to byłby przeszczęśliwy, wiedząc, że jest szansa obrony klientki przed zarzutem morderstwa.

- Sam, posłuchaj. Mamy mało czasu i bardzo niewiele możemy zrobić. Gdzie byłaś wczoraj, jeśli nie w domu Terry'ego? Muszę to wiedzieć.

Znów wbiła wzrok w stojącą na biurku szklankę.

- Mogą cię aresztować w każdej chwili. - Zrozumiał, że musi jakoś do niej dotrzeć. - A ich pierwsze pytanie będzie brzmiało tak: „Gdzie pani była zeszłej nocy?”.

Nic. Cisza.

Klienci zazwyczaj milkli, kiedy wyciągał ich z fazy zaprzeczenia. Często miało to oznaczać, że dali za wygraną i akceptują to, co nieuniknione.

Parł więc dalej, patrząc wprost na nią:

- Każda sprawa o morderstwo opiera się na dwóch rzeczach: musi być motyw i musi być sposobność.

- Ha! - zaśmiała się, zaskakując go tym całkowicie. - Motywów miałam do wyboru, do koloru. Sprawa rozwodowa za pasem... Związek z gwiazdą filmową...

Dobrze, pomyślał DiPaulo. Zaczęła mówić.

- Te twoje jadowite e-maile i nagrania też mogą zaszkodzić.
 - Jak widzę, wszystko zależy od tego, czy miałam sposobność?
- Samantha odwróciła głowę w stronę zamkniętych drzwi. Adwokat przez chwilę obawiał się, że wstanie z fotela i ucieknie.

- Posłuchaj mnie uważnie, zanim powiesz coś więcej - wtrącił szybko. - Nie wolno mi z rozmysłem przedstawić w sądzie fałszywych dowodów. Jeśli usłyszę, że byłeś tej nocy w domu Terry'ego, to nie możesz później się rozmyślić i zeznać, że byłeś gdzieś indziej.

To była przesada. Istniało wiele sposobów ominięcia tego problemu. Byłoby to szczególnie łatwe, gdyby Sam, tak jak gros klientów, przedstawiła mu więcej niż jedną wersję wydarzeń. Wtedy powiedziałby po prostu, że nie mógł wiedzieć, która z nich jest prawdziwa. Jednakże teraz chciał przycisnąć żonę Wylera najmocniej, jak tylko się dało.

Widział, jak kiwa głową. Siedziała tyłem do niego, ale był pewien, że słucha go bardzo uważnie.

- Znając prawdę, choćby najgorszą, mogę zdziałać cuda - powiedział adwokat. - Jeśli mnie teraz oszukasz, to zaszkodziś sobie tak, że bardziej już nie można. Wolałbym, żebyś nic nie mówiła.

Odwróciła się razem z fotelem w jego stronę. Milczała. W tym milczeniu było wszystko.

- Możemy zrobić tylko jedną rzecz - zaproponował. - Jeśli nie masz pewności, co powiedzieć, zadaj mi „teoretyczne” pytanie, a ja odpowiem na nie w teorii.

Udało się: przemówiła wreszcie.

- A więc teoretycznie, gdybym tam była, toby oznaczało...

Od tego momentu zaczynało się robić niebezpiecznie. Tędy przebiegała cienka granica: po jednej stronie przygotowanie klienta do rozmowy z policją, po drugiej - ustalanie zeznań.

- Czyli teoretycznie nie masz alibi? - zapytał DiPaulo.
- Powiedzmy, teoretycznie, że tam byłam.

- W takim razie lepiej pójść na ugodę.
- A jeśli... - Samantha sięgnęła po szklankę na biurku. Zbierała myśli. Była o krok od jakiejś decyzji, widział jednak wyraźnie, że nie ufa mu do końca. - Teoretycznie: gdybym powiedziała, że byłam w nocy u Terry'ego... - odrzuciła włosy z czoła i wypija łyk wody, po czym wwierciła się w adwokata swoimi ciemnymi oczami - ...ale go nie zabiłam? Teoretycznie. Uwierzyłbyś mi?

- Nie muszę ci wierzyć.

- Mój adwokat musi mi wierzyć. - Trzasnęła szklanką o blat biurka.

- Wprost przeciwnie. - DiPaulo zachował spokój. - Twój adwokat musi cię obronić.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. W tym spojrzeniu było wyzwanie.

Nie odwrócił wzroku. W rozmowach z klientami zawsze nadchodził taki moment, kiedy byli gotowi do wyznań. Nic bardziej naturalnego: człowiek czuje potrzebę zwierzenia się komuś. Dlatego właśnie DiPaulo trzymał język za zębami, kiedy Sam powiedziała, że nie zabiła swojego męża. Nie chciał, aby wpadła w pułapkę własnych słów. Musiał zachować zawodowy dystans.

- Dlaczego tam poszłaś? - zapytał. - Teoretycznie.

- Po północy dostałam od Terry'ego e-maila. Mogę ci go pokazać, jeśli chcesz. - Wyciągnęła swój blackberry, przewinęła listę wiadomości i podała mu urządzenie. - Zobacz sobie. Napisał, że jednak postanawia przyjąć moją propozycję. Zaprosił mnie do siebie, żeby to omówić.

DiPaulo obserwował ją, ogarnięty nagłym bezwładem. Przestała mówić „teoretycznie”. Greene z całą pewnością znalazł te e-maile w blackberry Terrance'a, i to zanim przyszedł tutaj, do jego kancelarii. To dlatego powiedział: „Jeśli Samantha Wyler ma alibi na wieczór i noc”. Wiedział, że go nie ma. Coraz gorzej.

- Poszłaś do niego? - powtórzył pytanie.

- Leżał martwy na podłodze w kuchni. - Sam oddychała ciężko, z wysiłkiem. - Obok niego był ten nóż. Pobiegłam na górę, żeby sprawdzić, czy Simonowi nic się nie stało, a potem wyszłam.

- Wyszłaś?

- I zabrałam nóż. - Siedziała nieruchomo jak posąg. - Zawinęłam go w ścierkę do naczyń. Biało-czerwoną.

- Po co?

- Chciałam chronić syna. - Rozłożyła ręce w bezradnym geście rezygnacji.

Gorzej już być nie mogło. Zabawa w rozmowy teoretyczne na tak wczesnym etapie groziła tym, że klient ugrzęźnie w zaprzeczeniu. Teraz Samantha uwierzyła w historyjkę, której żadna ława przysięgłych nie będzie chciała nawet wziąć pod rozwagę. Zwłaszcza jeśli zostanie opowiedziana tym zimnym, nieobecnym tonem.

- Nie zadzwoniłaś na policję?

- Byłam w szoku.

- I zostawiłaś syna samego w domu?

Zadrżała na całym ciele.

- Spanikowałam. Simon spał.

- On ma cztery lata. - DiPaulo zatrzęsł się z gniewu. Doszły do głosu stare prokuratorskie nawyki: zaczął przesłuchiwać własną klientkę jak oskarżoną.

Ostatnią dużą sprawą, jaką prowadził z ramienia prokuratury, było oskarżenie przestępcy, który uprowadził czternastoletnią dziewczynę uprawiającą jogging w dolinie rzeki Humber, zgwałcił ją i udusił, a zwłoki porzucił w lesie. A potem jeszcze silił się na żalosne wyjaśnienia. Skąd wzięła się jego sperma w pochwie ofiary? Otóż wyszedł sobie pobiegać, znalazł przypadkiem nieżywą dziewczynę i odbył z nią stosunek. Ława przysięgłych skazała go po niespełna dwugodzinnej naradzie. Ustalenie werdyktu po zeznaniu Samantha Wyler z pewnością nie zajmie im dłużej.

- To okropne - przyznała Sam.

- Ławnicy cię za to nie polubią - zgodził się adwokat.

Jej oddech przyspieszył, zrobił się gwałtowny. Krew uderzyła do twarzy.

- W porządku - powiedziała. - Chcesz zrobić listę wszystkiego, co mi w życiu nie wyszło?

- Nie, Samantha, ja tylko...

Wyciągnęła ku niemu zaciśniętą pięść, po czym wyprostowała palec wskazujący.

- Obwinałam mamę za śmierć ojca. - Dołączyła środkowy palec. - Nigdy nie okazywałam wdzięczności nauczycielom ani bibliotekarzom w rodzinnym mieście. - Następny był palec serdeczny, na którym wciąż jeszcze tkwiła ślubna obrączka. - Terry. To prawda, co mówią. Nie znosiłam jego rodziny. Nie mogłam ścierpieć, że tak krótko go trzymają. - Mały palec był ostatni. - I nie sprawdziłam się jako matka. Dla Terry'ego dziecko to była najlepsza rzecz pod słońcem. Chciał mieć ich więcej, a ja mu odmówiłam. - Wykręciła sobie kciuk. - Nigdy nie umiałam się przystosować.

Otwartą do końca dłoń uderzyła o blat biurka, o centymetry mijając szklankę z wodą.

- Ale nie jestem zbrodniarką. Nie zabiłam go.

Zacisnęła pięść z powrotem, przygryzając koniuszek kciuka. Wyglądała prawie jak dziecko. Adwokat nigdy nie widział u niej łez, ale teraz popłynęły w jednej chwili.

- Chcę się zobaczyć ze swoim synem - szepnęła.

Potrząsnął przecząco głową.

- Mam kolejne złe wiadomości. Rodzina Wylerów uzyskała nakaz sądowy zabraniający ci spotkań z Simonem przez siedemdziesiąt dwie godziny.

- Co takiego?! - wrzasnęła.

- No, chyba że masz alibi...

Zaczęła szlochać tak rozpaczliwie, jakby pękła w niej jakaś tama, za którą piętrzyło się wzruszenie. Płakała przez kilka minut, a on tylko ją obserwował. Wreszcie się wyprostowała, a łzy przestały płynąć. Dopła swoją wodę.

- Nikt mi nie uwierzy - powiedziała.

Zrobiło mu się niedobrze. Sam była tej nocy w domu zamordowanego męża. Zostawiła swoje dziecko bez opieki. Miała przy sobie narzędzie zbrodni.

- Dokąd potem poszłaś?
- Do Feindla. Mojego adwokata.
- Jego kancelaria jest dobrych parę kilometrów od domu Terrance'a. Jak się tam dostałaś?
- Piechotą. Idzie się z góry. Nic więcej nie pamiętam. - Potoczyła dookoła wystraszonym, zagubionym wzrokiem. - Mówię prawdę. Wierzysz mi czy nie?

Od samego początku swojej prawniczej kariery DiPaulo kierował się jedną żelazną zasadą: adwokat, który wierzy we wszystko, co powie mu klient, jest zwykłym głupcem. Był daleki od stwierdzenia, że wszyscy kłamią, wiedział jednak, że każdy ma swoje sekrety. Zdając sobie sprawę, że klient nigdy nie powie mu całej prawdy, nie brał żadnego wyznania za dobrą monetę. On też zawsze musiał mieć swoje wyjście awaryjne.

Wstał z fotela, usiadł za biurkiem. Samantha skrzyżowała ręce na piersi, zaciskając palce na ramionach. Logika nakazywała nie wierzyć w ani jedno jej słowo, jednakże mając przed sobą kobietę tak wyniosłą, niedającą się w żaden sposób polubić, niezwykle trudno było ocenić, co jest prawdą, co zaprzeczeniem, a co zwykłą manipulacją.

Czeka mnie niezła harówka, pomyślał. Trzeba będzie ją przekonać, aby przyznała się do winy, a jednocześnie prowadzić negocjacje i targować się o jak najlepsze warunki ugody. I przygotować naprawdę mocną obronę, jeśli ona jednak uprze się, żeby obstawać przy swojej wersji wydarzeń.

- Nigdy więcej - spojrzał Samancie Wyler prosto w oczy - nie pytaj mnie, czy ci wierzę.

11.

Ileż to lat marzyłam, żeby poniedziałek zaczął się właśnie tak? To pytanie zadała sobie Jennifer Raglan, stawiając wciąż jeszcze gorącą latte na stoliku obok kanapy i otwierając nowy, zakupiony rano kryminał o morderstwie na Sycylii. Rozkosz i błogość. Dwaj starsi synowie, wywiezieni do babci, mieli wrócić za tydzień, córkę Dane, która wyjechała na obóz, trzeba było odebrać dopiero po południu, a Gordon, jej mąż, wyszedł do pracy. Miała wrażenie, że po raz pierwszy od całych dziesięcioleci ma okazję posiedzieć sama w domu. Urlop. W tygodniu. Nikogo na głowie, można zająć się sobą.

W czerwcu złożyła rezygnację ze stanowiska szefa prokuratury w śródmiejskim okręgu Toronto i wciąż jeszcze nie przestała rozkoszować się życiem, w którym nagle ubyło odpowiedzialności. Skończyły się czasy występowania jako oskarżyciel w procesach o morderstwo, które potrafiły się ciągnąć tygodniami, a nawet miesiącami. Zamiast tego prowadziła krótkie, jednodniowe rozprawy, a odkąd nie musiała się troszczyć o los swoich pięćdziesięciu pracowników, mogła po prostu zrobić swoje i iść do domu.

To, że wraca do domu, też było pewną nowością. Rok wcześniej, kiedy stresująca praca, dzieci i różne inne sprawy przytłoczyły ją do granic możliwości, wyprowadziła się, a po kilku tygodniach wdała w cichy romans z Arim Greene'em, detektywem z wydziału zabójstw. Bardzo trudno było się potem z nim rozstać i wrócić do rodziny, żeby dać swojemu małżeństwu jeszcze jedną szansę. Starła się być

jak najlepsza dla Gordona: dziś rano odprowadziła go na Queen Street do tramwaju, a idąc ulicą, nawet trzymali się za ręce.

Musiała jednak przyznać, że poranek zrobił się naprawdę miły dopiero wtedy, gdy Gordon pojechał już do pracy. Wróciła do domu bez pośpiechu, po drodze wstąpiła do księgarni, kupiła sobie kryminał, poszła dalej, zamówiła w kawiarni świeżo parzoną latte na wynos. Czas dla siebie. Cudowny wynalazek.

I wtedy zadzwonił telefon.

Nie, nie, nie, powiedziała sobie. Nie odbieram. Otworzyła książkę, a aparat brzęczał jeszcze jakiś czas, aż w końcu umilkł.

Przeczytała pierwszy akapit. Telefon znów zaczął dzwonić.

Cholera. Może to ktoś z obozu, od Dany? Co się mogło stać? Autokar miał przyjechać o wpół do pierwszej.

Nie mając pod ręką nic, co mogłoby posłużyć za zakładkę, złożyła pierwszą stronę na pół i podniosła się z kanapy. Umyślnie szła powoli, mając nadzieję, że niedoszły rozmówca się znudzi i rozłączy. Nic z tego. Kiedy dotarła do kuchni, telefon wciąż dzwonił. Podniosła bezprzewodową słuchawkę.

- Halo?

- Jennifer, dzięki Bogu, że jesteś już w domu.

Ralph Armitage. Nowy szef prokuratury, jej następca. Objął stanowisko przed dwoma miesiącami i niemalże codziennie dzwonił po radę. Nawet wtedy, gdy Jennifer wyjechała z Gordonem do Nowej Anglii. Tego już było za wiele.

- Ralph, proszę cię. Nie chcę być niemiła, ale jestem na urlopie i...

- Nie słyszałaś?

- O czym? - zapytała, ulegając pokusie.

- Cztery morderstwa. Dziś w nocy. Ktoś zabił nożem Terrance'a Wylera, tego od sklepów spożywczych. Tego, który spotykał się z tą gwiazdą filmową. Znaleźli go w kuchni, w jego własnym domu. - W głosie Armitage'a dzwięczała panika.

- Dziś po południu Dana wraca z obozu. Muszę ją odebrać. - Raglan wróciła do salonu. Promienie słońca oświetlały zagłębienie na kanapie, miejsce, gdzie przed chwilą siedziała.

- Bardzo mi przykro, że zawracam ci głowę, ale wiesz, jak mało mam doświadczonych prokuratorów - odparł.

To była prawda; jednocześnie Jennifer Raglan częściowo ponosiła odpowiedzialność za taki stan rzeczy. Na wiosnę zwolniła dwoje pracowników, którzy przestali słuchać poleceń: Phila Cutiera i Barb Gild, jednych z najlepszych prokuratorów w całym urzędzie.

- A Fernandez? - zapytała. Był to młody, doskonale zapowiadający się prawnik.

- Pojechał do teściów w Chile.

Wymieniła jeszcze kilka nazwisk, ale każdy, kto mógłby podołać takiemu zadaniu, był albo na urlopie, albo został przydzielony do któregoś z trzech poprzednich zabójstw.

- Wiem, że nie zajmujesz się już morderstwami - powiedział Armitage. - Jesteś mi potrzebna tylko na początek, żeby wszystko dobrze się zaczęło. Sama wiesz, że czasem pierwsze kilka godzin jest najważniejsze.

Miał rację. To była kluczowa sprawa, żeby od samego początku postępowaniem zajął się ktoś, kto wie, co robi.

- Odbieram Dane o dwunastej trzydzieści spod Yorkdale - oznajmiła Raglan. Było to centrum handlowe w północnej części Toronto.

- Wpadnij na godzinę.

Westchnęła.

- Który detektyw prowadzi to śledztwo? - Jeśli oficer dowodzący był do niczego, taka praca mogła wyjść bokiem.

- Greene, Ari Greene - odparł Armitage. - Robiłaś z nim coś, kiedyś?

- To i owo. - Dobrze, że mnie nie widzi, pomyślała, czerwieniąc się po uszy. A potem spojrzała na stygnącą kawę i ledwie zaczęła książkę, która zdążyła się już zamknąć.

- W porządku - zgodziła się. - Wpadnę. Na godzinę.

12.

Przyszedliśmy na spotkanie z panem Cutterem - powiedział Daniel Kennicott.

Razem z detektywem Greene'em odwiedzili kancelarię prawniczą Cutter i Gild, Specjaliści Prawa Karnego. Recepcjonistka, szczupła blondynka siedząca za ultranowoczesnym biurkiem, sięgnęła po słuchawkę eleganckiego telefonu.

- Panowie, kopę lat! - Donośny głos zahuczał w korytarzu, zanim zdążyła powiedzieć choćby jedno słowo.

Kennicott odwrócił głowę; Phil Cutter sunął w ich stronę, gromko obwieszczając swoje przybycie, jakby szedł przed nim herold. Gdy się zbliżył, młody policjant zaniemówił ze zdziwienia: przez wiele lat Cutter, podobnie jak jego obecna współniczka, Barb Gild, pracował w śródmiejskiej prokuraturze i był znany ze swoich tanich garniturów i skrzypiących butów na miękkiej podeszwie. Teraz zaprezentował się w odprasowanym granatowym komplecie od Armaniego, z chusteczką w kieszonce, w dobranym krawacie i eleganckich półbutach.

Podał rękę Kennicottowi, a potem Greene'owi.

- Recesja to świetny moment, aby założyć kancelarię prawniczą. Wynajęliśmy ten lokal na pięć lat, z możliwością przedłużenia do dziesięciu. Błagali nas, żebyśmy go wzięli. A co najlepsze, przepiękność rośnie jak na drożdżach.

- Gratulacje - mruknął Greene. Kennicott zauważył, jak krzywi usta w lekkim uśmiechu.

Od strony korytarza dobiegł drugi głos, tym razem kobiecy:

- Ari! Daniel! Jak się macie?

To była Barb Gild. Gdyby ktoś zauważył, że Cutter z wicedyrektora szkoły średniej zmienił się w adwokata z centrum miasta, o niej musiałby powiedzieć: kiedyś myszowata bibliotekarka, dziś wybredna stylistka. Zniknęły buty na płaskiej podeszwie, wyciągnięte swetry, brudne włosy ściągnięte z tyłu gumką i mina mówiąca: „Maki-jaż? Nigdy w życiu!”. Teraz Barb nosiła szpilki i wzorzystą sukienkę z jedwabiu, ozdobioną długim sznurem grzechoczących cicho pereł. Na policzkach miała róż, a rude włosy lśniły niewidzianym wcześniej kasztanowym odcieniem, fachowo przycięte i ułożone.

Podeszła, żeby się przywitać.

Potem na chwilę zapadła niezręczna cisza. Cutter jako prokurator był bezwzględny i słynął z tego, że idzie do celu po trupach; zawsze też roznosiła go nerwowa energia, a wielu ludzi oburzał tym, jak głośno mówi. Gild w urzędzie była mistrzynią zbierania informacji. W maju oboje otrzymali wymówienia, bo bardzo chcieli doprowadzić do skazania człowieka oskarżonego o morderstwo i przesadzili w swoim zapale. Śledztwo prowadzili wtedy Greene i Kennicott.

Cutter klasnął w dłonie i zakołysał się na piętach. Nie umiał wytrzymać choćby chwili bez ruchu.

- Muszę was oprowadzić - oznajmił.

Gild odwróciła się do niego i uniosła ręce, jak dyżurna nauczycielka na szkolnym korytarzu, kiedy musi uspokoić rozdokazywanego ucznia.

- Najpierw praca - powiedziała. - April jest już gotowa.

- Nasza gwiazda nie może czekać - zgodził się Cutter i dodał, próbując ściszyć głos, co jednak nie całkiem mu się udało: - Mamy fantastyczny nowy ekspres do kawy. Recepcjonistka zrobi wam latte.

- A co się stało z twoim słynnym termosem? - zapytał Greene.

Adwokat odrzucił głowę w tył i głośno zarechotał. Kiedy pracował w prokuraturze, uwielbiał się przechwalać, że utrzymuje czwórkę dzieci z państwowej pensji i zawsze zabiera z domu drugie śniadanie i kawę w termosie, starym i poobijanym.

- Teraz sam wyznaczam cenę za swoją pracę - oznajmił. - Zapraszam do naszej pięknej sali konferencyjnej. - Poprowadził ich korytarzem.

Kennicott zauważył, że adwokat nosi spodnie nieco zbyt wysoko, przez co spod nogawek z luksusowego materiału wyglądają tanie beżowe skarpetki. Obejrawszy się na Greene'a, który zawsze był nienagannie ubrany, dostrzegł, że ten szczegół nie uszedł także jego uwagi. Detektyw mrugnął do niego.

April Goodling siedziała za prostokątnym, czarno lakierowanym stołem. Krzesło obok niej zajmował krępy mężczyzna, który wyróżniał się niemalże całkowitym brakiem szyi. Kiedy weszli, aktorka wstała, spoglądając policjantom prosto w oczy: najpierw Kennicottowi, potem Greene'owi. Jej włosy, brązowe z czerwonym odcieniem, ładnie pasujące do opalenizny, były zaczesane do tyłu i związane w koński ogon przerzucony przez lewe ramię; ta fryzura mówiła o pewności siebie. April Goodling była ubrana w sweter z zielonego kaszmiru, spod którego wystawała połyskliwa biała koszula z postawionym kołnierzykiem. Trzymany w dłoniach plik prawnych dokumentów uniosła przed sobą jak tarczę. Twarz aktorki miała idealne proporcje: wysokie kości policzkowe, oczy o zniewalającym spojrzeniu, smukły nos. Od tej kobiety trudno było oderwać wzrok.

Przez ostatnich dziesięć lat Daniel Kennicott spotykał się z modelką imieniem Andrea. Związek kilkakrotnie rozpadał się i odnawiał, aż nie dalej niż przed rokiem wreszcie zakończył się na dobre, bo Andrea wyjechała do Mediolanu, aby zamieszkać z jakimś fotografem. Ta znajomość nauczyła go, jak patrzeć na świat ludzie obdarzeni wybitną urodą, którzy wyrabiają sobie instynkt ucieczki i mechanizmy obronne, marzą o prywatności.

- Witam. - Goodling wyciągnęła rękę ponad stołem, nie opuszczając papierowej tarczy spoczywającej w drugiej dłoni. - Barbara i Philip bardzo pochlebnie się o panach wyrażali.

- Dziękujemy. - Kennicott uściśnął dłoń aktorki. Barb i Phil to

teraz Barbara i Philip, pomyślał, wymieniając z Greene'em spuszone spojrzenia.

Usiedli za stołem, obok aktorki, a Cutter i Gild naprzeciwko nich. Cutter skinął głową; ochroniarz podniósł się z krzesła i stanął za plecami swojej pracodawczyni.

Greene bez pośpiechu otworzył notes, wyjął dyktafon i położył go na stole.

- Mogę nagrywać? - zapytał.
- Oczywiście - przytaknął adwokat.

Greene spojrzął na zegarek.

- Jest pięć po jedenastej, poniedziałek, siedemnasty sierpnia. Mówi detektyw Ari Greene z wydziału zabójstw. Ja oraz posterunkowy Daniel Kennicott przyjechaliśmy do kancelarii adwokackiej państwa Barbary Gild i Philipa Cutiera, którzy są tutaj obecni wraz ze swoją klientką, panią April Goodling oraz panem... - Obejrzał się na ochroniarza bez szyi. - Pańskie nazwisko?

- Bluin. Pete Bluin.
- Dziękuję. - Greene ciągnął dalej: - Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Terrance'a Wylera.

Kennicott obserwował Goodling. Kiedy padło to ostatnie nazwisko, wstrząsnęła się nieznacznie.

- Chciałbym na początku coś wyjaśnić - odezwał się Cutter, panując nad swoim donośnym głosem, który zabrzmiał spokojnie i poważnie. - Dziś, w godzinach przedpołudniowych, na prośbę naszej klientki, skontaktowałem się z detektywem Greene'em i zaprosiłem go na spotkanie.

- Zgadza się - potwierdził Greene.

- Pytanie numer jeden - kontynuował Cutter. - Czy moja klientka jest podejrzana?

- W tej chwili - nie. Śledztwo jest dopiero na wstępnym etapie - odparł Greene. - Dlatego właśnie chcemy porozmawiać z panią Goodling.

- Na tym spotkaniu April nie złoży żadnych zeznań - oświadczył adwokat. Siedział spokojnie, nie podrygiwał nerwowo, jak to

miał w zwyczaju, a całą uwagę skupił na detektywie. Kennicott widywał już takiego Cuttera - w sądzie. Tam siła jego koncentracji potrafiła onieśmielić nawet najbardziej pewnego siebie świadka.

Greene nie wyglądał jednak bynajmniej na speszonego.

- Barbaro, podaj oświadczenia, które przygotowaliśmy - poprosił Cutter. - April ma już jeden egzemplarz. - Nie spuszczał oczu z Greene'a.

Gild trzymała w dłoniach kilka kopii parostronicowego dokumentu. Rozdała po jednej policjantom i swojemu współnikowi, ostatnią zatrzymując dla siebie. April Goodling musnęła palcami własne kartki, leżące przed nią na stole.

- Niniejsze pisemne oświadczenia są dowodem pełnej współpracy pani Goodling z funkcjonariuszami prowadzącymi śledztwo. - Cutter przekartkował papiery. - Złożyły je, pod przysięgą, następujące osoby: kierownik nocnej zmiany w hotelu Gladstone, kierownik ochrony w tymże hotelu oraz pan Peter Bluin. - Wskazał dłonią osiłka stojącego za plecami aktorki.

- Pan Bluin jest osobistym ochroniarzem pani Goodling. Od godziny dwudziestej drugiej w niedzielę, szesnastego sierpnia, do godziny ósmej w poniedziałek, siedemnastego sierpnia, pani Goodling przebywała w hotelu i ani razu stamtąd nie wyszła. Jej alibi jest niepodważalne.

Greene powoli przeczytał dokumenty.

- Pani Goodling - zapytał, odkładając kartki - gdzie pani wczoraj była przed powrotem do hotelu?

Kennicott już myślał, że aktorka odpowie, ale Cutter szybko machnął jej ręką przed nosem, jakby opuszczał szlaban.

- Moja klientka uczestniczy w tym spotkaniu na własną prośbę. Dodam, że jej to odradzaliśmy. Miała wyjechać wcześniej rano, ale została. Wieczorem wraca do Stanów. Wie pan równie dobrze jak ja, że w świetle prawa nie musi udzielać odpowiedzi na żadne pytania. Powtarzam: pani Goodling nie złoży żadnych zeznań.

- Mam pełne prawo zadawać pani Goodling pytania. - Greene zachował spokój. - Czy zechce na nie odpowiedzieć - to już zależy od niej.

- W takim razie nasze spotkanie dobiega końca - oznajmił Cutter.

Greene zlekceważył go i zwrócił się prosto do aktorki:

- To właśnie dzięki pomocy obywateli rozwiązujemy zagadki kryminalne. Oto moja wizytówka. Proszę o telefon. - Wyjął długopis i zapisał na kartoniku numer. - A to moja osobista komórka. Zawsze mam ją włączoną.

Podał Goodling wizytówkę, a kiedy ją wzięła, wyciągnął drugą i położył na stole pustą stroną do góry.

- A teraz proszę zapisać mi swój numer komórkowy. Nigdy go nikomu nie pokażę, ale dodam do swoich kontaktów, żeby wiedzieć, kto dzwoni, kiedy już się pani zdecyduje do mnie odezwać.

Kiedy już się pani zdecyduje, powtórzył w myśli Kennicott, przypominając sobie, że jego nieżyjący brat był mistrzem sprzedaży.

- W rozmowie handlowej zawsze mówię „kiedy”, a nie „jeśli” - zwierzył mu się raz Michael. - Dzięki temu klient nie zastanawia się już: tak czy nie.

Zapadło milczenie. Greene pstryknął długopisem. April Goodling wzięła go od niego i zapisała swój numer na odwrocie wizytówki.

- Dziękuję. - Detektyw sięgnął po dyktafon.

Cutter położył mu na dłoni swoją grubą łapę.

- Rozumiem, że jesteś zadowolony z oświadczeń, które dostarczyliśmy.

Greene oswobodził rękę, wyłączył nagrywanie.

- Nie tak szybko. Spodziewałem się po tobie czegoś więcej, Phil.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do sali konferencyjnej weszła blond recepcjonistka, niosąc tacę, na której tańczyło pięć szklanek spienionego cappuccino. Postawiła je delikatnie na stole.

- Nie będziemy pić kawy - oznajmił Greene, spoglądając na April Goodling. - Wydawało mi się, że kiedy ginie człowiek, to kobiecie, która była z nim przez cały rok, powinno trochę na nim zależeć.

- Oczywiście, że mi na nim zależało - odparła.

- Proszę powstrzymać się od zeznań. - Cutter zerwał się na równe nogi. To właśnie jest jego prawdziwe oblicze, pomyślał Kennicott. Twardy i bezlitosny. Skończyło się odstawianie grzecznej szopki przed klientką-gwiazdą.

- Dziś rano po raz pierwszy usłyszałem nazwisko Terrance'a Wylera - poinformował aktorkę Greene. - O pani też nie wiedziałem zbyt wiele, dopóki posterunkowy Kennicott nie przyniósł mi kilku artykułów do przeczytania.

- Z jakichś szmatławych brukowców - skrzywiła się.

- Dosyć pytań. - Cutter już prawie warczał.

April Goodling spojrzała detektywowi prosto w oczy.

- Za dwa tygodnie przypada nasza pierwsza rocznica. - Pociągnęła palcami za nienagannie ułożony koński ogon.

- April, nie odpowiadaj - wtrąciła się Barb Gild, która też wstała, mocno zaciskając swoje wąskie wargi.

- Dlaczego postanowiła pani wyjechać pierwszego dnia jego rozprawy rozwodowej?

- Nie chciałam mu przeszkadzać.

- April, już o tym rozmawialiśmy - ucięła Gild surowym tonem.

To najwidoczniej podziałało.

- W porządku - powiedziała aktorka, oglądając się na swoich adwokatów.

- Jednakże skoro rozprawa się nie odbędzie, nie może pani przeszkadzać - ciągnął dalej Greene. - Może nie lubi pani syna Wylera, Simona?

April Goodling splonęła rumieńcem.

- Bardzo go kocham.

- April... - ostrzegła Gild.

- Za kilka godzin zabieram chłopca do komendy, żeby wypytać go o to, co się działo w nocy i nagrać jego zeznania - powiedział Greene. - Potem rodzina będzie mogła mu powiedzieć, że jego ojciec nie żyje. Skoro tak się pani o niego troszczy, dlaczego nie zostanie pani, żeby się nim zaopiekować?

Aktorka otworzyła szeroko usta.

- Z jakiej racji zadaje mi pan takie pytania? Za kogo pan się uważa?

Greene zabrał notatnik leżący na stole.

- Ja? Jestem detektywem z wydziału zabójstw. Dziecko straciło ojca, ale panią, jak widzę, to nie obchodzi. - Odsunął się z krzesłem i wstał, ruszając w stronę drzwi.

Kennicott także podniósł się z krzesła.

- Jak pan może tak mówić? - Po raz pierwszy Goodling okazała złość. - Pan nie zrozumie, co...

- April! - krzyknęła Gild. - Nie!

Greene ciężkim krokiem wrócił do stołu.

- Kiedy jakiś biedny dzieciak dostanie kulkę w niebezpiecznej dzielnicy, dajmy na to w Jane and Finch albo w Rexdale i nikt nie chce rozmawiać z policją, słyszymy potem tylko, jacy „ci ludzie” są podli, bo nie współpracują z władzami. A to, co pani robi - czy to nie jest to samo?

Aktorka potrząsnęła głową.

- Czym się pani usprawiedliwi? Nie wsypała pani żadnego gangstera, więc jego kumple nie będą się mścić. Milczenie zabija - powiedział dobitnie. - Proszę mi wierzyć.

- Koniec tego! - zagrział Cutter.

- Nie, to nie koniec. Ja się dopiero rozkręcam. - Greene ochłoniął, uderzył go gniewnym spojrzeniem. - A ty pamiętaj, że rady adwokata mogą bardzo łatwo zostać uznane za utrudnianie śledztwa.

- Grozisz mi? - warknął Cutter.

- Mam was obydwójce na oku - ostrzegł, spoglądając na niego i na Barb Gild. Potem zwrócił się do aktorki: - Wiem, że pani do mnie zadzwoni, pani Goodling. I pani też to wie, bo tak po prostu trzeba. Nic nie pomogą prawnicy, którym płaci pani fortunę. Ma pani mój numer. Czekam na telefon.

Odwrócił się na pięcie i wymaszerował z sali konferencyjnej, trzaskając drzwiami z taką siłą, że szklanki nakryte puszystymi czapami zadygotały na tacy, a krople piany trysnęły na stół.

- Przynieś ścierkę, szybko! - krzyknął Cutter na recepcjonistkę.

Kennicott też ruszył do drzwi. Z ręką już na klamce obejrzał się przez ramię; April Goodling chowała wizytówkę Ariego Greene'a do torebki, tak jak dziecko chowa cukierka przed rodzicami.

13.

Wchodząc do swojego dawnego gabinetu po dwóch miesiącach nieobecności, Jennifer Raglan doznała dziwnego uczucia. W czerwcu złożyła urząd, który piastowała przez pięć pełnych stresu lat. Jakie uczucia budziła w niej ta praca? Miłość i nienawiść. Z przewagą miłości.

- Jennie, nie wiem, jak ci dziękować, że przyszedł - zachichotał nerwowo Ralph Armitage, prostując się jak struna w fotelu, który kiedyś należał do niej. Był kiedyś wychowawcą na koloniach; pozostał mu z tamtych czasów irytujący nawyk zdrabniania nazwisk i imion osób, do których się zwracał, koniecznie tak, aby kończyło się na *i*. - Wiesz, głupio mi tak siedzieć za twoim biurkiem - dodał nowy szef prokuratury.

- Dla mnie jest w porządku - odparła.

Armitage był wysokim mężczyzną; nawet siedząc, górował nad innymi. Na biurku panował nieskazitelny porządek, zupełnie inaczej niż za czasów Raglan; wtedy zalegały tam zwykle dziesiątki teczek. Zdjęcie jej dzieci, które stało na komodzie w głębi gabinetu, zniknęło, zastąpione serią portretów Ralpa Armitage'a i jego żony, blondynki dorównującej mu wzrostem. Fotografie upamiętniały ich różne sportowe wyjazdy: narty w Szwajcarii, konie w Nowym Meksyku, nurkowanie w Belize. Tylko bezdzietna para może sobie pozwolić na takie urlopy.

W gabinecie było gorąco. Okna wychodziły na wschód i o tej porze zaglądało przez nie przedpołudniowe słońce. Co prawda w kącie

klekotał stary klimatyzator, ale zamiast chłodzić powietrze, robił tylko hałas. Pomimo to Armitage miał na sobie marynarkę i nie rozluźnił krawata nawet o włos.

Ari Greene, w jasnych spodniach i koszuli z krótkim rękawem, stał spokojnie kilka kroków dalej, po prawej stronie biurka. Zawsze zajmował takie miejsce: nieco z boku, wszystko jak na dłoni. Miał ze sobą nieodłączną, wąską skórzaną teczkę. Kiedy spojrzeli na siebie, Raglan rzuciła mu przelotny uśmiech. Nie widziała go od czerwca i teraz zauważyła, że jego skóra ma kuszący złoty odcień. Wbrew własnej woli zaczęła wyobrażać sobie tors pod tą koszulą. Pierwszy raz pocałowali się właśnie tutaj, mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie teraz stał.

- Ari - odezwał się Armitage. Musi być zadowolony, że to imię kończy się na *i*, pomyślała Raglan, bo nawet on nie ośmieliłby się powiedzieć do tego detektywa „Greeney”. - Ari, Jennie powiedziała, że robiliście już razem to i owo.

- Owszem - przytaknęła Greene, spoglądając na Raglan.

- Ona już nie pracuje przy procesach o morderstwo, ale zgodziła się pomóc mi ruszyć z miejsca i wdrożyć cię w czynności.

Jasne, pomyślała. Mam wdrożyć Ariego w czynności. Armitage uniósł swoje szerokie dłonie i klasnął głośno - kolejny nawyk przywieziony z kolonii.

- No to może znajdźcie sobie jakiś spokojny kąt i bierzcie się do roboty?

Bierzcie się do roboty, powtórzyła Raglan w myśli. Hmm.

Po krótkich poszukiwaniach trafili do małego gabinetu bez okien. Ktoś zostawił tam włączony wentylator; łopatki kręciły się to w jedną stronę, to w drugą i zamiast chłodzić gorące powietrze, tylko je bełtały.

- Jak tam dzieciaki? - zapytał Greene, zamykając drzwi i opadając na drewniane krzesło w kącie naprzeciwko.

- Już lepiej - odparła. - Dzięki za pamięć. A twój ojciec?

- Upierdliwy, jak zwykle.

- W twoich ustach to zabrzmiało jak zaleta.

- Bo to jest zaleta - zaśmiał się Greene.

Wolałabym zapomnieć, jak bardzo lubię ten śmiech, pomyślała. Zapadła niezręczna cisza. Powiedz coś, ofuknęła się, czując w głowie kompletny mętlik. Na przykład: „Miło cię widzieć, Ari”, „Tęskniłam za tobą” albo „Ale się opaliłeś”. Przypomniała sobie ich pierwszy pocałunek. Pracowali razem do późnej nocy. Zamknęła drzwi i podeszła prosto do niego. A on bynajmniej się nie zdziwił.

Chyba coś do mnie mówi...

- Musimy utrzymać to w całkowitym sekrecie - usłyszała i skinęła potakująco głową. Serce waliło jej jak nastolatce na pierwszej randce. Co za głupota.

- Nikt nigdy nie może się dowiedzieć - ciągnął Greene.

Dziwne, że w takiej chwili zaczął mówić o naszym romansie, pomyślała. Zazwyczaj był wzorem dyskrecji; z drobiazgową starannością zacierali za sobą wszystkie ślady. Była całkowicie pewna, że nikt o niczym nie wiedział.

- To, że ten nóż przekazano nam w tak szczególny sposób, może się nam jeszcze jakoś przydać - dodał. - A poza tym, gdyby dziennikarze coś zważali, na pewno by się wściekli.

Raglan kiwała tylko głową. Ale z ciebie idiotka, Jennifer, wyrzucała sobie w myślach. On mówi o pracy, nie o tobie. Szlag by to trafił. Mam nadzieję, że się nie zarumieniłam.

- Jasne. - Pamiętaj, to ty z nim zerwałeś, upomniała się w myślach. Chciałaś wrócić do domu. Codziennie widywać dzieci. Skup się.

Greene przedstawił pozostałe fakty dotyczące sprawy. Rozpad małżeństwa Wylerów, e-maile i nagrania Samantha, upomnienia od policji. W blackberry Terrance'a detektyw znalazł e-mail do jego żony, informujący: przyjmuję twoją propozycję, przyjdź do mnie, wszystko obgadamy. I jej odpowiedź: będę za pół godziny. W domu nie było śladów włamania. Zwłoki nie nosiły obrażeń odniesionych podczas walki. Syn twierdził, że mama była w nocy w jego pokoju.

- A rano zadzwonił do mnie twój dawny szef, Ted DiPaulo - dorzucił Greene. - Jest adwokatem Samantha.

- Ted? - DiPaulo był już szefem prokuratury, kiedy Jennifer Raglan zaczęła tam pracować. Wziął ją pod swoje skrzydła i pomagał jej w karierze od samego początku. Własnoręcznie wykreował na swoją następczynię.

- Ściągnął mnie do swojej kancelarii i zlecił innej firmie z branży, aby przekazała mi zakrwawiony nóż kuchenny owinięty w ścierkę do naczyń - powiedział detektyw.

- Tak właśnie działa Ted. Etyka na pierwszym miejscu. Czy żona Wylera ma alibi?

- Nie wiem. DiPaulo gra na zwłokę.

- Gdzie ona jest?

- Wydawało mi się, że chowa ją w gabinecie swojej spółniczki, więc posłałem tam ekipę wywiadowczą. I rzeczywiście: przed chwilą odwiózł Samanthę do domu. Będziemy mieć ją na oku przez okrągłą dobę. Powiadomiłem już wszystkie lotniska i przejścia graniczne. Przy tym śledztwie pomaga mi Daniel Kennicott, który oskarżył Samanthę Wyler pod przysięgą, żeby sąd wydał nakaz aresztowania. Mamy teraz dostęp do jej telefonu, poczty elektronicznej i tak dalej.

To było sprytne. Gdyby Greene od razu aresztował żonę Wylera, to podczas rozprawy obrona swobodnie mogłaby mu zarzucić, że miał klapki na oczach i nie zadał sobie trudu, aby wyeliminować pozostałych podejrzanych. Poza tym aresztowanie skutecznie uciszyłoby Samanthę, w ten zaś sposób można było ją obserwować i zbierać informacje.

- Wiadomo coś o tym, czy Terrance miał wrogów?

- Nie. Nie był karany, nie zgłaszał się na policję. Wygląda na to, że wszyscy go kochali.

- Oprócz żony. Ktoś jeszcze jest podejrzany?

- April Goodling, gwiazda filmowa, z którą się spotykał, ma alibi. Przez całą noc była w hotelu. Reprezentują ją Cutter i Gild.

- Oczywiście - mruknęła. Nie przepadała za Philem Cutterem, zresztą z wzajemnością.

- Najstarszy z braci Wylerów pracuje od samego rana w hurtowni produktów żywnościowych. Wysłałem do niego Kennicotta, żeby przekazał wiadomość.

Wiedziała, dlaczego to zrobił. Jediną sprawą, której nie udało mu się rozwiązać, było morderstwo Michaela Kennicotta. To musiało być trudne dla Daniela - przekazać komuś, że jego brat nie żyje. Greene chciał go sprawdzić.

- Pozostali członkowie rodziny, czyli matka, ojciec i niepełnosprawny brat, mieszkają na północ od Toronto. Mamy się z nimi spotkać jutro z samego rana. Na razie wypyujemy po kolei sąsiadów Wylera. Przeważnie domy stoją puste.

- Pewnie wyjechali na urlop - domyśliła się Raglan.

- Staram się ustalić, co robiła Samantha Wyler przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Obejrzelśmy nagranie z kamery w holu kamienicy, gdzie mieszka. Wyszła w niedzielę wieczorem, o dwudziestej pierwszej czterdzieści jeden i już nie wróciła. Nie ma prawa jazdy, tak twierdzi opiekunka jej syna. Podobno nigdy nie nauczyła się prowadzić samochodu. Dzwonimy do korporacji taksówkarskich, sprawdzamy nagrania z kamer na stacjach metra. Wypytamy kierowców nocnych autobusów, gdy wrócą do pracy na następną zmianę. Na razie niczego nie udało się ustalić.

- Dokąd poszła, jak myślisz?

- Mam pewne przecucie. Wypyujemy mieszkańców Yorkville. Jej adwokat rodzinny, niejaki Feindel, ma tam kancelarię. Musiała w jakiś sposób przekazać ten nóż Tedowi DiPaulo. Wydaje mi się, że mogła dać go najpierw Feindlowi.

W wydziale zabójstw roiło się od detektywów, którzy szczylicili się tym, że potrafili błyskawicznie aresztować podejrzanego, ale Greene na najprostsze nawet fakty miał zwyczaj patrzeć z różnej perspektywy. Tym razem jednak Raglan wydawało się, że przesadza z ostrożnością.

- Miała motyw, miała sposobność. Zdobyłeś jej e-maila do męża z zapowiedzią, że niedługo zjawi się u niego, dostarczono ci nóż, chłopiec mówi, że mama była w domu. A potem zniknęła. Czego jeszcze ci trzeba?

Greene wstał. Jego oczy błysnęły hipnotyzującym, szaroniebieskim odcieniem. Trudno było oderwać od nich wzrok.

- Chłopiec stracił już ojca - wyjaśnił krótko. - Nie mogę popełnić żadnego błędu, bo straci też matkę. Poczekamy i zobaczymy, czy Samantha Wyler ma alibi.

Cały Ari, pomyślała Jennifer Raglan. Inny detektyw już dawno by ją aresztował, ale dla niego ona była nie tylko podejrzaną, ale też matką małego chłopca.

- Co masz teraz w planie?

Greene zerknął na zegarek.

- Wracam do domu Wylera. Technik kryminalistyki oprowadzi mnie po miejscu zbrodni. Za pół godziny mam się tam spotkać z Kennicottem.

- Czy chłopiec już wie?

- Krewni powiedzą mu wieczorem - Greene zacisnął zęby - ale najpierw spróbuję go namówić, żeby powtórzył, że jego mama była u niego w nocy i nagram to na taśmę. Jeśli mi się uda, to będzie prawie koniec śledztwa.

- Och, Ari - westchnęła.

Detektyw odwrócił wzrok.

- Zabieram go o czwartej. Mamy w komendzie specjalne pomieszczenie dla dzieci.

Niemalże dokładnie nad ich głowami, na zakończonej iglicą wieży Starego Ratusza, odezwał się zegar; najpierw dał cztery uderzenia na koniec godziny, a potem zaczął wybijać dwunastą. Już południe, pomyślała Raglan. Muszę się spieszyć, bo nie zdążę odebrać córki.

Ari Greene, Ari Greene. Za każdym razem, kiedy już prawie go miała, on wymykał jej się z rąk niczym cień i znikał.

Tamtej nocy, w jej gabinecie, kiedy podeszła do niego, nie wiedziała, czy pozwoli jej się pocałować. Nasłuchiwała się o nim przez lata dość babskich plotek w toalecie, aby wiedzieć, że jeszcze żadnej się nie udało. W jej wspomnieniach każdy szczegół był niezwykle wyraźny. Szorstkie dłonie. Świeży zapach. Brak skrępowania jej bliskością, jej ciałem.

Co ja właściwie o nim wiem, pomyślała. Jest tyle białych plam. Jego rodzice ocalili z Holocaustu i mieli tylko jedno dziecko. Mama zmarła niedawno, zimą, a ojciec nadal mieszka w tym samym domu, gdzie wychował się Ari. Do policji młody Greene wstąpił dopiero po trzydziestce. Przed około piętnastu laty wziął dwunastomiesięczny urlop; policjanci czasami robią dziwne rzeczy, których nikt nie potrafi zrozumieć. Po powrocie komendant policji, Hap Charlton, został jego, jak to się mówiło, „rabinem”, czyli mentorem, dzięki czemu Greene zaczął szybko awansować. Żartował potem, że ten potoczny przydomek w jego przypadku miał szczególny wydźwięk, bo był jedynym detektywem żydowskiego pochodzenia w całym wydziale zabójstw.

Raglan wiedziała, że podczas tego długiego urlopu Greene był w Europie, ponieważ od czasu do czasu wspominał jakiś stary rynek, zabytkowy most albo obraz w tej czy innej galerii sztuki. Domyśliła się, że musiał zahaczyć o Francję, bo widziała u niego w domu mnóstwo książek w języku francuskim, a wysłużone radio w jego samochodzie miało w pamięci dwie francuskie stacje.

Wybrali się kiedyś na weekend do małego wiejskiego zajazdu. W nocy Greene obudził się nagle, zlany potem, a kiedy położyła mu dłoń na plecach, rzucił się na posłaniu.

- *Quoi?* - zawołał, wymachując rękami w powietrzu.
- Ari - zapytała - wszystko w porządku?

Obrócił się i spojrzał na nią, wytężając wzrok w półmroku. Przez chwilę wyglądał na kompletnie zagubionego. Potem przygarnął ją do siebie.

...Dong, ding, dong. Zegar na wieży skończył bić południe.

- Chłopiec ma szczęście, że to ty prowadzisz tę sprawę - powiedziała Jennifer Raglan, bacznie obserwując detektywa.

Greene miał pewien drobny odruch: przed pocałunkiem zawsze delikatnie oblizywał górną wargę. Była całkiem pewna, że nie zdał sobie z tego sprawy. A teraz zrobił to samo: w lekko rozchylnych ustach błysnął koniuszek języka. Wciąż mnie pragnie, pomyślała.

Posłał jej uśmiech, taki sam jak zawsze.

- Ale ty, jak wiadomo, nie zajmujesz się już morderstwami.

I chwyciwszy w dłoń teczkę, wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Raglan przysiadła na skraju biurka i odchyliła się w tył, opierając dłonie na blacie. W samotności rozpamiętywała wciąż na nowo ich ostatnie wspólne chwile, a upał i duchota perliły jej czoło kroplami potu.

14.

Jest dużo krwi - zakomunikowała Brygida Zieliński, technik kryminalistyki, stając przed Greene'em i Kennicottem na progu domu Terrance'a Wylera. Była to przysadzista kobieta o rzednących włosach i wiecznie zmarszczonych brwiach. Mówiła z silnym polskim akcentem. Podobno nikt ani razu nie widział, jak się uśmiecha, nie słyszał, żeby opowiedziała jakiś kawał albo się roześmiała - a służyła w policji już dwadzieścia pięć lat.

Greene wyjął notatnik i zapisał w nim godzinę: dwunasta trzydzieści. Umówił się z Kennicottem na oględziny miejsca zbrodni. Zieliński wprowadziła ich do środka.

- Jest bajzel - ostrzegła, przybierając zwykłą, wiecznie nachmurzoną minę. Kiedy weszli do kuchni, podała im po parze lateksowych rękawiczek i plastikowych ochraniaczy na buty. Sama już takie miała; jej krótkie palce opinała mleczna błona.

Zwłoki Terrance'a Wylera zniknęły z podłogi. Nikt się nie bawił w rysowanie konturów kredą na podłodze - to można teraz zobaczyć tylko w serialach kryminalnych. Po przybyciu na miejsce technicy filmowali wszystko kamerą wideo i robili zdjęcia, dokumentując ułożenie zwłok, które potem można było usunąć. Następnie należało wymierzyć i obfotografować całe pomieszczenie, aby sporządzić szkic w zmniejszonej skali.

Obeszli kuchnię; Greene podążył za Zieliński, a Kennicott trzymał się za nim. Plastikowe ochraniacze skrzyphiały w kontakcie z posadzką. Na podłodze, lodowce i blatach stały małe metalowe

tabliczki z numerami i strzałkami wskazującymi krople zaschniętej krwi oraz inne ślady. Było gorąco, a odór śmierci wciąż jeszcze unosił się w powietrzu. Greene potoczył wzrokiem dookoła.

Po prawej stronie, pod ścianą, stała bardzo droga, przynajmniej z wyglądu, kuchnia gazowa z grubą czarną kratą na wierzchu. Dalej znajdował się głęboki podwójny zlewozmywak, a nad nim - duże okno. Dom stał na rozległej działce wytyczonej na stoku wzgórza. Podjazd zakręcał dookoła lewego narożnika, a na tyłach rozszerzał się, tworząc parking na trzy albo nawet cztery samochody. Wzdłuż prawej ściany rozciągał się wypielęgnowany trawnik. Na skraju posesji, zamiast ogrodzenia, rosły szeregiem wybujałe cedry posadzone dość daleko od siebie, a pomiędzy nimi biegła wydeptana ścieżka, prowadząca na działkę sąsiadów, do tylnych drzwi ich domu.

- Jednego noża nie ma. - Zieliński wskazała głową drewniany klocek stojący na kuchennym blacie.

- Zauważyłem to rano - przytaknął Greene.

- I jednej ścierki chyba też. - Pokazała palcem drzwiczki piekarnika, gdzie na rączce wisały dwie biało-zielone ścierki, ale tylko jedna biało-czerwona.

- Chyba też - powtórzył detektyw.

- A tutaj - powiedziała, prowadząc ich z powrotem do drzwi kuchni i wskazując na framugę - jest ślad dotyku. Sto czterdzieści siedem centymetrów i trzydzieści dwa milimetry nad podłogą. Cztery stopy i dziesięć cali.

Greene spojrział na Kennicotta. Ślad dotyku to zazwyczaj ślad dłoni. Możliwe, że pozostawił go sprawca uciekający z miejsca zbrodni.

- Znowu krew. - Usłyszeli po wyjściu z kuchni, na szerokich schodach. - Tutaj, tutaj, tutaj i tu. - Zieliński kolejno wyliczała kropelki na poręczy. - I jeszcze tu - dodała, kiedy stanęli w pokoju Simona. Na dywaniku z Ciekawskim George'em stała tabliczka ze strzałką wskazującą małą czerwoną kropkę na żółtym kapeluszu opiekuna brązowej małpki.

Greene i Kennicott ponownie wymienili spojrzenia. Obaj myśleli o tym, co powiedział Simon: mama przyszła do mnie w nocy.

- Dobra robota - pochwalił Greene, kiedy Zieliński prowadziła ich z powrotem na dół.

Dzień był upalny, a ona pracowała od samego rana, nie wychodząc na zewnątrz, ale wyglądała tak, jakby mogła to ciągnąć dalej, choćby i przez dwanaście godzin, co zresztą nie należało do rzadkości. Greene widział techników kryminalistyki harujących bez przerwy przez okrągłą dobę, a nawet dłużej.

Zieliński najbardziej w życiu żałowała tego, że jej rodzice wyjechali z Polski, kiedy miała już dwadzieścia jeden lat. Przyznała się do tego Greene'owi podczas ich pierwszego wspólnego śledztwa, przed ponad dekadą:

- Pięć lat wcześniej i bym nie miała tego akcentu.
- Pech - przyznał detektyw.

Kilka lat później, kiedy dowiedziała się, że Greene jest z pochodzenia Żydem, robiła wszystko, aby uniknąć nieporozumień.

- Moja rodzina to nie byli hitlerowcy - tłumaczyła.
- Wielu Polaków, katolików, pomagało Żydom - odparł. - Mój ojciec ukrywał się w trzech różnych domach.
- A mój był w Auschwitz, całą wojnę. Przywieźli go pierwszym transportem. Więzień polityczny. Numer czterysta pięćdziesiąt jeden. W Jerozolimie jego nazwisko jest w muzeum.

Podczas ostatniej wizyty Greene'a w Izraelu dalecy krewni jego matki - ze strony ojca nie ocalał nikt - zabrali go do Yad Vashem, instytutu pamięci Holocaustu. Znalazł tam nazwisko ojca swojej znajomej z pracy: Jozef Zieliński. Widniało na liście Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

- Teraz drzwi wejściowe - wskazała Zieliński. - Nie ma dziur, odprysniętej farby ani innych śladów włamania.

Coś takiego często mogło oznaczać, że ofiara знаła mordercę, a przynajmniej - że bez oporów wpuściła go do domu.

- Krew. - Zieliński wyciągnęła dłoń w kierunku framugi. - Ślad dotyku. - Obok biegła taśma z oznaczeniem i podziałką.

- Sto dwadzieścia siedem centymetrów. Cztery stopy i dwa cale od podłogi. - Ślad znajdował się na zbliżonej wysokości co poprzedni, w kuchni. Mogło to wskazywać, że pozostawiła go ta sama osoba.

- Tylnie drzwi. - Zieliński przemaszerowała z policjantami przez cały dom. - Zacinają się. - Chwyciwszy za klamkę, zademonstrowała, że drewniane drzwi trzeba mocno popchnąć, aby się otworzyły, a potem zatrasnąć, bo inaczej się nie zamkną. Również tutaj nie było śladów włamania.

Tuż nad samym progiem Greene zauważył kolejną taśmę z podziałką, ale nie mógł dostrzec krwi.

- Pochylenie się - poinstruowała Zieliński.

Wykonali polecenie. Na framudze widniało półksiężycowate przytarcie, podobne w kształcie do znaku firmowego marki Nike, a zaraz poniżej - smużka czerwieni.

- Krew - oznajmiła Zieliński. - Dwadzieścia pięć centymetrów i cztery milimetry, dziesięć cali nad podłogą.

Ślady krwi zawsze mówią, co zaszło, pomyślał Greene. Zabójca wiedział, jak wygląda wnętrze domu; był na piętrze, w pokoju Simona, a potem wyszedł frontowymi drzwiami. Chłopiec zeznał, że w nocy, kiedy leżał już w łóżku, zjawiła się u niego mama i powiedziała, że przez długi czas nie będą mogli się widywać. Wszystko pasowało - z wyjątkiem tej ostatniej plamki krwi.

- Może być stara. - Zieliński wiedziała, co myśli detektyw. - Ślady krwi są trwałe.

- Wiem - odparł.

- Tylko że na drzwiach taka plama długo nie pobędzie. Tutaj się bardzo dobrze sprząta.

Greene spojrział na nią, a potem zerknął na Kennicotta. Wszyscy troje myśleli o tym samym: czy to możliwe, że w tym domu był ktoś jeszcze, ktoś, kto wyszedł tylnymi drzwiami?

15.

Jennifer Raglan szybkim krokiem dołączyła do grupy rodziców czekających spokojnie na parkingu pod północno-zachodnim narożnikiem centrum handlowego. Minęła już dwunasta trzydzieści pięć, a od czarnego asfaltu biły fale gorąca. Pot oblepił jej skórę cienką błoną.

Wciąż miała starego saturna, który potrzebował całe pół godziny na dotarcie tutaj, chociaż przejeżdżała na wszystkich żółtych światłach, a czasem już prawie na czerwonym. Gnała jak wariatka, co nie najlepiej świadczy o urzędniczej prokuratury, ale znacznie gorzej byłoby spóźnić się po córkę.

- Bez nerwów, autokary nigdy nie przyjeżdżają na czas - uspokoiła ją kobieta w kapeluszu z szerokim rondem. Miała wiotką, obwisłą skórę na ramionach i siedziała sobie na składanym foteliku, sącząc jakiś zimny napój z pianką.

Raglan obrzuciła wzrokiem innych oczekujących rodziców. Stroje kobiet - stylowe okulary przeciwsłoneczne, spodnie rybaczek albo komplety gimnastyczne - mówiły o urlopowym relaksie na pokładzie łodzi cumującej przy moło na brzegu jakiegoś spokojnego jeziora na północy kraju. Męskie koszule były bardziej jednorodne, a tym samym lakoniczne; panowie rozmawiali przez komórki albo bębniłi po klawiaturach swoich blackberry, a żadnemu najwidoczniej nigdzie się nie spieszyło. Raglan nie posiadała się ze zdziwienia. Czy ci ludzie w ogóle nie pracują?

Aby wysłać córkę na ten obóz, musiała mocno nadszarpnąć swoje osobiste oszczędności. Zdecydowała się na to z dwóch powodów.

Po pierwsze, Dana już od dawna marzyła o dłuższym wyjeździe, po drugie natomiast Raglan chciała spędzić trochę czasu sam na sam z mężem. Wolni od dzieci, przez dziesięć dni jeździli po Vermoncie i Massachusetts, byli na Cape Cod i wrócili przez północną część stanu Nowy Jork. Odwiedzili nawet Narodowe Muzeum Baseballu w Cooperstown, o czym od lat marzył Gordon.

Rozglądając się ponad dachami olbrzymich SUV-ów i otwartymi kabinami ekstrawaganckich, importowanych kabrioletów, Raglan słyszała urywki rozmów:

- Ależ to upierdliwe. Na naprawę silnika do klimatyzacji kazali nam czekać jeszcze cały tydzień...
- Tamten huragan porwał nam wszystkie siatki na werandzie...
- Znasz może kogoś, kto umie wywiercić studnię?

Problemy bogaczy, pomyślała, kuląc się pod falą gorąca, która w nią uderzyła i zastanawiając się, czy w samochodzie przypadkiem nie został słomkowy kapelusz, który kupiła sobie w zeszłym tygodniu w Provincetown. Już miała wrócić, żeby go poszukać, ale tłumek rodziców nagle wybuchnął radosną wrzawą: na skraj parkingu wtoczyły się trzy pękate autokary.

Wszyscy zaczęli machać jak szaleni, nawet panowie schowali komórki. Raglan zerknęła na zegarek. Dwunasta czterdzieści pięć. Przełączyła blackberry na wibracje i wsunęła go do tylnej kieszeni spodni.

Było to zniechęcające urządzenie jej dzieci. Kiedy zdecydowała się zakończyć romans i wrócić do domu, usiadła z całą trójką na szczerą, poważną rozmowę.

- Nie jestem już szefem prokuratury - oznajmiła, kładąc dłoń na nieistniejącej Biblii, jak świadek, zanim zacznie się przesłuchanie - i przysięgam, że będę wyłączać blackberry od razu po powrocie do domu.

Autokary zajechały i otworzyły drzwi. Na schodkach zatupotały dziewczęce stopy; zapanował kontrolowany chaos. Nie wiadomo było, gdzie szukać swojego dziecka, ale mimo to każdy z rodziców jakoś umiał ustawić się we właściwym miejscu. Raglan została na

szarym końcu. Wszystkie dzieci wyglądały stąd zupełnie identycznie. Przez jedną straszną chwilę zmroziła ją potworna myśl: a jeśli nie poznam własnej córki?

Czas dłużył się w nieskończoność, ale nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw. Odczep się, warknęła w myśli, ale ten ktoś nie chciał zrezygnować. Opuściła głowę; przed nią stała Dana. Wydawało się, że bardzo urosła przez te trzy tygodnie. Miała na sobie brudny T-shirt, na głowie wygniecioną białą czapkę, a na rękach - ręcznie robione bransoletki.

- Moje maleństwo! - zawołała Raglan, porywając ją w ramiona.
- Bardzo za tobą tęskniłam.

Dana zmrużyła oczy.

- A gdzie tato?

- W pracy. Pojechaliśmy na Cape Cod. Świetne miejsce. Byliśmy też w Bostonie, na meczu Red Sox - opowiadała Raglan; nagle poczuła, że blackberry w tylnej kieszeni zaczął wibrować. To pewnie znowu Ralph Armitage, pomyślała. - Gdzie masz torbę?

- Chcę cię poznać ze swoją wychowawczynią. - Dana pociągnęła mamę prosto w tłum ludzi. Po chwili znalazły wysoką, mocno opaloną kobietę. Raglan uśmiechnęła się do niej.

- Jestem Marcia - przedstawiła się opalona kobieta, kładąc swobodnym gestem dłoń na głowie Dany. - Ma pani świetną córkę. Nikomu nigdy nie udało się jej przegadać.

- Moja krew. - Raglan się uśmiechnęła, ignorując telefon, który znów zaczął drzeć w jej kieszeni.

- Dana jest z pani bardzo dumna, daję pani słowo - dodała wychowawczyni.

- A ja z niej. - Prawniczka usiłowała przypomnieć sobie jej imię. Marsha? Marlene? Blackberry zatrząsał się po raz trzeci. Co się tam dzieje, do cholery? Armitage chyba naprawdę umiera ze strachu.

- Powiedziała, że jest pani najważniejszym prawnikiem w całym mieście.

Ale jaką jestem matką - tego już nie wiadomo, pomyślała Raglan.

- Pisała tylko o pani i o domku, w którym mieszka - poinformowała wychowawczynię. - Na pewno będzie chciała tam pojechać jeszcze raz.

- Jasne - wtrąciła Dana.

To było warte każdych pieniędzy, cieszyła się Raglan, odnalazłszy torbę córki i zarzuciwszy ją na ramię. Nie dzwoń już więcej, pomyślała błagalnie pod adresem telefonu w kieszeni.

- Najwyższy czas się wykąpać - powiedziała córce, prowadząc ją przez parking. Pot ściekał jej po plecach.

- Mamo, a nie idziesz do pracy?

- Nie - odparła, starając się nie pęknąć z dumy. Wrzuciła torbę do bagażnika. Przyjemnie było pozbyć się ciężaru. - Na lunch będzie świeża kukurydza.

- Hej, a to co? - Dana usiadła z tyłu i zobaczyła baseballową czapkę z daszkiem, leżącą na podłokietniku pomiędzy siedzeniami. - Red Sox?

- To dla ciebie. Kupiłam na Fenway Park. - Raglan włączyła silnik. Klimatyzacji nie było, bo naprawa kosztowałaby dwa tysiące dolarów. Zamiast tego otworzyła wszystkie okna. Telefon w kieszeni znów odezwał się bezgłośnie. - Są też dzikie borówki i świeże brzoskwinie. - Wrzuciła bieg.

- Dzięki. - Dana zdjęła białą czapkę z obozu, zakręciła nią na palcu. - Wiesz co, mamo?

- Co, skarbie?

- Mnie to nie przeszkadza. - Dziewczynka założyła baseballówkę tyłem na przód. - Możesz odebrać.

16.

Kontakty z mediami należały do najmniej ulubionych obowiązków Ariego Greene'a, ale w wypadku takiego śledztwa nie dało się ich uniknąć. Rano detektyw wywiózł Simona z domu, dzięki czemu udało mu się wymknąć pismakom, ale po południu, kiedy wrócił z Kennicottem na oględziny miejsca zbrodni, trzeba już było stawić czoło armii dziennikarzy i kamerzystów stłoczonych za policyjną taśmą.

Greene obiecał im, że kiedy wyjdzie z domu Wylera, złoży oficjalne oświadczenie. Lepiej było przekazać jakieś informacje, niż milczeć, bo wtedy spekulacjom w prasie nie byłoby końca.

- Staniesz obok mnie - mruknął pod nosem do Kennicotta, otwierając frontowe drzwi. - Niech zobaczą, że nad sprawą pracuje więcej niż jeden gliniarz.

Na skutek letniego wzrostu liczby przestępstw z użyciem broni palnej wszyscy detektywi z wydziału zabójstw musieli w tym roku odbyć szkolenie z zakresu kontaktów z mediami. Otrzymali tam garść zdroworozsądkowych porad: kiedy odpowiadasz na pytanie, patrz prosto na tego, który je zadał; jeśli tylko możesz, bądź rzeczowy; wypowiadaj się zwięźle.

- Panie detektywie! Panie detektywie! - wołali dziennikarze. Greene podszedł do żółtej taśmy, nie spiesząc się zbytnio.

- Odpowiem teraz na państwa pytania - oznajmił, unosząc dłoń jak konferansjer w cyrku, kiedy musi uciszyć zgraję rozdokazywanych dzieciaków.

Po zakończonym szkoleniu komendant Charlton zabrał Greene'a na stronę.

- Wybij sobie z głowy te bzdety - powiedział. - Pismaki kochają dwie rzeczy: kiedy się mówi do nich po imieniu i chwali za profesjonalizm. Wyjaśnij, że chętnie byś pogadał, ale masz na głowie śledztwo. I tak dalej, i tak dalej.

- Słucham cię, Kirt - zaczął Greene. Kirt Bishop, inteligentny facet, pisał dla „The Globe and Mail”.

- Kto jest głównym podejrzanym? - zapytał Bishop, postukując długopisem o notatnik.

Detektyw uśmiechnął się lekko.

- Boję się, że to zabrzmiało jak frazes, w dodatku stary i wyświechtany, ale mogę powiedzieć tylko tyle, że śledztwo jest w toku.

Dookoła odezwały się tłumione chichoty.

- Zac? - Greene wskazał Zachery'ego Stone'a, niewysokiego, zadziornego reportera „Toronto Sun”.

- Gdzie jest żona Wylera?

- Ho, ho, sami profesjonaliści, jak widzę. - Greene uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Zac, frazes numer dwa: na tym etapie śledztwa nie mogę zdradzać szczegółów.

Za ten komentarz zebrał już lawinę śmiechu.

- Awotwe? - Spojrzał na kolejnego dziennikarza. Awotwe Amankwah, ostry zawodnik z „Toronto Star”, był jedynym Murzynem w całym dziennikarskim tłumku.

- Tej nocy zginęły cztery osoby, co razem daje już sześćdziesiąt cztery ofiary morderstw w tym roku. Tylko w ciągu ostatnich dwóch miesięcy doszło do dwudziestu zabójstw. Ludzie już mówią o „sezonie na śmierć”. Co się dzieje, panie detektywie?

- Spójrzmy na to z właściwej strony - poprosił Greene. Jednym z tematów szkolenia, które przeszedł, była statystyka; co tydzień wpajano mu, w jaki sposób pomniejszać najnowsze doniesienia o liczbie ofiar przestępstw. - Według danych urzędu Statistics Canada metropolia Toronto plasuje się na dziesiątym miejscu listy najbardziej niebezpiecznych miast naszego kraju. Popęlnia się u nas o połowę mniej zabójstw niż w Winnipeg, które otwiera to zestawienie.

Zauważył wśród reporterów kilka nieznanymi twarzy. Zwracając się bezpośrednio do nich, powiedział:

- Obecnych tutaj amerykańskich dziennikarzy informuję, że pod względem liczby zabójstw Toronto jest na dwudziestym ósmym miejscu wśród największych miast Ameryki Północnej, a jednocześnie piątą co do wielkości metropolią po Nowym Jorku, Los Angeles, Chicago oraz Mexico City.

Uwagę Greene'a zwróciła kobieta o azjatyckich rysach, która przepchnęła się niespodziewanie na pierwszą linię.

- Tak? - Spojrzał na nią.
- Margaret Kwon, magazyn „Faces”. - Mówiła z silnym nowojorskim akcentem. - Czy widział pan może April Goodling?
- Widziałem - przytaknął.
- Gdzie? - Reporterka uniosła wyżej cienki cyfrowy dyktafon.
- Na okładkach niemalże wszystkich czasopism w pierwszym lepszym kiosku - odparł, a dziennikarze nagrodzili go najgłośniejszą jak dotąd falą śmiechów.

- Wie pan, gdzie była tej nocy? - zapytała Kwon tonem, który zainteresował detektywa; zabrzmiało to tak, jakby z góry znała odpowiedź.

Spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

- Proszę państwa, przed nami długi dzień. Kiedy tylko coś ustalimy, dam państwu znać.

Tłumek rozproszył się; każdy z reporterów miał naglące terminy. Ekipy telewizyjne były zadowolone, bo udało im się nakręcić, jak Greene i Kennicott wychodzą z domu Wylera. To, co powiedział detektyw, w zasadzie nie miało większego znaczenia: na pewno znajdzie się w tym kilka cytatów do radia i gazet. Greene obserwował Margaret Kwon, dziennikarkę ze Stanów. Stała za żółtą taśmą i chyba się jej nie spieszyło. Skinął na nią. Zauważyła ten gest, ale nie podeszła od razu; pisała coś w notatniku.

- Detektyw Ari Greene - przedstawił się kilka minut później, kiedy po reporterach nie zostało już śladu. Wyciągnął rękę do Kwon.

Dziennikarka ucisnęła mu dłoń z widocznym skrępowaniem, jakby to był jakiś dziwaczny rytuał. Włosy miała czarne, smoliste, twarz okrągłą, cerę gładką. Nosila okulary w wąskich oprawkach,

podkreślające jej przenikliwe czarne oczy. Trudno było określić, ile ma lat. Greene oceniał ją na czterdzieści z niedużym hakiem, chociaż z wyglądu można byłoby dać jej dobre dziesięć mniej.

- Przyjeżdżam tutaj co roku na festiwal filmowy i za każdym razem od nowa muszę się przyzwyczajać do kanadyjskiej grzeczności - powiedziała.

- Do tego trudno się przystosować - przyznał Greene. - Pisze pani o April Goodling?

- W dzień i w nocy. - Powoli puściła jego dłoń.

Zabrał jej dyktafon i wyłączył nagrywanie,

- Nie wiem dlaczego, ale coś mi mówi, że zadając swoje pytanie, znała pani na nie odpowiedź.

- Ja też nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że z pana bystry gliniarz - odparowała Kwon. Nie sprzeciwiła się, kiedy wyłączył jej sprzęt.

- Co może pani powiedzieć prowadzącemu śledztwo w sprawie „Rozwodników z północy”?

Tak brzmiał tytuł jednego z artykułów o April Goodling w czasopiśmie o życiu gwiazd, które Kennicott przyniósł Greene'owi do przeczytania. Detektyw zapamiętał nazwisko Margaret Kwon umieszczone pod tytułem.

Ciemne oczy błysnęły.

- Czytał pan mój tekst. - Tym razem to ona wyciągnęła rękę do niego. Ponownie uścisnęli sobie prawice. - A więc na co mogę liczyć, założysz, że dysponuję informacjami?

- Może być wyłączny dostęp do detektywa prowadzącego śledztwo?

- Umowa stoi. - Potrząsnęła mocno jego dłonią. - Omówmy sprawę przy obiedzie. Gdzie tu można się schronić przed tym upałem?

Puścił jej rękę i oddał dyktafon.

- Znam parę ciekawych miejsc.

- Nie wiem dlaczego, ale jakoś mnie to nie dziwi - odparła.

17.

Znajomy aromat jaśminowej herbaty powitał Jennifer Raglan w tajskiej restauracji na Dundas Street. Rozejrzawszy się dookoła, dostrzegła właściciela, drobnego mężczyznę ubranego jak zawsze w spodnie koloru khaki i wykrochmaloną białą koszulę. Ukłonił jej się, wskazując stolik, przy którym zwykle siadała: w głębi sali, jak najdalej od okna.

Wszystko zaczęło się kilka godzin wcześniej, kiedy Raglan odebrała telefon w nagrzanym jak piec samochodzie na parkingu pod Yorkdale. Dana siedziała z tyłu, bawiąc się swoją nową czapką w barwach Red Sox.

- To ja. Przepraszam, że tak do ciebie wydzwaniam - powiedziała kobieta, która nie przedstawiła się, wiedząc, że Raglan pozna ją po głosie. - Mam sprawę. Musimy porozmawiać.

- Dana wróciła z obozu. Właśnie ją odebrałam.

- Wiem, że jesteś na urlopie, ale to pilne. Możemy się spotkać, kiedy wyjdę z sądu?

Fakt, że Jo Summers, młoda i utalentowana prawniczka, pracująca na stanowisku młodszego prokuratora, nie chce przedstawić się przez telefon i nie wysłała też e-maila ani SMS-a, uświadomił Raglan, że sprawa jest bardzo poufna.

- Czy to nie może poczekać do jutra?

- Nie. Sama żałuję.

- W porządku. O piątej, tam gdzie zwykle.

W maju, kiedy Raglan była jeszcze szefową prokuratury okręgu śródmieście, Summers pomogła jej namierzyć dwójkę zbuntowanych

pracowników: Phila Cutiera i Barb Gild. Należało podjąć specjalne starania, aby nikt się nie dowiedział, że jest zamieszana w tę sprawę - i Raglan zadbała o wszystko. Gdy trzeba było pogadać, nie umawiały się na kawę w Starbucksie ani w Timothy's na Queen Street, ale w tej przytulnej tajskiej knajpcie.

Popołudnie spędziła z Daną: zawiozła ją do domu, nakarmiła aż do przesytu, wsadziła do wanny, a potem kazała iść do swojego pokoju i poczytać. Gordon, po raz pierwszy w życiu, zwolnił się z pracy trochę wcześniej. Przed wyjściem z domu Raglan zdążyła zrobić dwa prania.

Jo Summers siedziała oklapnięta przy stoliku, na wiklinowym fotelu. Była to wysoka kobieta o regularnych rysach. Najbardziej rzucała się w oczy jej fryzura: dzikie kłębowisko blond włosów zawsze upiętych wysoko, na czubku głowy i przytrzymywanych spinką z egzotycznego drewna. Raglan od razu zauważyła jej wątlę i wymizowany wygląd; upięte wysoko włosy wisały krzywo, na jedną stronę.

Usiadła naprzeciwko niej. Lokal nie był zbyt duży i panowała w nim ciężka, wilgotna duchota. Pod błękitnymi oczami Jo widniały czarne cienie.

- Co się stało? - zapytała Raglan.

Summers uniosła dłonie do ust, splatając kurczowo palce.

- Znałam Terrance'a Wylera. - Po jej policzku potoczyła się łza.

- Od dzieciństwa.

Raglan zrobiła wielkie oczy i zerwała się z fotela, żeby objąć koleżankę.

- Och, Jo... Bardzo mi przykro. - Przypomniało jej się nagle, że Wyler miał czterdzieści lat. Summers - trzydzieści parę.

- Chyba wciąż jestem w szoku - powiedziała młodsza prawniczka, kiedy Raglan usiadła z powrotem.

- Dałaś radę dzisiaj w pracy?

- Nasze rodziny należą do tego samego jachtklubu. - Summers wzięła papierową serwetkę leżącą pod widelcem i wytarła nos. - Nie znoszę, jak ludzie na mnie patrzą.

Zawsze była skryta, pilnie strzegła swojej prywatności. Jej ojciec, sędzia Jonathan Summers, kierował trybunałem mieszczącym się w Starym Ratuszu i był znany jako bezlitosny despota; z jednakowym upodobaniem pastwił się nad obrońcami z urzędu i prokuratorami publicznymi. Jo nie zajmowała się głośnymi sprawami. Raglan wiedziała, że mieszka samotnie w przerobionym domku letniskowym na Wyspach Toronto, położonych tuż obok centrum miasta; stałych mieszkańców było tam niewiele.

- Czy to była bliska znajomość? - zapytała.
- On wyjechał. Ja też, ale utrzymywaliśmy kontakt.

W zasadzie nie odpowiedziała na pytanie, więc Raglan mimowolnie przestawiła się, jak mawiał jej mąż Gordon, na tryb przesłuchania.

- Widywałaś się z nim, kiedy wrócił do Kanady?
- Spotykaliśmy się w klubie. Czasami razem pływaliśmy. No i jeszcze... - Summers odwróciła wzrok, potrząsając głową tak gwałtownie, że kilka kosmyków, długich jak ogony latawca, wyrwało się spod spinki i opadło jej na czoło.

- Jo, co się dzieje?
- To fatalnie zabrzmiało... - Przygryzła mocno dolną wargę. - Co piątek jedliśmy razem lunch, jeśli tylko mogłam się wyrwać z sądu - wyrecytowała szybko głuchym głosem - a w Boże Narodzenie umawialiśmy się na kolację w jakiejś restauracji. Nasza znajomość była... - Westchnęła ciężko. - Poufna.

Widzisz, Jennifer, nie ty jedna masz sekrety, powiedziała sobie Raglan, myśląc o Arim Greenie.

Summers kurczowo zacisnęła dłoń na kubku z herbatą. Miała przepiękne smukłe palce. Jej dawna szefowa zawsze marzyła o takich.

- Domyślałam się, że jego żona o niczym nie wiedziała? n- Raglan uniosła pytająco brwi.

Summers poderwała głowę.

- Nie. Ale nie dlatego. My się tylko przyjaźniliśmy.
- W porządku.

- Sama widzisz, że głupio to brzmi.
- Dlaczego jej nie powiedział? - Przesłuchania ciąg dalszy, dodała w myślach Raglan.

- Samantha była okropnie zaborcza. Zanim Terry... Tak wszyscy na niego mówili... Zanim Terry ją poznał, był bardzo zżyty ze swoimi braćmi, miał mnóstwo znajomych. Ona odcięła go od wszystkich.

Jej kształtne szerokie usta wykrzywiły się w gniewnym grymasie.

- Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

- W piątek zjedliśmy razem lunch. A w niedzielę przyjechał do mnie na wyspę.

- Aha. - Raglan poczuła, że włosy jeżą się jej na głowie. W ten sposób Jo automatycznie musiała stać się podejrzaną.

Młoda prawniczka nagle pobladła.

- Zjawił się po południu. Przywiózł ze sobą Simona i April Goodling. Pewnie o niej słyszałaś?

- Cały świat o niej słyszał.

- Ona wcale nie jest taka płytka, jak ludzie myślą.

- Długo zostali?

- Do wieczora. Nie chcieli płynąć promem. Wezwali wodną taksówkę i Walter zabrał ich na brzeg.

- Będziesz musiała złożyć zeznanie na policji - powiedziała Raglan.

- Wiem. Zapytają, czy mam alibi.

W nocy z niedzieli na poniedziałek kobieta w takiej sytuacji życiowej jak Jo Summers prawdopodobnie była w domu sama, a zapytana o alibi odpowiedziałaby podobnie jak większość ludzi: „Spałam”. Kiedy do morderstwa dochodzi w środku nocy, mało kto może wykazać się żelaznym alibi. Nie będę cię dłużej przesłuchiwać, pomyślała Raglan.

- Oni wiedzą, co robią... - zaczęła.

- Nie martw się o mnie - przerwała jej Jo, śmiejąc się gorzko. - Byłam z facetem, który jest wiarygodnym świadkiem.

Zanim została prokuratorem, pracowała w korporacji jako specjalista prawa przedsiębiorstw. Raglan była pewna, że nie brakuje wszelkiej maści menedżerów, którzy chętnie poznaliby ją bliżej.

- Posłuchaj, Jo, nie chcę wchodzić z butami w twoje prywatne sprawy...

- To policjant. Oklepany motyw, co? - prychnęła Summers. - Gliniarz i prokurator. No, niech będzie: prokuratorka.

Raglan przełknęła ślinę. Gliniarz i prokuratorka. Owszem, motyw był oklepany. Spotykając się z Greene'em, często sobie z tego żartowała.

Summers pociągnęła długi łyk herbaty.

- Cenię sobie swoją prywatność - oznajmiła. Dłonie jej drżały. - Znam go od lat. Miedzy nami nigdy nic nie było, ale miał ciężki weekend, wyjeżdżał, a kiedy wrócił, chciał pogadać i zajrzał w niedzielę wieczorem... - Urwała, potrząsając głową.

- Krajobraz po bombie - mruknęła Raglan. - Z morderstwami zawsze tak jest. Zamieszani w śledztwo muszą ucierpieć. A pierwszą ofiarą tej wojny jest życie prywatne.

- Znasz go, Jennifer. Nazywa się Daniel Kennicott.

Starsza prawniczka zamarała. W głowie miała kompletny mętlik.

- Przecież on pracuje przy tym śledztwie - powiedziała.

- Co?

- Kennicott. Nie zdążyłam ci o tym powiedzieć. Ralph Armitage zadzwonił do mnie dziś rano i błagał, żebym przysłała pomoc mu ruszyć sprawę z miejsca. Spotkałam się z detektywem prowadzącym, niejakim Greene'em. Wiem od niego, że Kennicott mu pomaga.

- Boże...

Raglan zaczęła myśleć bardzo szybko. Na początku śledztwa w sprawie morderstwa to normalka: fakty i skojarzenia bombardują człowieka ze wszystkich stron.

- Rozumiesz, co to oznacza? - zapytała. - Spotykałaś się z żoną tym mężczyzną i ten mężczyzna został zamordowany. Kennicott to twoje alibi. W żadnym wypadku nie możesz go zepsuć.

- Nie spotykałam się z Terryem... w tym sensie.
- To nieważne.

Summers otarła oczy serwetką, którą zdążyła już pognieść i zmiąć w miękką kulkę.

- Więc co, nie mogę powiedzieć o tym Danielowi?
- Ani słowa.

Błada twarz młodej prokuratorki pobieliała jeszcze bardziej.

- Jennifer, łączyło mnie z Terryem jeszcze coś, ale to musi pozostać tajemnicą. Gdyby wyszło na jaw, wielu ludziom stanie się krzywda, a dla śledztwa to zupełnie nieistotne.

- Nie mogę ci obiecać...
- To był mój brat.

- Kto?

- Terry. Był moim przyrodnim bratem.

- Co takiego? - Raglan z trudem dobytej głosu ze ściśniętego nagle gardła. - Jak to...?

- Mój ojciec i jego matka. Powiedzieli nam, kiedy ja miałam czternaście lat, a Terry dziewiętnaście. Byliśmy bardzo blisko, wciąż razem pływaliśmy jachtem. Bali się, że wyniknie z tego jakieś poważniejsze uczucie. Terry był wściekły, wyprowadził się i przez całe lata nie wracał do domu. - Summers opowiadała składnie, głos miała już spokojny.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Jego dwaj starsi bracia. Przysięgli, że nikomu nie powiedzą. Moja mama nie wie, załamałaby się na pewno. Pan Wyler też nie ma o tym pojęcia. To niesamowicie zaborczy człowiek. Gdyby się dowiedział, jego żona miałaby poważne kłopoty. Samantha nie wie o niczym.

- Teraz rozumiem, dlaczego chcesz zachować to w tajemnicy.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Z kuchni dobiegał szczełk naczyń.

Wreszcie Summers uniosła wzrok.

- Jaki jest ten Greene?

Czy to miało być porozumiewawcze spojrzenie? Pomimo wszelkich środków ostrożności Raglan zawsze bała się wpadki.

- Bystry i uczciwy - odpowiedziała, karcąc się w myśli za głupotę, nie mówiąc już o egocentryzmie i narcyzmie. Jo Summers nie mogła wiedzieć o jej romansie z Greene'em, a zresztą w tej chwili miała dość własnych problemów. Wczoraj ktoś zamordował jej brata. - Nie powiem mu o tym - obiecała - jeśli nie uznam, że to naprawdę konieczne. Więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

- Dzięki. - Summers odstawiła kubek, oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach. - Mogę cię jeszcze o coś spytać?

- Jasne.

- Wiesz, który prokurator poprowadzi tę sprawę? - Głos dobiegający spomiędzy stulonych palców był bezdźwięczny i przytłumiony.

- Wiem. - Raglan spojrzała na młodszą koleżankę. - Ja.

Kompletnie osłupiała, słysząc własne słowa. Wyrwały jej się zupełnie machinalnie, niczym powietrze z balonu. I nie można już było ich cofnąć.

18.

Po południu upał nareszcie osłabł. Znad jeziora nadciągnął chłodny wiatr, który rozwiął parne wspomnienia minionego tygodnia i tchnął nowe życie w zapadającą noc.

Taki senny letni wieczór jest w Toronto nagrodą za długie miesiące zimowego mrozu i mroku, a nie ma lepszego miejsca, aby zjeść kolację na świeżym powietrzu, niż Danforth Avenue, w skrócie zwana Danforth, a przez starszych mieszkańców pieszczotliwie Danny. Jest to główna ulica tak zwanej Greektown, dawnej dzielnicy greckich imigrantów: wzdłuż szerokiej jezdni restauracje tłoczą się jedna na drugiej, a z otwartych na oścież okien aromaty pieczonej jagnięciny ulatują na przepełnione tarasy i snują się wśród stolików. Na chodnikach zawsze jest tłoczno, stadka dziewcząt podrygują na szpilkach, męskie paczki łypią z okien podrasowanych samochodów, a eleganckie pary w starszym wieku, po których z daleka znać europejskie pochodzenie, spacerują niespiesznym krokiem. Korki w tej okolicy znikają dopiero późnym wieczorem.

Kiedy Greene był jeszcze młodym policjantem, lubił patrole na Danny. Sklepikarze chyba wyczuwali, że mają do czynienia z chłopakiem z robotniczej rodziny, bo nie krępowali się go wcale. Pewnego wieczoru rozmawiał z Nickiem, właścicielem Pappas Grill, jednej z restauracji, które najbardziej przypadły mu do gustu. Powiedział mu wtedy, że jego ojciec przeżył Treblinkę - był jednym z garstki ludzi, którzy uciekli z obozu zagłady podczas jedynego w jego krótkiej historii buntu więźniów.

Ku wielkiemu zdziwieniu Greene'a Nick podwinął prawą nogawkę i pokazał mu starą zgrubiałą bliznę.

- Hitlerowskie świnie - warknął. - Kiedy miałem dziewięć lat, wygrzebałem ze śmietnika parę kawałków chleba. Ale ten śmietnik był tylko dla Niemców, więc złapał mnie jeden taki blondyn i skopał tak, że do dzisiaj kuleję.

Wśród handlarzy na Danforth szybko rozeszła się wieść o równym policjancie z żydowskiej rodziny, a Greene odtąd miał tam chody. Rok później w pobliżu restauracji Nicka doszło do strzelaniny podczas partii pokera w nielegalnej jaskini hazardu. Zginął człowiek, policja znalazła siedmiu świadków, ale żaden nie chciał zeznawać. Po kilku tygodniach Greene wstąpił do Nicka na małą pogawędkę.

- Urząd kontroli podatkowej z Ottawy planuje nalot na Danny - poinformował go nad kieliszkiem ouzo. - Uważa się, że przez restaurację przepływa sporo gotówki.

- Tutaj człowiek zawsze za coś musi oberwać - mruknął Nick. - Policja czepia się o wszystko. Parkować - nie wolno. Śmieci - to samo. Już nawet jednej torebki nie mogę wyrzucić.

- Głupota - zgodził się Greene. - Słuchaj, Nick, wiem, że nie masz nic do ukrycia...

- Oczywiście, że nie mam...

- Powiedziałem im, że jesteś czysty, żebyś miał spokój. Nie będą ci zawracać głowy.

Restaurator napełnił kieliszki jeszcze raz, a następnego dnia Greene miał już nazwisko dla Hapa Charltona, który wtedy pracował w wydziale zabójstw i zajmował się pokerową strzelaniną.

- Witam pana detektywa, dawno się nie widzieliśmy. A kim jest ta piękna młoda dama? - zapytał Nick, spiesząc do drzwi, aby powitać Greene'a. Ukłoniwszy się nisko Margaret Kwon, pocałował ją w rękę. Jak zwykle lekko utykał, a ubrany był w czarno-biały uniform kuchenny; rzędzące włosy miał zaczesane do tyłu.

- Nick, to jest Margaret Kwon, dziennikarka z Nowego Jorku.

- Miło mi - Restaurator puścił jej dłoń, ale nie odrywał od niej oczu.

- Mnie również. - Kwon się uśmiechnęła. - Jeśli dalej będzie mnie pan tytułował piękną młodą damą, to codziennie będę tu przychodzić na kolację.

Nick wyszczerzył zęby, a w oku błysnęły mu iskry.

- Mam kuzynów w Queens - oznajmił.

- Nick ma kuzyna we wszystkich stanach, w zależności od tego, skąd pochodzi klient - wyjaśnił Greene.

Roześmiali się zgodnym chórem.

Kwon poszła do łazienki, a gospodarz posadził Greene'a przy małym stoliku w kącie tarasu. Zapach czosnku skwierczącego na oliwie ciągnął się za nimi przez otwarte przeszklone drzwi sięgające od podłogi do sufitu.

- Mam pytanie - szepnęła Nick, przysiadając się do Greene'a. - Widuję tutaj wielu gliniarzy w twoim wieku. Większość jest po rozwodzie, zawsze przychodzi z jakąś małolată. Ale ty lubisz, żeby było coś więcej niż ładna buzia. No i gustujesz w nieco starszych.

Dochodziła dwudziesta trzydzieści, ale niebo na zachodzie było jeszcze jasne. Ostatnie promienie słońca podświetlały chmury. Greene wziął do ręki długą kartę dań.

- Mózdzek - odparł. - Lubię mózdzek. U kobiet też.

Nick palnął dłonią w stół, rozbawiony, a zauważywszy dziennikarkę wychodzącą na taras, pomachał w jej stronę.

- Idzie twoje danie specjalne.

Kwon podeszła do stolika, uśmiechając się szeroko.

Nick wstał i ponownie się jej uklonił, po czym trzema wprawnymi ruchami zdjął z blatu tandetny plastikowy obrus; wszystkie stoły na tarasie miały takie obrusy, w odróżnieniu od tych wewnątrz, na sali, które pyszniły się blatami z ciemnego drewna.

- Po co pan to zrobił? - zapytała Kwon.

- Bo pan detektyw nigdy nie jada w restauracji, gdzie kładą obrusy. - Jeszcze raz pocałował ją w rękę i się oddalił.

- Bardzo mi się podoba to miasto - powiedziała Kwon.

- Widzisz tamtą knajpkę? - Greene machnął dłonią w kierunku

południowej strony ulicy. - Tam kręcili „Moje wielkie greckie wesele”.

Zamówili dwie porcje firmowej greckiej sałatki, a do tego zjedli na spólkę miskę hummusu i drugą miskę sosu tzatziki przybranego oliwkami. Kwon opowiedziała Greene'owi o swoich młodszych siostrach lekarkach.

- Choćbym napisała tysiąc artykułów, a każdy z pierwszej strony - zwierzyła mu się - to dla ojca i tak jestem do niczego.

Detektyw parsknął śmiechem.

- Taki już los dzieci emigrantów.

Dziennikarka wsunęła do ust oliwkę.

- Chcę ci coś pokazać. - Z przepastnej torby zawieszanej na oparciu krzesła wyłowiła niewielki cyfrowy aparat. - Mam tutaj April Goodling w chwili, gdy dowiedziała się o śmierci Terrance'a Wylera.

Greene odwrócił wzrok, przypatrując się kompletnie beztroskim ludziom spacerującym po Danforth.

- Nie chcesz tego obejrzeć? - zdziwiła się Kwon. - Roboczy tytuł artykułu: „À propos April”.

- To nie w moim stylu - wyjaśnił. - Takie naruszanie czyjejś prywatności.

- Daj spokój - prychnęła Kwon, odkładając aparat na stół. - Od dwudziestu lat to słyszę, a sprzedaż magazynów z życia gwiazd wciąż rośnie. Nie żałuj tych bubków z Hollywood. Są płytcy jak mało kto i uwielbiają, kiedy się o nich mówi.

- Poznałem ją dziś, u jej adwokata.

- Niezłe ziółko, co?

- Trudna we współpracy - przyznał.

Kwon wstała i obeszła stolik, pochylając się nad Greene'em i podsuwając mu przed oczy wyświetlacz aparatu. Położyła kciuk na klawiszu odtwarzania.

- Zrobimy tak: puszczę ci to, ale nie musisz patrzeć.

Greene zasłonił oczy dłonią, a potem rozchylił palce, jak do podglądania.

Dziennikarka trzepnęła go żartobliwie w ramię.

- Jestem Amerykanką. Amerykanie są agresywni. Przyzwyczajaj się.

Na wyświetlaczu pojawił się obraz. April Goodling rozmawiała przez komórkę. Nagle jej piękną twarz wykrzywił grymas bólu, jakby ktoś uderzył ją prosto w żołądek. Cisnęła telefon na bok, chwytając się dłońmi za brzuch. Krzyknęła coś, jakby dwa słowa, ale nic nie było słychać.

- Co ona powiedziała? - zapytał Greene, kiedy krótkie nagranie dobiegło końca.

- Nie wiem - odparła Kwon. - To był moment. Ochroniarz zatrzasnął drzwi, a ja wylądowałam na podłodze. Zobacz.

Wzięła go za rękę i przyłożyła jego palce do swojego podbródka, gdzie czuć było wyraźnie otartą skórę.

- Słyszałem, że Goodling ma dzisiaj wyjechać - powiedział Greene.

- I wyjechała - potwierdziła Kwon. - Prywatny samolot, tylne wejście na lotnisku Pearsona, start o pierwszej osiemnaście. Wiesz? Mam dla ciebie wartościowe informacje.

- Za które jestem ci wdzięczny.

- Robię o tym teraz duży artykuł. Będę na pogrzebie i przyjadę na proces, kiedy już się zacznie. Opiszę wszystko. Mam mocne przekonanie, że Goodling jeszcze wróci. Nie wiem w którym momencie, ale wróci.

- Daj mi wtedy znać, dobrze?

- Załatwione. Naprzeciwko widzę kilka barów. Skoczmy na drinka?

- Jadę do prosektorium. Za pół godziny zaczynają sekcję zwłok Wylera.

- Zapowiada się ciekawa noc...

- Tak to już jest. - Greene wyrzwał ponad jej ramieniem na ulicę, gdzie gromady beztroskich ludzi spacerowały po chodnikach, a pomiędzy latarniami i lśniącymi szybami sklepowych witryn kłębił się już mglisty mrok.

19.

Dotarłszy na pierwsze piętro, Daniel Kennicott uśmiechnął się szeroko; na klamce bocznych drzwi do jego mieszkania wisiała torba z białego plastiku, pełna świeżych pomidorów, marchewek i ogórków. Zauważył też dorodne jabłko o jasnoczerwonej skórce oraz kartkę od właścicieli lokalu: „Na wypadek, gdyby sklep był już zamknięty. Federico”. Państwo Federico mieszkali na parterze, a pan Federico, zapalony działkowicz, bez przerwy zasypywał lokatora z góry owocami i warzywami. Policjanci w wieku Kennicotta mieszkali poważnie we własnych domach jednorodzinnych pod miastem, on jednak wolał wynajmować mieszkanie w śródmieściu, na Clinton Street, kawałek na północ od skrzyżowania z College Street, w samym sercu Małej Italii. Mieszkał tutaj od lat.

Położył plastikową torbę i segregator z dokumentacją sprawy Terrance'a Wylera na kuchennym stole. Wyciągnął z torby marchewkę. Wiedział, czym kończy się brak snu, przerobił ten temat najpierw na studiach, potem, kiedy podjął pracę w jednej z najlepszych śródmiejskich kancelarii, a teraz jako policjant. Zdawał sobie sprawę, że należy się dobrze odżywiać.

W mieszkaniu było duszno. Otworzył okna od ulicy, a potem te wychodzące na tyły budynku. Wystawił głowę na zewnątrz, odczłnął chłodnym nocnym powietrzem. W mroku rozległy się ciche piski i chrobotanie pazurków. Dwie czarne wiewiórki przemknęły w szaleńczej gonitwie po winorośli pana Federica, która co roku kwitła w lecie, zacinając liśćmi wybetonowaną werandę. Wyjąwszy spod

zlewu szmatkę i butelkę octu, Kennicott wyczyścił swoje skórzane buty, a potem poszedł do sypialni, aby się przebrać.

Wrócił do kuchni w czystej koszulce i szortach. Usiadł przy stole. W drugim pokoju miał biurko, ale lubił pracować tutaj. Otworzył segregator, zaczął przeglądać pisma procesowe, chcąc zorientować się w wydarzeniach związanych z rozwodem Wylerów. Na pierwszy ogień poszły długie, szczegółowe oświadczenia złożone przez oboje małżonków, podobne do siebie jak dwie krople wody: typowe wytykanie sobie czego się da.

Dokument złożony przez Terrance'a Wylera miał dziesięć stron i w treściwych słowach wyliczał wszystkie uchybienia i niedopatrzenia, których dopuściła się jego żona. Samantha, było tam napisane, to pracoholiczka, która nigdy nie miała więzi z Simonem, a jako matka wykazała się wyjątkową niedbałością - na poparcie tego przytoczono wypadek, do którego doszło pod koniec lipca, zakończony wizytą w szpitalu i szyciem skaleczonego do krwi policzka. Samantha nie raczyła nawet powiadomić o tym męża. Do tego była nieuczciwa, czego dowodził „całkowicie nieprawdziwy” zarzut, jakoby Terrance miał grozić jej nożem. Systematycznie siała niezgodę pomiędzy nim a jego rodziną, a przed dwoma laty o mały włos nie doprowadziła go do bankructwa, kiedy za jej namową otworzyli razem delikatesy, które okazały się kompletnym niewypałem.

Samantha Wyler, nie pozostając dłużna mężowi, przedstawiła go w równie nieatrakcyjnych barwach. Terrance był pod całkowitym wpływem swojej rodziny. Miał mnóstwo pomysłów na modernizację Wyler Foods, ale nikt nie chciał go słuchać, a jemu brakowało siły, aby się postawić. Delikatesy miały mu uświadomić, ile jest wart. Niestety, Nathan Wyler wykorzystał swoje znajomości, aby rzucić im kłody pod nogi, a Terrance nie był gotowy do ciężkiej pracy, która zapewniłaby mu sukces. Jeśli zaś chodzi o sprawę z nożem, to sąd owszem, uniewinnił go, lecz nie było bynajmniej prawdą, że jest to człowiek tak bezkonfliktowy, za jakiego się podawał; Terrance

Wyler był osobą gwałtowną, o skłonnościach do przemocy. Doprowadził do rozpadu swojego małżeństwa, zostawiając Samanthę dla aktorki April Goodling.

Kennicott nieraz już był świadkiem takich ciętych sporów: para ludzi mieszka razem, jest sobie bardzo bliska, ma dzieci - ale jednocześnie każde z osobna prowadzi tajny rejestr, jak księgowy.

Następna teczka była opisana „E-maile”. Nie wiedzieć czemu, korespondencja elektroniczna zawsze obnaża najgorsze cechy charakteru, zwłaszcza kiedy człowiek pisze w nerwach. Kennicott zauważył osobną koszulkę z napisem „E-maile Samantha Wyler przekazane policji”.

30 lipca

Jak możesz? Simonowi założyli trzy szwy na policzku, a ty robisz taki raban, jakby urwało mu rękę czy nogę. Owszem, nie zadzwoniłam do ciebie, bo nic mu się nie stało, ale ty teraz próbujesz wykorzystać to przeciw mnie. To żalosne. Założę się, że za tym wszystkim stoi twoja rodzina. Oni chcą tylko położyć łapę na Simonie.

7 sierpnia

Co ona sobie myśli, ta twoja adwokatka? Ja jestem niekompetentną matką??!! Że niby będę miała szczęście, jeśli uda mi się wywalczyć w sądzie nadzorowane widzenia z Simonem raz na miesiąc??!! Jestem wściekła. Widzę, że twoja rodzina nie cofnie się przed niczym, aby tylko zabrać mi syna.

12 sierpnia

Do rozprawy został tydzień, a twoja prawniczka zmienia żądania i chce dostać wyłączną opiekę nad dzieckiem? Że niby Simon nie jest bezpieczny, kiedy zostaje u mnie na noc???! Za kogo ty się uważasz, do jasnej cholery? Nóż w plecy - to bardzo w twoim stylu. Widzę, że chcesz grać ostro. Uważaj. Inni też mają noże.

Kennicott jeszcze raz przeczytał ostatnią wiadomość. „Inni też mają noże”. Prokurator oszaleje z radości, kiedy to zobaczy.

Ziewnął potężnie. Dochodziła trzecia trzydzieści w nocy, a on był na nogach od samego rana, kiedy przyszło pierwsze wezwanie przez radio. Tymczasem czekało go jeszcze wiele godzin pracy: musiał przeczytać korespondencję pomiędzy adwokatami obu stron, przesłuchać nagrania, które Samantha zostawiła Terrance'owi, przejrzeć resztę e-maili i dokumentację finansową. Greene udał się do kostnicy na sekcję zwłok. Miał przyjechać po Kennicotta o ósmej rano; byli umówieni na spotkanie z rodziną Wylerów. Na pewno będzie oczekiwał wyczerpujących informacji.

Kennicott czytał dalej, pogryzając kolejne marchewki. Przez ostatnich czterdzieści osiem godzin nie starczyło mu nawet czasu, żeby się podrapać, nie mówiąc już o porządnym posiłku ani o tym, na co miał największą ochotę: telefonie do Jo Summers.

Poznali się dawno, jeszcze na studiach, bo oboje byli na prawie. Zeszłej zimy spotkali się przypadkiem w Starym Ratuszu, gdzie mieściła się prokuratura. Kennicott po raz pierwszy pracował razem z Greene'em przy sprawie o morderstwo, a Jo zajmowała się wnioskami o zwolnienie za kaucją. Najadł się wtedy wstydu, bo nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Marnie to wygląda w sytuacji, kiedy facet spotyka kobietę, z którą dawno temu raz się przespał, a potem nigdy nawet nie zadzwonił.

Minęła wiosna i zaczęło się lato, a ich znajomość kwitła, stając się przyjaźnią; byli sobie coraz bliżsi. W ostatnim tygodniu lipca Kennicott poleciał do Włoch, aby zbadać kilka tropów w sprawie morderstwa swojego brata. Dwa lata wcześniej ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Teraz jednakże nieoczekiwanie pojawiły się wątpliwości; już nie było wcale takie pewne, że to naprawdę był wypadek.

Wyprawa okazała się trudna i ostatecznie przyniosła rozczarowanie. Kennicott wrócił do Kanady w czwartek i zadzwonił do Summers,

dowiadując się, że będzie miała czas dopiero w niedzielę wieczorem. Odczekawszy trzy doby, wsiadł na prom, aby odwiedzić ją na Wyspach Toronto. Nie wiedział właściwie, czego się spodziewać.

Jo czekała na niego na przystani. O ósmej wieczorem wciąż jeszcze było parno. Spacerowali nadbrzeżnym deptakiem, a potem zeszli na opustoszałą część plaży, skąd roztaczał się widok na rozległą połąć jeziora Ontario. Powietrze było kompletnie nieruchome. Usiedli na piasku obsypanym promieniami zachodzącego słońca. Jo wyciągnęła rękę i wygładziła Kennicottowi kołnierzyk u koszuli.

Rozmawiali chyba o wszystkim, tylko nie o sobie. Nawet kiedy słońce skryło się już za horyzontem, dalej było tak samo gorąco.

- O której jest ostatni prom? - zapytał Daniel. Wydawało mu się, że minęły już długie godziny.

- Już odpłynął. - Księżyc świecił akurat na tyle mocno, aby widać było jej szelmowski uśmiech. - Ale zawsze możesz wezwać tak-sówkę wodną.

Kennicott wybuchnął śmiechem.

- Prawda czy wyzwanie? - zawtórowała mu chichotem.

- Prawda. - Dobrze, pomyślał. Lepsza już ta gra niż rozmowa na jakiś temat, którego oboje wolimy unikać.

- W porządku. Prawda. Byłam na ciebie wściekła, że nie odezwałeś się po tamtej nocy, na studiach. - Zsunęła sandały i nabrawszy garść piasku, obsypała nim stopy. - Ale jeszcze bardziej wkurzyłam się teraz, w zimie, kiedy zjawiłeś się w moim gabinecie i nawet nie pamiętałeś, jak mam na imię.

- To prawda. Zachowałem się jak palant.

Jo ujęła go lekko za łokieć.

- Prawda jest taka, że palant zachowuje się inaczej. Ty byłeś bardzo uprzejmy. Wiesz, Daniel, ja nie jestem pruderyjna. Przygoda na jedną noc to dla mnie nie jest katastrofa. Ale w tobie dostrzegłam jakąś dziwną nonszalancję i to mnie wystraszyło.

- W porządku, jak prawda to prawda. Dlaczego tutaj ze mną siedzisz?

Strząsnęła piasek ze stóp.

- Niech będzie. Prawda. Zimą, kiedy się spotkaliśmy, mówiłam, że po śmierci twojego brata chciałam do ciebie zadzwonić. Pamiętasz?

- Tak. Wzruszyło mnie to.

- Podnosiłam słuchawkę chyba z dziesięć razy. Napisałam do ciebie trzy albo nawet cztery listy, ale ich nie wysłałam. Wiedziałam, że jesteś uprzejmy, a jednak się bałam.

- Bo jestem też nonszalancki.

Jo uniosła wzrok. Spojrzała na niego swoimi wielkimi błękitnymi oczami.

- Wyzwanie. - Skoczyła na równe nogi. - Pamiętasz pierwszą scenę ze „Szczyk”? W tym jeziorze nie ma rekinów.

Szarpięciem rozpięła szorty i zsunęła je z bioder, a potem jednym szybkim ruchem ściągnęła koszulkę. Sięgnawszy wyżej, rozpuściła swoją dziką blond grzywę. Kennicott zapatrzył się w osłupieniu na jej ciało obmyte blaskiem księżyca, ale po chwili sam zrzucił ubranie i wskoczył za nią do jeziora. Dzień był tak gorący, że woda, powietrze i lśniąca skóra kobiety miały taką samą temperaturę.

Jednakże tej nocy do jego mieszkania przez otwarte okna wdarł się chłodny powiew, przeganiając nagrzaną zaduch. Kennicott odnalazł torbę, którą zostawił mu jego gospodarz, wyciągnął z niej jabłko i wbił w nie zęby, obiecując sobie, że niezależnie od tego, ile będzie miał tego dnia pracy, znajdzie czas, żeby zadzwonić do Jo Summers.

20.

Wizyta u rodziny zmarłej osoby to jedno z najtrudniejszych zadań w policyjnej pracy, jednak Ari Greene zdawał sobie sprawę, że nie ma lepszej sposobności, aby dowiedzieć się czegoś więcej o ofierze morderstwa i wytypować potencjalnych podejrzanych. A obecnie te dwie rzeczy były dla niego najważniejsze.

Kluczową kwestią było tutaj wycucie odpowiedniej chwili. Jeśli detektyw będzie się ociążał, rodzina pomyśli, że o niej zapomniano. Najgorsze, co może się przytrafić podczas procesu o morderstwo, to rodzina, która straciła zaufanie do policji i wymiaru sprawiedliwości. Z drugiej strony, kiedy oficer śledczy zjawi się zbyt wcześnie, zastanie bliskich zmarłego w szoku; łatwo wtedy wszystkich spłoszyć.

Poprzedniego dnia zadzwonił po południu do Nathana Wylera, aby zaproponować, że porozmawia z nim i całą rodziną. Ustalili, że najlepiej będzie spotkać się nazajutrz rano. Wylerowie musieli poinformować Simona o tym, co zaszło. Spędzić trochę czasu w rodzinnym gronie. Greene zapowiedział się na dziewiątą.

Przyjechali z Danielem Kennicottem do Woodhill, niedużego miasta na północny zachód od Toronto. W mowie snobistycznych mieszczuchów było to tak zwane „zapadłe pogórze”. W drodze Greene i Kennicott przekazali sobie nawzajem wszystko, czego się ostatnio dowiedzieli.

- Sekcja zwłok była prosta - powiedział detektyw. - Siedem ran kłutych, brak obrażeń świadczących o samoobronie, przyczyna zgonu: wykrwawienie. Rany zadane narzędziem podobnym do noża

kuchennego, który zabezpieczyliśmy. Śmiertelne okazało się skaleczenie na szyi, które otworzyło tętnicę szyjną. Wykrwawił się błyskawicznie, według lekarza sądowego wszystko trwało najwyżej cztery minuty.

- Przejrzałem dokumenty rozwodowe - podjął Kennicott. - Jego żona mocno się wściekała. Jej e-maile to były już niemalże groźby. Pisała, że wbił jej nóż w plecy i ostrzegła, że „inni też mają noże”.

Greene widział już niejedną paskudny rozwód, który kończył się kolejną rozprawą, tym razem karną.

- Jest coraz gorzej - mruknął. - Ludzie nie umieją rozstać się z klasą. A co ustalili domokrażcy? - Chodziło o funkcjonariuszy, którzy mieli przepytac sąsiadów Wylera i powęszyć w Yorkville, gdzie swoją kancelarię miał adwokat rodzinny jego żony.

- Nikt z sąsiedztwa niczego nie widział. Zresztą niewielu mieszkańców było w ogóle w domu.

- Nic dziwnego, tam żyją ludzie, którzy w środku lata są na wakacjach.

- Za to poszcęściło się nam w Yorkville. Znaleźliśmy właściciela sklepu... - Kennicott wyciągnął notes, przewrócił parę kartek. - Nazwisko: Allan Rupert. W branży od sześćdziesiątego ósmego roku. Jego sklep nazywa się Francja-elegancja. Sprzedaje markowe, eleganckie męskie koszule. Był w pracy wcześniej, bo zaczął się już przygotowywać do festiwalu filmowego i jesiennego naboru do uczelni. Na progu kancelarii Feindla zauważył skuloną kobietę. Rasa biała, ciemne włosy, lat w przybliżeniu trzydzieści. Znają się z Feindlem, obaj pochodzą z Anglii, często zaglądają do pobliskiego pubu, żeby obejrzeć mecz piłki nożnej.

- O której to było?

- Parę minut przed siódmą. Zapamiętała, bo zawsze słucha serwisu BBC o pełnej godzinie.

- A więc Samantha Wyler dała nóż Feindlowi. To dlatego DiPaulo mógł przekazać mi go tak szybko. Ale w jaki sposób dotarła do śródmieścia?

- Nie ma jej na nagraniach z metra. Nie pamięta jej żaden taksówkarz ani kierowca autobusu z linii kursujących w tej okolicy. Pustka.

W miastach na „zapadłym pogórzcu” ulice są szerokie, kwartały rozległe, a chodniki wąskie albo w ogóle ich nie ma. Greene nigdy nie widział w Woodhill choćby jednego drzewa, tylko beton, supermarkety i jak okiem sięgnąć - ani jednego pieszego. Rozległe osiedla pełne domów jednorodzinnych miały krzykliwe kamienne bramy i pretensjonalne nazwy, w których musiało znaleźć się słowo „rezydencja”, „posiadłość” albo nawet „włości”. Billboardy wołały głośno o „rekordowych sprzedażach” i „upływających wkrótce” terminach „niezwykle atrakcyjnych ofert”, a dookoła nich stały wysokie maszty obwieszane proporczykami i balonami. Ciekawe, myślał Greene, kto pierwszy wpadł na pomysł, że baloniki i kolorowe flagi zachęcą kogoś do wdepnięcia hamulca, wyjścia z samochodu i kupienia nowego domu.

- Czego się dowiedziałeś o Wylerach? - zapytał.

- Sprawdziłem całą rodzinę w CPIC - odparł Kennicott. Za tym skrótem kryła się nazwa Kanadyjskiego Centrum Informacji Policyjnej. - Znalazłem tam ojca braci, Williama Wylera. Dwa razy podawano go do sądu. Najpierw był farmer, z którym się pokłócił w hurotowni, a potem pracownica, którą rzekomo zdybał na zapleczu i zmusił do odbycia stosunku.

- I co?

- Dwa razy NW.

Skrót „NW” w policyjnym żargonie oznaczał „niewinny”.

- A to niespodzianka... - mruknął z przekąsem Greene.

- Kilka lat temu jego żona wezwała do domu policję. Był pijany i rzucał wszystkim, co mu wpadło w ręce. Żona nie zgłosiła pobicia, a policjanci nie stwierdzili żadnych obrażeń. Uspokoił się, kiedy przyjechał Nathan, najstarszy syn.

- Każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój własny sposób - skomentował Greene, wjeżdżając na osiedle domów jednorodzinnych Fieldstone Forest, gdzie mieszkał Nathan Wyler.

Był to istny labirynt krętych uliczek. Minirezydencja Wylera stała przy takiej, która zakreślała pętlę; oprócz niej znajdowały się tam jeszcze dwa domy, tak samo ogromne. Greene zaparkował swojego oldsmobile'a na podjeździe, gdzie stały już cztery lśniące czystością samochody. Potężny cadillac nosił na tablicy rejestracyjnej napis SWIEZE1, czarny lexus - SWIEZE2, zgrabny mercedes ze znakiem niepełnosprawnego na przedniej szybie - SWIEZE3, a furgonetka w firmowych barwach - SWIEZE4. Tylko ten ostatni wóz miał transponder, mocowane na przedniej szybie urządzenie dla częstych użytkowników płatnej autostrady numer czterysta siedem, prowadzącej na przedmieścia Toronto.

Trawnik przed domem był starannie wypielęgnowany, a przystrzyżone kłomby obsadzono jednorocznymi kwiatami w nudnych barwach podstawowych. Na plastikowej nóżce stała tam tabliczka z napisem: „*Ranny Ptaszek* - cotygodniowa pielęgnacja zieleni. Poniedziałek, 17 sierpnia, godz. 5.00”. Pod spodem biegła lista około dwudziestu różnych zabiegów, którym poprzedniego dnia poddano trawnik Wylerów.

Greene pochylił się, przyjrzał uważnie. Ciekawe, co cię omija, kiedy sam kosisz trawnik kosiarką spalinową, pomyślał, czytając listę. Obok obrazka przedstawiającego drozda, który wyciąga z ziemi robaka, widniało powiadomienie: „Następna wizyta specjalistów naszej firmy: poniedziałek, 24 sierpnia, 5.00”.

Detektyw podejrzewał, że żadne z Wylerów ani razu nie zadało sobie trudu, aby rzucić na ziemię choćby jedno ziarnko, skosić trawę, wyrwać chwasty albo zgrabić liście. Jediną oznaką prawdziwej przyrody było cykanie świerszczy.

- Detektyw Ari Greene, wydział zabójstw - podał rękę zwalistemu facetowi, który otworzył drzwi.

Pamiętał go sprzed wielu, wielu lat. Kiedy był w ostatniej klasie liceum, przez kilka miesięcy chodzili na te same zajęcia; młody Wyler wyleciał wtedy akurat z jakiejś ekskluzywnej prywatnej szkoły. Był z niego prawdziwy drań - miał zwyczaj stawiać na swoim i rządzić się, jak tylko mógł.

- Nathan Wyler - przedstawił się Greene'owi. - Miło mi. - Wyciągnął dłoń do Kennicotta. - Przepraszam, że wczoraj tak się uniosłem, kiedy był pan u mnie.

- Proszę nie przepraszać - odparł policjant. - Śmierć brata to straszna tragedia.

- Dziękuję, że przyjechali panowie do nas. To bardzo wiele znaczy dla moich rodziców.

Idąc za gospodarzem w głąb domu, Greene myślał, że ludzki umysł to ciekawy mechanizm; po dziś dzień zapamiętał charakterystyczny, ociężały chód najstarszego Wylera, jego masywne, przygarbione barki, sterczącą wysoko ponad nimi głowę. No i tamten dzień, kiedy pobili się w stołówce.

Nathan chodził do szkoły dopiero kilka tygodni.

- *Green* się inaczej pisze*. Bez e na końcu - powiedział przy stole do grupy swoich klakierów. Na cały głos. Greene, który wtedy był jeszcze chudy jak patyk, siedział kilka krzesel dalej.

* *Green* (ang.) - zielony (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- Jak Hitler nie dał rady cię załatwić, to możesz pisać, jak ci się podoba - poinformował Wylera spokojnym głosem. - A twój stary co robił, jak była wojna? Inni za niego walczyli, a on ciułał kasę na sałacie i pomidorach?

Nathan łypnął na niego, wściekły, ale ciągnął dalej:

- Już rozumiem. To nie ma być e, tylko y. *Greeny*. - W miejskim slangu oznaczało to świeżo przybyłego, czyli „zielonego” emigranta.

Ledwie skończył mówić, Greene złapał dzbanek ponczu owocowego i chlusnął w jego stronę, a potem błyskawicznie wskoczył na stół, rzucił się na Wylera, chociaż przeciwnik był od niego sporo większy i zaczął okładać go z całej siły pięściami. Nigdy wcześniej i nigdy później nikogo nie uderzył.

Nawet teraz, po tylu latach, rozpoznałby tego człowieka, nie widząc twarzy, od tyłu, po samym sposobie poruszania się. A jednak, był tego pewien, Nathan Wyler go nie pamiętał.

- Wszyscy czekają w salonie - rzucił, prowadząc policjantów

dalej. Podłoga w korytarzu była z jasnych, wyszorowanych do połysku desek, a spiralne schody, sięgające obu pięter domu, mieściły się w obszernej rotundzie, biegnąc wokół potężnego żyrandola wiszącego pod sufitem. Salon znajdował się obok klatki schodowej. Dookoła niskiego kwadratowego stolika stały tam trzy olbrzymie kanapy; wszystkie miejsca były zajęte.

- Detektyw Ari Greene i posterunkowy Kennicott - powiedział Nathan Wyler, a szmer rozmów zamarł w jednej chwili. - Moi kuzyjni. - Wskazał kanapę po lewej. - Moja żona Harriet i jej przyjaciele. - Skinął w kierunku środkowej, po czym zatrzymał wzrok na kanapie z prawej strony stolika.

- Moi rodzice i brat Jason.

Greene od razu podszedł prosto do rodziców.

Pani Wyler wstała. Detektyw uściskał jej rękę. Była zaskakująco wysoką kobietą, ciemnowłosą, z jednym siwym kosmykiem po lewej stronie głowy. Palce i dłonie miała zimne.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy - zapewnił ją Greene.

- To jest po prostu nie do pomyślenia. - Jej urzekająco zielone oczy, takie same jak oczy jej najstarszego syna, były mętne od smutku.

- Żałuję, ale niestety nie mogę państwa w żaden sposób pocieszyć. - Greene zawsze stronił od wyświechtanych formułek w stylu „Współczuję państwu tej ogromnej straty”, jakie zaleca się na policyjnych szkoleniach.

Pan Wyler stanął obok żony, wyprostowany sztywno.

- Kolana mam w rozsypce - rzucił wyjaśniająco. - Całe życie targałem skrzynki z warzywami.

Był to zwalisty mężczyzna kłocowatej postury; od razu rzucało się w oczy, że Nathan wdał się w ojca. Nosił buty na grubej gumowej podeszwie, zapewne ze względu na słabe nogi. W jego ciemnych oczach czaił się chłód.

- Mów mi Bill. - Podał Greene'owi dłoń, ale minę miał obojętną. - To zawsze była największa obawa mojej żony: że będzie musiała pochować któregoś ze swoich synów.

- Mój ojciec też to przeżył - odparł detektyw. Na szkoleniach zawsze powtarzali, że w rozmowie z rodzinami ofiar nie porusza się tematów osobistych, ale on systematycznie puszczał takie rady mimo uszu. W takiej sytuacji najlepiej być sobą - takie było jego zdanie.

Jako trzeci w tym złowieszczym orszaku powitalnym ustawił się średni z braci Wylerów, Jason. Od reszty rodziny odróżniał go niski wzrost. Z wysiłkiem podniósł się z kanapy, balansując na dwóch wysłużonych metalowych laskach. Greene wiedział od Kennicotta, że ten człowiek mieszka tutaj, w domu swojego brata, na parterze. Cierpiał na rdzeniowy zanik mięśni, rzadką chorobę genetyczną spowodowaną zwyrodnieniem komórek rdzenia kręgowego.

- To jest nasz syn Jason. - Pani Wyler nie spuszczała z niego oczu.

- Witam, panie detektywie. - Głos mężczyzny był głęboki, lecz dało się zauważyć, że mówienie przychodzi mu z trudem. Chwyciwszy jedną laskę pod pachę, z niespodziewaną siłą uściśnął Greene'owi dłoń. Nogi miał słabe i wątle, ale w rękach i ramionach kryła się energia. - W niedzielę wszyscy byliśmy u Terry'ego na kolacji - powiedział.

- Jesteście państwo sobie bliscy, jak widzę - odparł detektyw.

- I to bardzo - wtrącił Nathan Wyler, który wciąż stał obok niego.

- Przygotowaliśmy świetne jedzenie - dodał Jason.

- Moi chłopcy lubią gotować - wyjaśniła pani Wyler.

- Ja zrobiłem vichyssoise, chłodnik z porów - pochwalił się Jason. - Nathan przyniósł genialną paprykę z upraw ekologicznych.

- Wszystko robimy razem. Kłócimy się też razem - powiedział Nathan. - Siadaj, Jason. - Zerknął na brata wspartego chwiejnie na swoich laskach, po czym odwrócił się do Greene'a: - Słuchamy, co nam pan powie?

Usiedli. Podczas pierwszych spotkań z rodziną najgorsze było to, że wszyscy rozpaczliwie chcieli się czegoś dowiedzieć, a detektyw nie miał zazwyczaj zbyt wiele do powiedzenia. Greene zawsze

mówił wprost, unikał też policyjnego żargonu. Przyklęknął przed panią Wyler, aby móc spojrzeć jej w oczy.

- Odkąd znaleziono zwłoki pani syna, pracujemy przez okrągłą dobę. - Nigdy nie owijał w bawełnę, a ludzie to szanowali. - Powiem państwu wszystko, co wolno mi powiedzieć.

Przez kolejnych dziesięć minut przekazywał im niektóre ze szczegółów, jakie udało się do tej pory ustalić: Terrance leżał martwy na podłodze w kuchni, znalazła go opiekunka Simona, na ciele stwierdzono liczne rany klute - nie podał, ile dokładnie - a przyczyną śmierci była utrata krwi. Nie wspomniał, że Terrance i Samantha w niedzielę wieczorem pisali do siebie e-maile, ani o tym, że w nocy Samantha była w pokoju Simona, ani też o zakrwawionym nożu.

- Kiedy pani Ocaya przyszła do pracy, Simon jeszcze spał - wyjaśnił, patrząc na panią Wyler. - Wywieźliśmy go z domu, zanim zjechali się dziennikarze.

- Dziękuję panu - skinęła głową. - Simon siedzi teraz w piwnicy. Arceli go pilnuje. Odkąd wczoraj wieczorem Nathan powiedział mu, co się stało, bez przerwy bawi się pociągami, nie chce robić nic innego. - Spojrzała na swojego kalekiego syna. - Jason pojechał do Terrance'a, a jeden z młodych policjantów wyniósł z domu kolejkę Simona.

Nathan Wyler, który w dalszym ciągu tkwił u boku Greene'a, zamachał energicznie rękami.

- A co z Samantha? - zapytał. - Wszyscy wiemy, że groziła Terry'emu.

- Kiedy ją aresztujecie? - dodał pan Wyler, wykrzywiając usta w gniewnym grymasie.

- Nie chcę widzieć tej kobiety w pobliżu mojego wnuka - zaznaczyła pani Wyler. - Nigdy więcej.

Greene spodziewał się takiego wybuchu. Cała sztuka polegała na tym, aby zachować spokój. Postanowił sobie, że zanim kogokolwiek aresztuje, najpierw przesłucha jak największą liczbę świadków.

- Wiem, że to trudne - powiedział - ale muszą państwo uzbroić się w cierpliwość.

- Cierpliwość? - powtórzył pan Wyler z wyzywającym błyskiem w swoich zimnych oczach. - To nie jest nasza rodzinna cecha.

- Dlatego właśnie przyjechaliśmy dzisiaj spotkać się z państwem - wyjaśnił Greene. - Chcemy jak najszybciej popchnąć sprawę do przodu. Musimy porozmawiać z każdym z państwa osobno. Zajmie to przypuszczalnie cały dzień.

Zajrzał Williamowi Wylerowi w oczy i nie odwracał wzroku, dopóki spojrzenie mężczyzny nie skierowało się w inną stronę.

21.

Śpisz?

Daniel Kennicott leżał z półprzymkniętymi oczami. Zawsze spał przy otwartym i odsłoniętym oknie, więc widział, że na zewnątrz jest jeszcze ciemno. Kiedy obudził go niespodziewany telefon, myślał, że to Jo Summers. Dzwonił do niej w ciągu dnia i zostawił wiadomość na poczcie głosowej, ale nie odpowiedziała. Teraz jednakże poznał po dzwonku, że to detektyw Greene.

- Nie całkiem - mruknął. - O co chodzi?

- Uzupełniłeś wieczorem sekwencję wydarzeń? Uwzględniłeś nowe informacje?

Kennicott pstryknął włącznikiem lampki na nocnym stoliku. Za piętnaście piąta. Czy ten Greene w ogóle nie sypia? Sekwencję wydarzeń układało się w miarę postępów w śledztwie. Kennicott zapisywał zeznania każdego świadka w osobnym notatniku, tworząc z nich chronologiczną listę.

- Tak... - Przetarł dłonią twarz. Kiedy zaczynał karierę prawniczą, jego zwierzchnik, Lloyd Granwell, wspólnik w kancelarii, gdy wypadła jakaś ważna sprawa, był dokładnie taki sam jak Greene. Czy dzień, czy noc, pędził człowieka do roboty. „Masz do tego smykałkę, Daniel”, powiedział mu kiedyś. „Zauważasz takie rzeczy, które większości ludzi nie przysłyby nawet do głowy”.

- To dobrze. - Głos Greene'a w słuchawce nie był ani trochę zaspany. Typ nie do zdarcia, zupełnie jak Granwell. - Spotkamy się za pół godziny w piekarni Caldense, na Dundas West, w Małej Portugalii. Otwierają o piątej.

- Wiem, gdzie to jest. - Kennicott oparł się pokusie i nie zapytał, dlaczego nie mogą się spotkać na komendzie. Greene zawsze umawiał się z nim w jakiejś knajpie czy kawiarni, zawsze w innym miejscu. I zawsze znał właściciela, a nawet umiał zamienić z nim parę słów w jego ojczystym języku.

Z początku Kennicott nie mógł rozgryźć, po co mu to właściwie, ale teraz, po czterech latach służby w policji, zrozumiał, że Greene ma w głowie własną, osobistą mapę Toronto, którą systematycznie uzupełnia o nowe, nieznanne szczegóły.

Pół godziny później zjawił się w Caldense Bakery, miejscu, które różniło się zasadniczo od pierwszej lepszej piekarni. Na żółtoniebiesko-białej podłodze stał tam tuzin kwadratowych stolików, a w rogu grał, a właściwie ryczał, telewizor nastawiony na portugalską stację; kiedy Kennicott stanął w drzwiach, akurat jakaś para w czarnych strojach tańczyła tango. Na długiej ladzie za szybą leżały świeże wypieki, ciasta, desery, plastry wędlin i sera do kanapek oraz podeschnięte parówki. W osobnej przeszklonej szafce wyłożono na półkach torty weselne i urodzinowe.

Greene siedział pod oknem w towarzystwie tysego mężczyzny w czarnej koszuli i czarnej kamizelce - wszystko pod kolor smolistego wąsa. Przy kasie stało kilku facetów w bluzach z emblematem związku zawodowego budowlanców Local 183. Na nogach mieli ogromne robocze buciorzy, rozsznurowane na górze. Zamawiali kawę i wszyscy mówili po portugalsku. Przekrzywiony zegar wiszący na ścianie wskazywał dokładnie kwadrans po piątej.

- Posterunkowy Kennicott - przedstawił Greene - to jest pan Miguel Oliviera, perła wśród piekarzy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział ze śpiewnym akcentem Oliviera, mocno ściskając dłoń Kennicotta.

- Częstuj się. - Greene wskazał stojący przed nim talerz, na którym leżał przecięty na pół rogalik. - Świeży - dodał.

- Cappuccino? - zapytał właściciel lokalu.

Kennicott usiadł.

- Chętnie, poproszę.
- A dla pana detektywa oczywiście herbata - powiedział Oliviera. - Kupuję mu ją specjalnie. Jedna paczka starczy na cały rok.
- *Obrigado** - powiedział Greene i odczekawszy, aż szef piekarni oddali się na odległość głosu, zagadnął Kennicotta: - Mam pytanie dotyczące sekwencji wydarzeń. W niedzielę rodzina Wylera była u niego na kolacji. O której wyszli?

* *Obrigado* (portug.) - dziękuję.

- Kolacja skończyła się około jedenastej...
- A wcześniej, wieczorem, noże służyły im tylko do siekania świeżych warzyw od Wylerów na vichysoisse - wpadł mu w słowo Greene.

Kennicott spojrział na telewizor, gdzie jakiś zespół grał piosenkę Black Eyed Peas „I Got a Feeling”, ale po portugalsku. Słowa: *Tonight's gonna be good night...*** zabrzmiały mu w głowie, zupełnie nieproszone.

** *Tonight's gonna be a good night* (ang.) - ta noc będzie piękna.

- I co było dalej? - zapytał Greene.
- Po pożegnaniu z rodziną Terrance wysłał do swojej adwokatki e-maila z potwierdzeniem, że nie przyjmie warunków Samantha. A potem, o dwunastej trzydzieści pięć, napisał do żony, że jednak się zgadza i zaprosił ją do siebie. Ona odpisała, że będzie za pół godziny. Sprawdziłem tę odległość na własnych nogach. Od niej do Terrance'a idzie się piętnaście minut.

- Dobrze. - Greene przełknął kęs rogalika. - Weź sobie jeszcze trochę. Dla mnie są za ciężkie i za słodkie.

Kennicott ugryzł kawałek. Greene miał rację. Smakowało jak posłodzone surowe ciasto.

Detektyw uniósł ostrzegawczo dłoń, widząc, że zbliża się pan Oliviera, niosąc zastawioną tacę.

- Bardzo proszę, panowie - powiedział, zatrzymując się przy stoliku. - Herbata ziołowa raz. - Kiedy stawiał blaszany dzbanek

przed Greene'em, zmarszczył nos, udając niesmak i przerażenie. - I jedno pyszne cappuccino. - Kennicott dostał szklankę z czapą białej piany, hojnie posypanej wiórkami czekoladowymi; było ich tyle, że spadły aż na spodeczek, również biały.

Wypił jeden łyk. Kawa była słodka i wodnista. Kiedy zostali sami, podjął temat:

- O dwunastej trzydzieści siedem Terrance zawiadomił e-mailem Anitę Starr, że przyjmuje warunki Samantha, która zaraz ma się zjawić u niego w domu. To była ostatnia wiadomość, którą wysłał. Starr przeczytała ją dopiero rano.

- Opiekunka Simona słyszała, jak Wylerowie kłócili się w niedzielę przy kolacji, dobrze pamiętam? - zapytał Greene.

Kennicott cofnął się o kilka kartek.

- Nathan twierdził, że kampania reklamowa na billboardach, pomysł Terrance'a, jest droga. Terrance dodatkowo chciał, aby firma sponsorowała przyjęcie na nadchodzącym festiwalu filmowym, tak jak w zeszłym roku. Tam właśnie spotkał po latach April Goodling. Wszyscy zgodnie się temu sprzeciwili.

Greene nalał sobie herbaty do białej filiżanki.

- Zawsze cieknie, cholerstwo - powiedział, kiedy pod dzbankiem wyrosła mokra plama. Wytrzeł stół serwetką i dzielnie przełknął jeszcze jeden kęs rogalika. A może ściągnął mnie tutaj, pomyślał Kennicott z rozbawieniem, żebym mu pomógł przy tych portugalskich wypiekach?

- Hamdi, mój kumpel z kancelarii, gdzie kiedyś pracowałem, zrobił dla mnie badanie stanu prawnego rezydencji Nathana Wylera. Hipoteka jest obciążona aż po dach.

- A facet ma trzecią żonę - przypomniał sobie Greene.

- Firma chyba też ma kłopoty.

- Dziad mieszkał w pałacu, wnuk mieszka pod mostem.

- Dobrze powiedziane.

- To nie moje słowa. - Greene pokręcił głową. - Tak się często dzieje. Pierwsze pokolenie zakłada firmę, drugie ją rozwija, a trzecie

przepuszcza cały majątek. Nathan jest splukany, a jego młodszy brat szasta forszą na prawo i lewo.

- W poniedziałek, o piątej dziesięć rano, Nathan wysłał Terrance'owi e-maila z życzeniami powodzenia w sądzie. „Chociaż się kłócimy, to i tak cię kocham”. Tak brzmiało ostatnie zdanie.

- Mógł to zrobić z wyrachowania. Facet ma charakter. - Greene wskazał rogalik leżący przed Kennicottem. - Dojadaj.

Młody policjant przełknął z wysiłkiem grudę ciasta, popijając ją wodnistą kawą. W telewizji leciał właśnie wybór najlepszych momentów różnych meczów piłki nożnej, a każdy gol budził dziką wrzawę zarówno wśród kibiców, jak i wśród graczy na boisku.

Greene wyjął własny notes i coś w nim zapisał.

- Mamy lukę. Mniej więcej cztery i pół godziny.

Kennicott sprzątnął jeszcze kawałek rogalika.

- Od dwunastej czterdzieści do piątej dziesięć. Od ostatniego e-maila Terrance'a do Anity Starr do wiadomości Nathana Wylera, na którą nie było już odpowiedzi. Czy lekarz sądowy podał godzinę zgonu?

- Nie wierz telewizji - pouczył go Greene. - Tego się nie da dokładnie ustalić. Zwłoki były już zimne. Jedzenie w żołądku. Mógł nie żyć od dwóch, trzech, czterech godzin. Nie wiadomo.

- Z czym więc zostaliśmy?

- Z wielką czarną dziurą. - Greene przekartkował swój notes. - Nathan Wyler... Co ci powiedział? O której przyszedł do pracy?

Kennicott też zajrzał do swoich notatek.

- Około trzeciej rano.

- Pamiętasz tę furgonetkę w firmowych barwach, która stała przed jego domem? - zapytał Greene.

- Tę z rejestracją SWIEZE4? Widziałem ją w hurtowni żywności, dwa dni temu, kiedy przyjechałem przekazać mu wiadomość o śmierci brata. - To dopiero dwa dni, pomyślał Kennicott. Niecałe czterdzieści osiem godzin, a ja już się czuję tak, jakbym przez długie tygodnie wnikał w życie Terrance'a Wylera.

- Doskonale. - Greene wyjął komórkę i wybrał numer pod klawiszem skrótu. - Mówi Greene. Kto się zajmuje rejestracją ruchu na płatnych autostradach? - Odsunął słuchawkę od ust, wciąż trzymając ją przy uchu. - Furgonetka Nathana - wyjaśnił Kennicottowi - to jedyny samochód w rodzinie, który miał za szybą transponder. Czyli facet korzysta z autostrady czterysta siedem. Chcę się dowiedzieć, o której na nią wjechał i o której z niej zjechał.

- Uważasz, że gniewał się na brata za rozrzutność i...

Detektyw uciszył go, unosząc dłoń i z powrotem zbliżył telefon do ust.

- Proszę sprawdzić, w jakich godzinach samochód o tych numerach był na czterysta siódemce - powiedział do słuchawki.

- Na kiedy? Na już. Dziękuję.

Kennicott nie mógł wyjść z podziwu, że o takiej porze Greene jest całkowicie przytomny. Rzucił okiem dookoła. W telewizji zaczął się jakiś program o gotowaniu, a szef kuchni robił kruche ciasto na tartę. W niekończącej się kolejce po poranną kawę wśród mężczyzn pojawiła się pierwsza tego dnia kobieta: starsza pani, która kupiła trzy bochenki białego chleba.

Greene znów odsunął telefon od ust.

- Na czterysta siódemce fotografują każdą tablicę rejestracyjną, niezależnie od tego, czy pojazd ma transponder, czy nie - powiedział Kennicottowi - więc możemy ustalić, kiedy dowolny samochód nią jechał i na jakim odcinku się pojawił.

Uniósł palec, przełożył telefon na miejsce i zanotował coś na kartce.

- W porządku, dziękuję - rzucił do słuchawki i się rozłączył.

Kennicott spojrział na to, co zapisał Greene, usiłując przeczytać rząd cyfr do góry nogami.

Detektyw spojrział na niego z błyskiem w oku.

- Wyler pojawił się na czterysta siódemce o pierwszej piętnaście. Jechał na wschód. Pamiętaj, że wszystkie niepłatne autostrady były zamknięte, bo tej nocy mieliśmy trzy morderstwa. Tylko że

gdyby wybierał się do Ontario Food Terminal, to wybrałby zjazd na wysokości szosy numer czterysta dwadzieścia siedem, a on jechał dalej na wschód, aż do Yonge Street. Był na zjeździe o pierwszej czterdzieści dwie.

- Yonge Street - powtórzył Kennicott. - To blisko domu Terrance'a.

- Zgadza się - przytaknął Greene - ale Samantha mieszka jeszcze bliżej.

Kennicott poczuł nagły przyływ adrenaliny. Zrozumiał, czym jest praca w wydziale zabójstw. Na ekranie telewizora pojawili się politycy wygłaszający płomienne przemówienia okraszone przesadną gestykulacją; była to transmisja z obrad portugalskiego parlamentu. Greene rzucił na stolik dwadzieścia dolarów.

- Idziemy - zakomenderował.

Kennicott wstał, ale detektyw powstrzymał go gestem.

- Dokończ rogalik.

Na talerzu został jeszcze jeden kawałek. Kennicott wrzucił go do ust, obejrzał się; Greene był już za drzwiami.

22.

Kiedy Ari Greene miał dwadzieścia kilka lat, wyjechał do Izraela. Spędził tam całe lato: spotkał się z dalekimi krewnymi swojej matki i przez kilka tygodni pracował w kibucu na pustyni Negew. Tam poznał młodą kobietę imieniem Natalia, która uciekła samotnie ze Związku Radzieckiego wraz z pierwszą falą żydowskiego exodusu. Piękna i zagadkowa, była chyba największą manipulatką, jaką Greene spotkał w całym swoim życiu. Bawili się razem świetnie. Gdy lato dobiegło końca, Greene wrócił do siebie, a pół roku później Natalia zjawiała się niespodziewanie w domu jego rodziców. Chciała wyjść za niego, aby móc osiedlić się w Kanadzie. Kiedy odmówił, zrobiła mu potworną awanturę, a potem zniknęła, lecz pojawiła się jeszcze, i to w najmniej oczekiwanym momencie.

Na zawsze zapadł mu w pamięć dzień, kiedy po raz pierwszy zabrał Natalię do kanadyjskiego sklepu spożywczego. Nigdy więcej już nie widział, żeby ta kobieta straciła panowanie nad sobą i dała się ponieść emocjom. Tak podzielał na nią widok jedzenia, świeżego jedzenia, którego było mnóstwo, pełne półki, regał za regałem. Natalia zaczęła biegać po sklepie w tę i z powrotem, nie mogąc uwierzyć, że to jej się nie śni, aż wreszcie z płaczem rzuciła się Greene'owi na szyję. Przez tyle lat żyła w nędzy, a teraz nagle znalazła się w świecie, gdzie niczego nie brakuje.

Myślał o niej, idąc alejami olbrzymiego Ontario Food Terminal, przypatrując się tej masie produktów żywnościowych, chłonąc barwy i zapachy. To właśnie było codzienne wyzwanie ludzkiej egzystencji:

wydobyć pokarm z ziemi i przygotować go do spożycia.

Znalazłszy sklep Wyler Foods, zobaczył długi stół, a za nim Nathana przebierającego w skrzynkach pełnych świeżych owoców i warzyw, przynoszonych partiami przez jednakowo ubranych pracowników. Greene przystanął, chcąc przyjrzeć mu się przy pracy.

Palce najstarszego Wylera tańczyły po każdej tacce z towarem niczym dłonie pianisty po klawiaturze. Niemalże każdy podsunięty produkt spotykał się z zajadłą, jazgotliwą krytyką, gęsto przetykaną niecenzuralnym słowem.

Zza kasy wyszła rudowłosa, hojnie obdarzona przez naturę dziewczyna. Firmowy uniform Wyler Foods ciasno opinał jej wdzięki.

- W czym mogę pomóc? - zapytała Greene'a.
- Przyszedłem porozmawiać z panem Wylerem.
- Detektyw Greene? Co pan tam robi? - zawołał donośnym głosem szef. - Proszę tutaj. Paulette, przyprowadź pana.

Greene podszedł do stołu, wyciągając rękę. Wyler uściśnął mu dłoń.

- Angelo, zastąp mnie na chwilę - polecił jednemu ze swoich licznych asystentów. - Detektyw Greene prowadzi śledztwo w sprawie Terrance'a. Musimy się przejść.

- Nie byłem pewien, czy zastanę pana dzisiaj w pracy - powiedział Greene.

- To jest właśnie branża spożywcza - odparł Wyler, wyprowadzając go ze sklepu. - Zawsze w ruchu. Tak nas wychowano.

- Surowe życie.

- Innego nie znam. - Zwalisty facet wzruszył ramionami. - Ale to, co ma być jutro, bynajmniej mi się nie uśmiecha.

- Nikt nie lubi pogrzebów.

- Może na cmentarzu to do mnie dotrze, bo na razie nie mogę uwierzyć, że młody nie żyje.

Greene szedł obok niego bez słowa. Zza rogu wypadł wózek elektryczny, Kierowca zatrąbił w ostatniej chwili. Odskoczyli na bok.

Jeszcze zanim doszli do wyjścia, Wyler wyciągnął paczkę papierosów.

- Pali pan? - zapytał.
- Próbowałem w liceum, ale rzuciłem.
- Mądrze - parsknął Wyler. Na zewnątrz zapalił, ale przedtem obrzucił detektywa uważnym spojrzeniem. - Do którego liceum pan chodził?

Greene wsunął dłonie w kieszenie swojej lekkiej wiatrówki.

- Marlee High.

Wyler zaciągnął się mocno.

- Greene przez *e* na końcu. Zgadza się?
- To ja.
- Założę się, że poznał mnie pan od razu.
- W moim zawodzie dobrze mieć pamięć do twarzy.

Kolejny kłęb dymu uleciał w powietrze.

- Miał pan niezły cios.
- Jest pan pierwszą i ostatnią osobą, którą w życiu uderzyłem.

Wyler roześmiał się głośno.

- Podobało się to panu chociaż?
- Wie pan co? - Greene też się zaśmiał. - Tak. - Wyjął dłonie z kieszeni.

- Coś nowego? - zapytał Wyler.
- Jeszcze nie. Chciałem porozmawiać o pana branży.
- Trzeba się gryźć ze wszystkimi. - Odpowiedź była krótka. - Chodźmy coś zjeść.

Zaprowadził Greene'a do brudnego baru w kącie korytarza. Przewadziła go para starych ludzi, którzy wyglądali tak, jakby pracowali tutaj od dobrych kilku stuleci. Wyler zamówił jajka na bekonie, Greene kupił sobie słodką babeczkę.

- Branża spożywcza to teraz straszne bagno. - Szef sklepu zabrał się do jedzenia momentalnie, kiedy tylko postawiono przed nim talerz. - Jeden drugiego okrada. Sieciowe markety sprzedają benzynę, książki i AGD, a żarcie dostaniesz wszędzie: w domu towarowym,

na stacji benzynowej, w księgarni, nawet, szlag by to trafił, w aptece. I nikt na tym nie zarabia.

- Pana sklep celuje w zamożniejszą klientelę, prawda?
- Klient już nie przywiązuje się do marki. Każdy szuka okazji.
- Jak to wyglądało, kiedy Samantha i Terrance otworzyli własny sklep?

- Totalny burdel. Jeszcze tego brakowało, żeby własna rodzina robiła nam konkurencję. Samantha uważa się za spryciarę, ale ja znam wszystkich dostawców. Myśli pan, że dawali tej zoźie najlepszy towar?

- Na brata pewnie też był pan zły.

Wyler łypnął na niego czujnym okiem.

- To chyba jasne, że się wkurzyłem. Terrance'owi zawsze wszystko przychodziło bez żadnego trudu. Był najprzystojniejszy, najlepszy w sporcie. Dziewczyny za nim szalały. Ja tutaj czekam nie wiadomo na co, a on sobie wyjeżdża do szkoły w Stanach. Wraca przy forsie, kupuje dom w mieście i żeni się z Sam, która całą naszą rodzinę ma za nic.

Ludzie przy innych stolikach zaczęli się oglądać w ich stronę.

- Może wyjdziemy na zewnątrz - zaproponował Greene, wyjmując dwadzieścia dolarów i nalegając, że to on zapłaci.

Na parkingu Wyler zapalił kolejnego papierosa.

- To się nie mieści w głowie, co ona robiła z mojego brata. Mama zaprasza na niedzielny obiad, a ta w ostatniej chwili mówi, że nie idzie. Wynajduje jakąś głupią wymówkę, żeby zostać w domu z Simonem i Terry musi przyjechać sam. Żałosne.

- Słyszałem, że pokłócił się pan z nim na kolacji w niedzielę.

Wyler aż zatrząsł się od śmiechu, kołysząc szerokimi barkami.

- A kiedy myśmy się nie kłócili? Prowadzimy rodzinny interes. Terry uważał, że zawsze na wszystko starczy pieniędzy. Na reklamę, na przyjęcia na festiwalu filmowym. Można wyliczać i wyliczać.

Na końcu parkingu Greene dostrzegł ławkę.

- Co pan robił w poniedziałek rano? - zapytał neutralnym tonem, kiedy do niej doszli i usiedli.

Wyler rozejrzył się dookoła. Chyba dopiero teraz dostrzegł, że znalazł się z detektywem zupełnie sam na sam.

- Nie wiem. Pojechałem do pracy.

Greene spodziewał się takiej wymijającej odpowiedzi. Pół godziny wcześniej, wjeżdżając na teren Ontario Food Terminal, sprawdził pewne informacje u ochroniarza w bramie.

- Przyjechał pan tutaj o trzeciej zero siedem - powiedział. To było ważne: podejrzany musi mieć świadomość, że dużo się o nim wie. Niech się zastanawia, niech zgaduje.

- Aha - mruknął Wyler, rozdeptując niedopałek na asfalcie.

- W nocy jedzie pan tutaj z domu... pół godziny?

- Najprostszą drogą - dwadzieścia cztery minuty.

- Którędy najszybciej? Chyba czterysta siódmką?

- O tak, płacę kupę szmalu, żeby być pięć minut wcześniej w robocie.

- Ale w poniedziałek, o pierwszej czterdzieści dwie, dojechał pan aż do Yonge Street. Kolejny zjazd jest już niedaleko domu Terrance'a.

- Wiem o tym.

- A jeszcze bliżej domu Samantha.

Nathan Wyler wyjął z paczki kolejnego papierosa, trzasnął zapalniczką, zaciągnął się dymem.

- Ja to mam szczęście... - prychnął.

- Myślał pan, że się nie dowiem?

Wyler rozejrzył się po parkingu.

- Po tym jak tamten młody gliniarz przyjechał powiedzieć mi, że Terry został zamordowany, kompletnie wyleciało mi to z głowy. Pewnie byłem w szoku.

- Wyleciało panu z głowy, że był pan u bratowej...?

- Co? - Wyler rzucił papierosa na ziemię, przydeptał go energicznie. - Zwariował pan? Ja u Samantha? Moja rodzina nie odezwie się do tej jędzy do końca świata. Byłem u rudej.

- Jakiej rudej?
- Paulette. Tej, co stoi na kasie. Niech pan nie mówi, że jej pan nie przyuważył.

Wydarzenie tej wagi, jaką ma morderstwo, powoduje, że czas staje w miejscu, a wszyscy wokół zamierają jak na gigantycznej stop-klatce. I zawsze ktoś musi być poszkodowany, tego nie da się uniknąć. Wyszło na to, że Nathan Wyler został przyłapany in flagranti, i to bardzo dosłownie.

- Proszę mnie posłuchać. Jesteśmy z Harriet dopiero sześć lat po ślubie. Nie chciała podpisać interczy. Kolejny rozwód mnie wykończy. - Spojrzał na Greene'a niemalże błagalnym wzrokiem, a detektyw przypominał sobie, co Kennicott mówił o jego długach. - Wynająłem dla niej mieszkanie w bloku. Zostawiam samochód w podziemnym garażu. Blok jest nowy, za czynsz płacę tysiąc dolarów miesięcznie. Mają tam kamery i inne takie bajery... - Wyciągnął portfel i wydułubał spod skórzanego skrzydełka kawałek plastiku. - To jest moja karta do drzwi. Rejestruje każde wejście i wyjście. Wyszędłem stamtąd mniej więcej za dziesięć trzecia. Pamiętam, bo słuchałem wiadomości sportowych o pełnej godzinie. W nocy jadę do domu niecałe dwadzieścia minut.

Greene wziął od niego kartę.

- To wszystko, czy powinienem wiedzieć coś jeszcze?
- Przy naszej ulicy stoją trzy domy. Kiedyś wszystkie należały do nas. Rodzice mieszkali z jednej strony, Jason z drugiej. Musieliśmy je sprzedać. Teraz cała rodzina gnieździ się pod jednym dachem, a hipoteka wyłazi mi bokiem.
- A te wasze wypasione samochody?
- Ha! - zarechotał najstarszy Wyler. - Wszystkie na kredyt, z takim procentem, że niech pan nie pyta. Kiedyś każdy miał transponder, teraz tylko furgonetka. Nie stać nas nawet na głupią autostradę. Ogrodnik i inne takie pierdoły - wszystko na pokaz. Ojciec jest cholernie dumny. Gdyby ludzie się dowiedzieli, to chyba by się przekręcił.

Greene przypomniał sobie, jak raz jego ojciec próbował pojechać czterysta siódmką. Było to w zimie, po śmierci żony. Chciał odwiedzić dawnego znajomego i zgubił się kompletnie, a podróż skończył w rowie, o centymetry rozmijając się ze słupem. Greene zagroził, że zabierze mu prawo jazdy, ale po długich negocjacjach ojciec zgodził się jeździć wyłącznie w dzień i nigdy nie pchać się na autostradę.

Wypadek to jedno, ale jakby tego było mało, starszy Greene nie miał pojęcia, że na czterysta siódmce działają skanery, które automatycznie odczytały jego tablicę rejestracyjną. Kiedy dwa miesiące później dostał rachunek na kwotę siedmiu dolarów i pięćdziesięciu siedmiu centów, był szczerze oburzony.

Relacja Nathana Wylera była łatwa do potwierdzenia. Detektyw wsunął kartę do kieszeni.

- Sprawdzę pańskie alibi - powiedział.
- Jeśli to wyjdzie na jaw, mam przerąbane. - Wyler znów sięgnął po papierosa, ale paczka była już pusta. - Dom przypadnie, to na pewno. Mnie jest wszystko jedno, mogę mieszkać byle gdzie, ale mam rodziców, chorego brata, a teraz jeszcze małego bratanka. Gdzie oni się podzieją?

23.

Daniel Kennicott nie odrywał oczu od stojącej przed ołtarzem trumny, w której spoczywał Terrance Wyler. To Greene kazał mu przyjść do kościoła.

- Idź tak, jakbyś szedł na pogrzeb, a uszy i oczy miej otwarte - polecił. Kennicott zdawał sobie sprawę, że to ma być próba. Detektyw chciał sprawdzić, czy potrafi myśleć.

Tymczasem on myślał, owszem, ale głównie o Jo Summers. Nie mógł się powstrzymać. Nagrał jej się we wtorek rano, ale nie odzwo niła, a wczoraj, kiedy był w pracy, zostawiła mu enigmatyczną wiadomość:

Daniel, przepraszam, że się nie odezwałam po twoim telefonie. Coś mi wypadło i teraz przez jakiś czas nie będę mogła z tobą rozmawiać. W tej chwili nie mogę wyjaśnić, o co chodzi. Może za kilka tygodni.

Długa przerwa. Czyżby się rozpląkała?

Przeżywam teraz fatalny okres. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą. To znaczy, z tobą i ze mną. Z nami. Proszę, nie dzwoń do mnie.

I to był koniec.

Słuchał tej wiadomości na okrągło i nawet teraz jej echo brzmiało mu w uszach. Koncentracja, upomniał się, otwierając cienką książeczkę, którą wziął ze stolika, wchodząc do kościoła, TERRY WYLER: SYN, BRAT, OJCIEC, głosił napis na pierwszej stronie. Ani słowa o tym, że przez pięć lat ten człowiek był także mężem. W środku zamieszczono jego zdjęcia: z matką na żaglówce, w kuchni, przy

gotowaniu, z łyżką w dłoni i malutkim Simonem na ramieniu. Był też grupowy portret rodzinny, ale bez Samantha. Nie było jej też zresztą na żadnym innym zdjęciu, a we wspomnieniu zmarłego, dwustronicowym tekście pełnym banałów - lubił żeglować, gotować, kochał rodzinę i przyjaciół, a najbardziej ze wszystkich swojego synka Simona - jej imię nie pojawiło się ani razu.

Przez ostatnich kilka dni Kennicott napatrzył się na Terrance'a Wylera, bo jego twarz widniała na okładce każdej gazety w mieście. Miał dziwne wrażenie, że kiedyś spotkał się z nim osobiście, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

Kościół powoli się zapełniał, a gwar rozmów przybierał na sile. Nikt by się nie domyślił, że wszyscy ci ludzie przyszli na pogrzeb. Szczególnie głośne były jakieś kobiety siedzące tuż za Kennicottem.

- Powiedz, rozumiałaś kiedyś, co Terry właściwie w niej widział? - zapytała jedna z nich.

Młody policjant odwrócił się, udając, że spogląda w stronę wejścia. Kobieta miała grubą szyję i pulchne ręce.

- Ładna to ona jest - przyznała jej towarzyszka, niska i ciemnowłosa - ale jaka ograniczona...!

- Widziałaś ją kiedyś w klubie? - zapytała ta pierwsza, tęga.

- Ani razu - padła odpowiedź.

- Idą - wtrąciła trzecia kobieta. - Patrzcie.

Kennicott skierował wzrok tam, gdzie one. W drzwiach do kościoła zebrała się grupka ludzi. W kilka sekund zapanowała cisza, jakby na zatłoczone ławki opadła spod wysokiego sufitu jakaś niewidzialna sieć. Organy zagrały nieco głośniejsze, podkładając miękkie, wdzięczne tło dla tej sceny.

Jako pierwsi kroczyli państwo Wylerowie, surowi i poważni. Znac po nich było wielkie wyczerpanie. Za nimi postępowali dwaj bracia: Jason, wsparty na swoich dwóch łaskach, stąpał powoli, ale z niezłomną stanowczością, Nathan górował nad nim, tocząc dookoła wściekłym spojrzeniem. Dalej szła Harriet, żona Nathana, oraz kuzynostwo; Kennicott pamiętał ich z wizyty, którą złożył w domu

Wylerów razem z Greene'em.

Kiedy rodzina zajęła miejsca w pierwszej ławce, w drzwiach kościoła pojawiła się Samantha Wyler. Była ubrana w czarną sukienkę bez dekoltu, podkreślającą jej smukłą szyję. Biała jak kreda twarz odcinała się mocno od ciemnych włosów, szesanych do tyłu i ciasno ściągniętych. Kobieta patrzyła prosto przed siebie, na trumnę przed ołtarzem. Obok niej szedł mężczyzna, po którym na pierwszy rzut oka było widać, że jest jej bratem, jednakże chociaż ogólnie był podobny do Samantha, prezentował się daleko mniej efektownie niż ona. Miał na sobie tani garnitur, za mały o co najmniej jeden numer, a kołnierzyk koszuli ciasno opinał mu szyję. Pewnie od wielu lat już się tak nie stroił, pomyślał Kennicott. Brat i siostra szli obok siebie, ale się nie dotykali.

Kennicott rzucił okiem w stronę pierwszej ławki, gdzie siedzieli Wylerowie. Tylko Jason się obejrzał; spiorunował byłą bratową wściekłym spojrzeniem, po czym odwrócił się z powrotem.

Ksiądz odczekał, aż wszyscy zajmą miejsca i dopiero wtedy wstał. Nabożeństwo było długie, a w kościele, nabitym do granic możliwości, panował nieznośny upał. Kiedy ceremonia dobiegła końca, Kennicott powoli wyszedł wraz z tłumem na zewnątrz i odnalazł swój samochód, który stał prawie na samym końcu długiego rzędu pojazdów zaparkowanych przed kościołem; każdy z nich miał zatknięty za maskę znak z napisem „Pogrzeb”.

Orszak pogrzebowy przejechał przez śródmieście, eskortowany przez policjantów na motocyklach. Kiedy skręcił w Mount Pleasant Avenue, biegnącą stokiem wzniesienia na południe, Kennicott zauważył drugą kolumnę pojazdów, nadjeżdżającą z naprzeciwka, również zmierzającą na cmentarz, przed którego bramą w jednej chwili zrobił się korek.

Samochody jadące przed nim zaczęły parkować na poboczu, a ich pasażerowie wysiadali, dalej idąc pieszo. Kennicott zatrzymał się, wyskoczył z wozu i popędził na wiadukt biegnący ponad cmentarzem.

Zatrzymał się w jego najwyższym punkcie, czyli w połowie i wychylił przez betonową barierkę z podwójną metalową poręczą. Około piętnastu metrów poniżej przechodziła ścieżka, a z jej lewej strony znajdował się otwarty grób. Nieruchome powietrze dławilo upałem.

Policjant dotarł na miejsce w samą porę. Tylne drzwi karawanu stały otworem, a trumna spoczywała już na ramionach ośmiu żałobników. Za nią szli państwo Wylerowie oraz Jason. Samantha Wyler i jej brat trzymali się z daleka.

Kennicott usiłował skupić się na tym, co ma przed oczami. Nie myśleć o tamtych dwóch pogrzebach, o swojej własnej rodzinie, która odeszła tak szybko. Przebiegł wzrokiem po tłumie otaczającym grób.

- Dzień dobry, panie posterunkowy - rozległ się kobiecy głos.

Obejrzawszy się, zobaczył Margaret Kwon, dziennikarkę z Ameryki, która dała się poznać podczas szybkiej konferencji prasowej zorganizowanej na poczekaniu przed domem Terrance'a Wylera. Teraz robiła zdjęcia teleobiektywem.

- Witam, pani Kwon. - Odwrócił od niej wzrok.

- Domyślałam się, że nie pochwała pan tego, co robię, ale taką już mam pracę. Nie uważa pan, że pogrzeby to temat dla prasy? - Kwon podrzuciła aparat do oka. Migawka trzasnęła krótką serią.

- Na pogrzebie mojego brata byłem dokładnie odwrotnego zdania - powiedział.

Dziennikarka opuściła aparat.

- Przepraszam. I dodam, choć zabrzmiałoby to jak oklepany frazes, że szczerze panu współczuję. - Chwyciła swoją torbę, przeskoczyła na drugą stronę wiaduktu i zbiegła po schodach.

Kennicott powrócił do obserwacji pogrzebu. Na chwilę przed tym, jak Kwon odezwała się do niego, zauważył w tłumie pewną kobietę, a właściwie jej długie włosy, upięte wysoko na czubku głowy. Przez chwilę żałował, że dziennikarki już nie ma; mógłby pożyczyc od niej aparat i przyjrzeć się bliżej przez teleobiektyw. Jednakże

po chwili kobieta odwróciła się w jego kierunku, a on poznał ją natychmiast. To była Jo Summers.

Wiedział już, dlaczego Terrance Wyler wydawał mu się znajomy. W grudniu, kilka dni przed Bożym Narodzeniem, zupełnie przypadkowo spotkał Jo Summers na College Street. Towarzyszył jej nie kto inny, a najmłodszy z braci Wylerów; szli na kolację, a Kennicott zastanawiał się, czy nie łączy ich romans. Przypomniał sobie przeglądając niedawno broszurkę pogrzebową i zdjęcia Wylera na żagłowie. Jo miała w domu podobny portret: ona i jej ojciec na pokładzie jachtu, dumnie dzierżący w dłoniach puchar, który mógł być tylko nagrodą w regatach. Sędzia Summers zawsze bardzo się chlubił swoją żeglarską pasją.

Być może Samantha Wyler nigdy nie bywała „w klubie”, pomyślał Kennicott, ale wszystko wskazuje na to, że Jo Summers znała to miejsce, i to dobrze. Tam też musiała poznać Terrance'a. Zrozumiał wreszcie jej zachowanie. Spotykała się z żonatym mężczyzną, który teraz został zamordowany. To dlatego powiedziała, że przeżywa fatalny okres.

Ich spojrzenia przez chwilę krzyżowały się z daleka. Kennicott wiedział już, czemu Jo postanowiła go unikać. Spędzili razem noc z niedzieli na poniedziałek, kiedy to Terrance Wyler, jej potajemny kochanek, zginął zakłuty kuchennym nożem. On, Daniel Kennicott, był jej alibi. A żeby takiego alibi nie można było podważyć, należało zerwać wszelkie kontakty.

A więc to tak, pomyślał Kennicott. Prawda czy wyzwanie?

24.

Po śmierci żony Ted DiPaulo nie doświadczał już na pogrzebach żadnych emocji. Stały się dla niego koniecznością, jak okulary do czytania, których musiał używać, odkąd skończył czterdzieści pięć lat.

Tego dnia miał jednak niezłą wymówkę. Lauren, jego córka, w piątek miała ostatni egzamin z angielskiego, a on już dawno obiecał jej, że w czwartek bierze wolne i pomoże jej z lekturą „Snu nocy letniej”. Ale że od pójścia ze swoją klientką na pogrzeb Terrance'a Wylera nie mógł się wykręcić, należało zdobyć się na kompromis i tak DiPaulo był w kościele, ale na cmentarz już nie pojechał. Popędził do domu, bo obiecał córce, że wróci przed południem.

Pierwszy premier Kanady, sir John A. Macdonald, mawiał, że mieszkańcy tego kraju rozumieją pewną prawdę, tę mianowicie, że dobry kompromis oznacza, iż każda ze stron będzie odrobinę niezadowolona. I tak właśnie dla DiPaulo zaczął się ten dzień: Lauren nie chciała się do niego odzywać, kiedy wstała, a Samantha Wyler nie chciała go puścić, kiedy się z nią żegnał.

Dotrzymał słowa: zajechał na podjazd kilka minut przed dwunastą. Wbiegając na werandę, stanął jak wryty, zauważywszy białą kartkę niedbale przyklejoną taśmą do drzwi. Ostatnie schodki pokonał powoli i zerwał papier.

*Tato
Idę do Fran*

się uczyć

L

Nic więcej. Ani „Całuję, Lauren”, z uśmiechniętą buźką nad *u*, tak jak pisała w podstawówce. Ani *xxx ooo*, co oznacza buziaki i uściski - tak podpisywała wszystkie listy z kolonii. Nawet imię skróciła do jednej litery.

Po wejściu do domu powitała go nieruchoma, głucha cisza. Marzył tylko, żeby wreszcie ściągnąć z siebie ciemny garnitur, ten uniform śmierci. Rozluźnił węzeł krawata pod szyją.

- O, tato, wróciłeś.

Lauren zbiegła po schodach; jej długie czarne włosy powiewały wokół twarzy. Zupełnie jak u mamy, pomyślał DiPaulo, już chyba po raz setny. Przez dobre parę lat jego córka nosiła krótkie włosy, zapuściła je niedawno, w zimie.

- Jeszcze nie ma południa - powiedział.

- Fran do mnie zadzwoniła. Chce się razem uczyć.

- Myślałem, że cię nie ma. - Machnął trzymaną w dłoni kartką.

- Zapomniałam komórki. Fran mówi, że ta sztuka w sztuce nie ma sensu, wiesz, kiedy Spodek jest osłem.

- Zjesz coś?

- Idziemy do Pizza Pizza. Abdi, Leonard i Kamil też będą z nami. - Dziewczyna zmarszczyła brwi, a na policzku, jak zwykle, pojawił jej się dołeczek. - W tej sztuce kobieta dostaje wielką władzę nad dwoma mężczyznami tylko dlatego, że ci mają oczy zasypane pyłem. Do ciebie to trafia?

- To jest komedia romantyczna.

Lauren zerknęła na wyświetlacz komórki.

- Dzwoniła do ciebie jakaś Chiara. Przez telefon była miła.

Chiara odezwała się do niego we wtorek. Umówili się na kawę w sobotę. Dzieci zapewniały go, że chcą, aby spotykał się z kobietami, ale chociaż siliły się na luz, coś jednak wciąż zgrzytało. Po prostu bardzo długo byli sami, tylko we trójkę.

- To moja znajoma - poinformował córkę.

- Dzięki, że mi wczoraj pomogłeś, tato. Zrozumiałam nareszcie, o co chodzi z tym Pukiem.

Cmoknęła go w policzek i tyle ją widział. Młody człowiek potrafi zniknąć jak Houdini. Wszystko odbyło się tak szybko, że przez chwilę spoglądał jeszcze na ściskaną w dłoni kartkę i nie wiedział, czy mu się zdawało, czy naprawdę przed chwilą widział się z córką.

A potem nagle zerwał się z miejsca i popędził na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wbiegł do pokoju z oknem wychodzącym na ulicę, rozsunął żaluzje i wyjrzał na zewnątrz, odprowadzając Lauren wzrokiem; po czterech, pięciu krokach jej plecy zniknęły mu z oczu.

I znowu przytłaczająca cisza uderzyła go w uszy. Ostatnio, kiedy zostawał sam, puszczał sobie muzykę na cały regulator. Dzięki synowi wciągnął się w słuchanie grunge'u i zakochał po uszy w Kurcie Cobainie.

W ciszy rozległo się jakieś brzęczenie. Mucha wleciała do domu - taka była jego pierwsza myśl. Po chwili jednak dotarło do niego, że to komórka wibruje mu w kieszeni. Wyłączył dzwonek w kościele.

Weź się w garść, rozkazał sobie.

- Ted DiPaulo - powiedział do słuchawki, tak jakby odbierał telefon w kancelarii.

- Ted, mówi Ari Greene.

Głos detektywa był poważny. Adwokat nieraz już słyszał taki ton u gliniarzy. I zawsze oznaczało to, że gliniarz ma do przekazania jakąś złą wiadomość.

- Cześć, Ari. - Jego własny głos zrobił się głuchy i bezbarwny.

- Musimy aresztować twoją klientkę.

- Rozumiem. - DiPaulo odetchnął głęboko.

- Dałem wam cztery dni, ale Samantha Wyler nie przedstawiła alibi.

- Ostrzegałem ją, że tak może się skończyć. - DiPaulo wolał nie odpowiadać na to wprost. - Przywiozę ją jutro rano, około szóstej. Nie sprawi wam żadnych kłopotów.

W słuchawce zapadła cisza.

- Nie mogę czekać tak długo - powiedział wreszcie Greene. - Musiałem ostro się postawić, żeby nie zgarnęli jej z cementarza. Przywieź ją na komendę przed czternastą, bo inaczej będę musiał wysłać radiowóz.

Tylko spróbuj, a dziennikarze zlecą się z całego miasta, pomyślał DiPaulo, a na głos powiedział:

- Samantha wraca już chyba do domu.

- Przyjechała dwadzieścia minut temu - odparł Greene. Przekaz był jasny: twoja klientka jest pod obserwacją. Śledzą ją pewnie od samego początku.

- Jej syn mieszka u opiekunki. Nie widziała się z nim jeszcze ani razu. - DiPaulo wyjrzał jeszcze raz na ulicę, którą zaledwie chwilę wcześniej szła jego córka. - Adwokat rodzinny jutro wybiera się do sądu, żeby spróbować załatwić jej prawo do widzeń.

Greene westchnął. Słyszał, że bije się z myślami.

- Mogę się zgodzić tylko na takie rozwiązanie - zaczął. - Jedź do niej i zabierz ją do mieszkania opiekunki. Ja pojedę za wami nieoznakowanym samochodem. Znajdziemy sobie spokojny kąt w holu na parterze i tam ją aresztuję, a potem pójdziemy na górę i będzie mogła posiedzieć piętnaście minut z synem. Tylko uprzedzam, że nie wolno mi zostawić ich samych.

- Dzięki - powiedział adwokat. Rozłączył się i zaciągnął krawat z powrotem.

Tego mi trzeba, pomyślał, to jest to. Duży, głośny proces o zabójstwo z premedytacją. Wszystkie chwytaki dozwolone. A sen? Do diabła ze snem.

Uznawszy, że zasłużył na pięć minut dla samego siebie, zbiegł po schodach, włączył płytę Nirvany, tak głośno, że głośniki wieży aż zawyły, i zaczął skakać po pustym salonie, udając, że gra na gitarze - wypisz wymaluj młody Tom Cruise w „Rzyzkownym interesie”.

- Pokażcie nam widowisko! - wrzasnął na całe gardło razem z Cobainem.

25.

Pani Wyler, wie pani, po co tu jesteśmy - powiedział Ari Greene. Nie było to pytanie. Znajdowali się w holu domu, gdzie mieszkała Arceli Ocaya. Obok detektywa stał Kennicott, który przyjechał wcześniej, żeby znaleźć to miejsce.

Samantha Wyler przyszła w spodniach i niebieskiej koszuli z kołnierzykiem. Lewą dłoń trzymała kurczowo zaciśniętą na nadgarstku prawej, jakby już była zakuta w kajdanki. Ramiona miała sztywno wyprostowane. Obok czekał Ted DiPaulo. W garniturze.

- Wiem. Ted wszystko mi przekazał - odpowiedziała, zarzucając głową, aby odgarnąć włosy z czoła.

Tik nerwowy, pomyślał Greene.

- Posterunkowy Daniel Kennicott - przedstawił, wskazując młodszego policjanta - będzie mi asystował.

Wyler drżała na całym ciele.

Greene natychmiast położył jej dłoń na ramieniu. Ścisnął delikatnie. Aresztując podejrzanego, zawsze go dotykał. W dotyku było coś głęboko ludzkiego.

- Pani Samanto Wyler, mam obowiązek poinformować panią, że zostaje pani zatrzymana pod zarzutem dokonania zabójstwa z premedytacją. Ofiarą tej zbrodni był pan Terrance Wyler.

Uniosła pięść do ust i z całych sił zacisnęła zęby na środkowym palcu. Oddychała pospiesznie, ale ani na chwilę nie spuściła oczu z Greene'a, który przystąpił do odczytania jej praw zatrzymanego. Kiedy skończył, opuściła rękę.

- Będą kajdanki? - zapytała. - To mój pierwszy raz.
- W tej chwili nie ma takiej potrzeby - odparł detektyw.

Ale już niedługo będzie, dodał w myślach.

- Pójdziemy teraz na górę - mówił dalej. - Będzie pani mogła spędzić piętnaście minut ze swoim synem. Pod moją kontrolą. Nie wolno pani rozmawiać z nim o tym, co się stało.

- Wiem, wiem. - Wyler zaczęła kiwać głową, raz za razem. - Ted wszystko mi wyjaśnił. Dziękuję panu za to.

Ruszyli do windy, nie mówiąc już ani słowa. W mieszkaniu Arce-li Ocaya panował idealny porządek, co było niezwykle, biorąc pod uwagę ogromną ilość rzeczy, które musiały się zmieścić na bardzo ograniczonej przestrzeni. Wszystko lśniło czystością. Tak samo wyglądał dom Wylera, kiedy ona tam pracowała, pomyślał Greene. W przedpokoju urządzonej kuchni: był tam zlewozmywak, płyta grzewcza, nieduża lodówka, a na małym stoliku pod oknem - jedynym w tym pomieszczeniu - stał okrągły elektryczny garnek do gotowania ryżu. Przeciwległy kąt kuchni zajmował wysoki, okrągły pojemnik z niebieskiego, przezroczystego plastiku.

Greene od lat widywał podobne pojemniki w różnych mieszkaniach, ale zawsze robiły na nim takie samo wrażenie. Rodziny imigrantów, zazwyczaj harujących w dwóch miejscach za najniższe stawki, gnieździły się w mikroskopijnych kłitkach gdzieś na zapyzia-łych peryferiach, ale mimo to potrafiły jakoś zacisnąć pasa i oszczędzić tyle, żeby wysłać do domu taką olbrzymią beczkę pełną rozmaitego dobra: były tam i puszki, i ubrania, i baterie, zabawki, narzędzia i przeróżne urządzenia.

Wszedł dalej, a za nim Samantha i DiPaulo. Kennicott został przy drzwiach. Billy, pies Simona, zaszczekał. Greene podrapał go za uszami. Chłopiec, który bawił się w pokoju, zobaczył mamę i przybiegł, żeby rzucić się jej na szyję.

- Mamusiu, to nie jest twój tydzień - powiedział, nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych dorosłych tłoczących się w małej przechodniej kuchni.

Samantha Wyler przytuliła głowę synka do piersi.

- W przyszłym tygodniu nie będę mogła cię zabrać - wyjaśniła.
- Muszę na trochę wyjechać.

- Aha. - Simon wykręcił się z jej uścisku i chwyciwszy za rękę, zaprowadził do pokoju. Greene oparł się o kuchenkę, tak żeby ich widzieć. Simon podniósł z podłogi klocek. - Śpię na tej kanapie - poinformował mamę. - Wygodnie mi tu.

Samantha pocałowała go w głowę, z całej siły zaciskając zęby.

Simon pokazał jej książeczkę zatytułowaną „Ciuchcia Puf-Puf”.

- To dla małych dzieci - tłumaczył - ale umiem już przeczytać niektóre słowa.

- Jestem z ciebie dumna. - Musnęła palcami jego włosy.

- Arceli je dużo ryżu. Ten ryż zostaje mi między zębami.

Greene rzucił okiem na DiPaulo, Kennicotta i Ocayę, którzy starali się nie wychylać nosa z kuchni. Wskazał kran i uniósł dłoń do ust, jakby trzymał w niej szklanekę. Arceli błyskawicznie podała mu wodę.

- Dziękuję - szepnął.

Kwadrans upłynął w okamgnieniu. Samantha musiała wyczuć, że czas się już kończy, bo kiedy Greene już miał wejść do pokoju, nagle chwyciła synka w objęcia.

- Muszę już iść - powiedziała, wygładzając mu obiema dłońmi koszulę, którą pogmiotła, gdy go przytuliła.

Greene obejrzał się na Kennicotta oraz DiPaulo, gestem polecił im wyjść na korytarz.

- Pa pa. - Simon pożegnał się z mamą.

Samantha Wyler stężała na całym ciele. Sztywna jak manekin wyszła z mieszkania. Arceli Ocaya wsunęła się do pokoju i przytuliła Simona.

Greene też ruszył w kierunku drzwi.

- Mamusiu! Mamusiu! - zawołał chłopiec. Wyrwał się opiekuńce i przemknąwszy obok detektywa, chwycił mamę za nogę. - Znalazłaś mojego Tomka?

- Tomka? Lokomotywę? - Wyler odwróciła się do niego. Oczywiście miała pełne łez. - Nie, nie znalazłam.

- Zgubił się. Wujek Jason obiecał, że pojedzie do domu taty i poszuka. Może on go znajdzie.

- Mam nadzieję, że tak.

Greene zbliżył się do nich.

- Policjanci też go poszukają.

Samantha spojrzała na niego z wdzięcznością i podziękowała bezgłośnie, samym ruchem ust.

- Policja zawsze wszystko znajdzie - powiedział Simon.

- I złapie każdego, kto zrobił coś złego, prawda, mamusiu?

Samantha położyła mu dłoń na głowie, nie spuszczać oczu z Greene'a.

- Kiedy ktoś zrobi coś złego, policjanci zawsze bardzo się starają go złapać - odparła - ale nawet oni mogą się mylić.

- Wcale że nie. To są przecież policjanci. - Simon obejrzał się na Greene'a. - Prawda?

Detektyw przyklęknął, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

- Przytul mamusię, ale tak bardzo, bardzo mocno.

Chłopczyk przywarł do niej z całej siły, jak każde dziecko, kiedy nie chce się pożegnać.

CZEŚĆ DRUGA

Wrzesień

26.

Występując przed Sądem Najwyższym na rozprawach dotyczących poważnych przestępstw, takich jak morderstwo, kanadyjski prawnik odziewa się w czarną togę, białą koszulę i biały żabot. Jest to tradycja odziedziczona po angielskim wymiarze sprawiedliwości. Ted DiPaulo uwielbiał ją w każdym calu - od świeżej, wyprasowanej koszuli, przez złote spinki do mankietów aż po donośny szmer długich pól togi, doskonałe podkreślenie jego rosnącej sylwetki.

W dziedzinie prawa tradycja dyktuje absolutnie wszystko, łącznie ze strojem prawnika. DiPaulo od wielu lat nosił honorowy tytuł Queen's Counsel, czyli radcy królewskiego, przysługujący członkom palestry o najdłuższym stażu. Tytuł ten w praktyce nie ma już większego znaczenia. Jediną pozostałością dawnego statusu radców królewskich jest pewien subtelny szczegół odróżniający ich togę od innych. Toga młodego stażem prawnika ma na lewym ramieniu wąską wstęgę, która na pierwszy rzut oka nie służy do niczego. Człowiek spostrzegawczy zauważyłby jednak, że pod tą wstęgą, na samej górze, kryje się nieduża szczelina; tam klient może dyskretnie wsunąć pieniądze. Toga radcy królewskiego jest zupełnie gładka, bez żadnych schowków na gotówkę. Powód? Pan radca nie zawraca sobie głowy rzeczą tak błahą jak należności.

Ostatnie nerwowe minuty przed dziesiątą rano, kiedy sąd rozpoczyna pracę, adwokat spędza w przebiegalni, plotkując z kolegami i zapinając wszystkie guziki oraz żabot. Dla postronnego obserwatora ta scena nie byłaby pozbawiona nawet pewnej wytworności, ale

rzeczywistość prezentuje się zgołą inaczej: atmosfera, która tam panuje, jest dokładnie taka sama jak przed walką w szatni dla bokserów. W poniedziałki zawsze jest ruch. Każdy adwokat ze sprawą na wokandzie musi na początku tygodnia stawić się w sądzie.

DiPaulo czuł mocne napięcie. Od aresztowania Samantha Wyler minęły już ponad trzy tygodnie. Za kilka minut miał wkroczyć na ring i stanąć do pierwszej rundy: rozpatrzenia wniosku o zwolnienie za kaucją. Z pionowej szafki wyciągnął niebieski aksamitny pokrowiec odzieżowy podpisany trzema białymi, zamasyżycie zakręconymi literami: TLD. To były jego inicjały - na drugie imię miał Lando. Wyjął swoją togę i ułożył ją na długim stole pośrodku zatłoczonego pomieszczenia.

- Co masz dzisiaj? - zagadnął go szczupły mężczyzna o blond włosach z ciemniejszymi pasemkami. Był to zdolny adwokat nazwiskiem Clarke Whittle, znany z tego, że zawsze nosił efektowne okulary, których miał, zdawało się, dziesiątki par.

Jak większość adwokatów, Whittle uwielbiał plotkować. „Co masz dzisiaj?” - to było jedno z dwóch pytań najczęściej zadawanych w przebieralni. Oznaczało tyle: Po co przyszedłeś do sądu? Na rozpatrzenie wniosku o kaucję, rozprawę wstępną z udziałem sędziego czy na właściwy proces?

- Kaucję - odpowiedział DiPaulo od niechcenia, jakby prowadził pierwszą lepszą sprawę. - Dla oskarżonej o zabójstwo.

Whittle zdjął swoje najnowsze okulary, w oprawkach z drewna i metalu, przetarł je specjalną szmatką.

- A kogo dostałeś?

To było drugie najpopularniejsze pytanie: jaki sędzia przewodniczy twojej rozprawie? Poranne rozmowy adwokatów zazwyczaj kręciły się wokół sędziów, sędziowskich dziwactw, ich mocnych stron, oczekiwań w stosunku do adwokatów i dosłownie wszystkiego, co tylko można było powiedzieć na ten temat.

- Norville - odpowiedział DiPaulo, rozpinając swoją niebieską koszulę. Lubił występować w todzie również z tego powodu, że

mógł przyjść do sądu w swobodnym, sportowym ubraniu; nie musiał z samego rana wbijać się w garnitur i dusić krawatem.

- Sędzina Drżąca Pęcina - prychnął Whittle. - Dobrze, że to nie na mnie trafiło.

DiPaulo rozpiął dzinsy, powiesił jej w szafce i wciągnął urzędowe spodnie z materiału w czarno-szare prążki.

- Miły jesteś - mruknął.

Sędzia Irene Norville otrzymała powołanie do pełnienia urzędu przed dwoma laty. Przedtem była adwokatem rodzinnym w małej przeciętnej kancelarii i nie miała żadnego doświadczenia w prawie karnym. Jej drugi mąż, wspólnik w kancelarii ze śródmieścia, z mocnymi plecami w Partii Konserwatywnej, przeprowadził ostrą kampanię lobbingsową, aby załatwić żonie tę posadę. Krążyły plotki, że gdy na rozprawie pojawiał się jakieś skomplikowane prawne zagadnienie, pani sędzia dzwoni do niego po radę, a nawet zleca młodszemu pracownikom jego firmy wywiad prawny, bo wstydzi się poprosić o coś takiego bardziej doświadczonych sędziów.

W praktyce oznaczało to, że sędzia Norville zawsze umiała znaleźć pretekst, aby zarządzić przerwę w posiedzeniu, czym doprowadzała do białej gorączki zarówno adwokatów, jak i prokuratorów. DiPaulo odkrył, że najlepszym sposobem na ten brak pewności siebie jest zarzucenie sędzi precedensami dotyczącymi nawet najbardziej przyziemnych spraw.

Razem z wnioskiem o zwolnienie za kaucją złożył w sądzie grubą teczkę z dokumentami, gdzie każdy właściwy ustęp był podkreślony żółtym flamastrem. Liczba orzeczeń pozwalających oskarżonym o morderstwo współmałżonka opuścić areszt za kaucją była doprawdy zaskakująca. Niemalże sto procent tych przypadków stanowiły niekarane kobiety - właśnie takie jak Samantha.

DiPaulo szybko wypił kawę w przyległej sali, po czym usiadł sobie w cichym kącie, wyciągając czysty blok do notowania. U siebie w kancelarii miał dwa pudła dokumentów, a do sądu przyszedł z

teczką wypchaną po brzegi notatkami przedprocesowymi, ale przed rozprawą lubił wszystko odłożyć i wypisać sobie kluczowe kwestie na jednej stronie. Przez długie lata powtarzał młodym prawnikom: jeśli nie wystarczy ci jedna strona, to znaczy, że nie znasz swojej sprawy.

Na szczycie pustej strony napisał: „Samantha Wyler, z d. Frankland, rozpatrzenie wniosku o zwolnienie za kaucją, 14 września”.

I dalej:

PLUSY

Matka, jedno dziecko, syn Simon, lat 4

Niekarana, nigdy nie weszła w konflikt z prawem (uwaga - nie można powiedzieć „nigdy nie interesowała się nią policja”, ponieważ otrzymała upomnienie za niedawne zatargi z mężem: e-maile i nagrania na komórkę)

Propozycje warunków zwolnienia za kaucją:

Zamieszka u matki w Cobalt, małym mieście na północy Ontario

Będzie się meldować miejscowej policji - jeśli trzeba, to codziennie

Nie wyjedzie poza granice miasta bez wyraźnego zezwolenia policji, a nawet wtedy zawsze będzie jej towarzyszyć matka albo brat

Poprosić, żeby pozwolono jej uczęszczać do miejscowych bibliotek

Złoży paszport

Oskarżona nie składała żadnych oświadczeń - przeciwko niej istnieją tylko dowody poszlakowe. Nie można dowieść, że zakrwawiony nóż przeszedł przez jej ręce. Pytanie: czy policja może wykazać, że Sam była tamtej nocy w domu Terrance'a? Nie wiadomo - bądź ostrożny. Nie wolno dopuścić, żeby zeznawała na rozpatrzeniu wniosku o kaucję.

Sędzia Norville?

MINUSY

Brzydki rozwód

Niedawne kontakty z policją (pomimo iż nie była karana) z powodu gniewnych e-maili do męża i nagrań na jego komórkę. Duży minus

Motyw

W dniu zabójstwa miała się rozpocząć rozprawa w sądzie rodzinnym

Zazdrość o nową, sławną partnerkę męża

Złość - e-maile, nagrania - patrz wyżej

Opieka nad dzieckiem?

Brak alibi. Nie złożyła oświadczenia - czyli miała i motyw, i sposobność.

Sędzia Norville?

Skończył pisać, ale nie ruszał się z miejsca. Niech czas płynie, a myśli krążą. W końcu zanotował na kartce ocenę szans powodzenia. Miał do tego celu własny szyfr; nigdy nie pisał żadnych cyferek, bojąc się, że klient je zauważy. Zamiast tego posługiwał się datami wyboru kolejnych amerykańskich prezydentów z dwudziestego wieku. Obróciwszy kilka razy pióro w palcach, napisał „FDR 2”. Franklin Delano Roosevelt rozpoczął swoją drugą kadencję w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. I to by się mniej więcej zgadzało: DiPaulo miał około trzydziestu sześciu procent szans, czyli jedną na trzy, że uda mu się wyciągnąć Sam z aresztu.

Nagle coś sobie przypomniał. Wyjął z teczki cztery błyszczące fotografie zakrwawionych zwłok Terrance'a Wylera na kuchennej podłodze. Krew na piersi rozlana zygzakowato, jak pajęczyna piorunów na nocnym niebie. Adwokat skreślił „FDR-2” i napisał obok „Herbert Hoover”.

Hoover wygrał wybory w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku. To już było bliżej. Jedna szansa na cztery, pomyślał, o ile dopisze mi szczęście. Właśnie takie wyzwania lubił najbardziej.

27.

Oskarżenie wzywa pierwszego świadka: panią Arceli Ocayę - oznajmiła prokurator Jennifer Raglan, wstając zza długiego stołu, gdzie siedziała razem z detektywem Arim Greene'em.

Sędzia Norville skinęła głową ze swojego podwyższenia, demonstracyjnie otwierając czerwoną księgę i notując coś na pierwszej stronie. Olbrzymia sala rozpraw, o ścianach wyłożonych drewnianą boazerią, była nabita aż po brzegi. Pierwsze dwa rzędy ławek niemalże w całości zajęli dziennikarze, a za ich plecami kłębił się tłum widzów, w którym gdzieniegdzie mignęła prawnicza toga, bo kilku kolegów po fachu też przyszło popatrzeć.

Wylerowie siedzieli w specjalnie przydzielonej im ławce tuż za stołem dla oskarżenia, jak najdalej od Samantha i jej adwokata. Raglan spotkała się z nimi poprzedniego dnia; jak większość rodzin, gdzie ktoś umarł, byli zmartwieni i niespokojni. Najwięcej hałasu robili Nathan i jego ojciec.

- Chce pani powiedzieć, że ona ma w ogóle jakąś szansę wyjść za kaucją?! - grzmiał najstarszy z braci.

- Absurd - wtórował mu William Wyler, czerwony od gniewu.
- Dlaczego to tak długo trwa?

Byli to ludzie przyzwyczajeni do błyskawicznych decyzji i natychmiastowych wyników, więc ospały wymiar sprawiedliwości działał na nich jak płachta na byka. Szczególnie poruszony zdawał się Wyler senior.

Rodzice byli spięci, Nathan, widać to było jak na dłoni, gotował się ze złości, a Jason, jego niepełnosprawny brat, siedział z wysoko uniesioną głową, tocząc dookoła wyzywającym spojrzeniem.

Raglan przyglądała się, jak opiekunka Simona wchodzi za barierkę, zajmując miejsce dla świadka. Była to niziutka kobieta, nie wyższa niż metr pięćdziesiąt kilka. Poruszała się niepewnie, z wahaniem. W zeszłym tygodniu Raglan przyprowadziła ją do tej sali, aby czuła się mniej niezręcznie podczas składania zeznań, jednakże jej niezdecydowany krok zdradzał, że dostojne wnętrze i tłum gapiów budzą w niej czystą grozę.

Sędzia Norville przywitała Arceli Ocayę uśmiechem, jak dawno niewidzianą znajomą.

- Proszę tutaj, obok mnie. - Poklepała blat stołu sędziowskiego.

Ocaya usiadła na miejscu dla świadka i praktycznie zniknęła za wysoką barierką. Cholera, zakłęta w myślach Raglan. Nie przyszło jej do głowy, że powinna posadzić drobną Filipinkę tam, gdzie będzie zeznawać. Błąd.

Sędzia Norville zmarszczyła brwi.

- Jeśli pani woli, to może pani stać.

- Wolno stać? - zdziwiła się opiekunka.

- Oczywiście. - Norville przestała się uśmiechać i spiorunowała prokuratorkę wzrokiem, który mówił: „Jennifer, do diabła, dlaczego nie przyprowadziłaś tej biednej kobiety do sądu, żeby mogła zobaczyć, jak tutaj jest?”.

Świetny początek, skrzywiła się Raglan w myśli. Bezpośrednio pod podwyższeniem dla przewodniczącej rozprawie siedział sekretarz sądowy, łysiejący mężczyzna, który pod notatnikiem zawsze trzymał krzyżówkę albo sudoku. To on zaprzysiągł opiekunkę Simona na świadka.

- Dzień dobry, pani Ocaya - powiedziała Jennifer Raglan.

- Dzień dobry. - Filipinka miała w oczach przerażenie.

- Pamięta pani, jak przyszliśmy tutaj w zeszłym tygodniu? Pokazałam pani, jak wygląda sala sądowa. - Raglan zerknęła z ukosa

na sędzię Norville.

- Pamiętam - potwierdziła Ocaya słabym głosem. - To bardzo uprzejmie z pani strony.

- Jeszcze nigdy dotąd nie była pani w sądzie, prawda? - Prokuratorka wiedziała, że pytania do tego świadka muszą być jasne i proste.

- Nigdy w życiu nie miałam żadnych kłopotów z prawem - odparła Filipinka. - Zrobiłam wszystko, co mi kazali w urzędzie imigracyjnym i mam więcej godzin pracy społecznej, niż jest wymagane, żeby sprowadzić rodzinę do Kanady.

Raglan uśmiechnęła się pod nosem. Po niedoświadczonym świadku zawsze widać brak pewności siebie, choćby sto razy mu się mówiło, jak będzie wyglądać przesłuchanie. Jednakże Arceli Ocaya zyskiwała dzięki temu na wiarygodności. Szkoda, że nie mogłam jej sobie zachować na rozprawę, pomyślała prokuratorka.

- Pani dzisiejsze zadanie, jak na pewno pani wie, polega tylko na tym, żeby powiedzieć nam prawdę - ciągnęła dalej Raglan. - Czy jest pani w stanie to zrobić?

- Oczywiście.

Przez pół godziny prawniczka zadawała pytania, a świadek opowiadała o sobie: przyjechała do Kanady w ramach programu pracy dla opiekunek do dzieci, państwo Wylerowie zatrudnili ją, kiedy urodził się Simon, przywiązała się do chłopca, zresztą z wzajemnością, a po rozstaniu jego rodziców postanowiła zostać przy nim.

- Proszę nam opowiedzieć o pani Wyler - powiedziała prokuratorka.

- Gdy pani Wyler wyprowadziła się z domu, widywałam ją rzadko: tylko, gdy przychodziła po Simona albo odprowadzała go do domu.

Raglan czekała na dalszy ciąg. Na próbnym zeznaniu w zeszłym tygodniu opiekunka bardzo barwnie i ze szczegółami opisała Samanthę Wyler jako osobę nieprzewidywalną, impulsywną i czasami bliższą utraty panowania nad sobą. Teraz jednak się zacięła. Kobieta jej

pokroju nie lubi publicznie mówić o kimś źle, zwłaszcza kiedy ten ktoś siedzi naprzeciwko niej, i to na sali sądowej.

Zgodnie z zasadami składania zeznań Raglan nie mogła naprowadzać własnego świadka; musiał sam przedstawić swoją wersję wydarzeń. Wyszedłszy zza stołu dla oskarżenia, stanęła przy barierce, wygodnie krzyżując ramiona na piersi.

- Proszę coś powiedzieć o Simonie. Czy to grzeczny chłopiec?

- O, tak. - Bezpieczniejszy temat sprawił, że opiekunka zauważalnie się rozluźniła.

- A czy był blisko ze swoim ojcem?

Ocaya opuściła oczy, oddychając z trudem. Widać było, że szczerze to przeżywa. Mogła tylko skinąć głową.

- Arceli. - Raglan położyła dłoń na barierce. - W sądzie nie można przytakiwać gestem. Trzeba odpowiadać na głos. Wiem, że to nie jest łatwe.

- Tak. Był z nim bardzo blisko. - Odpowiedź nie była głośniejsza od szeptu. - Pan Wyler był dobrym ojcem.

- A matka Simona? - zapytała prokuratorka. - Czy była blisko z synem?

Opiekunka zerknęła na Samanthę Wyler.

- Nie. - Odwróciła wzrok z niekłamaną, całkowicie wiarygodną goryczą.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Mama Simona była wiecznie zajęta. Najpierw pracą, potem własnym interesem. Pan Wyler też ciężko pracował, ale miał czas dla synka. - Głos drobnej Filipinki nagle zabrzmiał twardo.

- Rozumiem - powiedziała prokuratorka.

- Pani Wyler ma zły charakter. Krzyczała na dziecko. Szarpała za rękę.

- Czy widziała to pani na własne oczy?

- Raz widziałam, tak. - Ocaya zadarła głowę.

Za plecami Jennifer Raglan rozległo się szurnięcie odsuwanego krzesła.

- Wysoki sędzie, muszę zgłosić sprzeciw - oznajmił Ted DiPaulo najprzymilniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Odwróciwszy się, zobaczyła, że adwokat stoi, górując nad swoją połową sali i prezentując najbardziej uroczy uśmiech, jaki miał w repertuarze.

- To jest sąd karny, a nie rodzinny - ciągnął dalej. - Moja klientka jest matką, ma trzydzieści pięć lat i nigdy nie była oskarżona o popełnienie czynu zabronionego. Nie umie prowadzić samochodu, więc nie będę się rozwodził nad bezwypadkową jazdą. Ta kobieta nie staje dziś przed sądem pod zarzutem, że czasami zdarzyło jej się przywołać swoje dziecko do porządku. Moja szanowna koleżanka doskonale zdaje sobie sprawę, że ten fakt jest całkowicie nieistotny.

W kanadyjskich sądach obrońca i oskarżyciel mogą toczyć bezwzględny spór, ale zawsze będą zwracać się do siebie per „mój szanowny kolega”.

Sędzia Norville skinęła przyzwalająco głową. DiPaulo w kilku zaledwie słowach dobitnie podkreślił swój najmocniejszy argument, czyli fakt, że jego klientka jest matką oraz że nigdy nie była karana. I jeszcze zdążył sobie mimochodem zażartować z tego, że nie umie prowadzić samochodu. Przemawiał z niezachwianą pewnością siebie, aby onieśmielić sędzię i wmówić jej, że to on jest wyrocznią w kwestii znajomości prawa, co nie było prawdą. Pytania, które Raglan zadawała świadkowi, były na granicy, ale bynajmniej jej nie przekraczały, a to właśnie sugerował jej przeciwnik.

- Wysoki sędzie - uniosła nieco głos - oskarżonej nie zarzuca się drobnej kradzieży, ale zabójstwo z premedytacją. Na posiedzeniu, które ma na celu rozpatrzenie wniosku o zwolnienie za kaucją, wszelkie zeznania dające obraz osoby oskarżonego są po pierwsze dopuszczalne, po drugie zaś istotne. Mój szanowny kolega nie wspomniał wszakże, że w ostatnich tygodniach swojego życia zamordowany otrzymał od oskarżonej, czyli jego klientki, a swojej żony, serię nieprzyjemnych e-maili oraz że nagrała mu ona na pocztę głosową liczne wiadomości utrzymane w bardzo rozdrażnionym tonie.

W całej tej tyradzie ani razu nie użyła nazwiska Samantha Wyler. Mówiła o niej „oskarżona” i „klientka”. Terrance Wyler był „zamordowanym” i „jej mężem”.

Sędzia Norville miała przerażoną minę. To były rozstrzygające informacje. Twardy orzech do zgryzienia.

Raglan wróciła do swojego stołu i wzięła z niego oprawiony w niebieską okładkę zestaw dokumentów, które złożyła do akt sprawy przed posiedzeniem.

- Jeśli wysoki sąd zechce zajrzeć pod zakładki siódmą, ósmą i dziewiątą, znajdzie tam transkrypcję e-maili z groźbami, które oskarżona wysłała swojemu mężowi w dniach od trzydziestego lipca do dwunastego sierpnia bieżącego roku.

Stanęła nieruchomo, spokojna, pewna siebie. Nie spieszyło jej się ani trochę. Poczekwała, aż sędzia znajdzie wskazaną stronę, a gdy znalazła - czekała cierpliwie dalej. Nic by jej nie kosztowało odczytanie tego na głos, osobiście, ale chciała, żeby przewodnicząca rozprawie zobaczyła e-maile oskarżonej na własne oczy.

Kiedy sędzia skończyła czytać, Raglan rzuciła niebieską okładkę na stół. Głośny trzask zapewnił jej niepodzielną uwagę najważniejszej osoby w sali rozpraw.

- Gwałtowny charakter oskarżonej jest dobrze udokumentowany - oznajmiła - i dlatego właśnie dzisiejszy świadek, wieloletnia opiekunka jej dziecka, musi złożyć przed sądem zeznania dotyczące wszelkich wybuchów złości, które zaobserwowała u swojej pracodawczyni. Pan Terrance Wyler otrzymał siedem ciosów ostrym narzędziem. Ktoś był na niego bardzo zły, na tyle zły, aby wejść do jego domu i odebrać mu życie. Odebrać mu życie - powtórzyła z naciskiem. To były słowa, które należało podkreślić.

Norville wodziła wzrokiem od prokuratora do adwokata i z powrotem, a jej mina mówiła „Może się jakoś dogadacie?”. Potem powiodła spojrzeniem po nabitej sali i zwróciła się wprost do Arceli Ocaci:

- Widzę, że świadek jest bardzo poruszona swoim zeznaniem. Proponuję dwadzieścia minut przerwy.

I pospiesznie dała drapaka zza stołu sędziowskiego, a za nią pokuśtykał jej zastępca.

Poleciała zadzwonić do męża, pomyślała Raglan, spoglądając na zegar wiszący ponad ławą przysięgłych. Była dopiero dziesiąta trzydzieści. Rzuciła okiem na pierwszą ławkę, gdzie siedział Nathan Wyler, czerwony od gniewu. Zapowiadał się długi dzień.

28.

Daniel Kennicott wsiadł do pociągu, znalazł sobie miejsce pod oknem i otworzył teczkę z dokumentami na temat Samantha Wyler. Celem podróży młodego policjanta była jej rodzinna miejscowość, miasteczko o nazwie Cobalt; pociąg jechał na północ. Detektyw Greene wysłał go tam dopiero, gdy rodzina oskarżonej przyjechała do Toronto na rozpatrzenie wniosku o zwolnienie za kaucją. Sprytnie. W małym miasteczku trudno mieć zbyt wiele sekretów, a mieszkańcy chętniej będą rozmawiać z policją, wiedząc, że matka i brat dawnej Samantha Frankland wyjechali.

Greene udzielił Kennicottowi bardzo luźnych instrukcji: „Masz powęszyć i dowiedzieć się o niej, czego tylko się da”. Nic więcej. Dla Kennicotta była to lekcja: kiedy aresztowany milczy, tak jak żona Wylera, trzeba go rozpracować w inny sposób.

Kim była Samantha? Tego właśnie miał się dowiedzieć. Wylerowie w swojej ocenie wydawali się zbyt jednostronni: Samantha jest egocentryczna, zawsze musi rządzić, odcięła Terrance'a od rodziny. Określali ją jednym słowem: szmata. Przyjaciele? W Toronto raczej ich nie miała. W banku, gdzie przepracowała trzy lata, ludzie mówili, że robiła swoje i się nie oszczędzała. Nikt jej bliżej nie poznał. Kennicott dotarł do jej dawnych nauczycieli ze studiów, ale ci zapamiętali tylko tyle, że była bystra i pilna. Udało mu się nawet ustalić, że na pierwszym roku jej współlokatorką z akademika była Jocelyn Bathurst, obecnie gwiazda wyższych sfer, pochodząca z jednej z

najbogatszych rodzin w Toronto. Młody policjant złożył wizytę pani Bathurst w jej rezydencji w Rosedale, ekskluzywnej dzielnicy położonej na północ od centrum miasta, kolebce wielu kanadyjskich bogaczy.

- Sam była zupełnie niewidoczna - powiedziała mu, najpierw jednak poczęstowawszy caffè latte z błyszczącego nowością ekspresu ciśnieniowego, który zająłby połowę wnękowej kuchni w jego mieszkaniu. - Ładna, ale cały czas tylko się uczyła. Przyjechała z jakiejś mieściny na północy. Nawet nie próbowała nikogo poznać.

- Jak długo ją pani widywała?

- Tylko przez pierwszy rok. Potem już nikt nie mieszkał w akademiku. Dziewczyny przeważnie szukały sobie razem czegoś do wynajęcia. Samantha powiedziała mi kiedyś, że mieszka sama. Czasem spotykałam ją na zajęciach. Na ostatnim roku, kiedy każdy dostał się na staż w tym czy innym dużym banku, ona jedna nie otrzymała żadnej propozycji. A miała dobre stopnie. Lepsze ode mnie. Chyba po prostu szukali u ludzi czegoś innego. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy widziałam, jak się zdenerwowała. W końcu znalazła posadę w jakimś banku handlowym w zachodniej części Toronto, tam gdzie jest najwięcej emigracji. Więcej już o niej nie słyszałam, dopóki nie wyszła za Wylera. To była niezła sensacja.

Pociąg ruszył ze stacji, najpierw na wschód, brzegiem jeziora Ontario, potem zaś skręcił na północ, przecinając rozległe przedmieścia i przemysłowe peryferia Toronto, aby kilka minut później zniknąć w tunelu biegnącym pod lesistymi wzgórzami. Poziom terenu powoli się podnosił, bo tu już zaczynały się formacje lodowcowe tworzące wielką Tarczę Kanadyjską. Przez kolejnych sześć godzin jedynymi przerwami w podróży miały być przystanki w małych miasteczkach, coraz rzadsze w miarę oddalania się od Toronto.

Kennicott przerzucił dokumenty. Był wśród nich jeden, który interesował go szczególnie: przesłuchanie Jo Summers przeprowadzone przez jakiegoś innego policjanta.

PYTANIE: Skąd znała pani Terrance'a Wylera?

ODPOWIEDŹ: Nasze rodziny należą do jednego jachtklubu, a nasze łodzie stały obok siebie w przystani. Był ode mnie o kilka lat starszy, ale ja już jako dziecko nieźle sobie radziłam na żaglówce,

PYT: Czy dobrze go pani znała?

ODP: Bardzo dobrze,

PYT: Jak opisałyby pani waszą relację?

ODP: Naszą relację? Byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Nic więcej nas nie łączyło. W piątki spotykaliśmy się na lunch, jeśli tylko miałam czas. To wszystko. W piątki lunch, a w grudniu - obiad na święta,

PYT: Nie chcę być niedyskretny, ale muszę zapytać, czy kiedykolwiek łączył państwa romans,

ODP: Romans? Nie, nigdy.

Nagle odezwała się syrena lokomotywy, wydając dwa donośne sygnały. Ten dźwięk przenikał człowieka na wskroś. Chwilę później cały wagon zadygotał - po sąsiednim torze przemknął drugi pociąg, jadący z naprzeciwka.

Kennicott uczył się, jak analizować materiał z przesłuchań i jak czytać zeznania, aby poznać, kto mówi prawdę, a kto kłamie. Najbardziej słynnym przykładem przytaczanym na zajęciach był chyba przypadek Susan Smith, Amerykanki z Karoliny Południowej, która utopiła swoich dwóch synów, przypięwszy ich pasami bezpieczeństwa do siedzeń w samochodzie. „Moje dzieci chciały, żebym przy nich była. Potrzebowały mnie. A teraz nie mogę im pomóc”. Tak ze łzami w oczach opowiadała dziennikarzom o zaginionych chłopcach, kiedy jeszcze nie ustalono, co się z nimi stało. Mówiła o nich w czasie przesłuchania, gdy tymczasem ich ojciec zapewniał: „Nic im się nie stało. Niedługo wrócą do domu”. Na tej podstawie policja wysnuła wniosek, jak się okazało, słuszny: ojciec uważał, że jego dzieci żyją, natomiast matka wiedziała, że zginęły.

Kolejną wskazówką zdradzającą fałszywe zeznania była gra na

zwłokę: używanie zwrotów w rodzaju „Prawdę mówiąc...” albo „Jeśli mam być szczerzy... „, a także powtarzanie pytania, aby uniknąć odpowiedzi wprost. Dla Kennicotta było oczywiste, że Jo Summers, zapytana o relację z Terrance'em Wylerem, gra na zwłokę. Nie powiedziała policji wszystkiego.

PYT: Czy znała pani Samanthę Wyler?

ODP: Spotkałam ją tylko raz. To było na Bloor Street. Wylerowie przyjechali tam na zakupy. Terry - tak wszyscy na niego mówili - stał przed sklepem Max Mara z Simonem w wózku. Samantha była w środku, kupowała coś dla siebie. Kiedy wyszła, Terry przedstawił mnie jako starą znajomą z jachtklubu. Później zwierzył mi się, że jego żona długo wypytywała go o mnie. Nie powiedział jej, że w piątki jadamy razem lunch, bo byłaby zazdrosna. Nie pozwalała mu spotykać się z żadnymi przyjaciółmi, a zwłaszcza przyjaciółkami z dawnych lat. Ciężko to znosił, bo był bardzo towarzyskim człowiekiem.

PYT: Jak pani sądzi, co Terry widział w swojej żonie?

ODP: Lubił atrakcyjne kobiety, a Samantha była atrakcyjna w każdym calu. Terry w swojej rodzinie zawsze czuł się wyrzutkiem: Nathan był idealny i nieomylny, Jason chory i wymagający specjalnej opieki. Samantha przekonała go, że był traktowany niesprawiedliwie.

PYT: A co ona widziała w Terry'm?

ODP: On był dla niej przepustką do pieniędzy i do prestiżu. Proszę pamiętać, że firma Wyler Foods przez szereg lat odnosiła wielkie sukcesy. Poza tym Terry był uroczym, wspaniałym człowiekiem.

Funkcjonariusz prowadzący przesłuchanie bardzo zaimponował Kennicottowi: najpierw mówił „Terrance”, ale potem płynnie przeszedł na „Terry”, podchwycił sposób mówienia Jo, a jego pytania były krótkie i otwarte, skutkiem czego odpowiedzi w tej części przesłuchania zrobiły się jednoznaczne.

PYT: Jak wyglądały relacje Terry'ego z rodziną?

ODP: Relacje z rodziną? Były złożone. W okresie dorastania Terry musiał wyprowadzić się z domu. Po powrocie ze Stanów chciał unowocześnić firmę. Sprzedawać w sklepie żywność przetworzoną. Odesłać do lamusa te głupie muszki, zmienić brzydkie firmowe kolory i beznadziejne logo. Moim zdaniem pan Wyler i Nathan poczuli się zagrożeni, więc z jego pomysłów nic nie wyszło. Terry czuł się sfrustrowany, a Samantha to wykorzystała. Ale potem, kiedy oskarżyła go o groźby - co było kompletnym absurdem - i trafił do aresztu, rodzina nie odwróciła się od niego. Wylerowie są lojalni wobec siebie. Jak klan.

No i co, pomyślał Kennicott. Gdzie te złożone relacje z rodziną? Dlaczego Jo znów zaczęła robić uniki?

PYT: Dlaczego, pani zdaniem, doszło do rozpadu małżeństwa?

ODP: Nie chodziło wyłącznie o April Goodling. Kiedy urodził się Simon, Sam nie miała specjalnej ochoty się nim opiekować. Była pochłonięta tym nowym sklepem. Terry za wszelką cenę chciał mieć więcej dzieci, ale ona powiedziała, że nie i już. A kiedy biznes nie wypalił, wszystko zaczęło się walić.

PYT: Czy widziała pani kiedyś, żeby Terry był agresywny?

ODP: Terry? Nigdy.

PYT: A Samantha? Może Terry zwierzał się, że żona stosuje przemoc wobec niego?

ODP: Terry nigdy o niej nie opowiadał. To był jedyny temat, na który nie chciał rozmawiać. Nawet już po rozstaniu. Rodzina miała mu strasznie za złe, że nie był w stosunku do niej bardziej krytyczny.

PYT: Jeśli dobrze rozumiem, zjadła pani z nim lunch w piątek, dwa dni przed morderstwem, a w niedzielę po południu Terry odwiedził panią na wyspie. Przywiózł ze sobą panią Goodling oraz Simona. O czym państwo rozmawialiście?

ODP: O zbliżającej się rozprawie rozwodowej. Terry powiedział mi o propozycji ugody, którą w ostatniej chwili złożył mu adwokat Samantha. Jego własny prawnik oraz cała rodzina naciskali, aby ją odrzucił. Mówili, że jeśli dojdzie do rozprawy, wygraną ma praktycznie w kieszeni. Terry nie mógł się zdecydować, jak ma postąpić.

PYT: Co mu pani poradziła?

ODP: Żeby się zgodził. Ze względu na syna. „Simon potrzebuje matki”, odpowiedział mi wtedy, „a Samantha nie jest aż takim potworem, za jakiego uważa ją moja rodzina”. To były ostatnie słowa, które od niego usłyszałam.

Dobra rada, Jo, pochwalił w myślach Kennicott, odkładając przesłuchanie do teczki. Kolejne godziny podróży minęły mu na przegłądaniu pozostałych materiałów, a tymczasem za oknami przesuwiał się wiejski krajobraz. Chmury zasnuwające niebo pociemniały i wkrótce z nieba lunął deszcz.

- Dojeżdżamy do Cobalt, gdzie kiedyś mieściła się największa na świecie kopalnia srebra - oznajmił kontroler biletów, niski, energiczny człowieczek z fryzurą à la Elvis Presley. Było już dobrze po południu. - Stamtąd ruszamy dalej, do Haileybury, gdzie urodził się Leslie MacFarlane, autor młodzieżowych kryminałów o braciach Hardy, pierwszy z tych, którzy pisali pod pseudonimem Franklin W. Dixon.

Pociąg minął zakręt i wjechał do miasteczka, a po lewej stronie pojawiła się urocza stara stacja kolejowa. Cały czas lało jak z cebra; Kennicott ucieszył się, widząc, że będzie się gdzie przed nim schronić.

- Ja tutaj wysiadam - poinformował kontrolera, ściągając bagaż

z półki i ruszył do drzwi. Pociąg był prawie w połowie pełny, ale oprócz niego nikt inny nie szykował się do wyjścia. Kontroler otworzył drzwi i opuścił metalowy stopień. Budynek stacji znajdował się mniej więcej sto metrów dalej.

Kennicott wyciągnął rękę w tym kierunku, przyglądając się widocznym z daleka dachówkom, niskim okapom i dużemu kamiennemu tarasowi.

- To tam? - zapytał.

- Niestety tak. - Niski mężczyzna miał na sobie koszulę w biało-niebieskie paski z nazwą linii kolejowych: ONTARIO NORTHLAND na kieszeni na piersi oraz imieniem Hamish wyszytym powyżej. - Za pierwszym razem wszyscy mówią to samo. Ale ta stacja jest piękna. Od lat stoi nieczynna.

Kennicott spojrział na zacinający deszcz.

- Lokalne władze ciągle powtarzają, że trzeba tu zbudować jakąś wiatę - dodał Hamish. - I na zapowiedziach się kończy. Niech się pan cieszy, że nie jest zima.

- Dzięki. - Policjant wyszedł na peron. Lało całkiem mocno. Puścił się pędem w stronę stacji i schował pod dachem. Pociąg ruszył, oznajmiając odjazd głębokim, basowym głosem swojej syreny, który odbił się ciepłym, pokrępowującym echem od zboczy wzgórz i zagrział nad rozlaną szeroko rzeką, wzdłuż której biegły tory, niknąc razem z nią na horyzoncie.

Była czwarta dwadzieścia po południu, ale tak daleko na północy słońce o tej porze jest jeszcze wysoko. Wisi sobie nad ziemią, wolne od wszelkich trosk.

Kiedy Daniel Kennicott wszedł w wiek dorostania, co roku wyjeżdżał do domku letniskowego, który należał do jego rodziny i znajdował się na północ od Toronto. Przyzwyczał się, że w tych stronach słońce zachodzi późno, a długie dni płyną innym rytmem. Nie bał się też deszczu, nawet ulewnego. Chmury wisiały nisko i szybko mknęły po niebie, więc wkrótce musiało przestać padać. Na północy mówią tak: jeśli nie podoba ci się pogoda, poczekaj pięć minut albo wsiądź w samochód i przejedź pięć kilometrów.

Kennicott ruszył na piechotę przed siebie, szukając motelu Miasto Srebra. Znalazł go za zakrętem drogi pnącej się zboczem wzgórza. Zanim tam dotarł, niebo zdążyło się już przejaśnić. Wynajął pokój na pierwszym piętrze, tak ciasny, że miejsca starczyło tylko na łazienkę, łóżko, telewizor na ścianie i widok na rzekę. Więcej kwater w mieście nie było.

Na szafce nocnej leżała broszurka krajoznawcza. Wynikało z niej, że przed stoma laty Cobalt było słynną miejscowością. Jak powiedział kontroler biletów, znajdowała się w nim największa kopalnia srebra na świecie. Miasto liczyło trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców, w większości górników, były tutaj duży szpital, dwa teatry, opera i linia tramwajowa łącząca Cobalt i Haileybury, gdzie mieszkało kolejnych trzydzieści pięć tysięcy ludzi.

Czas rozkwitu trwał mniej więcej do połowy lat dwudziestych dwudziestego wieku. Pod koniec drugiej wojny światowej złóż srebra zostało wybrane do końca, a w mieście pozostały setki niedokończonych budowli i rozpadających się budynków oraz całe mnóstwo pamiątek minionej świetności. Większość osad górniczych zmarła śmiercią naturalną, lecz Cobalt, nie wiedząc czemu, wciąż trwało. O tyle o ile. Ostatni sklep spożywczy zamknięto przed dwudziestoma laty, dwie knajpki były otwarte wyłącznie w porze śniadania i lunchu, a oprócz tego był tam tylko sklep z indiańskimi pamiątkami, muzeum górnictwa, biblioteka, szkoła, lodowisko hokejowe i jedna stacja benzynowa, własność rodziny Samantha Wyler.

Kennicott obserwował przez okno, jak przeciwległy brzeg jeziora pogrąża się w cieniu, który stopniowo tłumi wszelkie odgłosy, niczym gruby, ciemny koc. Teraz już rozumiał, dlaczego Samantha pracowała tak ciężko, aby się stąd wyrwać, ruszyć na południe i szukać szczęścia w jasnych światłach wielkiego miasta.

29.

Minęło dopiero południe, a detektyw Greene zdążył już zapisać notatkami całe dwanaście stron. Arceli Ocaya składała zeznania przez blisko dwie godziny. Po początkowych rozterkach - jak również po przerwie, która pozwoliła sędzi Norville otrząsnąć się i zezwolić Jennifer Raglan na zadawanie bardziej wnikliwych pytań - opiekunka otworzyła się i odmalowała złowrogi portret Samantha Wyler jako matki niekonsekwentnej i nieprzewidywalnej.

Kiedy skończyła, Raglan wezwała do złożenia zeznań kolejnego ze swoich świadków, policjanta, który odebrał od Terrance'a Wylera skargę w związku z e-mailami od żony i nagraniami, które zostawiała mu na poczcie głosowej.

Ted DiPaulo zerwał się na równe nogi, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Przygotowałem kopie wszystkich tych nagrań - oznajmił, podając protokolantowi jeden oprawiony zestaw wydruków, a drugi wręczając sekretarzowi sądowemu. - Możemy w ten sposób zaoszczędzić mnóstwo czasu, wystarczy wciągnąć je do materiału dowodowego.

Sekretarz podał papiery sędzi.

- Całkiem niezły pomysł - przytaknęła przewodnicząca rozprawie, spoglądając na Jennifer Raglan.

- Wysoki sędzie, pozwolę sobie zasugerować, abyśmy jednak odsłuchali te nagrania - odparła prokuratorka. - Ton głosu oskarżonej, którego druk w żaden sposób nie oddaje, również jest dowodem.

Greene był pod sporym wrażeniem tego, jak Raglan zachowuje się w sądzie. Zawsze mówiła „pozwolę sobie zasugerować”, unikała natomiast zwrotu „uważam, że”. Sędzia najbardziej ze wszystkiego nie znosi, kiedy mu się mówi, co ma robić, a już szczególnie nie lubi słuchać, co prawnik uważa na ten temat. Zamiast więc otwarcie wyrażać swoje zdanie, Raglan polegała na mowie ciała: proste plecy, pewność siebie, inteligencja.

- Nagrania nie są długie - dodała, tak jakby sędzia już pozwoliła jej kontynuować.

- Proszę je odtworzyć. - Norville nawet nie poprosiła DiPaulo o komentarz.

Greene zerknął na Samanthę Wyler, która przysłała do sądu ubrana prosto, zwyczajnie, a siedząc u boku Teda DiPaulo, od samego rana demonstrowała milczącą uległość. Wzdrygnęła się, kiedy z głośnika najpierw popłynął szum, a potem jej własny głos.

Terry, ty gnoju. Jak możesz tak mnie traktować? I jeszcze ta twoja prawniczka. Niezły z niej numer!

Pierdol się, Terry. Czytałam twoje oświadczenie. Serdeczne dzięki za zrobienie ze mnie największej zotzy pod słońcem. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale starałam się być dobrą matką. A przyszło ci może do głowy, że któregoś dnia Simon przeczyta te wszystkie brudy?

Samantha ani drgnęła, tylko po jej policzku przebiegł ledwo uchwytny cień, gdy zacisnęła zęby, słysząc, jak te wściekłe słowa druzgoczą starannie wypracowane pozory opanowania, które od samego początku starała się zachować. Właśnie dlatego Raglan tak obstawała przy odtworzeniu nagrań.

Już od tygodnia przygotowywała się razem z Greene'em do tego posiedzenia. Ponieważ oskarżona nie przedstawiła alibi, nie poinformowali Teda DiPaulo o zeznaniu Simona, który powiedział, że tamtej nocy mama przysłała do jego pokoju. Mieli nadzieję, że podczas przesłuchania Samantha Wyler będzie utrzymywać, że nie było jej wtedy w domu męża i da się przyłapać na kłamstwie w żywe oczy, co w praktyce będzie równoważne z przyznaniem się do winy.

To, że z całą pewnością nie otrzyma w takim wypadku zwolnienia za kaucją, miało być już tylko wisienką na torcie.

To był drugi powód, który kazał Raglan walczyć o odtworzenie nagrań z poczty głosowej: chcieli wystraszyć Samanthę i zmusić ją do zeznań.

Jesteś królem wszystkich pętałów, Terry. Sam zresztą o tym wiesz. Czasami jestem na ciebie taka wściekła, że mogłabym... chybabym mogła... Ach, pierdoł się, Terry, uciekaj do mamusi.

Greene obserwował oskarżoną, która wyglądała tak, jakby próbowała coś przełknąć, mając całkiem sucho w gardle. DiPaulo najwidoczniej to wyczuł, bo demonstracyjnie nalał swojej klientce szklanekę wody z dzbanka, w którym pływały kostki lodu. Miało to chociaż w małym stopniu odwrócić uwagę wszystkich od nagrania. Potem wstał.

Raglan nacisnęła klawisz „pauza”.

- Wysoki sędzie, bardzo proszę - powiedział adwokat.- Pani prokurator wystarczająco już upokorzyła moją klientkę. Owszem, te nagrania są niezwykle barwne, ale czy naprawdę musimy wysłuchać dziesięciu kolejnych? Obrona przyznaje: pani Wyler była zirytowana, lecz to akurat chyba nie powinno dziwić, ostatecznie jej mąż spotykał się z inną kobietą. Obawiam się jednak, że te melodramatyczne wywody przesłonią nam kluczową kwestię, a mianowicie fakt, że moja klientka w żadnym z e-maili i na żadnym z nagrań ani razu nie użyła groźby. Nie popełniła czynu karalnego. Złość na niewiernego męża jest całkowicie legalna.

Skończywszy mówić, zaprezentował wszem wobec oburzoną mi-nę. To właśnie był jego pomysł na obrócenie najgorszej strony prezentowanych nagrań przeciwko oskarżeniu.

- Pani prokurator, czy naprawdę musimy słuchać dalej? - Sędzia Norville przekartkowała segregator, który złożył adwokat. - Mam już pojęcie o tym, co się tam działo.

Greene zauważył, że Raglan kołysze się niepewnie.

- Nie będę dzisiaj rozstrzygać o winie i niewinności - Norville spojrziała wprost na prokuratorkę - mam jednak świadomość, że jeśli

pani Wyler jest niewinna, to znajduje się w strasznym położeniu, ponieważ grozi jej dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności i prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy swojego syna.

Zwróciła wzrok na DiPaulo.

- Nie zapominam również, że do chwili obecnej obrona nie przedstawiła alibi oskarżonej. Nie muszę już słuchać dalszych nagrań. - To było znów do Raglan. - Kontynuujmy.

- Dziękuję, wysoki sędzie - powiedziała prokuratorka. - Czy mogę zamienić kilka słów z detektywem prowadzącym śledztwo?

- Proszę bardzo. Nie musi się pani spieszyć.

Raglan pochyliła się nad Greene'em, a czarne poły jej togi musnęły blat stołu.

- Cieszę się, że Ted zgłosił sprzeciw - szepnęła, zbliżając usta do jego ucha. - Udało nam się napędzić Samancie stracha, ale zaczynałam się czuć naprawdę podle, puszczać te taśmy.

Greene poczuł na policzku jej oddech. Biło od niej ciepło.

- Cel osiągnięty - mruknął. - Zobaczymy, czy DiPaulo wezwie ją do złożenia zeznań.

- Lubię z tobą pracować, Ari - powiedziała Raglan, prostując się powoli i zarzucając poły togi na ramię. - Wysoki sędzie - odwróciła się - na tym oskarżenie zakończyło przedstawianie dowodów.

Sędzia Norville spojrzała na ścienny zegar.

- Przerwę na lunch zrobimy nieco dłuższą. Zaczynamy o drugiej piętnaście. - Wstała zza stołu sędziowskiego i niespiesznym krokiem wymaszerowała z sali rozpraw.

Greene nie odrywał wzroku od Samantha. Kiedy tylko za sędzią zamknęły się drzwi, usłyszał głuchy huk; to oskarżona zacisnęła pięści i łomotnęła nimi o blat stołu. Z całej siły.

30.

Po ogłoszeniu przerwy, gdy funkcjonariusze policji sądowej wyprowadzili Samanthę, DiPaulo wybiegi z sali rozpraw i popędził schodami do pokoju dla adwokatów, dwa piętra niżej. Tam nalał sobie kawy do kubka i ruszył pospiesznie w stronę windy, którą mógł dotrzeć na poziom sądowego aresztu. Kiedy otworzyły się drzwi, stanął oko w oko z całą rodziną Wylerów.

Dla adwokata takie spotkanie zawsze jest niezręczne. W największym nawet sądzie nie można tego uniknąć - wcześniej czy później wpadnie się na rodzinę zmarłego. Niewinne ofiary. Ludzi pogrążonych w żałobie. Adwokat broniący tego, kto został oskarżony o zamordowanie bliskiej im osoby, ściąga sobie na głowę gromy od wszystkich po kolei.

Milczeli. Pani Wyler trzymała się obok Jasona, wspartego na swoich dwóch laskach; jego silne ramiona i barki ostro kontrastowały z wątlymi, pokurczonymi nogami. Zza ich pleców wyrastali Nathan i ojciec braci. Wysocy, majestatyczni. Nagle DiPaulo złowił okiem jakiś ruch. To Jason zręcznie wcisnął gumową końcówkę laski klawisz na panelu windy. Drzwi zamknęły się przed nosem adwokata.

DiPaulo zbiegł po schodach do aresztu, gdzie Sam czekała już na niego w rozmównicy. Usiadł naprzeciwko niej; aby się usłyszeć, musieli się pochylić i mówić przez dziurki w dolnej części szyby. Kobieta wyglądała okropnie.

- W porządku? - zapytał.
- Nie ma mowy, żeby mnie zwolnili za kaucją.

- Mamy szansę. I parę niezłych precedensów.
- Sędzia mnie nie cierpi.
- Nie wiadomo.
- Napatrzyłam się na takie babki na studiach. Uwierz mi, wiadomo.

Potarła dłonią o dłoń. Skórę miała szorstką i popękaną. Zaczęła skubać paznokcie.

- Musimy trzymać się planu - powiedział adwokat.

Skinęła głową bez najmniejszego entuzjazmu.

- Wiem. Powołasz na świadka moją mamę. Nie chcesz, żebym zeznawała osobiście. - W jej głosie nie było choćby śladu emocji. - Ale jeśli nie będę zeznawać, to przecież mnie stąd nie wypuszczą.

Często się zdarzało, że w trakcie posiedzenia klient nagle wpadał w panikę i był gotów na wszystko, byle tylko uzyskać zwolnienie. Nie potrafił spojrzeć perspektywicznie. Dla DiPaulo tacy ludzie byli gorsi niż nastolatki. Jego zadaniem była ochrona każdego klienta, nawet przed nim samym.

- Już to omawialiśmy. Raglan rozszarpie cię na strzępy - wyjaśnił. - Puści wszystkie nagrania po kolei.

Samantha zakołysała się na siedzeniu, jak matka tuląca dziecko. W jej objęciach nie było jednak nikogo.

- Ale chyba sędzia będzie chciała mnie wysłuchać?

- Niekoniecznie. Tutaj chodzi o zwolnienie za kaucją, a nie orzeczenie o winie czy też niewinności. Ale musiałabyś zeznawać pod przysięgą. Wystarczy jedno potknięcie i wylądujesz przed ławą przysięgłych, a wtedy wszystko pójdzie w diabły.

- Muszę wrócić do domu - oznajmiła Samantha.

- Ja chcę tego samego - zapewnił, chociaż nie była to do końca prawda. W areszcie jego klientka miała mniej okazji, żeby narobić jakichś głupot, na przykład znowu nagrać się komuś na pocztę głosową albo iść do baru i wdać się w dyskusję z utajonym gliniarzem. Był pewien, że w więzieniu da radę się przystosować, jak każdy klient. Już teraz zdążyła pochłonąć większość sfatygowanych książek z biblioteczki dla aresztantów i wspominała coś o tym, że

zacznie uczyć czytać młode matki osadzone razem z nią.

Opuściła dłonie, przestała skubać paznokcie.

- Okropnie tam karmią - powiedziała. - Na lunch ma starczyć czerstwa bułka z plasterkiem sera.

DiPaulo uśmiechnął się pod nosem. Kiedy człowiek nagle straci całą kontrolę nad swoim życiem, zaczyna skupiać uwagę na największych błahostkach. Wtedy wystarczy rzucić na stół pierwszą lepszą kartę przetargową, a od razu poczują się lepiej. To był dla niego znak, że zwyciężył.

- Pogadam ze strażnikami, może uda mi się załatwić dla ciebie jakąś zupę - obiecał.

- Muszę wrócić do Cobalt.

- Do Cobalt? - zaśmiał się szczerze. - Myślałem, że nie znosisz tamtych stron.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię - odparła bez cienia uśmiechu i tak dobitnie, jak jeszcze nigdy. - Przyjmę każde warunki, ale muszę tam pojechać.

Każdy klient ma jakiś tajny plan, myślał DiPaulo, kiedy po przerwie posiedzenie zostało wznowione. Gdy tylko sędzia Norville zajęła miejsce, zerwał się zza swojego stołu.

- Obrona wzywa na świadka panią Jacquelyn Frankland. - Gestem zaprosił matkę Samantha, aby podeszła. Chciał podkreślić tempo, zmienić atmosferę, która pozostała po odtworzeniu fatalnych nagrań przed południem.

Patrzył, jak pani Frankland wchodzi za barierkę i składa przysięgę. W swojej nijakiej sukience i mocnych, trwałych butach miała wygląd osoby rzetelnej. Powiedziała adwokatowi, że domu nazywa się Cormier; jej angielszczyzna nosiła ślady francuskiego akcentu.

- Pani Frankland, pani jest mamą Sam, zgadza się? - zapytał DiPaulo, starannie dobierając słowa, aby brzmieć swojsko, jak małomiasteczkowy polityk na kiermaszu.

- Tak jest - odparła nosowym głosem.

- A mieszka pani w Cobalt, w prowincji Ontario. To chyba jest na północ od miasta North Bay?

- Na północ od North Bay, na północ od Temagami i na południe od Liskeard - uściśliła. - Pełna nazwa brzmi New Liskeard, ale wszyscy mówią po prostu Liskeard, rozumie mnie pan?

- Od jak dawna pani tam mieszka?

- Od urodzenia.

- I ma pani dwójkę dzieci.

- Najpierw była Sam, a dwa lata później Jimmy. Jimmy jest podobny do mnie, jak coś się popsuje, to umie naprawić. Sam wdała się w ojca: zawsze z nosem w książce.

- Pani mąż już od wielu lat nie żyje.

- Karl zmarł w tym samym roku, kiedy Sam poszła do liceum.

Ona świata poza nim nie widziała. Miał wypadek na naszej stacji benzynowej. Zmieniał olej w swoim samochodzie i nagle puścił podnośnik. Mieliśmy tylko taki stary, jednokolumnowy. Karl zawsze suszył mi głowę, że trzeba kupić dwukolumnowy, ale skąd było wziąć na to pieniądze? To Sam znalazła ojca.

Mówiła rzeczowym tonem osoby, która dobrze zna samą siebie. Idealny świadek dla obrońcy.

- Obawiam się, że będę musiał zadać pani kilka osobistych pytań - uprzedził adwokat.

Jacquelyn Frankland obejrzała się na przewodniczącą rozprawie.

- Nie mam nic do ukrycia - oznajmiła.

Sędziowie z reguły nie znoszą, kiedy świadkowie zwracają się do nich osobiście i DiPaulo zazwyczaj pouczał ich, że mają patrzeć tylko na niego; nigdy, przenigdy na sędziego czy sędziego ani na ławników. Jednakże pani Frankland była osobą tak bezpretensjonalną, że z całym rozmysłem nie wspominał jej o tym.

Sędzia Norville odpowiedziała uśmiechem i skinęła kilka razy głową. Dopiero wtedy się opamiętała. Było widać, że matka Samanty Wyler ją oczarowała.

- Ma pani pięćdziesiąt pięć lat - ciągnął dalej DiPaulo - nigdy nie była karana i prowadzi jedyną stację benzynową w całym mieście. -

Wyrecytował to wszystko, ani razu nie zaglądając do notatek. - Stacja nazywa się Srebrne Klify.

- Prowadzę ją od trzydziestu pięciu lat. Jimmy pracuje w odlewni w Liskeard. Jest szlifiernią. Pomaga mi w weekendy. Ja łatam dętki. Mnóstwo flaków ludzie łapią na naszych drogach. Po zimowych lodach na wiosnę w jezdni zostają ogromne dziury.

DiPaulo położył dłoń na ramieniu swojej klientki.

- Jeśli wysoki sąd zgodzi się zwolnić pani córkę z aresztu za kaucją, to czy przyjmie ją pani do siebie, aż do zakończenia procesu?

- A gdzie ona się podzieje, jak nie u mnie?

Po sali przebiegł szmer tłumionych chichotów.

- I zadba pani, żeby miała co robić?

- Oczywiście. Sam to rodzinny bystrzak. W szkole zawsze same piątki. Zdobyła stypendium na uniwersytecie tutaj, w Toronto. Uczyła się lepiej niż wszystkie te bogate dziewczyny, ale to one dostały posady w największych bankach.

- Czy rozumie pani, że Sam wolno będzie opuścić miasto wyłącznie w towarzystwie pani albo pani syna, a swojego brata? - zapytał DiPaulo, już po raz drugi używając imienia swojej klientki. Zamierzał w ten sposób sprawić, aby zapomniano o kobiecie oskarżonej o morderstwo i widziano w niej tylko dziewczynę z małego miasteczka, która chce wrócić do domu, do rodziny.

- Z tym może być problem - odparła pani Frankland prosto z mostu.

Sędzia Norvüle poderwała głowę, spojrzała na nią uważnie.

- Jaki problem? - zapytał adwokat.

- Biblioteka - padła odpowiedź. - Sam to mól książkowy. Żyje w bibliotekach. U nas jest jedna, ale ona woli jeździć do Liskeard, tam jest jej ulubiona.

- Rozumiem. - DiPaulo skinął głową, udając zaskoczenie; oczywiście przygotował się razem z panią Frankland do tego zeznania, spędzili długie godziny na rozmowach. - Ale gdyby miała się

udać do biblioteki poza granicami Cobalt, to czy może pani zagwarantować, że jej nie opuści?

- Ależ ona w ogóle stamtąd nie wychodzi. Książki i bibliotekarze to jej najlepsi przyjaciele. Ona bez przerwy zbiera informacje, bo tak nauczył ją ojciec. Ale mogę poprosić Lillian, żeby do mnie dzwoniła.

- Kto to jest Lillian?

- Bibliotekarka z Liskeard. Przyjechała dziś ze mną do sądu. - Jacquelyn Frankland wskazała wysoką kobietę siedzącą wśród publiczności, obok brata Samantha. Kobieta odpowiedziała skinieniem dłoni, tak jak było umówione.

- Przyjechała z panią na rozpatrzenie wniosku o kaucję? - powtórzył adwokat, wychodząc zza swojego stołu.

- Pociągami - uściśliła.

DiPaulo zbliżył się do barierki i pochylił, tak jakby chciał się zwierzyć z czegoś, o czym nie jest łatwo mówić.

- Czy planuje pani w najbliższym czasie jakiś wyjazd? - spytał.

Jacquelyn Frankland uśmiechnęła się tylko, pokazując poszczerbione zęby.

- Nigdzie nie jeżdżę, bo nie mam dokąd. Na pogrzeb wysłałam Jimmy'ego. Od dziesięciu lat nie byłam na południu.

- Czy w pani domu znajdzie się miejsce dla Samantha?

Spojrzała na adwokata jak na klienta, który zadał jakieś naprawdę idiotyczne pytanie.

- Jest jej pokój.

Ta odpowiedź wywołała kolejną falę śmiechów. Pani Frankland speszyła się, było to widać.

- Nie zmieniałam tam nic, odkąd Sam skończyła liceum i wyjechała z domu. - Obejrzała się na sędziego. - Nie pozwoliła mi niczego ruszyć. Rozumie mnie pani?

Norville nie miała wyjścia, musiała skinąć głową. DiPaulo zauważył, że zapisała coś w notatniku. Uznał to za dobry znak, mając nadzieję, że są to warunki zwolnienia za kaucję. Poczekał, aż skończy pisać. Był zadowolony; zeznanie udało się doskonale, odniosło zamierzony skutek.

- Nie mam więcej pytań do świadka - oznajmił, przywoławszy na twarz swój najbardziej ujmujący uśmiech, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem na miejsce.

- Czy mogę jeszcze coś powiedzieć? - Za jego plecami zabrzmiał głos pani Frankland.

O nie, jęknął w myślach. Już było tak dobrze. Co ona jeszcze chce dodać? Spokojnie, Ted, upomniał się, nie możesz zamknąć jej ust, to twój własny świadek. Rób dobrą minę.

Obrócił się twarzą do stołu sędziowskiego - wyszło nie najgorzej, choć nie był to piruet godny Freda Astaire'a - i przykleił na twarz uśmiech.

- Słucham, co takiego?

- Jest coś, o czym panu nie mówiłam. Ani nikomu innemu. A chyba powinienam.

Uśmiech, uśmiech, krzyczał DiPaulo w myślach. Sędzia musi zaufać osobie, która złoży poręczenie za oskarżoną, dlatego właśnie powołał Jacquelyn Frankland na świadka. Jeśli zaś Norville będzie mieć choćby cień podejrzenia, że matka Samantha coś ukrywa, to po zawodach.

- Nie mówiła mi pani o czymś? - Skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć B, pomyślał. - Nawet kiedy przygotowywałem panią do złożenia zeznań?

- Właśnie. Sam może się na mnie pogniewać, ale tutaj nie ma nikogo z naszych stron, oprócz Lillian i mojego syna.

- Proszę mówić. O co chodzi? - zapytał służalczym tonem, jak portier w hotelu.

- Sam daje lekcje czytania.

I to miał być ten wielki sekret? DiPaulo poczuł, jak porywa go nagła euforia, musiał jednak zachować spokój.

- Aha, rozumiem. - Skinął głową. - A czy dzieci ją lubią?

- To właśnie jest cała tajemnica. Ona nie uczy dzieci, tylko dorosłych. I to ci dorośli się wstydzą, bardzo się wstydzą. Tylko ja i Lillian o tym wiemy. - Pani Frankland znów wskazała wysoką kobietę na ławce. - Kiedy Sam przyjeżdża do domu, urządza spotkania dla

niepiśmiennych w piwnicy biblioteki. Ale nikomu nie można o tym mówić.

Jasna sprawa, pomyślał DiPaulo, powstrzymując się od radosnych okrzyków. Najchętniej uściskałby swojego świadka. Sędzia Norville uśmiechnęła się szeroko, zapisując coś w notatniku.

- Dziękuję pani. Nie mam więcej pytań. - Adwokat usiadł, czując, jak serce, które na chwilę przestało mu bić, na nowo podejmuje pracę. Był już pewien, że przekroczył próg Eisenhowera. „Ike” po raz pierwszy został prezydentem w pięćdziesiątym drugim roku - jedna szansa na dwie, że sędzia zgodzi się na zwolnienie za kaucją. To są najlepsze chwile w pracy adwokata, pomyślał. Kiedy dzieją się takie czary, ten zawód nie ma sobie równych.

- Czy obrona ma więcej świadków? - zapytała sędzia Norville.

- Nie, wysoki sędzie, to zbędne. - DiPaulo starannie roztoczył dookoła aurę absolutnej pewności siebie. - Z przyjemnością przejdę już do wniosków.

To oświadczenie zbiło z tropu wiecznie niezdecydowaną Norville, która obejrzała się na Jennifer Raglan.

- Czy oskarżenie pragnie przedstawić jeszcze jakieś argumenty? W tak poważnej sprawie wolałabym usłyszeć wszystko, co trzeba.

To było niemalże błaganie o pomoc: daj mi coś, co pomoże utracić wniosek i zatrzymać Samanthę Wyler za kratkami. Raglan ostentacyjnie spojrzała na ścienny zegar.

- Wysoki sędzie - powiedziała uprzejmym tonem, wstając z miejsca - to był długi dzień. Oskarżenie prosi o trochę dodatkowego czasu, aby zastanowić się, czy powołać nowych świadków.

Norville rozpromieniła się w jednej chwili.

- Doskonały pomysł. Dalsze zeznania oraz wnioski oskarżenia i obrony zostaną przedstawione jutro rano. Orzeczenie wydam po południu.

A podczas przerwy na lunch będę miała dość czasu, żeby pozawracać głowę jakiemuś młodemu ekspertowi z kancelarii męża,

pomyślał DiPaulo, wstając szybko, aby nie pozwolić Raglan zgarnąć wszystkich punktów za dobre zachowanie.

- Popieram, jak najbardziej - oznajmił.

Norville obdarzyła go uśmiechem.

Dobrze, pomyślał. Pierwsza zasada sali rozpraw: sędzia ma być zadowolony.

31.

Jest w tym coś nie do końca rzeczywistego, myślał Ari Greene, szykując się do sporządzenia notatek dotyczących kolejnego materiału dowodowego, przedstawianego przy wciąż pełnej po brzegi sali - a było nim nagranie wideo z rozmowy z Simonem, którą przeprowadził przy zabawie pociągami w specjalnym pokoju dla dzieci urządzonym na komendzie policji. Jennifer Raglan przygotowała do prezentacji duży telewizor na wózku i ustawiła go tak, aby sędzia i wszyscy obecni mogli dobrze zobaczyć każdy szczegół.

Decyzję o odtworzeniu tego nagrania podjęli wspólnie, poprzedniego dnia, po tym jak Ted DiPaulo zakończył przedstawianie swoich argumentów. Ponieważ Samantha Wyler nie zamierzała zeznać, nie było powodu się z nim kryć - a był to mocny materiał, który mógł przesądzić o odmowie zwolnienia za kaucją, jak również, co nawet ważniejsze, mógł przekonać oskarżoną, że nie zdoła się obronić i powinna przyznać się do winy.

Greene rozmawiał z Simonem tuż po śmierci jego ojca, tego samego dnia, po południu. Na ekranie widać było, jak chłopiec pojawia się w drzwiach i wbiega do środka, ściskając w dłoni zieloną lokomotywę, którą przyniósł z domu.

- To jest Piotrek - powiedział detektywowi, kierując się prosto do koszyka, gdzie zobaczył pociągi. Chwilę później w kadrze pojawił się sam Greene.

- Mają tutaj Tomka? Bo mój się zgubił. - Simon usiadł na podłodze i wyciągnął z koszyka drugą zieloną lokomotywę. - A to jest Henio.

- Nie wiem, czy jest tutaj Tomek - powiedział Greene i umilkł, a z głośników telewizora popłynęło poskrzypywanie kółek małych pociągów toczących się po drewnianych torach i głos Simona, wołającego „brum, brum” i „ciuch-ciuch”.

Wyłowiwszy kolejne elementy, kilka wiaduktów i trochę torów, chłopiec wziął się do budowania, nucąc z zadowoleniem swoim piśkliwym głosikiem, a od czasu do czasu urozmaicając melodię jakimś „dzyń-dzyń” albo „ciuch-ciuch”. Po chwili Greene otworzył małą lodówkę w głębi pokoju i wyjął z niej dwa kartoniki soku.

- Jabłkowy czy pomarańczowy? - zapytał.

- Poproszę pomarańczowy - powiedział Simon.

Mężczyzna usiadł obok niego na podłodze i razem rozpakowali maleńkie plastikowe słomki.

- Simon - zagadnął Greene pomiędzy jednym łykiem a drugim - muszę z tobą o czymś porozmawiać.

- Wiem - odparł chłopiec.

- Wiesz? - Detektyw obejrzał się za siebie, gdzie na ścianie znajdowało się weneckie lustro. Po drugiej stronie siedział Daniel Kennicott i technik obsługujący kamerę.

- Ten wiadukt ma złamaną jedną część. - Simon wskazał palcem najbliższą drewnianą estakadę. Greene pochylił głowę prawie do samej podłogi, żeby przyjrzeć się z bliska. Brakowało jednej wypustki do łączenia elementów.

- Masz rację - przytaknął - ale da się tym bawić, tylko trzeba uważać.

- To nie ja popsulem - powiedział chłopiec. Greene na ekranie uśmiechnął się łagodnie.

- Simon, chcę cię zapytać o twoją mamę.

- Aha.

Detektyw siedzący na sali rozpraw zerknął na sędzię Norville, która patrzyła ciężkim wzrokiem w kierunku stołu dla obrony. Odwrócił głowę: Samantha Wyler siedziała nieruchomo, wpatrzona w swojego syna.

- Dziś rano rozmawialiśmy u ciebie w pokoju - rozległ się jego głos z nagrania. - Pamiętasz?

To była najtrudniejsza część całego przesłuchania. Gdyby spróbował choćby w najmniejszym stopniu naprowadzać chłopca, podsuwać mu, co ma odpowiedzieć, to groziła mu porażka na całej linii.

Simon wyciągnął się na brzuchu i sięgnął po jedną z lokomotyw. Zaczął ją toczyć w tę i z powrotem, wprost po podłodze, przypatrując się uważnie obrotom kółek. Zahaczył przy tym stopą o nogę Greene'a. Była to bardzo przykra scena: biedne dziecko wyczuwało, że jego świat się zmienił, ale było posłuszne pierwotnemu instynktowi, który kazał mu bronić swojej mamy.

- Arceli ma w domu bardzo mało pociągów - powiedział Simon, nie odrywając wzroku od kółek lokomotywy, turkoczących monotennie, na cztery.

- Tak?

- I Tomka też tam nie ma.

- Będziemy musieli go jakoś zdobyć.

- Mama była u mnie dzisiaj w nocy.

Greene oglądał to nagranie co najmniej dziesięć razy, a mimo to serce waliło mu jak szalone. Przypomniawszy sobie, że w tym momencie musiał się bardzo starać, żeby nie kiwnąć głową.

- I co zrobiła? - zapytał spokojnym, niemalże chłodnym głosem.

- Pocałowała mnie i powiedziała, że teraz długo nie będziemy się widzieć. - Simon potarł stopą o nogę Greene'a. - Mogę iść już do domu po moje pociągi?

Detektyw znów spojrzął w lustro. Na niewidocznego Kennicotta.

- Słyszałem, że przez parę dni będziesz mieszkał u wujka. Chłopiec spojrzął na niego.

- Ale tam nie ma żadnych pociągów.

- Możemy przywieźć twoje, z domu - odparł Greene.

Simon zastanowił się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Mamusia płakała. Dlaczego powiedziała, że teraz długo nie będziemy się widzieć?

- Może musi się z kimś spotkać - podsunął detektyw.

Ktoś na sali głośno pociągnął nosem. To Samantha Wyler zasłoniła twarz chusteczką.

- Tato zawsze mnie budzi, żeby się pożegnać, kiedy wyjeżdża.

- Może bardzo się spieszył.

Chłopiec na ekranie telewizora usiadł prosto, podniósł z podłogi pociąg i obrócił go w dłoń.

- To jest Piotrek. Lubię go najbardziej, zaraz po Tomku. Jak długo mamusi nie będzie?

Tego pytania Greene bał się najbardziej.

- Nie wiem - odpowiedział.

- Mogę już iść? - zapytał Simon.

- Jasne. - Detektyw jednym płynnym ruchem podniósł go z podłogi, ale malec obejrzał się na niego, speszony.

- Najpierw muszę pozbierać zabawki - poinformował go. - Tato zawsze każe mi sprzątać po sobie.

Publiczność oglądająca nagranie westchnęła z rozczuleniem.

Raglan wstała z miejsca.

- Wysoki sędzie, ten materiał ma jeszcze kilka minut - uniosła nieco głos, bo Simon i Greene wrzucali właśnie pociągi do koszyka, robiąc przy tym spory rumor - ale zobaczyliśmy już najistotniejszą jego część. - Z tym słowami wyłączyła odtwarzacz, a w sali zapadła nienaturalna cisza.

Greene pozwolił sobie zerknąć jeszcze raz w stronę stołu dla obrony. Samantha Wyler siedziała pochylona, zasłaniając twarz dłońmi. DiPaulo miał uśmiech przyklejony do twarzy. Detektyw był przekonany, że to nagranie było dla niego kompletnym zaskoczeniem. Na pewno teraz się cieszył, że nie kazał swojej klientce zeznawać i że nie wymyślił dla niej żadnego naciąganego alibi na dowód, że nie było jej tamtej nocy w domu Wylera.

Adwokat musiał poczuć na sobie wzrok Greene'a, bo obejrzał się w jego stronę. Skrzyżowali spojrzenia. DiPaulo powoli skinął głową.

Obaj mieli niemałe doświadczenie i rozumieli dobrze, co się przed chwilą stało. To jedno zeznanie zmieniło stan rzeczy jak wstrząs sejsmiczny zmienia krajobraz. To, czy Samantha Wyler jest winna czy niewinna, było już na dobrą sprawę przesądzone. Z istotnych kwestii pozostały tylko dwie: do którego zarzutu się przyzna i na ile lat trafi za kratki.

32.

Świadectwo szkolne - niby prosta rzecz, a jak wiele informacji o człowieku może zawierać. Daniel Kennicott nauczył się tego, kiedy jeszcze był żółtodziobem i nie przepracował nawet roku w policji. Zajmował się sprawą niejakiego Hermana Marchmouna, czterdziestodziewięcioletniego pedofila, który atakował dziewczynki w wieku od pięciu do dziewięciu lat. Detektyw, który pracował z Kennicottem na jednym wydziale, podsunął mu, że trzeba oskarżyć Marchmouna pod przysięgą, aby uzyskać nakaz rewizji, a wtedy szkoła będzie musiała wydać policji jego szkolne świadectwa. I rzeczywiście, w rubryce na uwagi wychowawcy* znalazł się barwny, szczegółowy opis, jak to podczas przerwy drugoklasista Marchomunt zaciągnął koleżankę w krzaki i zadarł jej spódniczkę aż na samą głowę.

* Świadectwa szkolne wystawiane w kanadyjskiej prowincji Ontario należą do najbardziej szczegółowych na świecie.

Ciekawe, czego dowiem się o Samancie Wyler, myślał Kennicott, przyglądając się Corinne Tressider, dyrektorce liceum w Cobalt.

- Wiadomość o Sam, to znaczy o Samancie, była dla nas ogromnym szokiem - przyznała pani Tressider, siadając wygodnie za biurkiem w swoim jasnym gabinecie. Szkoła stała na górującym nad miastem wzniesieniu, a przez duże okna wychodzące na wschód widać było rzekę. - Wszyscy mówili na nią Sam.

- Pamięta ją pani?

- Pracuję w tym zawodzie już trzydzieści dwa lata, a nie miałam drugiej takiej uczennicy. Proszę spojrzeć. - Dyrektorka otworzyła teczkę opatrzoną napisem „Samantha Frankland - świadectwa”. W środku znajdowały się rubrykowane arkusze jasnoniebieskiego papieru. Oceny po prawej stronie były po oczach: same piątki, niektóre z plusem, inne z minusem, przez całe cztery lata. Wyjątkiem było wychowanie fizyczne: trójka. Komentarz wychowawcy wyjaśniał, że panna Frankland nie umiała grać w drużynie.

Na rogu biurka stał kubek pełen zatemperowanych ołówków. Pani Tressider wyjęła jeden i zakręciła nim, trzymając pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

- Chodziłam do szkoły z Karlem, jej ojcem - powiedziała, postukując ołówkiem o brzeg biurka, na którym panował wzorowy porządek. W gabinecie unosił się zapach czystości, czyli płynu do mycia szyb i podłóg. Pani Tressider stuknęła ołówkiem ostatni raz, mocno, po czym odepchnęła się nogą, odwracając razem z fotelem.

- W ostatniej klasie liceum wzięliśmy razem udział w teleturnieju. - Powróciwszy na miejsce, miała w dłoni fotografię, na której widać było uczniowską drużynę, dwóch chłopców i dwie dziewczęta, w studiu telewizyjnym. - Nazywał się „Reach for the Top”. Cały kraj go oglądał. Wtedy w telewizji były tylko dwa programy. Teraz się na to mówi: teleturniej z wiedzy ogólnej. Pytania były z każdej możliwej dziedziny.

Podawała mu zdjęcie, niegdyś kolorowe, ale przez lata mocno już wyblakłe, oprawione w czarną ramkę. Ojciec Samanthy dawał się rozpoznać na pierwszy rzut oka po smukłej szyi, dużych oczach i ogólnie korzystnym wyglądzie. Corinne Tressider miała blond fryzurę à la Doris Day i kwiecistą sukienkę. Siedzieli obok siebie. Ponad ich głowami wisiał transparent z napisem: *Reach for the Top: zwycięzcy eliminacji z północy Ontario*.

- Karl i ja siedzimy po prawej - rzuciła dyrektorka, nie patrząc na zdjęcie. - Drugi chłopak, Harold, znalazł pracę w Albercie, w przemyśle naftowym. Gwen miała największą wiedzę z nas wszystkich.

Studiowała medycynę w Stanach, ale zachorowała i okazało się, że to rak jajnika.

Kennicott odłożył zdjęcie na biurko.

- Doszliśmy do finału na szczuble prowincji. To było największe wydarzenie w historii naszego miasta. Myśleliśmy samochody, urządaliśmy loterie i targi domowych wypieków - wszystko, żeby zebrać fundusze. Pojechaliliśmy nocnym pociągiem do Toronto i zatrzymaliśmy się w hotelu Royal York, naprzeciwko dworca Union Station.

Pani Tressider zapatrzyła się zamglonym wzrokiem w okno.

- I jak wam poszło? - zapytał policjant.

Prychnęła, potrząsając głową.

- Roznieśli nas na strzępy. Była tam miejscowa drużyna, z liceum imienia Neila McNeila. Od razu naciskali klawisz i zgłaszali się do odpowiedzi. Wiedzieli wszystko. Karl zniósł to najgorzej. Przysięgał, że wróci do Toronto i się wybije. Dostał się na staż w tamtejszym banku, ale go nie ukończył.

- Co się stało?

- Nie chciał o tym mówić. Kiedy wrócił do Cobalt, ja uczyłam się w college'u pedagogicznym. Po dyplomie też wróciłam, a on był już z Jacquelyn Cormier i spodziewali się dziecka.

Niespodziewanie pani Tressider wstała z fotela i podeszła do okna, przez które widać było panoramę miasta i tory kolejowe biegnące wzdłuż rzeki. Słońce wisiało jeszcze nisko nad horyzontem, rzucając jasne smugi na ściany gabinetu. Opuściła żaluzje niemalże do połowy.

Kennicott rozejrzał się po gabinecie. Nie było tam ani jednego osobistego zdjęcia. Żadnego portretu pani dyrektor z mężczyzną w jej wieku, żadnych fotek dzieci. Często bywa tak, pomyślał, że najwięcej o człowieku mówi to, czego nie ma lub to, o czym się nie wspomina.

- Kiedy Sam zaczęła chodzić do liceum, Karl przyprowadził ją do mnie, zaraz pierwszego dnia - powiedziała pani Tressider. - Siedziała na tym samym krześle co pan teraz. Karl był z niej bardzo

dumny. Rok wcześniej załatwił jej tygodniowe zwolnienie ze szkoły i zabrał do Toronto. Zatrzymali się w hotelu Royal York. Pokazał jej wszystkie banki, giełdę, muzeum, galerię sztuki, byli razem na kilku musicalach i meczu Toronto Blue Jays.

Mówiła, nie oglądając się za siebie i skrobała przy tym ołówkiem po słupku rozdzielającym skrzydła okna.

- Sam była inteligentnym i wesołym dzieckiem, ale kiedy Karl zginął tak nagle, zamknęła się w sobie. Miała dopiero czternaście lat. Fatalny wiek dla dziewczyny, żeby stracić ojca.

Kennicott zajrzał do świadectwa, szukając rubryk z uwagami wychowawców, ale dowiedział się tylko, że Samantha Frankland była pilną uczennicą.

- Rozmawiałem z jej koleżanką ze studiów - powiedział. - Podobno uczyła się dużo i trzymała z dala od ludzi.

Pani Tressider wróciła za biurko. Zanim usiadła, odstawiła zdjęcie swojej dawnej uczniowskiej drużyny z powrotem na miejsce.

- Sam nie miała przyjaciół. Kiedy chciała porozmawiać, przychodziła do mnie.

- O czym z panią rozmawiała?

- O szkołach. O stypendiach. O swojej ostatniej pracy domowej. Pożyczałam jej „Newsweeka”, bo uwielbiała go czytać. Czasami mówiła o tacie. Wiedziałam, że chciał, aby się stąd wyrwała.

- Czy miała wrogów? Może wdała się kiedyś w bójkę albo na kogoś nakrzyczała?

- Wiedziałam, że pan o to zapyta. - Dyrektorka ujęła ołówek obiema dłońmi. Drewno pękło z głośnym trzaskiem.

- Przepraszam - mruknęła zażenowana. - Nieczęsto mi się zdarza rozmawiać z policjantem.

- Świetnie pani sobie radzi - zapewnił Kennicott.

Pani Tressider wrzuciła złamany ołówek do środkowej szuflady biurka, którą od razu zatrzasknęła, jakby były tam jakieś kompromitujące dowody.

- Sam była inteligentna, niecierpliwa i, muszę przyznać, porwacza. Rówieśnicy uważali ją za snobkę, ale jej to wcale nie obchodziło.

Sięgnęła po następny ołówek.

- Nie widzę wielkiego związku z tym, co się stało, ale w dwunastej klasie dokuczał jej jeden chłopak, Brett Barton. Raz próbował ją zaciągnąć do męskiej ubikacji.

- I co się stało?

- Sam była silna. Złamała mu nos w dwóch miejscach, a dodatkowo jeszcze żebro. A potem popchnęła go na szafki, tak mocno, że stracił przytomność. Miał wstrząs mózgu, lekki, ale musieliśmy wezwać karetkę i odwieźć go do szpitala w Haileybury.

Kennicott odszukał świadectwo siedemnastoletniej Samantha Frankland.

- Tutaj nic nie ma na ten temat. Została zawieszona w prawach ucznia?

- To się stało na tydzień przed złożeniem podań o stypendium. Odbiliśmy długą naradę. Brett był znany z tego, że lubi naprzykrzać się dziewczynom i nikt nie miał do Sam pretensji o to, że się broniła.

- Czyli sprawa została przemilczana.

- Ona zasłużyła sobie na to stypendium. Ale ja... - Pani Tressider urwała, postukując ołówkiem w blat biurka.

- Ale pani uważała, że posunęła się za daleko.

Dyrektorka mocniej ścisnęła ołówek w palcach, nie przerywając stukania.

- Być może wiadomość o tym morderstwie nie była dla pani aż tak wielkim szokiem? - dodał Kennicott.

Spojrzała na niego.

- Nie wiem. - W oczach miała znużenie.

Kennicott wstał z krzesła i stanął pod ścianą naprzeciwko okna, gdzie wisiały dwa długie rzędy zdjęć młodych ludzi w biretach i togach, siedzących pod tablicą z napisem „Uczniowie roku”. Oglądając ich niemodne fryzury i ubrania, miało się wrażenie podróży w czasie.

- Sam jest na górze, trzecia od prawej - rzuciła pani Tressider.

W odróżnieniu od większości absolwentów, którzy szczyrzyli zęby do zdjęcia, Samantha Frankland była zupełnie poważna. Kennicott odwrócił się od ściany.

- Czy któryś z nauczycieli miał z nią bliższy kontakt?

Pani Tressider wyjęła kartkę papieru i postawiła na niej kilka znaków.

- Nie - odpowiedziała. - Oprócz mnie była tylko LU, to znaczy Lillian Funke, bibliotekarka z New Liskeard. Sprowadzała dla Sam książki z całej prowincji. Proszę, to jest jej numer. Teraz wyjechała do Toronto, na posiedzenie sądu w sprawie zwolnienia Sam za kaucją, ale może pan do niej zadzwonić o dowolnej porze.

Kennicott wziął kartkę.

- Czy Sam panią czasem odwiedza?

- Kiedy tylko zagłąda do domu. Czyli w sumie widzujemy się dość rzadko. Nigdy zbyt wiele jej nie łączyło ani z mamą, ani z bratem. To ojciec miał najtęższą głowę w rodzinie.

- Była tutaj może z mężem i synem?

- Raz, kiedy chłopiec był jeszcze malutki. Potem przyjeżdżała już sama.

- Rozmawiała z panią o swoim małżeństwie?

- Nie. Tylko o studiach, a potem o pracy, o kolejnych posadach. Bardzo ją gryzło, że te bogate dziewczyny z Toronto dostały się na staż w dużych bankach, a ona nie. Ale ona już taka jest, że to ją tylko bardziej zmotywowało. Musiała pokazać, że jest lepsza od nich.

- Kiedy po raz ostatni ją pani widziała?

- Mniej więcej rok temu. Po rozstaniu z mężem. Wszystkie gazety trąbiły, że spotyka się z aktorką z Ameryki.

- I jak Sam to znosiła?

Pani Tressider rzuciła ołówek na blat.

- Była przygnębiona. Czemu się dziwić, w takiej sytuacji?

- A złość?

Dyrektorka podniosła ołówek i wstawiła go z powrotem do kubka.

- To nie była taka złość, że zaraz polecę i zamorduję męża albo zrobię coś równie głupiego. Była zła na niego, ale też na siebie. Mówiła, że powinna być lepszą matką. Wie pan, mnie się wydaje, że ona nigdy nie miała prawdziwego dzieciństwa, zawsze tylko pracowała. Poradziłam jej, żeby skorzystała z tego, że może mieć trochę czasu dla siebie.

- I co ona na to?

- Uśmiechnęła się i powiedziała, że to całkiem niezły pomysł.

Pięć po jedenastej Kennicott wyszedł ze szkoły. Powitał go jasny blask słońca. Przysiadłszy na szczycie długich schodów prowadzących do wejścia, zmierzył wzrokiem panoramę miasta. Nagle w od dali odezwała się syrena pociągu zmierzającego na południe. Maszyna ukazała się dopiero chwilę później.

Policjant wyobraził sobie, jak młoda Samantha Frankland siedziała w tym samym miejscu, obserwując ten codzienny kolejowy rytuał.

Lokomotywa gwizdnęła ponownie. Kennicott oczekiwał, że zwolni, zatrzyma się, ktoś wsiądzie, ktoś wysiądzie, ale nie; pociąg przetoczył się z łoskotem przez miasto i zniknął wśród drzew, a echo syreny jeszcze długo krążyło wśród odległych wzgórz.

33.

Pani prokurator, panie mecenasie, orzeczenie wydam niezwłocznie - oznajmiła sędzia Norville, kiedy tylko Ted DiPaulo i Jennifer Raglan skończyli wygłaszać swoje wnioski, argumentując za zwolnieniem bądź też przeciw niemu Samantha Wyler za kaucją.

DiPaulo zerknął na Raglan. Była tak samo zdziwiona jak on. Minęła dopiero dwunasta trzydzieści. Oboje spodziewali się, że przewodnicząca rozprawie ogłosi wcześniejszą przerwę na lunch, żeby móc zadzwonić do męża po radę.

Ta Norville ma więcej charakteru, niż się ludziom wydaje, pomyślał adwokat, przyglądając się, jak sędzia sięga po zbiór precedensów złożony przez niego do akt sprawy. A potem przypomniał sobie, że sama ma dziecko, córeczkę opóźnioną w rozwoju. Kiedy dziewczynka miała dwa lata, umarł jej ojciec, a dziewięć miesięcy później Norville ponownie wyszła za mąż. Twarda sztuka.

Raglan wstała z miejsca.

- Jeśli wysoki sąd życzy sobie kontynuować jeszcze przed lunchem, to ja jestem za.

- Popieram. - DiPaulo podążył w jej ślady. Co miało oznaczać to nagłe zdecydowanie sędzi?

- Proszę oskarżoną o powstanie. - W głosie przewodniczącej rozprawie brzmiały powaga i pewność siebie.

Samantha Wyler wstała, chwiejąc się lekko.

Dla adwokata wysłuchanie orzeczenia sędziowskiego to zawsze najgorsze przeżycie. Nawet kiedy zwycięstwo wydaje się z góry

przesądzone, to w zasadzie nigdy nic nie wiadomo, dopóki się nie usłyszy tego magicznego „niewinna”, bądź też, jak w tym wypadku, „zwolniona za kaucją”.

Rozstrzygając sprawę, sędzia nie przejmując się losem oskarżonego nieszczęśnika, którego życie waży się na szali. Musi się asekurować z każdej strony, więc będzie się rozwodzić w nieskończoność nad uzasadnieniem, dlaczego podejmuje taką decyzję, a nie inną. Żyje w ciągłym strachu przed sądem apelacyjnym, który może obalić jego czyjej orzeczenie i zawsze musi chronić własne cztery litery.

Zwyczaj podczas ogłaszania wyroku Ted DiPaulo robił notatki na kartkach podzielonych pionową kreską na dwie rubryki. W lewej, mniej więcej o połowę szerszej, zapisywał to, co mówiła osoba przewodnicząca rozprawie, a w prawej - kluczowe kwestie potrzebne do złożenia apelacji w razie przegranej.

Samantha Wyler, stojąca obok niego, uniosła wzrok na sędzię. Klienci w takiej sytuacji patrzyli raczej błagalnie i mieli żałosny wygląd. Ale nie ona. Ona patrzyła prosto na Irene Norville.

- Jest to jedna z najtrudniejszych decyzji, jakie przyszło mi podjąć od chwili objęcia tego urzędu - zaczęła sędzia, przyglądając się oskarżonej ze zmarszczonym czołem. - Z jednej strony, jeżeli jest pani niewinna, to nikt z obecnych na tej sali nie jest w stanie sobie wyobrazić, jakie piekło pani w tej chwili przeżywa. Ojciec pani jedynego dziecka - zamordowany. Syn - osierocony. Mam pełną świadomość faktu, że jeśli zatrzymam panią w odosobnieniu, to nie zobaczy go pani przez długie miesiące, a może nawet lata, i to w momencie bardzo ważnym dla kształtowania osobowości człowieka.

W porządku, pomyślał DiPaulo. Słuchamy o tym, co z drugiej strony.

- Jednakże z drugiej strony, jeżeli jest pani winna - ciągnęła dalej sędzia Norville - oznacza to, że ciąży na pani odpowiedzialność za śmierć ojca tego cudownego chłopca, a także za całe cierpienie spowodowane tym faktem.

Samantha Wyler założyła dłonie za plecy, jak gdyby lada chwila miały się na nich zatrzasnąć kajdanki.

- Dzisiaj nie będę jednakże rozstrzygać o winie i niewinności - oznajmiła przewodnicząca rozprawie. - Jedyna kwestia do rozstrzygnięcia to ta, czy można panią zwolnić z aresztu za kaucją. Muszę w tym celu odpowiedzieć na trzy pytania. Po pierwsze, czy stawia się pani na wezwanie w sądzie? Mecenas DiPaulo w swoich znakomitych wnioskach zapewnił, że złoży pani paszport i zamieszka w Co-balt, mieście, które, zgodnie z jego autorskim opisem, to zapadła, zabita deskami dziura. Był też uprzejmy zauważyć, że nie posiada pani nawet prawa jazdy.

DiPaulo notował gorączkowo. To wcale nie musi być dobry znak, kiedy sędzia mówi klientowi, jak wspaniale spisał się jego adwokat. Często okazuje się, że było to preludium do klęski, nieuniknionej pomimo mężnych wysiłków.

- W drugiej kolejności należy się zastanowić, czy może pani popełnić dalsze wykroczenia. Tutaj znów posłużył nam pomocą pan DiPaulo, przypominając, że jest pani osobą niekaraną. Poza tym, co nawet ważniejsze, jestem pewna, że poręczenie pani matki wystarczy w zupełności. Pod jej dachem nie będzie pani nikomu zagrażać.

Dwa na trzy, nieźle, pomyślał DiPaulo, ale to jeszcze za mało.

- Ostatnie, najbardziej kłopotliwe pytanie, brzmi następująco: czy publiczne zaufanie do wymiaru sprawiedliwości nie ucierpi, jeśli zostanie pani zwolniona? - Z tymi słowami wzięła do ręki gruby segregator z precedensami wyszukanymi przez Teda DiPaulo i upuściła go z głuchym łoskotem na blat swojego stołu. - Przypadki, gdy oskarżony o morderstwo, zwłaszcza niekarany, tak jak pani, wychodził z aresztu za kaucją, nie są nieznane orzecznictwu.

Nie wiedzieć czemu, sędziowie kochali podwójne przeczenia. Jakby zależało im na niuansach. Po co mówić, że przypadki zwolnienia za kaucją w podobnej sytuacji „nie są nieznane”? Czy nie można walnąć prosto z mostu: „istnieje precedens, który pozwala wypuścić panią za kaucją”?

DiPaulo zamął z piórem w dłoni. Przez cały czas ścisnął je tak mocno, że nie mógł teraz wyprostować palców, które chwycił kurcz. Wysunął obsadkę drugą ręką i spróbował nimi poruszyć.

Nagle dotarło do niego, że sędzia milczy. W tej chwili ważyła się jej decyzja. DiPaulo nie śmiał unieść wzroku. Nie czuł palców. Na sali panował kompletny bezruch.

Tylko nie mów „ale”, błagał w myślach, broniąc się przed tym słowem, postrachem wszystkich adwokatów, kamieniem, na którym potykało się każde pozytywne rozstrzygnięcie. Wiedział, że jeśli teraz padnie jakieś „ale”, to wszystko przepadło.

Spojrzał na sędzię Norville. Ona też patrzyła na niego.

- Pani DiPaulo - zapytała - jak rozwiązał pan kwestię kontaktu oskarżonej z synem, skoro ona ma przebywać na północy, a on pozostanie w Toronto?

Adwokat zerwał się na równe nogi. W głowie miał kompletny zamęt. Nie było żadnego „ale”. Norville postanowiła wypuścić Samantha Wyler. A już mu się wydawało, że tamto wideo, na którym Simon bawi się z Greene'em, kompletnie pogrzyżyło sprawę. Jego zdrętwiałe palce ożyły.

Zrozumiał wreszcie, o co chodzi. Norville nie chciała odebrać chłopcu matki. Gdy umarł jej pierwszy mąż, przekonała się na własne oczy, jak dziecko przeżywa stratę ojca. To było dla niej najważniejsze. Dlaczego o tym nie pomyślałem, parsknął DiPaulo bezgłośnie. I nagranie podczas procesu byłoby zabójczą bronią, ale teraz, właśnie dzięki niemu, Samantha miała odzyskać wolność.

Panuj nad sobą, Ted, upomniał się szybko. Niech ci się nie wydaje, że masz już wygraną w kieszeni.

- Doskonałe pytanie, wysoki sędzie - odparł, grając na zwłokę. Musiał zebrać myśli.

I wtedy Raglan podniosła się z miejsca.

- Wysoki sędzie, rozumiem troskę o dobro dziecka, które musi mieć kontakt z matką, pragnę jednak przypomnieć, że mały Simon będzie kluczowym świadkiem oskarżenia. Istnieje realne zagrożenie,

że matka wyrze na niego niewłaściwy wpływ, a w sprawie o morderstwo uniknięcie takich wpływów powinno być dla sądu kwestią najwyższej wagi.

Norville stuknęła piórem o blat.

Rozmyśliła się, pomyślał DiPaulo.

- Celna uwaga, pani prokurator - Norville przygryzła dolną wargę, wzruszając ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Nie gniewaj się, Ted. Byłeś blisko, ale blisko to nie wszystko”. - Panie DiPaulo, odbieranie dziecku matki budzi mój najwyższy niepokój, ale...

Doczekałem się, pomyślał. „Ale”. I w tej chwili nowa myśl błysnęła mu w głowie. Do cholery z tym „ale”.

- Podzielał niepokój wysokiego sądu - przytaknął, wpadając Norville w słowo, co w sądzie było niedopuszczalne. Przewodnicząca rozprawie zmarszczyła gniewnie brwi, lecz adwokat ciągnął dalej: - Zgadza się też z moją szanowną koleżanką. Nie można pozwolić, aby moja klientka przebywała ze swoim synem sam na sam.

- W porządku - podjęła sędzia. - W takim razie nie wyrażam zgody...

- Mam jednak rozwiązanie tego problemu, wysoki sędzie. Proszę mnie wysłuchać.

Widział, że Norville otwiera usta, że chce coś powiedzieć, ale rozkazał sobie: nie przerywaj!

- Pani Wyler będzie przebywać w Cobalt, ale kiedy przyjedzie do Toronto na spotkanie ze mną, zabiorę ją do komendy policji, gdzie będzie mogła zobaczyć się z synem w specjalnym pokoju dla dzieci, który oglądaliśmy na nagraniu. Widać było, że chłopiec czuł się tam swobodnie.

- Hmm... - zamyśliła się sędzia.

- Dzięki temu pani Wyler będzie miała kontakt z synem - ciągnął dalej DiPaulo, pragnąc ze wszystkich sił zobaczyć potakujące skiniecie głową. - Nie stanie to na przeszkodzie sprawiedliwemu osądzeniu. Wręcz przeciwnie. Moja klientka będzie non stop pod obserwacją policji. Wszystko zostanie nagrane.

Norville uśmiechnęła się szeroko, jak podróżnik, który przeprowił się przez dziką rzekę i stanął bezpiecznie na drugim brzegu.

- Chodziło mi po głowie podobne rozwiązanie - oznajmiła. - Pani Wyler, wypuszczę panią za kaucją, ale proszę mi wierzyć: warunki zwolnienia będą najsurowsze z możliwych. Jak w więzieniu, tylko bez krat, za które może pani trafić w każdej chwili, wystarczy jeden raz przekroczyć moje rozporządzenia. Czy mnie pani rozumie?

- Tak - odpowiedziała Samantha Wyler, po raz pierwszy zabierając głos w sądzie. Wrażenie było piorunujące.

Przez kolejnych dwadzieścia minut sędzia Norville mnożyła warunki zwolnienia, dorzucając po kolei wszystko, co tylko przyszło jej do głowy. Areszt domowy, z jednym wyjątkiem: zezwoleniem na korzystanie z bibliotek w Cobalt i New Liskeard. Zakaz korzystania z poczty elektronicznej i Internetu w ogóle. Zakaz używania telefonu komórkowego. Zakaz odbywania rozmów zamiejscowych, z wyłączeniem kontaktów ze swoim adwokatem.

DiPaulo posłusznie notował każde słowo po lewej stronie przedzielonej kreską kartki. Po prawej narysował ogromną uśmiechniętą buźkę.

Runda pierwsza: jeden zero dla obrony. I to przy szansach nie wyższych niż próg Herberta Hoovera. Jak ja uwielbiam wygrywać, pomyślał rozanielony, wiedząc, że tego dnia będzie spał jak dziecko.

CZEŚĆ TRZECIA

Listopad

34.

Arceli Ocaya martwiła się o Simona. Od morderstwa pana Wylera upłynęły już trzy miesiące, a chłopiec w końcu przestał wspominać o tacie. Jednakże kiedy tylko opiekunka próbowała go o to zagadnąć, wyciągał któryś ze swoich plastikowych pistoletów i krzychał: „Bach, bach! Policja! Przestępcy, ręce do góry!”. Pistolety i policja - nie chciał rozmawiać o niczym innym.

Pierwszych kilka dni po tragedii Simon i Arceli spędzili w domu wuja Nathana. Policja przysłała do nich pracownicę opieki społecznej, a chłopiec rozpłakał się, mówiąc, że chce iść do przedszkola. Trzeba było ustalić jakiś plan: uzgodnili, że do końca jesieni Simon w tygodniu będzie mieszkał u Arceli, w weekendy u Nathana. Wuj Jason podjął się obowiązków kierowcy. W styczniu mieli przeprowadzić się na stałe do Wylerów.

Kiedy chłopiec wrócił do przedszkola, wielu rodziców zgłosiło się do pomocy, zapraszając go do siebie, żeby pobawił się z ich dziećmi, ale potem zaczęli się skarżyć, że wciąż mówi tylko o policji i pistoletach.

Co dwa tygodnie detektyw Greene przyjeżdżał do Arceli, żeby zabrać Simona na spotkanie z mamą na komendzie policji. Chłopca fascynowało policyjne radio. „Przyjąłem”, „zrozumiałem”, „jestem w drodze” - powtarzał takie zwroty bez przerwy.

Tym razem detektyw miał wyjątkowe zadanie do wykonania. Poprzedniego dnia zadzwonił do opiekunki, a ona w pewnym momencie

wybuchła płaczem i powiedziała mu, że Simon wciąż mówi o pistoletach.

- Przepraszam, że zawracam tym panu głowę - jęknęła na koniec.

- Dobrze pani postąpiła - uspokoił ją. - Koniec z radiowozami, a jutro zabiorę mu wszystkie pistolety.

Następnego dnia, kiedy w mieszkaniu Arceli zabrzączał dzwonek, Simon pierwszy rzucił się do domofonu.

- Policja, słucham. - Stał na palcach, wyprężony jak struna, żeby dosięgnąć głośnika. - Wchodzić z rękami do góry.

- Simon, przestań. - Ocaya odciągnęła go od ściany.

- Dlaczego? - Wyrwał się jej i popędził do salonu, wyciągając pistolet spod poduszki na kanapie, gdzie sypiał. Zanim zdążył wrócić, Greene był już w kuchni. Miał ze sobą płócienną torbę, dużą, białą i z olbrzymim emblematem policji. Billy szczerkała, merdając ogonem.

Detektyw przykucnął przed chłopcem.

- Dzień dobry - przywitał się.

- Znalazł pan mojego Tomka? - zapytał chłopiec. Przy każdym spotkaniu z detektywem pytał o to samo: o lokomotywę zgubioną gdzieś w „tamnym” domu.

- Niestety nie, ale dziś jestem tutaj służbowo, ze specjalną misją - odparł Greene, wyciągając z kieszeni podłużną kartkę papieru. - Zobacz.

Simon zbliżył się, kładąc dłoń na ramieniu detektywa.

- To się nazywa nakaz rewizji - powiedział Greene. - Spójrz tutaj. Dasz radę to przeczytać?

Chłopiec przyjrzał się uważnie.

- „Simon”. Ja się tak nazywam.

- A to?

- „Arceli” - wyrecytował, pękając z dumy i oglądając się na opiekunkę.

- Świetnie, Simon! - Ocaya aż klasnęła w dłonie. Kiedy przychodził detektyw Greene, od razu miała lepszy humor.

- A tutaj, to długie słowo? Zaczyna się na „p”.

- „Pistolety”. Przyniósł mi pan więcej pistoletów?

- Niestety nie. Tutaj jest napisane, że muszę zebrać wszystkie pistolety, które są w tym mieszkaniu i schować je do tej torby. Jakies inne dziecko musi się nimi pobawić.

Simon spojrzął na pistolet, który ścisnął w dłoni, a potem założył ręce na piersi.

- Nie - oznajmił twardo. - Nie oddam.

- Simon, bądź grzeczny - upomniała Ocaya.

- To moje! - krzyknął chłopiec prosto w twarz detektywa, po czym, ku wielkiemu zaskoczeniu opiekunki, obrócił się na pięcie i wypadł na korytarz. Za nim pognął pies.

- Simon! - zawołała Arceli.

Greene, nie wahając się ani chwili, wyskoczył z mieszkania i ruszył za chłopcem. Ocaya wyciągnęła z szuflady w kuchni klucz do drzwi i też wybiegła. Simon pędził w stronę klatki schodowej, tuż za nim gnał pies, a detektyw gonił ich obu.

- Simon, proszę cię! - Ocaya zamknęła mieszkanie, ale gdy odwróciła się od drzwi, korytarz był już pusty, tylko klatka schodowa dudniła echem oddalających się kroków. Opiekunka zbiegła co tchu na dół, kierując się za tym odgłosem, a na trzecim piętrze zobaczyła, że Greene leży w kącie, na wznak, wyciągnięty jak długi, przyciskając Simona do piersi. Pies stał nad nimi, trącając nosem to jednego, to drugiego. Podłoga była brudna. Biedny detektyw Greene, pomyślała Arceli.

Ubrał się dziś w taki ładny garnitur.

Simon uniósł wzrok.

- Tatusz nie miał pistoletu - powiedział. - A ja muszę mieć.

35.

To był dziewiętnasty powód, aby unikać śledztw w sprawie morderstwa, pomyślał Daniel Kennicott, odfajkowawszy kolejne nazwisko na długiej liście świadków, których Greene kazał mu przesłuchać jeszcze raz. Było to niezbyt ciekawe zajęcie. Pierwsze gorączkowe dni pracy dobiegły już końca i wielkie poruszenie ustąpiło miejsca codziennej policyjnej rutynie, czyli patrolom i wywiadom. Na nich opierało się każde dobre śledztwo; na nich i na ciągłym powtarzaniu tego, co już się zrobiło.

Wielu detektywów w takiej sytuacji poprowadziłoby śledztwo zupełnie automatycznie - ostatecznie przeciwko oskarżonej przemawiało całe mnóstwo dowodów - ale nie Greene. On nie odpuścił, chociaż następnego dnia miała się odbyć rozprawa wstępna, a wszystko wskazywało na to, że Samantha Wyler przyzna się do winy. Tymczasem Greene tego ranka polecił Kennicottowi wrócić na ulicę, gdzie mieszkał Terrance Wyler i jeszcze raz przejść się po sąsiadach. Młody policjant był tam już dwa razy i rozmawiał ze wszystkimi świadkami oprócz jednego, nastolatka nazwiskiem Brandon Legacy. Jego dom stał na posesji przyległej do działki zamordowanego. Za każdym razem Kennicott dzwonił z zapowiedzią, że się pojawi i za każdym razem matka Brandona miała dla niego taką samą informację: syna nie ma w domu.

- Teraz już nie dzwoń - poradził mu Greene. - Jedź bez uprzedzenia, tylko wcześniej.

Kennicott minął dom państwa Legacy, który, podobnie jak dom Terrance'a Wylera, stał na zboczu wzgórza. Do drzwi wiodła stromo pnąca się ścieżka, a podjazd prowadził za róg.

Przypomniawszy sobie poranek siedemnastego sierpnia. Upał. Wyludnioną ulicę. Szaleńczą jazdę do Ontario Food Terminal, aby przekazać Nathanowi Wylerowi wiadomość o śmierci brata, a potem powrót do domu Terrance'a, żeby pomóc przy śledztwie. Pod jego nieobecność inni funkcjonariusze chodzili od drzwi do drzwi i wypytywali sąsiadów - standardowa procedura w wypadku morderstwa. Jej cel to dotarcie do wszystkich ewentualnych świadków i zebranie podstawowych informacji; bardziej szczegółowe pytania zostawia się na kolejną, uzupełniającą wizytę. Wszystko notowano na gotowych arkuszach, a Kennicott zestawiał dane, tworząc jeden chronologiczny spis wydarzeń.

W domu państwa Legacy był już przed nim inny policjant, który zapisał na swoim arkuszu:

17 sierpnia, godz. 10:31 - Hillside Drive 233. Zapukałem, a potem zadzwoniłem do drzwi. Powtórzyłem obie czynności jeszcze dwa razy. Nikogo nie było w domu.

Jeszcze tego samego dnia Greene poprosił Kennicotta, żeby zajrzał tam po raz drugi. Tym razem drzwi otworzył osobiście Brandon Legacy, wysoki nastolatek ze strzechą włosów koloru ciemnobłond. Wyglądał tak, jakby dopiero się obudził. Typowe, pomyślał Kennicott. Wywiad był krótki:

17 sierpnia, godz. 14:52 - Hillside Drive 233. Brandon Legacy, lat 18, mieszka sam (rodzice wyjechali na urlop za miasto). Pracuje jako ratownik na basenie. Noc spędził w domu. Grał na komputerze. Znał sąsiada, p. Wylera. Od czasu do czasu pilnował jego syna. Ani w nocy, ani nad ranem nie zauważył na ulicy niczego odbiegającego od normy, np. samochodów. O godz. 10:31 spał i nie słyszał, jak policjant dzwonił do drzwi.

Kennicott wysiadł z radiowozu. W powietrzu wisiał przejmujący listopadowy chłód. Policjant zawziął się, że tym razem pogada z chłopakiem. Dzwonek do drzwi miał głośny sygnał.

- O, witam, panie posterunkowy. - Otworzyła mu matka Brandona, którą poznał przy okazji dwóch poprzednich wizyt. Miała na sobie obcisły dres. Pomimo wieku - około czterdziestu pięciu lat - była w świetnej formie, jak olimpijka po zakończeniu kariery. Z ramienia zwisała jej sportowa torba, a w dłoni tkwiła butelka z napisem „Quad East”. - Nie zadzwonił pan - zauważyła kobieta.

- Dzisiaj już naprawdę muszę porozmawiać z pani synem - odparł Kennicott.

- Jeszcze nie wstał. Jak to nastolatek. Zerwie się w ostatniej chwili, wskoczy w samochód i popędzi do szkoły.

Policjant ani drgnął. Wiedział, że jego obecność, fakt, że stoi w progu, mówi sam za siebie.

Matka Brandona zerknęła na cienki jak opłatek zegarek, z tych, które mają dodatkowo funkcje kardiomonitora.

- O ósmej mam trening. Spóźnię się.

- Proszę pani, śledztwo dotyczy zabójstwa z premedytacją - przypomniał Kennicott.

Kobieta odkręciła butelkę i wypła mały łyk wody.

- Przyprowadzę go - zgodziła się. - Mogę iść na drugi trening, o dziewiątej trzydzieści.

Dwadzieścia minut później Kennicott wciąż czekał na Brandona, siedząc przy stole z kutego żelaza ustawionym we wnęce w głębi kuchni na tyłach domu. Popijał przy tym herbatę przygotowaną przez gospodynię państwa Legacy.

Każda ściana miała okno, dzięki czemu kuchnia była zalana blaskiem słońca. Za domem znajdowało się spore podwórko, a podjazd, podobnie jak obok, u Wylerów, kończył się dopiero tutaj, rozciągnięty na całą szerokość tylnej ściany. Stały tam trzy samochody. Osiemnastolatek ma własny wóz, pomyślał Kennicott. Posesję od sąsiedniej działki oddzielał szpaler drzew przecięty ścieżką.

Brandon Legacy zjawił się w kuchni ubrany w luźne dzinsy z dzwonołowatymi nogawkami, trampki świecące imponującą liczbą dziur i dopasowany czarny sweter. Pod szyją bielił się podkoszulek.

- Oto i on - powiedziała jego matka.

- Muszę porozmawiać z nim w cztery oczy - poinformował Kennicott.

- Aha. - Najpierw spojrzała na zegarek, a potem odwróciła się do syna i pogładziła go po policzku. - Skarbie, mogę iść? Dasz sobie radę?

Chłopak cofnął się gwałtownie, uciekając przed jej dłonią.

- Wszystko jedno, mam. Nie może ci przepaść trening.

Kobieta chwyciła swoją sportową torbę i praktycznie wybiegła z domu. Brandon patrzył za nią zmrużonymi oczami, po czym opadł na krzesło naprzeciwko Kennicotta.

- Mama ma fioła na punkcie treningu aerobowego, codziennie musi ćwiczyć, bo jak nie... - Zauważył stojącą przed policjantem filizankę. - Dostał pan herbatę z jej egzotycznej kolekcji?

- Ręcznie zbierana na indyjskiej plantacji - skinął głową Kennicott. - Jeśli wierzyć napisowi na opakowaniu.

Chłopak potrząsnął głową.

- Jak pan może pić coś takiego o tej porze? Muszę zrobić sobie kawę. Nie przeszkadza to panu, mam nadzieję?

- Nie, śmiało.

Chłopak nie był pozbawiony pewnego rodzaju uroku, widocznego nawet zza wciśniętej na siłę pozerskiej maski nastolatka. Z dużym kubkiem kawy w dłoni wrócił na krzesło i spojrzął na Kennicotta ponad stołem. Nie zachowywał się wyzywająco, ale policjant coś jednak wychwytił; może to był strach. Postawił na blacie minidyktafon.

- Rejestruję wszystkie rozmowy ze świadkami - powiedział, włączając nagrywanie. - W porządku?

Młody Legacy machinalnie skinął głową.

Prawdę mówiąc, Kennicott wcale nie rejestrował wszystkich zeznań, ale był to niezły sposób, aby zapewnić sobie uwagę młodego człowieka.

- Mówi posterunkowy Daniel Kennicott. Znajduję się w kuchni rodzinnego domu Brandona Legacy, lat osiemnaście. Jest szesnasty listopada, godzina... - Zerknął na swój zegarek. - Ósma zero dziewięć rano. Czy to wszystko się zgadza, Brandon?

- Tak. - Chłopak przygarbił się, wyciągając głowę w kierunku dyktafonu.

- Brandon, podczas rozmowy, którą odbyliśmy latem, zapytałem cię, jak spędziłeś wieczór w niedzielę, szesnastego sierpnia, tuż przed morderstwem Terrance'a Wylera. Odpowiedź brzmiała: byłem w domu, grałem na komputerze.

- Aha - potwierdził, prostując się na krześle.

- Z tym, że wtedy nie zadałem ci kolejnego pytania: czy byłeś w domu sam?

Młody Legacy pociągnął łyk kawy, siorbiąc głośno. Potem zaparkował się w okno. Gra na zwłokę, pomyślał policjant.

- Nie do końca - odpowiedział wreszcie chłopak.

- Co to znaczy: nie do końca? - Kennicott sprawdził, czy dyktafon na pewno jest włączony.

- To znaczy, że nie całą noc. - Brandon napił się jeszcze. Tym razem zrobił to cicho.

Policjant spojrzał mu prosto w oczy.

- Kto był z tobą?

- Mam parę znajomych osób.

- A która z nich była wtedy tutaj?

Legacy obejrzał się przez ramię. W kuchni nie było nikogo.

- Muszę panu odpowiadać?

- Terrance Wyler, twój sąsiad, zginął w domu obok. Opiekowałeś się kiedyś jego synem Simonem.

- Mądry chłopak.

- Który stracił ojca. Zapomnij o tym, co widziałeś w „CSI”. Zagadek kryminalnych nie rozwiązuje się w laboratorium, tylko na ulicy, dzięki pomocy obywateli. Muszę się dowiedzieć, kto był wtedy z tobą.

Drugi człowiek zawsze potrafi zaskoczyć, pomyślał po chwili Kennicott, kiedy nastolatek nagle zaczął płakać. Na skraju stołu leżała papierowa serwetka. Podał mu ją.

- Dziękuję - wyjąkał Brandon.

- To jest ważne - powiedział policjant.

- Nie byłem w domu państwa Wylerów, odkąd Samantha wyprowadziła się po ich rozstaniu.

- Nie o to pytałem. Kto był z tobą tutaj, w tym domu?

- Kiedy moja znajoma osoba wyszła, wszedłem do sieci. Na letnim kursie w Europie poznałem jedną dziewczynę z Kalifornii. Czatowaliśmy co najmniej przez godzinę. Potem grałem we Flight Simulator. To jest gra, gdzie pilotuje się samoloty. Na drugiego pilota można dobierać sobie ludzi z całego świata. Potem gadałem z jednym gościem z Australii, z Perth. Położyłem się dopiero około czwartej. Wszystko mam zapisane na kompie. Możecie sprawdzić godziny. Przez całą noc nie ruszałem się z tego domu. Nawet na krok.

Zasypywanie przesłuchującego mało istotnymi informacjami było znanym, typowym wręcz sposobem na wykręcenie się od odpowiedzi.

- Brandon, przestań robić uniki. Kto był z tobą?

- Naprawdę, muszę porozmawiać z ojcem. W porządku?

- Masz osiemnaście lat. Nie jesteś już nieletni. Mogę cię przesłuchać pod nieobecność rodziców. - Kennicott wyjrzał przez okno, podążając wzrokiem wzdłuż ścieżki łączącej sąsiedzkie posesje. Myślał o dzwonach, które miał na sobie chłopak i o smużce krwi na framudze tylnych drzwi domu Terrance'a Wylera.

Legacy spojrział w tym samym kierunku.

- Samantha. - W jego głosie brzmiał strach. - To ona tutaj była. Ale przysięgam, przysięgam, że przez całą noc stąd nie wychodziłem.

- Jak długo u ciebie była?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Kilka godzin.

- Twoi rodzice wyjechali, zgadza się?

Brandon zaczerwienił się mocno.

- Jak się dowiedzą, to mnie zabiją.
- O której godzinie Samantha Wyler stąd wyszła?
- Nie wiem dokładnie. Około pierwszej.
- Dokąd poszła?

Legacy wskazał dom sąsiada.

- Do pana Wylera. Dostała od niego e-maila, podobno przyjął jej propozycję ugody w sprawie rozwodu. Zaprosił ją do siebie. Ale ja tam nie poszedłem. Przysięgam. Możecie pobrać moje DNA, sprawdzić komputer. Podłączyć mnie do wykrywacza kłamstw. Na wszystko się zgadzam. Nie byłem u pana Wylera od roku, co najmniej. Nie poszedłem do niego tamtej nocy, a z Samantha nie widziałem się już potem ani razu.

36.

Jak minęła podróż pociągiem? - zapytał Ted DiPaulo, witając Samanthę Wyler w swoim gabinecie. Jak zwykle wybrała fotel stojący najbliżej drzwi. Zamknął je za nią i usiadł w fotelu pod oknem. Jego klientka miała na sobie czarne dżinsy, flanelową koszulę i puchową kamizelkę. Bardziej przypominała studentkę niż finansistkę i bizneswoman, którą kiedyś była.

- Mama zasnęła - odpowiedziała krótko. - Ja czytałam. Przez sześć godzin.

- Jak układa się w domu?

- Ubaw po pachy. - Zarzuciła głową, wywracając przesadnie oczami.

Człowiek wypuszczony z aresztu zawsze deklaruje dozoną wdzięczność temu, kto go stamtąd wyciągnął. To uczucie trwa mniej więcej przez miesiąc. Potem powraca codzienna rzeczywistość. Dla Sam oznaczało to tyle, że w wieku trzydziestu pięciu lat musiała mieszkać u mamy, w swoim pokoju z dzieciństwa, pod jednym dachem z bratem kawalerem.

- Co czytałaś? - zapytał adwokat.

Zaśmiała się bez humoru.

- Poradniki o rozwodach. Poradniki dla matek. Poradniki prawne. I medyczne. Znasz mnie, bez przerwy zbieram informacje.

DiPaulo wstał i przesiadł się za biurko, na znak, że nadszedł czas porozmawiać o poważnych sprawach.

- Rozprawa wstępna jest wyznaczona na jutro. Odbędzie się

przed sędzią Norville, która chciała pozostać przy tej sprawie. Najwidoczniej coś ją wyjątkowo zaintrygowało.

- Szuka rozgłosu, jak wszyscy - mruknęła Samantha.

- Wątpię - odparł. - Jej pierwszy mąż umarł, a ona została sama z małą córeczką. Myślę, że martwi się o Simona. To dlatego się zgodziła, żebyś wyszła za kaucją.

- Nie chcę, żeby mój syn zeznawał w sądzie. Wszystko, tylko nie to.

- To raczej bardzo mało prawdopodobne. Prokurator zaszkodziłby sobie, gdyby powołał go na świadka. Film wystarczy w zupełności jako dowód.

- Do czego wystarczy? Żeby mnie skazać, tak? To właśnie jutro usłyszę od sędzi na rozprawie wstępnej, prawda?

- Sędzia będzie stawać na głowie, żeby doprowadzić do ugody stron. Najpierw powie mi, że dowody zgromadzone przeciwko tobie są przytłaczające.

Samantha zwiesiła głowę.

DiPaulo wziął do ręki srebrny nóż do papieru, który dostał od żony z okazji ukończenia studiów prawniczych. Wygrawerowane na nim inicjały zaczynały już się zacierać. Adwokat wiedział nie od dziś, że srebro, tak jak złoto, to miękki metal.

- Ile dostanę za nieumyślne spowodowanie śmierci? - zapytała Samantha, nie podnosząc głowy.

Ucieszyło go, że sama poruszyła ten temat.

- Liczby są brutalne. Za zabójstwo z premedytacją, czyli umyślne, zaplanowane pozbawienie człowieka życia, dostaje się dwadzieścia pięć lat. Ani dnia mniej. Bez prawa do zwolnienia warunkowego. Ty masz lat trzydzieści pięć. To znaczy, że kiedy wyjdiesz, będziesz miała sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt lat.

Samantha zaczęła płakać.

- To jest po prostu nie do wiary - jęknęła.

- Zabójstwo bez premedytacji jest zagrożone minimalną karą dziesięciu lat pozbawienia wolności.

Otarła łzy, spojrzała na niego.

- Nie będę już mogła mieć drugiego dziecka. A Simon nigdy w życiu się do mnie nie odezwie.

- Nieumyślne spowodowanie śmierci to ostatnia możliwość. Nie ma minimalnego wymiaru kary, a zwolnienie warunkowe można dostać już po odbyciu jednej trzeciej wyroku. Zaproponuję prokuratorze przyznanie się do zarzutu nieumyślnego spowodowania śmierci z wyrokiem sześć do ośmiu lat.

Obserwował ją uważnie. Wciąż siedziała z wzrokiem wbitym w podłogę. Odłożył nóż do papieru, ale milczał. Postanowił ją przecze-kać.

- Sześć lat? - zapytała w końcu.

Klient zawsze słyszy tylko najniższą liczbę. DiPaulo z całym rozmysłem wymienił najlepszą ewentualność, bo chciał zrobić dobry początek. A teraz przyszedł czas na ciąg dalszy, choćby miało nie obejmie się bez płaczu i wrzasków.

- Powiedziałem, że proponuję wyrok od sześciu do ośmiu lat. Prokurator nie będzie chciał, abyś przyznała się do nieumyślnego spowodowania śmierci. Jeśli sędzia Norville naprawdę mocno go przycisnie, być może przyjmie tę propozycję, ale ze znacznie wyższym wyrokiem.

- Wyższym?

- Co najmniej piętnaście lat. A zapewne jeszcze więcej.

- Piętnaście. - Zwinęła się w fotelu. - Piętnaście? Simon ma dopiero cztery lata.

- Samantha, posłuchaj mnie. Powtórzę jeszcze raz. Za nieumyślne spowodowanie śmierci możesz odbyć tylko jedną trzecią kary. Za zabójstwo bez premedytacji...

- Wiem, wiem. Minimum dziesięć lat, za zabójstwo z premedytacją dwadzieścia pięć. Ale i tak...

- Wszystko będzie zależało od sędzi. Powiem jej, że na zwolnieniu za kaucją sprawowałaś się bez zarzutu.

- Jeśli przyznam się do winy, już nigdy nie zobaczę swojego syna.

- Tego nie wiadomo. Feindel to świetny adwokat rodzinny. Może po jakimś czasie uda mu się...

- Po jakimś czasie Simon zacznie dorastać. Myślisz, że nastoletni chłopak spojrzy na matkę, jeśli będzie wierzył, że zabiła mu ojca?

DiPaulo obejrzał się na drzwi, sprawdzając, czy na pewno są zamknięte, tak jak nerwowy podróżny raz po raz sprawdza, czy ma paszport w kieszeni na piersi. To był poważny krok. Klientka niemalże przyznała się przed nim do zbrodni. Poczucie winy, widział o tym dobrze, to ciężar, który trudno dźwigać.

- Jestem tylko adwokatem. - Wstał, wyszedł zza biurka i znów usiadł naprzeciwko Samantha. - Moje zadanie polega na tym, aby uzyskać dla klienta wszystko, co można w danej sytuacji. A bardzo się boję, że zostaniesz skazana za zabójstwo z premedytacją.

Kobieta przygryzła wargę i odrzuciła włosy z czoła. Widać było, że jej emocje w każdej chwili mogą wziąć górę.

- Dwadzieścia pięć lat - powtórzyła, chwytając powietrze krótkimi, szybkimi haustami.

- Jutro, na rozprawie wstępnej, będę za ciebie walczył - zapewnił DiPaulo, bezbłędnie wyczuwając najlepszy moment, aby nakłonić klientkę do zgody na przyznanie się do winy w zamian za jak najłagodniejszy wyrok. - Jeśli oskarżyciel złamie się pod naciskiem sędzi i zaproponuje mi kwalifikację czynu jako nieumyślne spowodowanie śmierci, to czy przyjmiesz tę propozycję?

- Ja... Ale ja...

- Musisz mi odpowiedzieć. Jeśli jej nie przyjmiesz, prokuratura zażąda maksymalnego wymiaru kary.

Samantha Wyler skinęła nieznacznie głową.

- Będę ci to powtarzał, dopóki nie zrozumiesz. Dwadzieścia pięć lat. Kiedy wyjdiesz, będziesz miała sześćdziesiąt...

- Zgoda - przerwała mu, ale głosem tak cichym, tak niepewnym, że gdyby miał zamknięte oczy, pomyślałby, że rozmawia z dzieckiem. Jedno słowo; nie było to dużo, ale wystarczyło.

37.

Będę za pięć minut - obiecał Ari Greene ojcu, do którego zadzwonił z samochodu, kiedy był już tylko półtora kilometra od jego domu. Umówili się na malowanie poręczy na schodach przed domem; wreszcie znalazł się na to czas.

- Potrzebne mi nowe pędzle - powiedział starszy Greene. - Możesz je kupić po drodze?

- A co jest nie tak ze starymi?

- Stwardniały.

Detektyw zachichotał pod nosem. Jego ojciec od przeszło dekady nie kupił nowego pędzla. Co kilka lat Ari podrzucał mu jakiś i zawsze musiał się przy tym nasłuchać, że stare są jeszcze zupełnie dobre.

- Będę za dwadzieścia minut - rzucił do słuchawki.

Tylko że zamiast jechać dalej na północ, do sklepu z narzędziami, skręcił na zachód i przemknąwszy się paroma bocznymi uliczkami, zaparkował przecznicę od domu rodzinnego. Wyskoczywszy z samochodu, stanął na rogu, pod starym klonem, na który w dzieciństwie często się wdrapywał. „Ari, ty zawsze zachowujesz się jak gliniarz”, powiedziała mu któraś z jego dawnych partnerek. Chowając się za drzewem, pomyślał, że to chyba prawda.

Po kilku minutach stary buick jego ojca zatrzymał się przed znakiem stopu, po czym ruszył, oddalając się od domu. Za kierownicą siedział pan Greene, a obok niego - pani Spiegel, jedna z kobiet udzielających się w synagodze. Pani Spiegel od wielu już lat była wdową.

Greene wrócił do samochodu, ale nie ruszył z miejsca. Czekał. Wysłuzony buick wkrótce pojawił się z powrotem. Ari pojechał za ojcem, skręcił w boczną uliczkę, przy której stał jego dom i zatrzymał się tuż za nim na wąskim podjeździe.

- Mówią, że pani Spiegel dobrze gotuje - zagadnął, kiedy obaj już wysiedli.

- Rozumiem, że pędzli nie kupiłeś - padła odpowiedź.

Greene pocałował ojca w czoło.

- Gliniarz to gliniarz, tato.

- Jej mąż umarł dziesięć lat temu. - Stary Greene wzruszył ramionami. - A znamy się jeszcze z obozu dla wysiedleńców.

Po wyzwoleniu ojciec detektywa trafił do obozu dla wysiedleńców w Austrii. Spędził tam dwa lata, a trzeciego dnia po przybyciu poznał Chanę, przyszłą matkę swojego syna. Pobrali się cztery dni później.

- W tym wieku niełatwo znaleźć faceta, który jeszcze sam prowadzi - dodał.

Greene zmierzył go baczny wzrokiem.

- Byle się nie zapuszczał na autostradę - ostrzegł.

Ojciec skrzywił się tylko.

Detektyw zlustrował podjazd. Czarny asfalt był popękany, a tego lata szczeliny zarosły chwastami gęściej niż kiedykolwiek.

- Odkąd byłem dzieckiem, nie kładłeś tutaj nowej nawierzchni - zauważył.

- Twoja mama rok w rok suszyła mi o to głowę.

Ruszyli razem po betonowych schodkach. Ojciec wyciągnął z kieszeni spory pęk kluczy. Drzwi frontowe miały trzy zamki, tak samo tylne, a do tego metalową sztabę biegnącą w poprzek.

- Ci Portugalczycy, ta nowa rodzina z naprzeciwka, obiecują mi dobrą cenę za ten dom. - Stary Greene przestąpił próg. - Maple Leafs grali wczoraj jak ostatnie nogi. W pierwszych siedmiu minutach wbili im trzy gole. Mówiłem ci, że ten bramkarz z Finlandii będzie do niczego.

- Ze Szwecji.

- To szmaciarz. Co nowego w twoim śledztwie?

Kiedy Greene pracował nad morderstwem, opowiadał ojcu, co się dzieje.

- Jutro rozprawa wstępna - odparł. - Wszystkim się wydaje, że Samantha Wyler przyzna się do winy.

- Wszystkim oprócz ciebie?

- Oprócz mnie i Kennicotta. My jesteśmy przekonani, że będzie proces.

Weszli do kuchni. Ari wyciągnął naczynia ze zmywarki i schował je na miejsce. Od śmierci żony w zeszłym roku jego ojciec traktował zmywarkę jak dodatkową szafkę.

- Po co za każdym razem mam je chować? - odpowiadał niezmiennie na pytania syna, dlaczego tak robi, po czym dodawał w jidysz: *cajtik arbet*, co oznaczało „dodatkowa robota”. Ojciec Greene'a był zdania, że dość już się w życiu napracował.

- A rodzina, ci Wylerowie? - zapytał syna. - Co oni mówią?

- Chcą, żeby to wszystko już się skończyło. Mają agresywnego adwokata rodzinnego, a właściwie adwokatkę, która zapowiedziała im, że jeśli Samantha przyzna się do winy, nawet jeśli to będzie tylko nieumyślne spowodowanie śmierci, to może się pożegnać ze swoim synem na zawsze.

Ari otworzył dwie puszkę tuńczyka, dodał majonez i wymieszał, a jego ojciec nakrył do stołu w kuchni. Stół miał blat pokryty linoleum. Jadalnia była obok, tuż za ścianą, ale detektyw już nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz tam coś jedli.

- Nathan, najstarszy brat, w noc morderstwa był u kochanki. Tylko ja o tym wiem, a on nie chciałby wtajemniczać nikogo innego. Jeśli bratowa przyzna się do winy, będzie miał wszystkie problemy z głowy.

- Nikomu nie powiedziałeś?

- To nieistotne - odparł Greene. - Nathan ma porządne alibi. Sprawdziłem osobiście.

Ojciec postawił na stole dzbanek mleka i dwie szklanki.

- Ale twoim zdaniem ta Samantha się nie przyzna ze względu na syna.

Greene ugryzł kęs kanapki. Żytni chleb, który kupił ojcu przed tygodniem, już szcerstwiał. Trzeba go było wrzucić do opiekacza, pomyślał.

- A co jej mąż robił w Stanach? - Ojciec miał zwyczaj zadawać mnóstwo pytań, które na pozór były zupełnie bez związku i choć nikt by nie zgadł, do czego mają prowadzić, często dzięki nim udawało się spojrzeć na sprawę z całkiem nowej perspektywy.

Ichhak Greene nie zdobył nigdy wykształcenia, z powodu naziśców. Urodził się w Polsce. Dwudziestego drugiego września tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku wojsko hitlerowskie otoczyło jego małą wioskę i wywoziło do Trebłinki połowę mieszkańców - dwa tysiące Żydów, którzy przez setki lat żyli w zgodzie z sąsiadami katolikami. Z całego transportu końca wojny dożyła tylko trójka, w tym Greene. Jego pierwsza żona i ich dwie córki zostały zamordowane. Gdyby miał szansę ukończyć jakąś szkołę, mógłby zostać, kim tylko by zechciał. Nigdy się jednak nie skarżył, że musi latać ludziom buty, żeby utrzymać rodzinę.

- Studiował w Vermoncie - powiedział detektyw, otwierając słoik ogórków konserwowych. - Po dyplomie został tam i otworzył własny sklep ze zdrową żywnością. Był chyba niezły w te klocki, bo zarobił kupę forsy.

- Ale wrócił i osiadł tutaj. Dlaczego?

- Rodzina go potrzebowała. Średni brat nie mógł już dłużej pracować ze względu na chorobę. A po powrocie poznał swoją przyszłą żonę, Samanthę - wyjaśnił Greene. - Jedz, tato.

Jego ojciec zawsze jadł bardzo wolno. Po wyzwoleniu przez Amerykanów ważył trzydzieści cztery i pół kilograma. Przy każdym posiłku zostawiał odrobinę jedzenia na talerzu.

- Jak długo mieszkał za granicą? - zapytał jeszcze.

- Dziesięć lat.

- Długo nie widział się z rodziną - skomentował stary Greene, przerykując wreszcie kęs kanapki. - Czerstwy chleb - mruknął. - Trzeba go było wrzucić do opiekacza.

38.

Na rozprawie wstępnej nie obowiązywała toga, Jennifer Raglan знаła jednak sędzię Norville na tyle dobrze, aby wiedzieć, że należy się porządnie ubrać, a poza tym miło było wystroić się w elegancki kostium z wełny, idealny na jesienne dni i wpiąć w klapę szpilkę po babci. W weekend wybrała się do fryzjera na strzyżenie i farbowanie odrostów, a rano pomalowała usta nową czerwoną szminką, na próbę; kolor był bardziej stonowany i ładnie pasował do jej bladej karnacji. Miała też świadomość, że jeśli dojdzie do ugody, może to być jedno z jej ostatnich spotkań z Arim Greene'em.

Kiedy zeszła na śniadanie, nawet Gordon zauważył odmianę.

- Idziesz dziś z kimś na obiad? - zapytał, wychylając się zza gazety, w której przeglądał wiadomości sportowe.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Mam rozprawę wstępną przed sędzią Norville, która jest formalistką i nie toleruje w sądzie swobody.

Nie było potrzeby mówić mężowi, że na rozprawie będzie też obecny Ari Greene. Nigdy nie było potrzeby mówić mu cokolwiek na temat detektywa Greene'a.

- W każdym razie wyglądasz nieźle - orzekł Gordon i odłożywszy gazetę, wstał, żeby ją pocałować.

Raglan odwróciła głowę, więc chcąc nie chcąc, mógł tylko cmoknąć ją w policzek.

- Świeża szminka - rzuciła wymijająco.

- Powodzenia - odparł, siadając z powrotem i znikając za gazetą.

Z całego stroju najlepsze były nowe szpilki. W niedzielne popołudnie Raglan zabrała Dane na Bloor Street i urządziły sobie babskie polowanie na buty. Zabawa była przednia, a te włoskie szpilki okazały się pokusą nie do odparcia. Mając je na nogach, Jennifer Raglan czuła się wysoka i pewna siebie. Maszerowała, postukując obcasami, prosto do drzwi, za którymi Ted DiPaulo gawędził sobie już pewnie w najlepsze z policjantem sądowym, czekając na nią, aby razem mogli stanąć przed sędzią Norville.

- Witam panią prokurator. - Funkcjonariusz policji sądowej, starszy mężczyzna, był w pełnym uniformie, z kompletem odznak i metalowych insygniów. - Pani sędzia już na państwa czeka. - I wystukawszy kod na klawiaturze obok drzwi, poprowadził ich cichym korytarzem.

Co kilka kroków mijali gabinet kolejnego sędziego, każdy przestronny, każdy urządzony indywidualnie, z własnymi meblami i wykładziną na podłodze. Sędziowie nie znosili myśleć o sobie w kategoriach urzędników służby publicznej. Każdy z nich żywił głębokie przekonanie, że nie krępują go żadne ograniczenia, a państwo nie ma nad nim władzy - wystrój osobistego gabinetu zaś miał odzwierciedlać jego własny, niepowtarzalny styl.

- Dzień dobry. - Sędzia Norville spojrzała na Raglan i DiPaulo sponad stalowego blatu swojego biurka. Gabinety wielu jej starszych kolegów pełne były ciemnych drewnianych mebli stojących na grubych dywanach. U niej wprost przeciwnie - wszystko było ultranowoczesne. Podłogę pokrywała cienka jasnoszara wykładzina akcentowana kolorowymi pasami, co sprawiało wrażenie, że patrzy się na leżący horyzontalnie olbrzymi współczesny obraz. Biurko ze szczerkowanej stali też było szare, podobnie jak stojące przed nim dwa krzesła, kanciaste i obowiązkowo niewygodne, zgodnie z powszechną modą.

Sędzia Norville zamiast togi miała na sobie ręcznie szytą marynarkę na lśniącej koszuli z płótna bawełnianego. Jej okulary - w stylowych oprawkach koloru lazurkowego, nie te nudne, brązowe, które

zakładała na rozprawę - pasowały jak ulał do biurka, krzesel i podłogi. Uczesanie również trzymało się konsekwentnie tego stylu, a żeby mieć takie pasemka, trzeba co tydzień chodzić do fryzjera.

Raglan przysiadła na krzesle bliżej okna. DiPaulo zajął drugie, tuż obok.

Sędzia westchnęła.

- Jeśli nie dojdzie do porozumienia stron, będę musiała wypełnić o, taką górę papierów. - Trąciła dłonią stos dokumentów leżących przed nią. Poza tym biurko było zupełnie puste; Raglan nigdy nie mogła zrozumieć, w jaki sposób ludziom udaje się utrzymać taki porządek. - Najpierw porozmawiajmy. - Norville zdjęła swoje szalowe okulary, które musiały kosztować co najmniej osiemset dolarów. - Zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby uniknąć rozprawy.

Sędziowie uwielbiali ugody z dwóch powodów: po pierwsze ze względu na cenne godziny pracy, jedyny luksus, na którym nie zbywało tym rozpieszczonym świętym krowom, a po drugie - żeby mieć się czym chwalić przed kolegami. Każdy sędzia pękał z dumy, kiedy udało mu się znaleźć ten czarodziejski złoty środek.

DiPaulo zerknął z ukosa na Raglan, ale nie odezwał się ani słowem. Oboje mieli za sobą dokładnie te same kursy negocjacji, gdzie pierwsza zasada brzmi: siedź cicho, niech przeciwnik pierwszy się odezwie.

Czując, że rozmowa utknęła w martwym punkcie, Norville podjęła:

- W porządku. - Spojrzała na adwokata. - Ted, masz twardy orzech do zgryzienia. E-maile, nagrania na pocztę głosową, nowa partnerka z Hollywood, no i ten film z synkiem, który będzie dla ciebie gwoździem do trumny, jeśli ława przysięgłych go zobaczy. Będziesz miał szczęście, jeśli nie skażą jej za morderstwo z premedytacją. Jest przecież jeszcze młoda. Dwadzieścia pięć lat w więzieniu...

- Rzeczywiście, prowadziłem już łatwiejsze sprawy, wysoki sędzie - przyznał DiPaulo, uśmiechając się najpiękniej, jak tylko

umiał. - Moja klientka nie myśli do końca realistycznie. - Zmarszczył brwi z zaskoczeniem, jakby chciał dodać: „Ale co ja mogę?”. Przekaz był czytelny: czekam na propozycję nie do odrzucenia.

Sędzia potrząsnęła głową.

- Twoja klientka musi przejrzeć na oczy. Nie uroniła jeszcze choćby słowa na temat alibi, więc nie może zeznawać. To jest jej jedyna szansa.

Następnie zwróciła się do Raglan:

- A na co pani liczy? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. - To nie mogło być zabójstwo z premedytacją. Bez premedytacji raczej też nie, na moje oko. A zatem nieumyślne spowodowanie śmierci. Pan Wyler spotykał się z gwiazdą filmową, a biorąc pod uwagę, że zadano mu liczne rany klute, przebieg wydarzeń jest oczywisty: mąż spotyka się z żoną w przeddzień rozprawy rozwodowej. Bez sensu. Rozmowa kończy się kłótnią, żona traci panowanie nad sobą, łapie kuchenny nóż... Klasyczne zabójstwo w afekcie. Gdzie tutaj premedytacja?

Raglan nie mogła już dłużej milczeć. Od dwóch dni prowadziła nieustające narady wojenne z Ralphem Armitage'em i Arim Greene'em, usiłując opracować jakiś plan działania. Ostatecznie stanęło na tym, że prokuratura na początek zażąda przyznania się do zabójstwa bez premedytacji i zgodzi się na kompromis odnośnie do wysokości wyroku: dwanaście lat, dwa powyżej minimum. Zmuszona do odwrotu Raglan miała zgodzić się na nieumyślne spowodowanie śmierci, ale zażądać osiemnastu lat.

Ted DiPaulo był mistrzem na rozprawach wstępnych. Miał sędzię Norville całkowicie w swojej mocy. Trzeba było kontrować.

- Mogę się zgodzić najwyżej na zabójstwo bez premedytacji - oznajmiła Raglan - i karę znacznie powyżej minimum, powiedzmy piętnaście lat. Rodzina jest wściekła. Chcą skazania za premedytację i nie zadowolą się niczym innym. Urwą mi głowę, jeśli tego nie dostaną. - Nie wspomniała już, że Wylerom bynajmniej nie pali się do

procesu, który wystawi ich rodzinne sprawy na widok publiczny.

Norville przekrzywiła głowę i spojrzała na prokuratorkę, mrużąc oczy.

- Rodzina ogląda za dużo amerykańskiej telewizji. Tutaj nie ma mowy o morderstwie, z premedytacją czy też bez. A jeśli ja zmarnuję cenny czas pracy sądu, to każdy zatrudniony tutaj sędzia będzie chciał zrobić ze mną to samo, co oni z panią. Oczekuję, że oskarżona przyzna się do nieumyślnego spowodowania śmierci. - Uśmiechnęła się szeroko do DiPaulo.

- Ted, jak się ma twoja klientka?

Znowu zwróciła się do niego po imieniu. Jak do kumpla. Miało się wrażenie, że bardziej obchodzi ją Samantha Wyler niż jej zmarły mąż.

- Ma się świetnie, bo nie siedzi w areszcie. - DiPaulo przeginał, ale sędzia każde jego słowo brała za dobrą monetę.

- Doskonale. - Odsunęła stos papierów na bok. - To będzie sensacja, kiedy pani Wyler przyzna się do winy. Ludzie nie rozumieją, na czym polega różnica pomiędzy zabójstwem a nieumyślnym spowodowaniem śmierci, ale potrafią liczyć.

Powiedziała „kiedy”, pomyślała Raglan. Nie „jeśli”, tylko „kiedy”.

- Będzie z niej wzorowa skazana. - Norville nie dała im szansy na wtrącenie choćby słowa. - Zanim się obejrzymy, zostanie szefową więziennej biblioteki. Zwolnienie warunkowe ma jak banku, po dowolnie krótkiej odsiadce, którą i tak zaliczy głównie na blokach o minimalnym rygorze. Nie chcę słyszeć żadnych skarg w tej kwestii.

DiPaulo zrobił minę skarconego dziecka - kolejny akt komedii odgrywanej przed „wysokim sądem”. Był zachwycony propozycją przyznania się do nieumyślnego spowodowania śmierci, Raglan podejrzewała jednak, że jego klientce znacznie mniej przypadnie to do gustu.

- Chodzi tylko o to, czy do tragedii doszło umyślnie czy nieumyślnie - powiedziała sędzia, spoglądając na zegarek - bo wszyscy wiemy, że słowo „winna” musi paść.

Nikt się nie odezwał.

Trzeba wiedzieć, kiedy przycisnąć, a kiedy odpuścić; tego Raglan nauczyła się od samego Teda DiPaulo. Prokuratorka wiedziała, że więcej już nie wywalczy, a przede wszystkim - w głębi serca wcale nie wierzyła, że to było morderstwo.

- Jeśli oskarżona przyzna się tylko do nieumyślnego spowodowania śmierci - odparła - to będę się zapierać rękami i nogami przy osiemnastu latach.

Norville trzepnęła dłonią blat biurka, uśmiechając się przekornie.

- Ależ proszę uprzejmie. No to w porządku - wsunęła swoje drogie okulary z powrotem na nos i stuknęła zębami - robimy tak: wyrok musi być dwucyfrowy. Mniej niż dziesięć lat będzie bardzo źle wyglądało. Jennifer zażąda osiemnastu, ty, Ted, poprosisz o dwanaście, a ja dam jej piętnaście.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha i podniosła słuchawkę telefonu.

- Witaj, Masoud. Mówi sędzia Norville. Jak wygląda mój harmonogram pracy na ten tydzień? Jasne, poczekam.

Uniosła wzrok.

- Nasz koordynator wokandy to prawdziwy cudotwórca. Ted, czy twoja klientka jest tutaj?

- Czeką pod salą rozpraw. Moja współpracowniczka próbuje opędzić ją od dziennikarzy.

- Tak to już jest - westchnęła sędzia. - Przepraszam... - Sięgnęła po ołówek i otworzywszy kalendarz, przez kilka sekund słuchała bez słowa głosu ze słuchawki, pomrukując tylko „hmm” i „aha”. - Jutro? - odezwała się wreszcie.

- Doskonale. O dziesiątej wydaję wyrok. Idealnie. Zapisz na dwunastą sprawę Samantha Wyler: przyznanie się do winy i wyrok. Która sala? Dwieście cztery. Świetnie. Stokrotne dzięki, jak zwykle.

Z uśmiechem odłożyła słuchawkę.

- No dobrze, drodzy państwo. Jutro w południe, sala numer dwieście cztery. Załatwimy wszystko przed obiadem. - Zaczęła pisać dalej w notatniku: - Nieumyślne spowodowanie śmierci. Piętnaście

lat. No i mam swoją czarodziejską złotą cyferkę.

Raglan wstała, podając sędzi dłoń, ale tak naprawdę miała wielką ochotę trzasnąć ją w twarz, tak żeby te drogie okulary poleciały na drugi koniec pokoju, żeby zniknął ten zadowolony uśmieszek.

39.

Piętnaście lat za nieumyślne spowodowanie śmierci - oznajmił Ted DiPaulo, wchodząc tanecznym krokiem do gabinetu Nancy Parish, nie czekając nawet, aż współpracowniczka uniesie głowę znad kartki, na której coś szkicowała. Parish od dziecka miała talent plastyczny i do tej pory spod jej ręki wychodziły, jeden za drugim, rysunki satyryczne.

- Interes życia. - Oderwała wzrok od swojego dzieła. - Nie czekaj, łap okazję.

- Norville zabarykadowała się z nami w swoim gabinecie i wymusiła na Jennifer Raglan zgodę na nieumyślne spowodowanie śmierci.

- Piętnaście lat... Mniej więcej tyle się spodziewałam. Sam od razu trafi do jakiegoś łagodnego więzienia, z tych, co bardziej przypominają gospodarstwo agroturystyczne.

- Parish pokazała mu swój rysunek. Był na nim adwokat stojący przed sędzią razem z klientką szepczącą mu do ucha: „Przypomnij mi jeszcze raz, mam się przyznać, czy nie przyznać?”.

DiPaulo parsknął śmiechem.

- Jest w tym ziarno prawdy. Bez niego nie ma humoru.

- Przetarł dłonią twarz. - Mam nadzieję, że Sam przyjmie taką ugodę.

- Nie ma alibi.

- Wiem. Pomożesz mi?

- Jasne. Tylko nie każ mi dzisiaj siedzieć do późna. Mam randkę, pierwszą od kilku miesięcy.

Nancy Parish przed kilkoma laty rozstała się z mężem i odtąd, jak lubiła mawiać, spotykała się na przemian z dwoma panami: panem Obecny i panem Byłym. Z tym drugim częściej.

- Za kilka minut przyjdzie Sam. Muszę mieć podpisane oświadczenie, że zgodzi się przyznać do winy. A ty będziesz moim świadkiem.

- Niezły pomysł.

DiPaulo wrócił do własnego gabinetu, zrobił porządek na biurku, zasłonił okna i zaczął pisać instrukcje dotyczące przyznania się do winy. Niedługo potem odezwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych, a z korytarza dobiegły odgłosy rozmowy. Polecił swojej współpracownicy zatrzymać Samantha Wyler przez kilka minut, dopóki sam ich nie wezwie. Była to niespodziewana odmiana, bo zawsze osobiście wychodził jej na spotkanie. Chciał ją w ten sposób wytrącić z równowagi. Musiała zrozumieć, że nie jest dla niej już tylko obrońcą; stał się jej apologetą.

Skończywszy pisać, wstał i wyrzwał na korytarz.

- Zapraszam - powiedział.

Samantha weszła pierwsza, Nancy Parish tuż za nią.

- Poprosiłem Nancy, aby nam dziś towarzyszyła - wyjaśnił adwokat, wskazując swojej klientce fotel pod oknem. A ona po raz pierwszy na nim usiadła. Jej mina i postawa mówiły o porażce. Parish zajęła drugi fotel, a DiPaulo zamknął drzwi, co w praktyce oznaczało, że Samantha Wyler nie może się wydostać z jego kancelarii.

- Przygotowałem dla ciebie dokumenty do podpisu. - Wrócił do biurka, aby podać jej trzystronicowy wydruk, porządnie spięty zszywką w lewym górnym rogu. - Przeczytaj uważnie - poprosił, wręczając drugą kopię Nancy Parish, a trzecią biorąc do ręki.

Samantha Wyler spojrzała na niego, a potem na jego współpracownicę. Nie patrzyła na dokument, który trzymała w dłoni.

- Nagłówek, jak widzisz, brzmi: „Instrukcje dla mojego adwokata dotyczące przyznania się do zarzutu nieumyślnego spowodowania

śmierci”. - DiPaulo przeszedł od razu do rzeczy. - To jest dla ciebie dobra wiadomość. Po długich naciskach sędzi Norville prokuratura zgodziła się na taki zarzut. Cena za to jest jednakowoż wysoka: piętnaście lat. Ale mogło być gorzej, bo chcieli osiemnaście.

Samantha przyjęła te informacje bez żadnych emocji. Zajrzała w papiery.

Adwokat odczytał dokument na głos. Było to oświadczenie mówiące o tym, że Samantha Wyler została we właściwy sposób poinformowana o wyborze, jaki jej przysługuje na drodze prawnej i z własnej nieprzymuszonej woli podejmuje decyzję, aby przyznać się do winy.

- Rozprawa będzie na pokaz - wyjaśnił DiPaulo. - Prokuratura uniesie się świętym oburzeniem i zażąda dla ciebie osiemnastu lat. Ja odpowiem równie wielkim zgorszeniem i poproszę o dwanaście. A pani sędzia będzie się mogła zabawić w Salomona i przerąbie dziecko na dwoje.

Od razu wyczuł, że powiedział o kilka słów za dużo.

- Moje dziecko - powiedziała Samantha. - Już nigdy go nie zobaczę.

Adwokat skończył czytać dokument. Żołądek miał ściśnięty w twardą kulę. Kiedy zapadła cisza, zachciało mu się nagle podrzeć te kartki na kawałki.

Jego pierwszy wykładowca prawa karnego, profesor Parker Graham, ekscentryk z Australii, ostrzegał studentów na zajęciach: „Musicie dobrze wiedzieć, jak postępować, kiedy klient przyznaje się do winy, bo w taki właśnie sposób będzie się kończyć mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć procent waszych spraw”. Co okazało się prawdą, jednak za każdym razem, nawet w beznadziejnych przypadkach, Ted DiPaulo czuł, że coś nie daje mu spokoju, jakby mimo wszystko, nie wiedzieć jakim cudem, mógł wygrać. Miał zapewnione bezsenne noce, rozmyślenia do trzeciej nad ranem, uporczywe analizowanie: „Co by było, gdyby?”.

- Mam to podpisać od razu? - zapytała Samantha Wyler.

- Jeszcze nie. - Bolący żołądek, zamiast się rozluźnić,

zaczynał się jeszcze mocniej. DiPaulo podał klientce i współniczkę kopie kolejnego dokumentu, tym razem była to jedna stronica, opatrzona nagłówkiem „Uzgodnione streszczenie okoliczności faktycznych sprawy”.

- Są to okoliczności uzasadniające fakt, że przyznajesz się do winy - wyjaśnił. - Długo negocjowałem z prokuraturą, żeby jak najbardziej złagodzić ten opis. Zostanie on odczytany przed sędzią, która tylko wtedy przyjmie twoje przyznanie się do winy, jeśli uznasz prawdziwość okoliczności faktycznych.

Samantha wbiła wzrok w kartkę.

Odczekawszy, aż skończy czytać, adwokat podjął:

- Podpisując ten dokument, potwierdzisz, że wydałaś mi polecenie, abym w twoim imieniu złożył w sądzie przyznanie się do winy.

Skinęła głową.

- Chcę to zrobić naprawdę - oznajmił DiPaulo. - Wstańmy. Nancy, wejdź za biurko, będziesz sędzią. Ja stanę obok Sam, tak jak w sądzie.

Kiedy zajęli miejsca, Nancy Parish zaczęła czytać dokument na głos.

Uzgodnione streszczenie okoliczności faktycznych sprawy

R, v. Samantha Wyler

Zarzut: nieumyślne spowodowanie śmierci

We wczesnych godzinach porannych dnia siedemnastego sierpnia (poniedziałek), oskarżona Samantha Wyler, lat 35, zjawiała się w domu ofiary, swojego męża Terrance'a Wylera, lat 40, pod adresem Hillside Drive 221, Toronto. Państwo Wyler aktualnie byli w trakcie postępowania rozwodowego. Tego samego dnia miała się odbyć pierwsza rozprawa w sądzie rodzinnym. Byli małżeństwem przez pięć lat. Ich jedyne dziecko, syn Simon, ma lat cztery. Przed dniem siedemnastym sierpnia oskarżona wielokrotnie nagrywała się mężowi na pocztę głosową oraz wysyłała mu pełne rozdrażnienia e-maile dotyczące postępowania rozwodowego oraz jego nowej partnerki.

Strony spotkały się w kuchni, a w trakcie rozmowy wywiązała się sprzeczka. W przypiływie frustracji, w sposób całkowicie niezaplanowany i bez świadomego zamiaru, oskarżona chwyciła kuchenny nóż i zadała nim mężowi kilka ran. Jeden cios trafił w tętnicę szyjną, powodując zgon w ciągu kilku minut.

Przed opuszczeniem domu oskarżona udała się do pokoju swojego syna. Powiedziała mu, że przez długi czas nie będą mogli się zobaczyć.

Nancy Parish odłożyła kartkę na biurko. Znowu zapadła cisza. DiPaulo czuł bardzo wyraźnie, że obok niego stoi Samantha Wyler.

Obecność adwokata u boku klienta na sali sądowej był to prosty, elegancki gest: sklepowy złodziejaszek czy seryjny morderca - w chwili prawdy każdy oskarżony miał przy sobie obrońcę.

Bał się na nią spojrzeć. Milczała.

Nancy Parish skrzyżowała ręce na piersi.

- Zostawię was, żebyście mogli porozmawiać. - Minę miała speszoną, jak nastolatka, która przyszła do koleżanki i niechący trafiła na kłótnię jej rodziców.

- Podpiszę - przemówiła Samantha, zanim prawniczka zdążyła wyjść. - Nie traćmy czasu.

Dwie minuty później DiPaulo odprowadził ją do drzwi. Nie odezwała się już ani słowem. Adwokat wrócił do swojego gabinetu i z czystej zawodowej grzeczności zadzwonił do Jennifer Raglan z informacją, że umowa została przyjęta. Zaproponował też, że zawiadomi detektywa Greene'a, ale wolała zrobić to sama.

Po tej rozmowie udał się do gabinetu Nancy Parish i usiadł w jednym z jej foteli dla klientów. W dłoni miał podpisane instrukcje Samantha Wyler. Na biurku współpracownicy wciąż leżał rysunek z sądową scenką.

- Ale był ubaw... - mruknęła Nancy.

- Wyrzuty sumienia to broń obosieczna - odparł. - Zzerają człowieka od środka, ale kiedy już się przyzna, boli jeszcze bardziej.

- A czy na tylnych drzwiach nie było przypadkiem drugiej plamy krwi? - przypomniała sobie nagle. - Może był tam ktoś jeszcze?

- Nie da się ustalić, kiedy powstał ten ślad. - DiPaulo stłumił ziewnięcie, nie całkiem skutecznie. - W śledztwie zawsze jest kilka luk. Ani oskarżyciel, ani obrońca nigdy nie są do końca pewni swojej racji.

- A ty jej wierzysz? - Nancy schowała rysunek do drewnianego pudełka na komodzie stojącej za jej biurkiem.

- To nie moja sprawa, żeby wierzyć klientom. - DiPaulo rzucił dokument na blat. - Najważniejsze, że mamy podpisane instrukcje. - Założył dłonie za głowę, zamykając oczy. - Nigdy nie zapomnę Johna Volkera, którego kiedyś broniłem przed zarzutem morderstwa z premedytacją. Miał rzekomo zastrzelić faceta w parku. Porachunki gangów. Proces ciągnął się dwa lata. W końcu prokuratura przyjęła propozycję przyznania się do winy z wyrokiem osiemnastu lat pozbawienia wolności. A ja do dziś nie jestem pewien, czy on naprawdę to zrobił, czy tylko chciał kryć swojego najlepszego kumpla. Czasami nie mogę zasnąć, bo o tym myślę.

- Nigdy nie zapominasz żadnej sprawy, co?

- Ryzyko zawodowe.

- Czyli Samantha kogoś kryje?

- Tego nie powiedziałem. Bo nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę. - DiPaulo zabrał dokument z podpisem pani Wyler i potrząsnął dłonią. Kartka zaszeleściła. - I właśnie dlatego potrzebny nam ten świstek.

40.

Ari Greene odebrał już po pierwszym dzwonku.

- Dogadaliśmy się - oznajmiła Jennifer Raglan.
- Nieumyślne spowodowanie śmierci?
- Tak jest. Piętnaście lat. Rozprawa jutro w południe w sali

dwieście cztery.

- Dobra robota - pochwalił.

Zamilkli oboje. Konsekwencje tej wiadomości były jasne. Po kilku miesiącach ścisłej współpracy, mimo że nic pomiędzy nimi nie zaszło, zdążyli się przyzwyczaić do codziennych spotkań. Żadne z nich, co prawda, do niczego by się nie przyznało, lecz to i tak nie miało znaczenia: zbliżał się ostatni dzień.

- Wychodzi na to, że się pomyliłem. - Przerwał ciszę detektyw.
- To znaczy?
- Myślałem, że Samantha się nie przyzna.
- Człowieka nigdy nie da się przewidzieć, Ari - powiedziała. -

No, to chyba naprawdę będzie koniec - dodała po chwili.

- Sama mówiłaś w sierpniu, że nie zajmujesz się już morderstwami.

Znów zamilkli. Tym razem cisza trwała długo.

- Ari...

- Muszę zadzwonić do Wylerów. - Greene niemalże wpał jej w słowo. - Takie wieści szybko się rozchodzą.

Poprzedniego wieczoru przekazał im, że na dzisiejszej rozprawie wstępnej może dojść do ugody, wiedząc zaś, że rodziny ofiar z zasady nie znoszą takich rozwiązań jak porozumienie stron z ustaleniem

kwalifikacji czynu, ostrzegł, że wyrok może być znacznie mniej surowy, niż się spodziewali.

- Ari. - Jennifer Raglan znów zwróciła się do niego po imieniu. - Zadzwoń do nich.

Telefon odebrał ojciec rodziny, pan Wyler, także po pierwszym dzwonku.

- Mówi detektyw Greene.

- Słucham - odparł chłodno. Sam dwukrotnie był aresztowany i nie lubił policji, tak jak wielu ludzi, którzy mieli do czynienia z tą instytucją.

- Przed chwilą rozmawiałem z prokurator Raglan - poinformował Greene. - Samantha Wyler przyzna się jutro do winy, ale nie będzie to zarzut morderstwa, ani z premedytacją, ani bez premedytacji, tylko nieumyślne spowodowanie śmierci. Dostanie piętnaście lat.

- Rozumiem.

- Wyobrażam sobie państwa rozczarowanie, ale piętnaście lat to znacznie więcej, niż zwykle się dostaje za takie przestępstwo. Sędziowie potrafią w identycznej sytuacji skazać oskarżonego na dziewięć, dziesięć lat, sam widziałem takie przypadki.

Wyler milczał.

- Zawsze istniała szansa, że ławnicy uniewinnią Samanthę - ciągnął dalej Greene. - Ta ugoda to kompromis, który gwarantuje, że kara jej nie minie. A pańska rodzina nie będzie musiała brać udziału w procesie.

- Przekażę im to wszystko - powiedział Wyler po długiej chwili milczenia i rozłączył się bez słowa pożegnania.

Greene zadzwonił z kolei do Kennicotta, powiedział, co zaszło i podziękował mu za ciężką pracę. Potem odszukał numer Phila Cuttera, chcąc, aby adwokat poinformował o ugodzie swoją klientkę, April Goodling.

- Dzięki za telefon. - Zagrzmiało w słuchawce. - To świadczy o klasie.

- Proszę uprzejmie - odparł Greene.

- Podczas naszego ostatniego spotkania było trochę niepotrzebnych emocji... - Adwokat zawiesił głos, czekając, aż detektyw podejmie wątek, ale ten nabrał wody w usta. - Może umówimy się któregoś dnia na kawę? - odezwał się wreszcie Cutter. - W tej sprawie kryje się coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka, ale proszę mi wierzyć, nie chodzi o morderstwo.

- Może się umówimy - odparł Greene.

- Ach, zapomniałem, że rozmawiam z jedynym policjantem w wydziale zabójstw, który nie pije kawy. - Głośny rechot Cutiera zatrzęsł słuchawką. Detektyw nie dołączył do zabawy, chociaż wiedział, że na temat jego kofeinowej abstynencji krążą w wydziale różne dowcipy.

- Pani Goodling ma mój numer - powiedział tylko. - Proszę jej przekazać, że czekam na telefon.

I z tymi słowami się rozłączył.

Droga do domu Wylerów była długa, a jechało się strasznie powoli; nawet w środku dnia na ulicach panował tłok. Greene bardzo lubił bliskie kontakty z rodzinami ofiar „swoich” morderstw. Była to dla niego wręcz jedna z największych zalet pracy policjanta: pomagać żywym. Jednakże wyjaśnianie, na czym polega kompromis w sądowych targach o winę i karę... Trudno było to nazwać rozrywką.

Rodzina przeżywała teraz najtrudniejsze chwile. Zakończenie postępowania oznaczało, że nie będzie już więcej telefonów, spotkań, nękania ze strony wścibskich dziennikarzy, narzekania na powolny wymiar sprawiedliwości, wyczerpującego przesiadywania na rozprawach. I tylko prowadzący śledztwo, do wtóru z prokuratorem, obiecywał, że się jeszcze odezwie - obiecywał szczerze, ale rzadko w pełni dotrzymywał słowa.

- Dzień dobry, panie detektywie. - Drzwi otworzył Jason Wyler. Wsparłszy się mocno na jednej łasce, chwycił drugą pod ramię, aby swobodnie operować dłońią. - Rodzice czekają w salonie.

Poprowadził Greene'a korytarzem wejściowym, poruszając się po marmurowej posadzce z zadziwiającą zwinnością. Państwo Wylerowie

siedzieli na pierwszej kanapie od drzwi, dokładnie w tym samym miejscu co podczas poprzedniej wizyty Greene'a, razem z Kennicottem, dzień po morderstwie. Dwie pozostałe kanapy stały teraz puste. Pan Wyler był wysokim mężczyzną, a żona dorównywała mu wzrostem, jednakże w tym olbrzymim pokoju oboje wydawali się drobnymi.

Jason stanął obok rodziców, przy kanapie. To, że nie usiadł, wyglądało jak demonstracja niezależności, a silne, muskularne barki i ręce jeszcze podkreślały to wrażenie.

Pani Wyler, siedząca najbliżej syna, wstała, aby przywitać się z detektywem.

- Nareszcie skończy się ten koszmar - westchnęła, spodziewał się jednak, że będzie nieco bardziej poruszona.

- Piętnaście lat to wysoki wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci - powiedział - muszę jednak państwa ostrzec, że pani Samantha może otrzymać zwolnienie warunkowe już po pięciu.

Na to podniósł się pan Wyler, marszcząc groźnie brew.

- To kpina w żywe oczy. Pięć lat za morderstwo.

Rodzina ofiar słyszy tylko najniższe cyfry, pomyślał Greene.

Pani Wyler potrząsnęła głową.

- Dzwoniłam do Anity Starr, prawniczki, którą wynajął Terrance. Powiedziała, że jeśli Samantha otrzyma taki wyrok, to już nigdy nie będzie mogła się zbliżyć do Simona. Nic nie zwróci nam już syna, ale możemy przynajmniej chronić naszego wnuka.

Detektyw rozejrzał się po pustym salonie.

- Gdzie jest pan Nathan?

- W pracy - odpowiedział ojciec - ale będzie jutro w sądzie. Musiał coś załatwić z jedną pracownicą. Powiedział, że na pewno pan zrozumie.

Greene przypomniał sobie rudowłosą kasjerkę. Cóż, każdy świętuje na własny sposób, pomyślał, zauważając jednocześnie lekki uśmiezek - znaczący? - na twarzy Williama Wylera.

- Jason postanowił nie pokazywać się w sądzie. Ten stres to dla

niego zbyt wielkie obciążenie - powiedziała pani Wyler, dotykając lekko ramienia syna.

Jason zeszywniał.

- Nie chodzi o stres, mamó - wyjaśnił. - Tam się zjedzie tylu dziennikarzy, że to nie będzie sąd, tylko zoo. Pojadę na cmentarz i sam pożegnam się z bratem.

- Słusznie - przytaknęła Greene. - Taki dzień to zawsze trudne przeżycie. A tłum na grobie bliskiej osoby nigdy nie jest mile widziany.

Jason spojrzął na niego strapionym wzrokiem.

- Jest pan pewien, że to będzie piętnaście lat?

- Pani prokurator zażąda osiemnastu. Adwokat - dwunastu. Sędzia Norville powiedziała obu stronom, że zasądzi piętnaście. Potrwa to około godziny, nie dłużej.

- Ale czy ona na pewno przyzna się do winy? - Chciał wiedzieć Jason.

- Tak twierdzi adwokat. - Greene spojrzął na panią Wyler. - Jak się miewa państwa wnuk?

- Cały dzień bawi się pociągami. Była u nas pani z opieki społecznej. Bardzo nam pomogła. Poradziła, żeby Simon został ze swoją opiekunką aż do świąt i miał kontakt z kolegami. Przygotowujemy go do przeprowadzki stopniowo. W piątki Jason przywozi ich oboje tutaj i zostają na cały weekend. To uroczne dziecko.

Greene sięgnął po swoją sfatygowaną teczkę - zamek błyskawiczny klekotał przy otwieraniu - i wyjął z niej kilka formularzy.

- Jeśli chcieliby państwo złożyć zeznanie podczas rozprawy i powiedzieć coś o swoim synu i bracie, mają państwo do tego pełne prawo. Jeśli nie, mogą państwo wypełnić tak zwane oświadczenie poszkodowanego. Proszę, oto formularze.

Wylerowie spojrzeli po sobie. Często złożenie zeznania, ustnie czy też na piśmie, było dla rodziny ofiary jak oczyszczenie, jednakże każdy człowiek jest inny i nigdy nie wiadomo, kto będzie chciał zabrać głos publicznie, a kto nie.

- Brat wszystko za mnie powie - oznajmił Jason. Zaczynał się już garbić i chwiać, ale mimo to twardo stał dalej.

- Nie będę wypisywał żadnych cholernych papierów - warknął jego ojciec. - Niech Nathan mówi w imieniu całej rodziny.

- Też tak myślę, mój drogi - powiedziała pani Wyler, gładząc męża po policzku. Greene uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy był świadkiem jakiegokolwiek kontaktu fizycznego pomiędzy tymi dwojgiem małżonków. Ujawszy męża pod rękę, pani Wyler zaprowadziła go z powrotem do kanapy, a gdy usiedli, oparła głowę na jego ramieniu; pojedynczy siwy kosmyk jej włosów schował się gdzieś za jego szyją. - Mam nadzieję - mruknęła - że już nigdy w życiu nie będę musiała oglądać tej kobiety na oczy.

41.

Kiedy tylko samolot dotknął kołami pasa, Margaret Kwon włączyła telefon komórkowy i wyszukała pewien numer.

- Ari Greene - odezwał się głos w słuchawce.
- Nie mam z kim pójść dzisiaj na kolację - powiedziała.
- To ty, Margaret?
- Samolot już kołuje pod terminal.
- Dlaczego nie zadzwoniłaś przed wylotem? Podjechałbym po ciebie.

- Cholera, zapomniałam o kanadyjskiej grzeczności. Podobno jutro ktoś przyznaje się do winy?

Greene parsknęła śmiechem.

- Masz świetnych informatorów. Weź sobie taksówkę i każ się zawieźć do koreańskiej restauracji House of Seoul na Bloor Street. To jest na zachód od Christie Street.

- Nie mów mi, że w Toronto jest też Mała Korea...
- Jeden kwartał, a knajp jedenaście.

Pół godziny później Margaret Kwon zjawiała się w restauracji. Greene już tam był, rozmawiał z właścicielką, przysadzistą kobietą, która miała chyba najwyżej sto czterdzieści centymetrów wzrostu.

- *An nyeong ha seh yo* - powiedział na widok dziennikarki, całując ją na powitanie w policzek.

- Ja również witam serdecznie - odparła - ale na tym się kończy moja znajomość koreańskiego. Twoja pewnie też.

Usiedli za stołem, na ławie. Przed nimi stał zielony kubek z płóciennymi serwetkami cieniutkimi jak papier oraz plastikowy

pojemnik ze sztućcami, pełen pałeczek i długich łyżek. Błat pusty, bez obrusa. Greene był jedynym białym w lokalu.

Kwon trąciła go nogą pod stołem.

- Podoba ci się tutaj, bo przerastasza wszystkich co najmniej o głowę.

Kiedy jedli, detektyw opowiedział jej ze szczegółami o tym, jak Samantha Wyler postanowiła dobrowolnie poddać się karze. Widać było, że nie jest szczególnie zachwycony tym faktem.

- Nie chciałaś, żeby tak właśnie zrobiła? - zapytała dziennikarka.

- Jeszcze zobaczymy, jak to będzie. - Spojrzał na nią badawczo.

- Co słysząc u April Goodling?

- Nic. Zniknęła.

- Co powiesz na małą wycieczkę?

- Chętnie. Dokąd?

- Gdybym to ja przyleciał do Nowego Jorku i miał potem długo nie wracać, pokazałabyś mi pewnie Statuę Wolności, więc pomyślałem...

- Niagara? Nigdy tam nie byłam.

Droga trwała około godziny. Kiedy dotarli do głębokiego wąwozu nad rzeką Niagara, Kwon usłyszała ryk spadającej wody, a przednią szyba pokryła się drobnymi kropelkami. Jeszcze jeden łagodny zakręt i wodospad ukazał się w całym swoim ogromie. Huk przybrał na sile, a Greene włączył wycieraczkę.

Zatrzymali się na pustym parkingu niedaleko brzegu rzeki. Wszędzie stały tam znaki z napisem „Wstęp za okazaniem przepustki”. Detektyw zaparkował przy krawężniku, od strony wody. Chwilę później z ciemności wyłonił się samochód ochrony. Wskoczył z niego starszy, chudy jak tyka mężczyzna.

- Dobry wieczór, panie detektywie - przywitał się.

- Geraldzie, to jest pani Margaret Kwon, dziennikarka z Nowego Jorku - przedstawił Greene.

- Dobry wieczór pani - powiedział Gerald. - Życzę miłych wrażeń.

- Czy jest w tym mieście i jego okolicach jakieś miejsce, gdzie cię nie znają? - zapytała Kwon Greene'a.

- Raczej nie.

Ruszyli przed siebie. W powietrzu wisiał wilgotny opar. Brzegiem rzeki biegła wyłożona kamieniami ścieżka, a wzdłuż niej - podmurowany parkan z żelaznych prętów. Ciemna woda w górnej części wodospadu płynęła niespiesznym tempem, w którym czuło się olbrzymią siłę.

Greene przystanął na zakręcie ścieżki, skąd roztaczał się widok na rzekę i wodospad. Tuż przed półkolistym progiem woda wydawała się zupełnie spokojna - a kawałek dalej spadała na łeb na szyję wśród szaleńczych rozbryzgów białej piany, tak jakby każda kropla, zaskoczona, nagle straciła oparcie i runęła w dół.

Największych wrażeń dostarczały jednak uszy: z głębi wąwozu dobiegał głęboki rumor, pierwotny głos natury. W powietrzu unosiły się drobne kropelki wody; uczucie było takie, przynajmniej zdaniem Margaret Kwon, jakby rozpylić na twarzy czyszczącą mgiełkę. Czarna woda robiła na niej porażające wrażenie. Rozległa, gładka jak stół tafla łamała się na rzeczonym progu, buchając spienioną bielą, po czym waliła się w dół, niknąc z oczu. I tak bez końca, wciąż i wciąż na nowo. W tym miejscu traciło się poczucie czasu. Przestrzeni. Niepowstrzymane przyciągało z neodpartą siłą: woda w ciągłym ruchu, w zalegającej ciemności.

- Tylko najwyższe warstwy wody z Wielkich Jezior spływają tędy, mniej więcej trzy procent ich objętości - odezwał się Greene po długim milczeniu. - W głębinach jest jeszcze trochę roztopowej wody lodowcowej.

Kwon nigdy by się nie spodziewała, że aż tak na nią podziiała ten widok. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła dobyć głosu z gardła.

- Kiedy miałem trzydzieści lat, po raz pierwszy wybrałem się do Europy - ciągnął dalej. - Ale nie samolotem. Transatlantykiem. Płynęliśmy Rzeką Świętego Wawrzyńca, a w ujściu nagle ląd po obu stronach zniknął i statek wystrzelił na wody oceanu. Poczujęm się

tak, jakbym wyrwał się na swobodę.

- Ta woda nigdy nie przestaje płynąć, prawda? - zapytała dziennikarka.

- Nigdy. - Potrząsnął głową.

Szkła jej okularów zamgliły się od wilgoci w powietrzu.

- Rozumiem, dlaczego przychodzisz w to miejsce - powiedziała.

- Czasami siedzę tutaj całymi godzinami - odparł.

Odnalazła dłoń jego dłoń, a on zacisnął palce. To był pierwszy raz, kiedy doszło między nimi do czegoś takiego. Kwon czuła, że mogłaby go tak trzymać bez końca, ale nic z tego: oboje patrzyli na wodospad, na ostrą krawędź, która w jednej chwili ucinała bieg nurtu.

42.

Dobrze, świetnie, myślała Jennifer Raglan, przeglądając się w lustrze wiszącym na ścianie przebieralni dla prawniczek. Przypięła biały żabot do kołnierzyka tak samo białej koszuli. Dzisiaj Samantha Wyler miała przyznać się do winy. Piętnaście lat za nieumyślne spowodowanie śmierci. Pięknie. Nareszcie mogę wrócić do małych spraw, bez rozgłosu, pracować od dziewiątej do piątej, wracać do domu na kolację i mieć weekendy dla siebie.

Dana, jej córka, szalała z radości. Z początkiem września dołączyła do dziewczęcej drużyny hokejowej, co oznaczało, że Jennifer albo Gordon musieli o wyznaczonej porze wrócić do domu, załadować dziecko do samochodu i przedrzeć się przez zakorkowane miasto na dalekie peryferia, bo tam właśnie odbywały się treningi i mecze. Proces się jeszcze nie rozkręcił, więc wożeniem Dany zajmowała się głównie mama; poprzedniego dnia musiała się przygotować do rozprawy wstępnej przed sędzią Norville i była uziemiona w domu, więc pojechał Gordon, ale nie wiedzieć jakim sposobem Dana nie mogła znaleźć w torbie ochraniacza na szyję i trener nie wpuścił jej na лёd.

Tego dnia po szkole był mecz, a ponieważ sprawa Samantha Wyler miała się zakończyć przyznaniem do winy, Raglan obiecała mężowi, że to ona odwiezie Dane.

Było jeszcze coś, a właściwie ktoś: Ari Greene, z którym przez ostatnich kilka miesięcy spędziła sporo czasu. Odnosił się do niej z rezerwą (choć bez oziębłości), konsekwentnie dając do zrozumienia,

że nic ich już bliżej nie łączy. A ona nie chciała tego zrozumieć i w tym był cały problem. Tego dnia obudziła się o czwartej nad ranem, bez tchu; śnił jej się on, Ari, a ten sen był tak rzeczywisty, że niemalże czuła, jak jej dłonie wędrują po jego ciele. To nie mogło wyjść na zdrowie.

Wszystko w porządku, pomyślała, wchodząc na salę rozpraw, gdzie za chwilę miała zasiąść sędzia Norville. Pierwsze ławki po prawej stronie, bezpośrednio za stanowiskiem oskarżyciela z urzędu były zarezerwowane dla rodziny Wylerów i odgrodzone linową barierką, jak na ślubie dla krewnych pana młodego.

Rodzina Samantha Wyler nie mogła liczyć na podobne względy, pomyślała Raglan, zauważając matkę i brata oskarżonej w towarzystwie znajomej bibliotekarki, która była z nimi także na posiedzeniu w sprawie zwolnienia za kaucją. Cała trójka siedziała gdzieś po lewej stronie pomieszczenia.

Zawsze tak właśnie było: obie rodziny okupowały przeciwległe strony sali sądowej, a w trakcie długich procesów trzymały się od siebie z daleka. Niewiadomym sposobem potrafiły wypracować niepisane reguły ignorowania się, co wyglądało jak starannie wyreżyserowany układ taneczny: najpierw jedna grupka wchodzi na salę, a dopiero potem druga, to samo przy wychodzeniu, w środku rozchodzimy się na dwie strony, podczas przerwy szukamy własnych zakamarków na korytarzu i tam się chowamy, w bufecie siadamy jak najdalej od siebie.

Raglan zajęła miejsce. Greene, w nienagannie skrojonym garniturze, siedział już za stołem. Sąd w wielkim mieście to instytucja, gdzie nigdy nie wiadomo, kogo i kiedy się spotka, więc równie dobrze mogło być tak, że następny raz prokuratorka i detektyw zobaczą się na przykład za kilka miesięcy. Albo lat. Po drugiej stronie sali, za stołem dla obrony, siedział Ted DiPaulo w towarzystwie swojej współpracownicy Nancy Parish. Trzecie krzesło stało puste, tylko na jego oparciu wisiał długi czerwony płaszcz. Raglan rozpoznała go ze

zdjęcia w porannej gazecie, na którym była Samantha Wyler wychodząca poprzedniego dnia z sądu.

Prokuratorów uczy się, że nigdy nie wolno patrzeć oskarżonym w oczy. Dobrze, dobrze, jestem tylko człowiekiem, pomyślała, rzucając szybkie spojrzenie w kierunku podwyższenia, na którym za barierką sadzano aresztantów: Samantha Wyler była ubrana w czarną sukienkę i nie nosiła żadnej biżuterii. Błądziła pustym spojrzeniem po sali.

Nagle rozległo się głośne stukanie w dębowe drzwi po lewej stronie stołu sędziowskiego, również stojącego na podwyższeniu, a kiedy chwilę później stanęły otworem, policjant sądowy zawołał:

- Proszę wstać!

Zgromadzona publiczność podniosła się z ławek, budząc falę szmerów i szelestów. Sędzia Norville wskoczyła na swoje miejsce, powiewając połamami togi. Jennifer Raglan zauważyła jej buty: drogie włoskie szpilki, takie same jak te, które ona miała wczoraj na rozprawie wstępnej. Szlag by cię trafił, warknęła w myślach.

- Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie! - Sekretarz sądowy uniósł się ze swojego krzesła, stojącego bezpośrednio poniżej stanowiska sędziowskiego. - Wszyscy, którzy chcą przedstawić swoją sprawę przed sądem Jej Królewskiej Mości, niechaj wystąpią, a zostaną wysłuchani. Niech żyje królowa. Proszę usiąść.

W sali zapadła cisza. Sędzia Norville poleciła sekretarzowi odczytać listę zarzutów.

Ted DiPaulo podszedł do swojej klientki i stanął u jej boku. Było widać jak na dłoni, że bardzo się starał, aby wyglądała zupełnie zwyczajnie. Samantha Wyler garbiła się mocno, jak pod jakimś niewidzialnym ciężarem.

Raglan odwróciła wzrok. Zwycięzca nie musi poniżać przegranego.

Sekretarz poprawił na sobie togę.

- Samantha Wyler, oskarża się panią o to, że dnia siedemnastego sierpnia bieżącego roku, w mieście Toronto należącym do hrabstwa York, dopuściła się pani zabójstwa z premedytacją na osobie pana Terrance'a Wylera. Postawiono pani również drugi, lżejszy

zarzut: nieumyślne spowodowanie śmierci. Czy przyznaje się pani do drugiego z zarzucanych jej czynów?

Raglan nigdy nie mogła się nadziwić, jak wielką moc mają słowa. Los oskarżonej zależał w tej chwili od jednej sylaby, od trzech prostych liter, na których opierała się różnica pomiędzy winą a niewinnością. Czekwała, aż padnie to magiczne: „przyznaję się”, ale słysząc było - tylko ciszę.

Na każdej rozprawie dialog ma pewien naturalny rytm, niczym podkład muzyczny, miarowy, na cztery czwarte. Myśli biegną torem wytyczonym przez dźwięki, każda dłuższa pauza w tej melodii zakłóca ich tok. Milczenie to defekt, jak nagła cisza w eterze.

Raglan obejrzała się przez ramię.

Samantha Wyler stała z dłońmi splecionymi za plecami, zgarbiona, miała zaciśnięte usta. Obok niej tkwił Ted DiPaulo, wysoki i spokojny.

- Proszę pani - powtórzył cierpliwie sekretarz sądowy - czy przyznaje się pani do winy?

Po sali przebiegł dreszcz. Raglan odwróciła wzrok i zobaczyła, jak sędzia Norville wsuwa na nos brązowe okulary, te do pracy.

- Przyznaję się - powiedziała Samantha Wyler, ale tak cicho, że zabrzmiało to jak szept przyniesiony przez wiatr z bardzo daleka.

Dzięki Bogu, pomyślała prokuratorka. Zdążę odwieźć Dane na mecz.

43.

Kołnierzyk koszuli zrobił się dziwnie ciasny. Ted DiPaulo czuł, że stojąca obok Samantha wędnie niczym kwiat, który wyrósł ponad miarę.

Sędzia Norville poprawiła okulary.

- Panie DiPaulo, nie wątpię, że jako doświadczony adwokat udzielił pan klientce stosownego ostrzeżenia przed przyznaniem się do winy? - zapytała kąśliwym tonem.

- Wysoki sędzie, otrzymałem instrukcje na piśmie, aby złożyć wniosek o dobrowolne poddanie się karze. Poinformowałem moją klientkę, że wszelkie wiążące decyzje w tej mierze należą tylko i wyłącznie do wysokiego sądu. - DiPaulo odpowiadał zdecydowanym, spokojnym głosem. Sędziowie zawsze lubili, aby im przypominać, że mają władzę.

- A czy pani zrozumiała te instrukcje? - Norville zwróciła się wprost do Samanthy, która nieśmiało przytaknęła, nie mówiąc ani słowa.

Przewodnicząca rozprawie potrząsnęła głową, spoglądając z powrotem na DiPaulo.

- Ze względu na wymagania protokołu posiedzenia sądu pańska klientka musi odpowiadać „tak” albo „nie”. Gesty nie wystarczą. Czy rozumie pani, że nie ma obowiązku przyznać się do winy, ale decydując się na to, zrzeka się pani tym samym prawa do procesu i że to ja orzeknę o wymiarze kary?

Samantha Wyler ponownie skinęła głową, dodając „tak” tym samym cichym głosem co poprzednio, kiedy powiedziała „przyznaję się”.

Sędzia odetchnęła głośno.

- Proszę zaprotokołować, że oskarżona przytaknęła skinięciem głowy oraz odpowiedziała „tak”.

- Wysoki sędzie - odezwał się DiPaulo - przypominam tylko, że pani Wyler nigdy jeszcze nie stawiała przed sądem karnym.

W każdej sytuacji, choćby najgorszej, zawsze należało znaleźć jakiś plus. A w tym momencie wypadało podkreślić, że Samantha nigdy nie była karana.

Norville zwróciła się do Jennifer Raglan:

- Pani prokurator, proszę podać fakty, na których opiera się oskarżenie.

Raglan odczytała uzgodnione streszczenie okoliczności faktycznych sprawy. DiPaulo przerobił to z klientką przed posiedzeniem, w swojej kancelarii, ale kiedy się słyszało to w sądzie, wrażenie było znacznie gorsze. Każde słowo sprawiało większy ból. Każde było bardziej prawdziwe.

- „Przed opuszczeniem domu oskarżona udała się do pokoju swojego syna”. - Prokuratorka przeczytała ostatni akapit streszczenia. - „Powiedziała mu, że przez długi czas nie będą mogli się zobaczyć”. Na tym opiera się oskarżenie, wysoki sędzie.

Dobra jest, myślał DiPaulo, dumny ze swojej dawnej uczennicy. Bezpośrednia, poważna. Podobno wróciła do męża. Pewnie się cieszy, że oskarżona przyznaje się do winy. W takim momencie życia niepotrzebny jej wielki proces o morderstwo.

Wszyscy na całej wielkiej sali już dawno usiedli, tylko adwokat i jego klientka wciąż stali.

Sędzia Norville zwolniła tempo; być może zawstydziło ją przypomnienie, że ma do czynienia z osobą, która po raz pierwszy stoi przed sądem i ciężko to przeżywa.

- Pani Wyler. - Odczekała, aż Samantha na nią spojrzy.

W sali zapadła cisza. - Czy te fakty są zgodne z prawdą?

DiPaulo nie śmiał spojrzeć na swoją klientkę. Są w życiu takie chwile, kiedy człowiek musi zostać sam i sam działać. Tak powiedział mu pewien uprzejmy lekarz, gdy jego żona była już bliska

końca. Drugi człowiek może być obok przez cały czas, ale na ten jeden moment musi pozostać w tyle. Tak właśnie się teraz czuł.

- Pani Wyler - powtórzyła sędzia - chcemy usłyszeć prawdę i tylko prawdę. Czy zadała pani swojemu mężowi cios nożem?

DiPaulo zerknął na nią. To było doskonałe pytanie. Proste i jasne. Niesamowite, pomyślał, wystarczyło siedem słów, żeby wyrazić dokładnie wszystko.

Samantha zaczęła kołysać się na piętach.

- Pani Wyler - powiedziała sędzia Norville - wiem, że to jest trudne, ale muszę usłyszeć odpowiedź...

- Nie. - Samantha nie dała jej dokończyć. - Nie pchnęłam go nożem.

Jej głos zabrzmiał zaskakująco czysto i dźwięcznie. Kiedy umilkła, zakryła twarz dłońmi i opadła na krzesło. DiPaulo usłyszał, jak sala zaczyna szemrać.

- Cisza! - zawołała sędzia Norville. - Proszę usunąć z protokołu przyznanie się oskarżonej do winy. Do przedstawicieli mediów: wydaję zakaz publikowania relacji z tego postępowania, ze skutkiem natychmiastowym. Kto napisze choćby jedno słowo na ten temat, zostanie oskarżony o obrazę sądu. Niezwłocznie skontaktuję się z koordynatorem wokandy. Chcę, aby proces rozpoczął się w styczniu, a najdalej w lutym.

Zerwała się, zbiegła po schodkach z podwyższenia i gwałtownym szarpnięciem otworzyła sobie drzwi, zanim zastępca zdążył ją wyręczyć.

DiPaulo rzucił spojrzenie w kierunku stołu dla prokuratora. Jennifer Raglan była czerwona z wściekłości.

Nancy Parish, siedząca przy drugim stole, dla obrońcy, patrzyła na niego, marszcząc brwi.

U jego boku Samantha Wyler szlochała spazmatycznie.

- Wszystko jest w porządku, Sam - zapewnił, chociaż ani trochę w to nie wierzył. Spod obszernej togi radcy królewskiego nie było tego widać, ale dygotał na całym ciele. Po raz pierwszy w swojej prawniczej karierze.

44.

W listopadzie, zanim nadejdą śniegi, a po nich lazururowy błękit zimowego nieba, Toronto drży od wilgotnego chłodu, który ścina w żyłach krew, nieprzywykłą jeszcze do niższych temperatur. Z każdym dniem ciemność zapada trochę wcześniej. Ze wszystkich miesięcy w roku Daniel Kennicott najbardziej nie lubił listopada, a trudno byłoby znaleźć gorszą porę na wizytę na cmentarzu niż taki szary dzień.

Cóż, przynajmniej nie był w mundurze. Miał na sobie długi zimowy płaszcz, sztruksowe spodnie i grube buty szyte w Australii. Czekał na ławce w pobliżu grobu Wylera przez bitą godzinę i przemarznął do szpiku kości. Czuł się tak, jakby ten chłód miał go dręczyć przez najbliższych kilka miesięcy.

Pojawił się tutaj z własnej inicjatywy, i to w czasie wolnym od pracy. Nie wspomniał o tym pomysłcie nawet Greene'owi - a to od niego dowiedział się, że Jason Wyler zamiast na rozprawę, wybiera się na grób brata.

Nazajutrz po morderstwie, podczas wizyty u rodziny, Kennicott przesłuchał Jasona. Ten człowiek zrobił na nim spore wrażenie. Na nic się nie skarżył, chociaż stan jego zdrowia pogarszał się w szybkim tempie. Umysł miał jak brzytwa i widać było, że powziął twarde postanowienie, aby przeżyć swoje ostatnie dni na pełnych obrotach. A ponieważ śledztwo i cała sprawa miały wkrótce dobiec końca, Kennicott uznał, że przyzwolicie będzie spotkać się z tym facetem jeszcze jeden, ostatni raz.

Uniół głowę, złowiwszy kątem oka jakiś ruch na wiadukcie biegnącym nad cmentarzem. Zatrzymał się tam samochód, a uszu policjanta dobiegł szcęk otwieranych drzwi. Chwilę później za balustradą pojawił się Jason Wyler, stając na samym środku wiaduktu, mniej więcej w tym samym miejscu, skąd parę miesięcy wcześniej Daniel Kennicott obserwował pogrzeb jego brata. Inwalida wydawał się szczególnie zainteresowany samą balustradą, która składała się z betonowej podmurówki i dwóch równoległych barierek z metalu. Potem zmierzył wzrokiem cmentarną aleję biegnącą daleko w dole, a dopiero po kilku minutach spojrzął ku nagrobkowi brata. Zauważywszy policjanta, uniół na powitanie jedną łaskę, po czym wrócił za kierownicę.

Kiedy wóz Jasona Wylera pojawił się w alei, Kennicott wstał z zimnej ławki i wyszedł mu na spotkanie. Zatrzymawszy się przy grobie, inwalida otworzył drzwi i ostrożnie wysiadł.

- Słyszałem, że wybierał się pan dziś tutaj - zaczął policjant - i pomyślałem, że przyjdę złożyć wyrazy uszanowania.

- To miło z pana strony.

Kennicott widział wyraźnie, że od czasu ich ostatniego spotkania choroba poczyniła dramatyczne postępy.

- Detektyw Greene nauczył mnie, że w każde śledztwo należy włożyć odrobinę siebie. Ja też straciłem brata, w taki sam sposób. Został zamordowany.

- To może mi pan coś doradzi? - zapytał Wyler. - Jak przeżyć coś takiego?

- Niestety - pokręcił głową Kennicott. - Bywają chwile, gdy uświadamiam sobie, że z upływem czasu brakuje mi go coraz bardziej. Kiedy indziej nie mogę przypomnieć sobie najbanalniejszych szczegółów. To boli najbardziej.

Jason powoli zbliżył się do ławki, usiadł. Oddychał z trudem.

- Bardzo już osłabłem - wydyszał.

- Poczytałem trochę o rdzeniowym zaniku mięśni. - Kennicott usiadł obok. - Zdarza się, że chorzy żyją długo.

- To zależy od tego, jaki numerek się wylosuje. Ja mam typ trzeci tej choroby. Gdybym miał pierwszy albo drugi, to już bym nie żył. Ludzie z typem czwartym mogą nawet dożyć starości. Ale te liczby nie są dokładne. U każdego rdzeń kręgowy degeneruje się we własnym tempie.

- Podobno chorzy są bardzo inteligentni?

- Mają rozum zamiast krzepy. Nowoczesna technika sporo ułatwia. Komputery, sterowanie ręczne w samochodzie. Mało to wszystko romantyczne. - Jason wskazał laską grób brata. - To miało być moje miejsce. Cały Terry, zawsze wszystko dostawał pierwszy.

Kennicott wstał.

- To taki wyświechtany frazes, ale gdyby chciał pan kiedyś porozmawiać...

Wyler potrząsnął głową.

- To nie jest frazes. Dobrze, że pan to powiedział. Proszę mi wierzyć, kiedy będę tego potrzebował, zadzwonię do pana. Albo do detektywa Greene'a. Zdaje się, że to człowiek godny zaufania.

- Owszem - potwierdził Kennicott.

Podali sobie dłonie.

- Czy morderca pańskiego brata został złapany? - zapytał Wyler.

Kennicott zaprzeczył.

- Nie. Dlatego właśnie wstąpiłem do policji. Pan przynajmniej wie, kto to zrobił i nie musi przeżywać tych wątpliwości.

- Racja - mruknął Wyler. - Mam szczęście.

Kennicott uśmiechnął się na pożegnanie i odszedł, nie oglądając się za siebie. Ten człowiek miał prawo zostać sam na sam ze swoim bratem.

45.

Co to miało być, do ciężkiej cholery? - warknął Nathan Wyler, krążąc w tę i z powrotem po ciasnym gabinecie Jennifer Raglan. Jego rodzice zajęli miejsca na dwóch prostych, tanich krzesłach, a prokuratorka stała obok Ariego Greene'a, wyraźnie przygnębiona.

Kiedy Samantha Wyler niespodziewanie odwołała przyznanie się do winy, na sali rozpraw wybuchła wrzawa, a Greene szybko wyprowadził szwagra oskarżonej bocznymi drzwiami, wiedząc, że Nathan będzie się denerwować i nie powinien w takim stanie pokazywać się dziennikarzom. Niedługo potem dołączyła do nich Raglan z państwem Wyler.

- Samantha odwołała przyznanie się do winy. - Prokuratorka odpowiedziała na pytanie najstarszego z braci, ale bez zwykłej pewności siebie.

- Poważnie? - naskoczył na nią. - Myśli pani, że jestem głupi? Wiem, co się stało, do diabła, ale może usłyszę dlaczego?

Raglan zwiesiła ramiona.

- Nie możemy zmusić oskarżonej, aby się przyznała.

- Aha. Czyli Sam kolejny raz wystawi moją rodzinę do wiatru, tak? Nie wystarczy, że zabiła mi brata? Ile jeszcze muszą znieść moi rodzice?

- Nathan, opanuj się - zwróciła mu uwagę matka.

- Jason ma szczęście, że nie przyjechał. - Twarz Wylera nabiegła krwią. - Czy pani wie, że ten stres go dobija? I co ja mu teraz powiem?

- Bardzo mi przykro - westchnęła Raglan. Greene pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział jej aż tak wstrząśniętej. - Musimy przygotować się do procesu.

- Który zacznie się za parę miesięcy - wtrącił ojciec Wylerów, gotując się z wściekłości tak samo jak jego najstarszy syn. - Dlaczego nie w przyszłym tygodniu?

- Skończmy z tym wreszcie - dodał Nathan.

Greene podszedł do tego ciężkiego, zwalistego faceta i położył mu dłoń na ramieniu.

- W sądzie karnym termin od listopada do końca stycznia to naprawdę jest błyskawicznie - powiedział. - Przejdźmy się lepiej.

Stanęli na szerokich schodach prowadzących do gmachu sądu. Nisko wiszące chmury zapowiadały listopadowy deszcz. Wyler zapalił, osłaniając papierosa złożonymi dłońmi.

- Głupio mi, że tak się wściekłem na panią prokurator. Wszystkich nas to już wykańcza.

- Rozumiem.

- Jeden brat nie żyje, drugi umiera...

Wyszli na rozległy plac przed nowym ratuszem. Po drugiej stronie ulicy, na wieży Starego Ratusza, zegar wybił dwunastą czterdzieści pięć. Cała sądowa katastrofa nie trwała dłużej niż pół godziny. Zawiewający z boku wiatr porywał, kręcił opadłe z drzew liście, migoczące roztańczoną czerwienią i żółcią.

- Jeśli ma dojść do procesu, to muszę panu coś powiedzieć. - Wyler przerwał milczenie.

Greene dobrze wiedział, że nie ma człowieka, który czegoś by nie ukrywał.

- Terry nie był moim rodzonym bratem.

- Słucham?

- Moja mama miała romans. - Nathan Wyler zaciągnął się ostatni raz i rzucił niedopałek na ziemię, nie zadając sobie nawet trudu, żeby go przydeptać. - Po urodzeniu Jasona była w ciąży jeszcze kilka razy, ale wszystkie poroniła. Kiedy Jason zaczął chorować,

lekarze nie mogli dać gwarancji, że kolejne dziecko urodzi się zdrowe. Rdzeniowy zanik mięśni jest dziedziczny. Przenosi go chromosom X, co oznacza, że oboje moi rodzice są nosicielami.

Greene milczał. Najlepiej było słuchać.

- Kiedy mama zaszła w ciążę, powiedziała ojcu, że zrobiła specjalne badanie i że nie będzie żadnych problemów. Każdy by się kapnął, że to kit, ale ojczulek zna się tylko na owocach i warzywach.

Więc to dlatego pani Wyler tak zależało, aby Samantha przyznała się do winy, pomyślał Greene. Chciała, żeby syn zabrał jej sekret ze sobą do grobu.

Wyler wyciągnął z paczki kolejnego papierosa.

- Panu się wydaje, że jestem nerwowym? To jest nic w porównaniu z moim starym. Mama żyje w ciągłym strachu, bo wie, co by było, gdyby się dowiedział.

Serce i tak wie swoje, pomyślał detektyw, przypominając sobie pierwsze spotkanie z Wylerami i słowa ojca rodziny: „To zawsze była największa obawa mojej żony: że będzie musiała pochować kogoś ze swoich synów”. Swoich synów.

- A czy pański brat o tym wie?

- Terry życzył sobie, żebyśmy obaj wiedzieli o wszystkim. Obiecaliśmy mamie, że nikomu nie powiemy, jeśli tylko będzie z nami szczerą.

- Czy wie pan, kto był jego ojcem?

Wyler zerknął na trzymany w palcach niezapalony papieros, a po chwili schował go z powrotem do kieszeni.

- Na przystani w jachtklubie tuż obok naszej łodzi cumował sędzia Summers. Któregoś dnia mama poprosiła go, żeby zabrał ją w krótki rejs. Kiedy Terry miał dziewiętnaście lat, a Jo, córka sędziego, czternaście, musieli im powiedzieć. Dzieciaki były wściekle jak nie wiem co. Nie dziwiło pana nigdy, dlaczego Terry tyle czasu siedział w Stanach?

Mój ojciec pytał o to, pomyślał detektyw. Szli dalej przed siebie.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć - zaznaczył Wyler.

Greene poczuł powiew świeżego wiatru i złowił okiem jaskrawo-czerwony liść, który opadał na ziemię, miotany na wszystkie strony. Teoria chaosu, powiedział sobie. Uczył się o niej na fizyce, wiele lat temu. Przewidzieć nieprzewidywalne. Na podobnej zasadzie przebiegał proces w sądzie: nigdy nie było wiadomo, w którym kierunku się potoczy i jak wielkich spustoszeń dokona.

46.

Daniel?

Kennicott właśnie wszedł do mieszkania; podbiegł do dzwoniącego aparatu i pospiesznie chwycił słuchawkę. Tego telefonu wyczekiwał od samego rana.

- Witaj, Jo - powiedział.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi ulżyło, kiedy się dowiedziałam, że Samantha dziś przed południem przyzna się do winy.

- Chyba dla wszystkich to była duża ulga.

Zapadła cisza, tym bardziej krępująca, że rozmowa toczyła się przez telefon. Od ich ostatniego spotkania, tamtej sierpniowej niedzieli na wyspie, minęły już trzy miesiące. Był upalny wieczór, a oni pływali razem w jeziorze, całkiem nadzy. Dotykali się w wodzie. W pewien sposób miało to w sobie więcej intymności niż seks, do którego zresztą nie doszło.

- Co u ciebie? - zapytał.

- Prawdę mówiąc, nie najlepiej. A ty jak się miewasz?

- Nie mam chwili spokoju. Greene goni mnie do roboty przez okrągłą dobę.

- Pewnie wyjdzie ci to na dobre.

- Pewnie tak. - Kennicott roześmiał się, ale nie całkiem szczerze. Czy to miała być towarzyska pogawędka? A może pożegnanie?

- Przyszłam do pracy, ale dali mi dzień wolny... - zaczęła Jo wymijająco.

- Ja też nie mam dziś służby. - Nie było potrzeby mówić jej, że pojechał na cmentarz, aby zobaczyć się z Jasonem Wylerem.

- Pójdziemy na kawę?

- Jasne - odparł. - Może do Dyplomatów? To taka knajpka na mojej ulicy.

Knajpka nazywała się Café Diplomatico i należała już do lokalnego folkloru Małej Italii, ponieważ była otwarta bez przerwy od ponad czterdziestu lat. Kennicott szybko wyszedł z domu i zajął dyskretny stolik w rogu sali. Kilka minut później zjawiała się Jo Summers. Jej włosy, jak zwykle upięte wysoko, były zupełnie oklapnięte, jakby udzieliło im się znużenie, które znać było po niej na pierwszy rzut oka. Wyciągnęli do siebie ręce i uściskali się z ociąganiem.

Kiedy podeszła do nich kelnerka, każde zamówiło kawę. Okazało się, że oboje piją czarną. Potem zostali sami. Summers spojrzała Kennicottowi prosto w oczy.

- Tym razem to ja nie oddzwoniłam. - Uśmiechnęła się lekko.

- Domyśliłem się, o co chodzi. Byłem twoim alibi. Nie mogłaś go zepsuć.

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Nie chciałam w żaden sposób zagrozić tej sprawie. Ted DiPaulo to znakomity adwokat. Daj mu palec, a weźmie...

Przerwał jej telefon. Normalnie Kennicott nie odebrałby, ale to był specjalny dzwonek ustawiony dla Greene'a. Policjant uniósł dłoń.

- Przepraszam cię, Jo. To niegrzeczne, ale dzwoni Greene.

- Świetnie. - Summers wzięła swoją kawę, uniosła ją w geście toastu. Stuknęli się szklankami. - Pewnie chce ci przekazać, że już po wszystkim.

- Witam, panie detektywie. - Kennicott przyłożył słuchawkę do ucha.

- Nie przyznała się - oznajmił Greene krótko.

- Co takiego? - wykrzyknął Kennicott, nieco głośniejszym głosem niż zamierzał. Jo zmartwiała.

- Nie chciała potwierdzić okoliczności zajścia. Powiedziała, że nie pchnęła męża nożem. Proces zaczyna się trzydziestego pierwszego stycznia. Mam do załatwienia parę spraw. Spotkamy się za pół godziny w moim gabinecie.

Cały Greene. Bez komentarzy własnych. Rzeczowo: wracamy do roboty.

Kennicott rozłączył się, spojrzął na Summers, która zdążyła się już wszystkiego domyślić.

- Samantha się nie przyznała, tak? - zapytała.

- Powiedziała, że nie pchnęła męża nożem.

- Boże, Daniel... - szepnęła. - A jeśli to naprawdę nie ona?

Brawo, pochwalił ją w myśli Kennicott, któremu w tej chwili chodziło po głowie tylko jedno: nie zobaczę się z Jo co najmniej przez kolejne trzy miesiące.

- Proces zacznie się pod koniec stycznia - poinformował ją. - Greene wzywa mnie teraz do siebie.

- Daniel - powiedziała Jo, a jej twarz nagle poszarzała - zanim znów stracimy się z oczu, muszę ci coś powiedzieć. Niech to będzie dowód mojego zaufania do ciebie.

Kennicott sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. Była zimna jak lód.

- Myślisz, że miałam romans z Terrym, prawda?

- To nie moja sprawa. - Wzruszył ramionami.

Wbiła w niego twardy wzrok.

- Ale tak uważasz. Mam rację?

Summers na swoich rozprawach była świetna w przesłuchiwaniu świadków. Kennicott już chciał odpowiedzieć, że jej zeznanie - ta historyjka o wspólnych piątkowych lunchach i świątecznej kolacji raz do roku - nie było zbyt wiarygodne, że jego zdaniem wspomniała o tej kolacji tylko dlatego, że kiedyś on, policjant, widział ją w Wigilię w towarzystwie Wylera. Ale zamiast tego wzruszył tylko ramionami.

- Czytałem transkrypcję twojego zeznania. Pytana o Terrance'a Wylera, odpowiadałaś bardzo wymijająco.

- Wiem - przyznała. - Nie chciałam się zdradzić. Terry był moim bratem.

- Kim?

- Przyrodnim bratem. Jego mama i mój tata... Rozumiesz.

Kennicott był w takim szoku, że nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Jennifer Raglan wie. To jest fakt bez związku ze sprawą, ale jeśli się rozejdzie, wielu ludziom zniszczy życie. Zrobię wszystko, żeby tego nie spać, nawet jeśli ma to oznaczać zerwanie kontaktów z tobą.

Kennicott miał w głowie zupełny mętlik. Jo miała brata, który został zamordowany, tak samo jak jego własny brat. Proces zaczyna się pod koniec stycznia. Samantha zeznała, że nie pchnęła Terrance'a nożem. Ale jeśli nie ona, to kto?

- Czy pan Wyler o tym wiedział? - zapytał wreszcie.

- Nie sądzę. To niebezpieczny człowiek. Gdyby się dowiedział, byłoby straszne piekło. Ale jej też nie ufam.

- Komu? Pani Wyler?

- Jest obłudna jak mało kto. Tak się obnosi z tym, ile troski poświęca choremu Jasonowi, ale tak naprawdę robi to wszystko dla siebie. Jakie ma alibi?

Kennicott przerzucił akta śledztwa tyle razy, że znał je praktycznie na pamięć.

- Typowe, niedzielne: byłam w domu, spałam. Wieczorem cała rodzina przyjechała do Terrance'a na kolację. Wyszli około jedenastej. Chyba nie uważasz, że pani Wyler zamordowała własnego syna?

- Nie mam pojęcia, do czego byłaby zdolna, gdyby uznała, że jej tajemnica może wyjść na jaw. Ta kobieta uwiodła mojego ojca, żeby zdobyć to, czego chciała.

Kennicott wciąż trzymał ją za rękę, która była już ciepła.

- O której masz spotkać się z Greene'em? - zapytała Jo.

- Za pół godziny.

- Wiesz co? - mruknęła. - Wycucie czasu to my mamy kompletnie do dupy.

Ścisnęła jego dłoń i oboje wybuchnęli zgodnym śmiechem.

47.

Musimy już iść. - Ted DiPaulo pochylił się nad Samantha Wyler, skuloną na krześle za barierką dla aresztantów. Siedziała tak już od pół godziny, kryjąc twarz w dłoniach. Sala rozpraw opustoszała; w środku został tylko policjant sądowy, który coraz bardziej się niecierpliwił.

- W porządku. - Sam uniosła wreszcie głowę i spojrzała na niego, biorąc głęboki oddech. - Chodźmy.

- Za drzwiami opadną nas dziennikarze.

- Przecież sędzia zakazała im pisać o tej sprawie.

- Więc o tym, co zaszło na posiedzeniu, nie napiszą ani słowa - wyjaśniła Nancy Parish - ale chcą zrobić ci zdjęcie, jak wychodzisz z sądu.

Samantha potrząsnęła głową.

- To obrzydliwe.

- Mówią na to „spacerniak” - dodał DiPaulo.

- Żałosne. Możemy coś z tym zrobić?

- Nie wolno im cię fotografować w gmachu sądu - powiedział adwokat, po czym wskazał czerwony płaszcz swojej klientki, wiszący na oparciu krzesła za stołem dla obrony. Za jego stanowczą namową Samantha przysłała w nim wczoraj na rozprawę wstępną (choć tylko czekała na korytarzu, kiedy on rozmawiał z sędzią i prokuratorką), a także dzisiaj. - Włóż to - polecił.

Wyszła zza barierki i zdjawszy płaszcz z krzesła, przerzuciła go sobie przez ramię.

- Nie tak. - Pokręcił głową. - Ubierz się w niego.

Wsunęła dłonie w rękawy, niezgrabnie, bo ręce jej się trzęsły.

Kiedy policjant otworzył drzwi do sali rozpraw, otoczył ich tłum dziennikarzy.

- Idź, nie zatrzymuj się - szepnęła DiPaulo do Samantha, przeciskając się pomiędzy napierającymi ze wszystkich stron ludźmi, którzy obrzucali ich wściekłym gradem pytań: „Jak się pani czuje? Dlaczego zmieniła pani zdanie? Jak to się stało, że nie przyznała się pani do winy?”.

- Nie będę w tej chwili udzielał żadnych komentarzy w imieniu mojej klientki - oznajmił adwokat, torując drogę, w czym wydatnie pomagały mu wzrost i postura.

Tłumek ruszył za nimi, niemalże wchodząc prawnikom i oskarżonej na głowę. DiPaulo przeżył już niejedną taką dziennikarską kotłowaną. Wiedział, że ci ludzie nie mają żadnego poszanowania dla przestrzeni osobistej i zwykle wjeżdżają człowiekowi z mikrofonem i kamerą pod sam nos.

- Ted, skoro nie chcesz komentować, to przy którym wyjściu mamy czekać?

Rozpoznał ten głos; to był Zachery Stone, zadziorny reporter przypominający krzyżówkę Danny'ego De Vito i teriera szkockiego. Od ponad dwudziestu lat Stone prowadził kronikę kryminalną w „Toronto Sun”, jedynym brukowcu największego miasta Kanady.

- Nie mogę tego powiedzieć. - DiPaulo szedł dalej. Byli już prawie pod drzwiami pokoju dla adwokatów, który stanowił ich schronienie, bo prasa nie miała tam wstępu.

- Daj spokój! - zawołał Stone. - Jest nas dużo, wszystkie wyjścia są obstawione. Zdjęcie zrobimy tak czy tak, ale wiesz, że najgorzej to wygląda, kiedy oskarżony ucieka ze spacerniaka. To zupełnie jak przyznanie się do winy.

DiPaulo wsparł się, dłonią na drzwiach. Stone przepchnął się pomiędzy kolegami po fachu i stanął tuż obok. Sięgnął mu do ramienia.

- W porządku, Zac - szepnęła adwokat, po czym spojrziała na zegarek. - Proszę państwa, muszę się napić kawy - oznajmił, podnosząc głos.

- Które wyjście? - odpowiedzieli zgodnym chórem.
- Pojadę najbliższą windą i wyjdę wyjściem służbowym dla adwokatów - powiedział. - Za dwadzieścia minut.

Dziennikarze ulotnili się jak jeden mąż, bębniąc w klawisze swoich blackberry; trzeba było dać znać ekipom czatującym na zewnątrz.

DiPaulo otworzył drzwi i wprowadził swoją klientkę i swoją współpracowniczkę do środka.

- Domyślam się, że musiałeś im powiedzieć, nie miałeś innego wyjścia? - mruknęła Nancy, kiedy siedzieli już wygodnie na długiej kanapie.

Uśmiechnął się do niej bez słowa i zwrócił się wprost do Samanthy:

- Zdejmij ten płaszcz i oddaj go Nancy, proszę. - Wyjął z teczki gazetę i rzucił ją Parish na kolana. - A tobie przyda się to. Aha, i oddaj jej swoją teczkę.

Kiedy to mówił, podeszła do nich szczupła ciemnoskóra kobieta w prawniczej todzie. DiPaulo wstał, aby się z nią przywitać.

- Pani Delacroix, to jest pani Wyler oraz moja współpracownica, Nancy Parish.

Zaśmiał się, kiedy Sam i Nancy wybałuszyły na niego oczy.

- Sam, pani Delacroix zabierze was obie do przebieralni dla kobiet. Tam włożysz tę Nancy.

Usiedli, pochylając głowy, a on wyłożył im swój plan. Samantha i Barbara Delacroix, przebrane w togi i z teczkami w dłoniach, miały wsiąść do windy dla prawników, pojechać nią piętro wyżej i przejść do ogólnodostępnych wind, dochodzących na podziemny poziom gmachu sądu, gdzie znajdował się tunel prowadzący do Osgoode Hall, historycznego budynku obecnie mieszczącego główną bibliotekę prawniczą oraz sąd apelacyjny. Tam też miały się udać, a po dotarciu na miejsce pani Delacroix miała przez komórkę powiadomić Teda DiPaulo: droga wolna. Wtedy on i Nancy Parish - ubrana w długi czerwony płaszcz Samanthy Wyler - mieli zjechać windą do

służbowego wyjścia dla adwokatów i pokazać się wszystkim dziennikarzom w olbrzymiej przeszklonej rotundzie.

Nancy Parish wzięła w dłoń gazetę, którą rzucił jej DiPaulo.

- Niech zgadnę... - mruknęła. - Mam zasłonić nią twarz?

- Pani Delacroix, zabierze pani moją klientkę do taksówki, która czeka już na University Avenue. - Adwokat powiódł wzrokiem po twarzach trzech kobiet i uśmiechnął się szeroko.

- Nieźle, co?

Parish parsknęła śmiechem.

- To był ciężki dzień. Zasłużyliśmy sobie na trochę zabawy.

Delacroix i Samantha Wyler wyszły, a DiPaulo nalał sobie kubek kawy.

- Dziennikarze się wściekną, gdy się okaże, że ich oszukałeś - powiedziała Nancy Parish, wychodząc z przebieralni w codziennym ubraniu i sięgając po czerwony płaszcz.

- Przepraszam, nikogo nie oszukałem. Miałem wyjść za dwadzieścia minut i wyjdę. Kto mówił, że moja klientka wyjdzie ze mną?

- Sprytnie. A jak będziesz ją teraz reprezentował, skoro tobie przyznała się do winy, a przed sądem temu zaprzeczyła?

DiPaulo łyknął kawy, która była wodnista, a do tego za gorąca.

- Samantha Wyler nigdy nie przyznała mi się do winy. Wręcz przeciwnie, podczas pierwszej naszej rozmowy powiedziała, że jest niewinna. Ja tylko poprosiłem ją, zresztą w twojej obecności, o wydanie polecenia, abym w jej imieniu ogłosił przed sądem decyzję o dobrowolnym poddaniu się karze, opartą na zapisie pewnych faktów. Nie pytałem jej bynajmniej, czy owe fakty są zgodne z prawdą.

Parish znów się zaśmiała.

- Ilu adwokatów może tańczyć na czubku bardzo cienkiej igły?

- Tylu, ilu potrzeba do wygrania sprawy. - DiPaulo pociągnął jeszcze jeden łyk i ponownie zerknął na zegarek. Od wyjścia Samantha i Barbary Delacroix minęło dwanaście minut. W tym momencie odezwała się jego komórka.

- Widzę tylko jedną dziennikarkę - zameldowała pani Delacroix. - Ma azjatyckie rysy.

- W porządku. Zadzwoń, kiedy dotrzemy już na dół. Kiedy nas zobaczy, podejdzie tutaj. Na razie nie wychodźcie. - Rozłączył się, spojrzął na Nancy. - Idziemy, pani Wyler?

Zjechali windą na parter, przystając przed wejściem do jasnej rotundy. Nancy, ubrana w czerwony płaszcz, ukryła twarz za rozłożoną gazetą. Błysnęły flesze.

- Przystaniemy teraz - mruknął DiPaulo - żeby pomyśleli, że się denerwujesz. Zwróć głowę w moją stronę, a ja osłonię cię ramieniem.

Mówiąc to, rzucił okiem w kierunku University Avenue. Po kilku chwilach dostrzegł na chodniku ciemnowłosą kobietę biegnącą co tchu do gmachu sądu. Wcisnął klawisz skrótu w komórce.

- Widzę dziennikarkę - oznajmił. - Ruszajcie, tylko szybko. Proszę się nie rozłączać - polecił pani Delacroix.

Machnął dłonią w kierunku reporterskiego tłumu czekającego za przeszklonymi drzwiami, dając znak „jeszcze chwilkę”. W słuchawce rozległ się najpierw odgłos szybkich kroków na kamiennym trotuarze i szum powietrza, a potem metaliczny szcęk otwieranych drzwi i głos Barbary Delacroix:

- Proszę na Bay Street trzysta dziewięćdziesiąt. To jest przy skrzyżowaniu Bay i Queen Street, naprzeciwko Starego Ratusza.

Odpowiedział jej drugi głos, męski, o wyraźnym indyjskim akcencie:

- Pan DiPaulo podał mi już adres.

Zawarczał włączany silnik, zgrzytnął wrzucany bieg i taksówka ruszyła.

- Panie DiPaulo - powiedziała Delacroix - udało się.

- Dobra robota - pochwalił ją i zatrzasnął klapkę telefonu.

- Gotów? - zapytała Nancy z za swojej gazety.

- Tak. Czas na spotkanie z mediami.

Przeszli przez bramkę, stając w drzwiach. Dziennikarze zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Flesze błyskały coraz gęściej. DiPaulo wyjął gazetę z dłoni współpracownicy.

Zbity tłumek westchnął jednym głosem.

- O, w mordę... - odezwały się różne głosy. - Cholera jasna, trzeba obstawić inne wyjścia! Niemożliwe...

- Ted, ale narobiłeś mi wstydu... - skrzywił się Zachery Stone.

- Wybacz, mój stary. Powiedziałem, że wyjdę za dwadzieścia minut - adwokat uniósł rękę, na której miał zegarek - i wyszedłem.

Na University Avenue czekała jeszcze jedna zamówiona przez niego taksówka. Kiedy wsiedli i zamknęli drzwi, Nancy zmierzyła starszego kolegę baczny spojrzeniem.

- Czy pan mecenas jest gotów złożyć zeznanie?

- Oczywiście - odparł, siląc się na ton niewiniątka.

- Zaplanowałeś to sobie już parę dni temu, prawda? Delacroix, ten czerwony płaszcz, dwie taksówki w pogotowiu...

DiPaulo odprowadził wzrokiem rzednący tłumek dziennikarzy.

- Być może.

- Domyśliłeś się, że Samantha odwoła przyznanie się do winy?

Uśmiechnął się szeroko.

- Bardziej już nie mogłem jej przycisnąć. A w tym zawodzie zawsze trzeba mieć wyjście awaryjne.

Za oknem taksówki mignęli pracownicy zakładu oczyszczania miasta rozbierający kwietne dekoracje, które przez całe lato i jesień ozdabiały szeroką aleję. Bez nich ulica wydawała się pusta.

- Widzę, że jesteś zadowolony - zauważyła Nancy. - Wiem, jak bardzo lubisz procesy.

- Owszem - przyznał DiPaulo. Taksówka podskoczyła na starzych amortyzatorach. - Lubię procesy, ale tylko kiedy wygrywam.

48.

Proszę, proszę, panie detektywie - powiedział sędzia Johnathan Summers, naczelnik sądu prowincji z siedzibą w Starym Ratuszu miasta Toronto. Kiedy detektyw uchylił drzwi, zerwał się z fotela obitego wiśniową skórą i powiewając czarną togą, wyskoczył zza szerokiego biurka, aby otworzyć je na całą szerokość.

Greene bywał w olbrzymim gabinecie sędziego Summersa wiele razy, ale zawsze zaskakiwała go jedna rzecz: że wystrój pomieszczenia może być tak samo rozbuchany jak osobowość rezydującego tam człowieka, hałaśliwego i apodyktycznego, który bezwzględny rygoryzmem potrafiłby zawstydzić samego kapitana Ahaba. Sędzia uwielbiał przechwalać się swoimi wielkimi pasjami, a miał ich dwie: hokej i żeglarstwo. Obie eksponował w sprawiedliwej proporcji na ścianach gabinetu.

Podczas studiów na Uniwersytecie Cornelia Johnathan Summers był lokalną gwiazdą drużyny hokejowej; jego stara klubowa koszulka z numerem dziewięć oraz wielką literą C na lewej piersi wisiała w przeszklonej ramie na ścianie za biurkiem, otoczona zdjęciami pana sędziego w towarzystwie znanych graczy Toronto Maple Leafs. Na każdym z tych zdjęć widniał autograf. Kąt gabinetu zajmowała kolekcja podpisanych kijów hokejowych.

Przed podjęciem studiów sędzia służył przez pięć lat w marynarce wojennej; zdaniem niektórych ludzi przez całe życie czuł pod stopami pokład okrętu. Jego obsesyjną fascynacją morzem odzwierciedlały liczne fotografie oraz rysunki łodzi i fregat, pokrywające niemalże

każdy wolny centymetr wszystkich ścian gabinetu.

Panowała powszechna opinia, że sędzia Summers jest bogaty z domu. Greene wiedział jednak, że to nieprawda. Jego ojciec zginął na wojnie, za oceanem, kiedy matka była jeszcze w ciąży. Młody Johnathan wstąpił do marynarki rzekomo po to, aby zarobić na studia, ale detektyw podejrzewał, że chciał w ten sposób także uhonorować i w pewnym stopniu zastąpić ojca, którego nie dane mu było poznać.

- Przepraszam, że tak znieczeka zawracam głowę, panie sędzio, i to podczas przerwy na lunch - powiedział Greene, odwzajemniając żelazny uścisk dłoni.

- Praktycznie nie jadam już w ciągu dnia - odparł Summers. - Zazwyczaj wystarczy mi jogurt albo coś w tym rodzaju, chyba, że Jo ma wolną chwilę. Jest na Dundas Street taka mała spokojna tajska restauracja. Ona ją lubi i zaglądamy tam razem.

Przed biurkiem sędziego stały dwa krzesła o wysokich oparciach. Summers gestem wskazał Greene'owi jedno z nich, sam zaś zamknął drzwi.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał po chwili, siadając na drugim krześle. Greene był ciekaw, czy wróci za biurko; fakt, że nie wrócił, świadczył o tym, że wie, z jaką sprawą detektyw do niego przychodzi.

- Jak panu zapewne wiadomo, prowadzę obecnie śledztwo badające okoliczności morderstwa Terrance'a Wylera - zaczął Greene.

Summers miał rumianą, pełną twarz. Biła z niej pewność siebie, która deprymowała wielu ludzi. Sędzia łatwo wpadał w złość, ale z drugiej strony detektyw nie raz i nie dwa widział, jak ten człowiek wręcz staje na głowie, aby tylko toczący się przed nim proces był sprawiedliwy, a poza tym, co zaskakujące, potrafił się wykazać niezwykłą wyrozumiałością przy wydawaniu wyroków, zwłaszcza jeśli winowajca nie był dotychczas karany. Niektóre z jego orzeczeń doczekały się nawet u dowcipnisiów z prokuratury miana „drugiej szansy od Summersa”.

Spojrzawszy Greene'owi prosto w oczy, sędzia pochylił się ku niemu.

- Jak rozumiem, oskarżona miała dobrowolnie poddać się karze. Rozprawa dzisiaj była na wokandzie, czy dobrze pamiętam?

- Właśnie wracam z Sądu Najwyższego. - Jego gmach mieścił się przy University Avenue trzysta sześćdziesiąt jeden, naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Greene wiedział, że sędzia Summers nie mógł jeszcze o niczym słyszeć. - Oskarżona zmieniła zdanie i wycofała przyznanie się do winy. Sędzia Norville nie jest zadowolona.

Summers osunął się na oparcie krzesła, załonił dłonią oczy.

- Rozumiem - szepnął głosem, który niespodziewanie stracił swoją zwykłą siłę.

Greene odwrócił wzrok. Jego uwagę przyciągnęła jedna spośród żeglarskich fotografii na ścianie: sędzia stał na pokładzie dużej łodzi, otoczony tłumem rozpromienionych ludzi, trzymając za jedno ucho puchar zwycięstwa w regatach. Drugie spoczywało w dłoni młodej kobiety z bujną grzywą blond włosów i olśniewającym uśmiechem podobnym do uśmiechu sędziego. To była Jo, jego córka.

Zza okna dobiegło bicie dzwonu na wieży Starego Ratusza.

- Wie pan co, panie detektywie? - odezwał się Summers, kiedy przebrzmiał ostatni gong. - W tym zawodzie widuje się ludzi od najgorszej strony. Codziennie. O, nie przeczę, że mniej więcej dwadzieścia procent z nich to zatwardziali kryminaliści, ale większość to całkiem normalni ludzie. Chodzą do pracy, robią zakupy, gotują, wychowują dzieci, a po śnieżycy latają z szuflą i sprzątają podjazd. Tacy ludzie też popełniają błędy.

Urwał. Greene siedział bez ruchu, czekając na dalszy ciąg, ale Summers milczał.

- Dziś rano, po tym co stało się w sądzie, rozmawiałem z Nathanem Wylerelem - odezwał się wreszcie detektyw.

- I to stąd ta wizyta. Całkiem zrozumiale. - Summers dźwignął się ciężko z fotela, podszedł powoli do biurka i z dolnej szuflady wyciągnął papierową teczkę. - Domyślam się, że chciałby pan to zobaczyć.

W teczce znajdował się bilet lotniczy linii Porter Airlines na podróż z Toronto do Ottawy dla dwóch osób: sędziego Johnathana Summersa i pani Dorothy Summers. Start z lotniska na Wyspach Toronto piętnastego sierpnia, powrót osiemnastego. Był tam także rachunek za trzydniowy pobyt w hotelu Carlton w Ottawie - piętnastego, szesnastego i siedemnastego sierpnia oraz program ogólnokrajowej konferencji dla sędziów pracujących w sądach prowincji. Greene otworzył broszurkę.

- W niedzielę wieczorem wygłosiłem gościnny odczyt - wyjaśnił Summers. - Wiem, że musi pan sprawdzić, czy mam alibi. W razie czego około sześćdziesięciu sędziów z całego kraju może za mnie poręczyć.

- Zdaje pan sobie sprawę, że będę musiał to wszystko potwierdzić? - zapytał detektyw.

- Prowadzi pan śledztwo w sprawie morderstwa. Nie oczekuję specjalnych względów. - Summers oparł dłonie na blacie biurka, balansując na wyprężonych ramionach, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma stać czy usiąść. - Jak pan widzi, żona też była ze mną w Ottawie.

- Kiedy zginie człowiek, podczas śledztwa wychodzą na jaw różne tajemnice - powiedział Greene. - A moja rola polega na tym, aby ocenić, co jest istotne dla sprawy, a co nie. Nigdy nie szkodzę ludziom, chyba że jestem zmuszony to zrobić. To ostateczność.

Summers usiadł za biurkiem.

- Pracuję w tym zawodzie od wielu lat i zacząłem myśleć, że każdy człowiek ma trzy twarze: jedną dla wszystkich, drugą dla najbliższych i trzecią, której nie zna nikt. Każdy ma jakieś własne tajemnice, ale kiedy dochodzi do takiej zbrodni, niczego nie da się przewidzieć.

Greene zamknął program konferencji i schował go z powrotem do teczki. Widać było, że pan sędzia chce porozmawiać.

- Dziwne jest to - podjął Summers po chwili - że bardzo często słyszę o romansach, które ciągną się całymi latami. Dla mnie to był pierwszy i ostatni raz. Jedno słoneczne popołudnie. Piękna kobieta. Wiedziałem, o czym marzy: mieć zdrowe dziecko, wolne od tej strasznej choroby. - Uniósł dłoń do ust, przygryzł paznokiec. - Przepłynąłem jezioro Ontario chyba z tysiąc razy, ale tamtego dnia było spokojne jak nigdy wcześniej i nigdy później.

Greene otworzył swoją teczkę, jak zwykle hałasując zamkiem błyskawicznym i schował dokumenty, które dał mu sędzia. Opowieść trwała dalej.

- Najtrudniej było przyznać się do wszystkiego Jo i Terry'emu. Byli jeszcze bardzo młodzi. Jo miała dopiero czternaście lat. Musiałem powiedzieć sobie wprost: zawiodłeś swoją córkę. Obarczyłeś ją tym ciężarem. Gdyby moja żona się dowiedziała, nie przeżyłaby tego. Jo przez długi czas nie chciała mnie znać. Wyprowadziła się i zamieszkała w Ameryce Środkowej. Wróciła po kilku latach i poszła na studia prawnicze. Kiedy została prokuratorem i zaczęła codziennie bywać w sądzie, wydawało mi się, że ją odzyskałem, a tu nagle coś takiego.

- Dowiedziałem się o tym dzisiaj, od Nathana Wylera - powiedział Greene. - Wczoraj przekazałem jego rodzicom informację o ugodzie pomiędzy prokuraturą a obrońcą. Spodziewałem się, że będą niezadowoleni. Rodzina ofiary zazwyczaj chce, aby wyrok był jak najwyższy. Okazało się jednak, że oboje, a szczególnie pani Wyler, marzą, aby mieć to już za sobą. Teraz rozumiem dlaczego.

- Będę z panem szczerzy. Ten jej cały mąż nie grzeszy rozumem, inaczej na pewno by się połapał. To agresywny furiat. Ona ma wszelkie powody, żeby się go bać.

Greene wstał z krzesła.

- Potraktuję pana tak samo jak każdego potencjalnego podejrzanego, czyli nie zaszkodzę panu, jeśli nie będę musiał.

- Kiedy mam gorszy dzień, myślę sobie, że być może dzięki temu jestem lepszym sędzią. - Summers poprawił tożę na piersi i szerokich ramionach. - Wiem, że rządę podwładnymi twardą ręką. Nie znoszę prawników, którzy nie robią wszystkiego na sto procent. Zawsze trzeba zobaczyć prawdziwą twarz każdego oskarżonego, który staje przed sądem, dostrzec w nim człowieka, a nie tylko błędy, które popełnił.

Greene wsunął niezamkniętą teczkę pod pachę, ale nie ruszał się z miejsca.

- Powiedziałem sobie, że nie mogę myśleć o Terrym: mój syn. To nie byłoby w porządku ani dla niego, ani dla mnie, ani dla nikogo. - Sędzia spojrział na ścianę ze zdjęciami, odszukał wśród nich siebie i córkę z pucharem regat.

Detektyw podążył za jego wzrokiem i tym razem w morzu ludzkich twarzy otaczających zwycięską załogę odnalazł Terrance'a Wylera: stał z boku, niedaleko Jo Summers.

- Ale to był mój syn - dokończył sędzia. - A teraz nie żyje.

Greene wyszedł sam, delikatnie zamykając drzwi za sobą. W porze lunchu budynek sądu ogarnia osobliwy spokój, wszystkie korytarze pustoszeją, jak w szkole po lekcjach. Detektyw usiadł na twardej drewnianej ławce. Pociągnął za suwak, powoli zamykając teczkę: tik, tik, tik. I zacisnął powieki, sycąc się ciszą.

CZEŚĆ CZWARTA

Styczeń

49.

Uważasz, że nie powinienem wzywać jej na świadka? - zapytał Ted DiPaulo, mierząc Nancy Parish uważnym wzrokiem.

Była już niedziela, dochodziło popołudnie; proces Samantha Wyler miał się rozpocząć za niecałe dwadzieścia cztery godziny, a ceny czas umykał coraz szybciej. Cały weekend przesiedzieli w kancelarii, w sali konferencyjnej, zamienionej na ten czas w sztab główny. Wszędzie stały pudła i leżały segregatory.

- Wiesz, że nigdy nic nie wiadomo? - odpowiedziała pytaniem Nancy.

Wezwać klienta do złożenia zeznań czy nie wezwać - oto pytanie, z którym zmagalby się Hamlet, broniąc kogoś w postępowaniu karnym.

Zmorą każdego kanadyjskiego adwokata jest sprawa niejakiego Davida Milgaarda. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym Milgaard został skazany za brutalny gwałt i morderstwo młodej pielęgniarki z miasta Saskatoon w prowincji Saskatchewan. Spędził w więzieniu dwadzieścia trzy lata, wciąż utrzymując, że jest niewinny. Oczyszczono go z zarzutów na podstawie badania DNA, które wskazało prawdziwego sprawcę zbrodni, znanego seryjnego zabójcę nazwiskiem Larry Fisher, który w tym samym czasie przebywał w mieście. Jak na ironię, Milgaard ani razu nie zeznawał, kiedy go sądzono.

Gdyby Samantha Wyler ani razu nie wypowiedziała się przed sądem, mógł czekać ją ten sam los. Z drugiej strony, były też

niezliczone przypadki oskarżonych, którzy pograżyli się własnym zeznaniem - mówiąc potocznie, sami się o to prosili.

- Możesz doradzać klientowi, możesz mu się podlizywać, ale koniec końców decyzja należy do niego i nie może być inaczej - powiedział DiPaulo, biorąc do ręki blok papieru. Na pierwszej stronie, pod nagłówkiem „Do załatwienia”, widniała lista wynotowanych spraw. - Sam postanowiła złożyć zeznania. Moim zdaniem ławnicy jej nie polubią. Za kilka dni zrobimy symulowane przesłuchanie. Chcę, żebyś mi pomogła. Zobaczmy, jak da sobie radę.

- W porządku, ale najpierw przesłucham ciebie.

- Proszę bardzo. Do dzieła.

- Panie mecenasie, ma pan za sobą ponad dwadzieścia pięć lat pracy w zawodzie, zarówno na stanowisku prokuratora, jak i adwokata. Czy to się zgadza?

- Nie do końca. Pracuję w tym zawodzie już dwadzieścia sześć lat.

- A czy to prawda, że pana pierwsza zasada brzmi: dobry adwokat nigdy nie wierzy swojemu klientowi?

- Czy muszę odpowiadać na to pytanie?

Nancy Parish oskarżycielskim gestem wycelowała w niego palec.

- Twierdzę, że podczas pracy nad sprawą Samantha Wyler złamał pan swoją własną złotą zasadę. Uwierzył pan, że jest niewinna.

I w tej chwili odezwał się dzwonek do drzwi.

- Uratowany... - westchnął DiPaulo, szczerząc zęby do współpracownicy. - Zgadnij, kto przyszedł?

W poczekalni stała Samantha, ściskając w dłoni grubą aktówkę. Wydawała się bardzo wyraźnie podekscytowana. Nie było w tym nic niezwykłego: gdy zbliżał się termin pierwszej rozprawy, klienci, z czystej radości, że przedprocesowa katorga dobiega wreszcie końca, często wpadali w dziwną euforię.

- Chyba coś znalazłam. - Uniosła aktówkę wyżej.

- Wejść do sali konferencyjnej - odparł DiPaulo, prowadząc ją korytarzem.

Jeszcze nigdy żaden z jego klientów nie angażował się w proces tak mocno jak Samantha Wyler. W oświadczeniach rozwodowych składanych w sądzie rodzinnym zmarły mąż wytykał jej, że ma obsesję rządzenia innymi. Adwokat zrozumiał go, gdy Sam uparła się, że musi poznać cały zgłoszony materiał dowodowy, przeczytać każde zeznanie i raport kryminalistyczny.

- Przeglądałam sobie sprawozdanie z sekcji zwłok - oznajmiła, siadając na jednym z niewielu wolnych krzeseł w zagraconym pomieszczeniu.

- Doktor Burns - odparł DiPaulo. To było nazwisko lekarza sądowego, który przeprowadził autopsję.

- Napisał, że śmiertelną raną była ta nieduża, na szyi.

- Rana numer dwa - wtrącił adwokat, chcąc pokazać, że akta sprawy zna na wyrywki. - Skaleczenie tętnicy szyjnej. Burns szacuje, że Terrance wykrwawił się szybko, w około cztery minuty. Skonsultowałam to z dwoma innymi lekarzami, których zawsze proszę o drugą opinię. Obaj uznali, że taki czas jest do przyjęcia.

- W porządku. - Samantha Wyler otworzyła aktówkę. - Spójrz na to.

50.

Jennifer Raglan siedziała w swoim pozbawionym okien gabinecie, mierząc wzrokiem stos pudeł z aktami piętrzący się w kącie. Na każdym z siedmiu kartonów widniał z boku szereg grubych czarnych liter składających się w napis R. V. WYLER. Wszyscy jej koledzy byli zgodni: sprawa jest oczywista, nawet zupełnie zielony prokurator, pierwszy rok w zawodzie, wygrałby taki proces z palcem w nosie.

Rzecz jasna, prokurator nie jest od „wygrywania” czy też „przegrywania”. Przyświeca mu wyższy cel - służba społeczeństwu, troska o to, aby sprawiedliwości stało się zadość. Jest to cel wzniosły i niezwykle trudny do osiągnięcia w środowisku złożonym z ludzi ogarniętych manią rywalizacji i prezentujących cechy osobowości typu A, czyli nieustannie pozostających w fazie reakcji alarmowej.

Dlatego właśnie obecna sprawa była dla Raglan piekielnym dylematem: za wygraną nikt nie pochwali, ale gdyby, broń Boże, przegrała - a z ławą przysięgłych nigdy nic nie wiadomo - od razu rozsłoby się za jej plecami, że straciła formę, bo długo nie było jej widać w sądzie. I wszyscy by się zastanawiali, czy to „te przejścia z mężem tak ją zjadły”.

Prawda natomiast wyglądała tak, że kiedy proces dotyczy morderstwa, prokurator nigdy nie ma za dużo czasu na przygotowania, nawet jeśli sprawa jest „z tych łatwych”. W listopadzie Ralph Armitage dał Raglan całe dwa miesiące - co oznaczało, że przez ten czas miała być wolna od innych obowiązków. Aby to zaznaczyć, wywiesiła na drzwiach swojego gabinetu kartkę z napisem „Nie

przeszkadzać - prawnik próbuje myśleć”.

Nie minęło nawet kilka godzin, a kartka była czarna od dopisków dowcipnych kolegów, głównie rozmaitych przestróg dla prawników usiłujących korzystać z szarych komórek. Następnego dnia zaczęli wchodzić do gabinetu bez pukania: ten musiał zapytać o jakiegoś surowego sędziego, tamtemu trafiła się trudna sprawa, jeszcze inny nie wiedział, jak podejść upierdliwego adwokata. Co gorsza, byli i tacy, który przychodzili, żeby ponarzekać na Armitage'a i powzdychać, jak to było wspaniale „za twoich czasów, Jennifer”. Wreszcie Raglan poprosiła, żeby zamontować w jej drzwiach zamek.

Nie pomogło. Prokuratura w śródmieściu jest jak obłąkana twierdza. Praktycznie nie było dnia, żeby nie musiała rzucić wszystkiego i biec do pomocy przy jakiejś sprawie, nagłej, pilnej i wymagającej mobilizacji każdego dostępnego prokuratora w tym czy tamtym sądzie. W połowie trzeciego tygodnia przeniosła się z pracą do domu.

A tam od razu znalazł się czas, i to w nieograniczonej ilości. Okazało się, że można zrobić dwa razy więcej, a do tego dwa razy szybciej. Najlepsze zaś było to, że ta przeprowadzka położyła wreszcie kres toczonym codziennie na nowo e-mailowym bataliom z Gordonem o to, kto odbierze Dane z zajęć dodatkowych po szkole, koniecznie przed szóstą; każda minuta spóźnienia kosztowała dolara plus ciężkie niezadowolenie marnie opłacanego personelu.

Zacząła więc przychodzić po córkę o piątej, czasem nawet o czwartej trzydzieści. Przychodzić, nie przyjeżdżać - wracały do domu na piechotę, trzymając się za ręce, a po drodze zaliczając takie atrakcje jak bitwa na śnieżki albo babeczki maślane i gorąca czekolada w ulubionej kawiarence.

Była niedziela, a ponieważ nazajutrz miał się zacząć proces, Raglan przez cały dzień musiała siedzieć w prokuraturze, co oznaczało, że nie będzie mogła zawieźć Dany na trening. I nic na to nie mogła poradzić, bo właśnie tej niedzieli, po dwumiesięcznych negocjacjach, miała wreszcie przesłuchać świadka, który przysporzył jej najwięcej problemów - Brandona Legacy, osiemnastoletniego sąsiada Terrance'a Wylera.

Było dla niej - i dla Ariego Greene'a też - oczywiste, że małowymny młodzian sypiał ze starszą od siebie o lat siedemnaście Samantha Wyler. Jego rodzice bronili go przed przesłuchaniem na wszelkie sposoby. Wynajęli Cantona Carmichaela, jednego z najlepszych adwokatów, który powiedział im, że nie ma takiego przepisu, który zobowiązywałby Brandona do składania zeznań na policji czy też w prokuraturze. Była to prawda. Kiedy nastolatek odmówił wyjaśnień, Raglan i Greene odpowiedzieli szybką kontrą, zaczynając tak zwany taniec ze świadkiem.

Greene wysłał do szkoły Brandona umundurowanego od stóp do głów policjanta, aby podczas przerwy obiadowej doręczył chłopakowi wezwanie do sądu. Zgodnie z prawem Legacy miał obowiązek stawić się w Sądzie Najwyższym pierwszego dnia procesu i być obecnym na każdym następnym posiedzeniu, dopóki nie zostanie powołany na świadka.

Jak należało się spodziewać, Carmichael natychmiast zadzwonił do Raglan z pretensją na aroganckie metody policji.

- W ten sposób mój klient może siedzieć w sądzie jak kołek przez kilka tygodni - oburzał się.

- Albo i miesięcy - odparła. - Z procesem o morderstwo nigdy nie wiadomo.

- Brandon jest w dwunastej klasie. Został w liceum na dodatkowy rok nauki. Najważniejsze egzaminy ma właśnie w połowie semestru. Zaczynają się w drugim tygodniu lutego.

- Gdyby twój klient chciał z nami porozmawiać, mogłabym dać mu znać, kiedy zostanie wezwany, i to z dużym wyprzedzeniem. Przesłuchałabym go w dniu, kiedy nie ma żadnego egzaminu. Chętnie bym to zrobiła, ale jak mogę przewidzieć, kiedy mi będzie potrzebny, skoro nie wiemy, co zezna?

Carmichael parsknął śmiechem. Był na tyle bystry, że umiał rozpoznać patową sytuację.

- Od kiedy to zrobiłaś się taka twarda, Jennifer?

- To nie ja. Wyrazy uznania za ten pomysł należą się detektywowi Greene'owi. Proponuję porozmawiać z rodzicami Brandona.

- Porozmawiam. Przekaż Greene'owi moje gratulacje.

Do rodziców dotarło w końcu, że pani prokurator się nie odczepi - Raglan po prostu nie mogła się obejść bez zeznań ich syna. Im bliżej było do procesu, tym bardziej ożywiały się negocjacje z Carmichaelem. Kennicott, na polecenie Greene'a, sprawdził komputer Brandona i potwierdził, że chłopak grał na nim przez całą noc. Pobrano od świadka DNA, a laboratorium kryminalistyczne orzekło, że w domu Wylera nie ma śladów pozostawionych przez tę osobę. Młody Legacy zgodził się też na badanie wykrywaczem kłamstw i zaliczył je śpiewająco.

Raglan uniosła głowę, witając spojrzeniem tyczkowatego wyrostka, który wmaszerował niespiesznym krokiem do jej gabinetu.

- Witaj, Brandon - powiedziała. Na dworze był siarczysty mróz, ale chłopak miał na sobie tylko cienką czarną koszulkę z krótkim rękawem, podarte dżinsy dzwony i dziurawe buty do biegania.

- No, witam - odparł, nie odgarniając włosów z oczu.

- Dzień dobry, pani Raglan - przywitał się Canton Carmichael, elegancki czarnoskóry prawnik, ubrany nienagannie jak zawsze, w szyty na miarę garnitur, choć była niedziela, i to po południu. Często mawiał żartem, że razem z nim przyszła „czarna godzina” dla prawniczej profesji. I miał rację. Kolor skóry nie był dla niego żadną przeszkodą - miał klientów ze wszystkich możliwych kręgów, łącznie z białymi bogaczami.

W ramach wypracowanego porozumienia Carmichael mógł być obecny podczas przesłuchania Brandona, podobnie jak detektyw Greene, który przywiózł ich obu do prokuratury. Kiedy już wszyscy zajęli miejsca, Raglan wzięła się od razu do rzeczy.

- Brandon - zaczęła - dzięki temu, że zgodziłeś się współpracować przy śledztwie, udostępniłeś nam osobisty komputer, próbkę DNA i umożliwiłeś badanie wariografem, nie jesteś na razie uznany za podejrzanego. Biorąc ten fakt pod uwagę, zawarliśmy z twoim

adwokatem pewną umowę: zeznanie, które dzisiaj złożysz, zostanie uznane za niedobrowolne, co oznacza, że to, co teraz powiesz, nie może zostać użyte przeciwko tobie, jeśli w przyszłości staniesz przed sądem. Jedynym wyjątkiem jest krzywoprzysięstwo. Okłamięs nas - nicy z umowy. Czy to jest jasne?

Legacy odrzucił włosy z czoła, na którym ukazało się kilka czerwonych wyprysków. Pochylił głowę do swojego adwokata i szeptał z nim przez chwilę.

- Taa, jasne - odparł wreszcie, tonem na poły pogardliwym, a na poły znudzonym.

Starszy syn Jennifer Raglan był dwa lata młodszy od tego chłopaka. Przez ostatnie pół roku urósł piętnaście centymetrów, pokazały się też pierwociny zarostu oraz pryszcze. Wciąż jeszcze miał dziecinne zachowania, na przykład prosił mamę, żeby położyła się z nim do łóżka, bo chciał się przytulić przed snem. Jednakże szybko mu to mijało; patrząc na aroganckiego nastolatka siedzącego po drugiej stronie biurka, Raglan myślała: „Oto jest przyszłość, świetlana i spocona”.

- Kiedy zostaniesz wezwany do złożenia zeznań i zaprzysiężony na świadka - podjęła - zadam ci kilka pytań ogólnych: ile masz lat, do której szkoły chodzisz, jakie przedmioty wybrałeś i tak dalej. Dla ciebie to będzie rozgrzewka, a dla ławników - wprowadzenie.

- Aha - mruknął Legacy.

- Nie powinienes patrzeć na sędziego ani na ławę przysięgłych. Patrz na mnie albo na obrońcę, kiedy przyjdzie jego kolej zadawania pytań.

- Aha.

- Kolejna rzecz: w sądzie nie odpowiada się „aha”. Mówisz „tak” albo „nie”. W porządku?

- Tak.

- W takim razie zapytam cię teraz, jak poznałeś rodzinę Wyle-rów.

- To byli nasi sąsiedzi. Wprowadzili się, jak byłem jeszcze mały.

Odśnieżałem im czasem podjazd. Potem, jak podrosłem, prosili mnie, żebym pilnował Simona.

- Jak często to robiłeś?
- Bardzo często. Pani Wyler ciągle była w pracy. Pan Wyler cały czas pływał łódką.
- Jak ci się układało z Simonem?
- To miły dzieciak. Czasami grałem mu na pianinie, bo jego tata miał w domu pianino. Mówił na mnie „Pianinista”.
- Państwo Wylerowie rozstali się dwa lata temu i odtąd żyli w separacji.
- Tak. Sam... To znaczy pani Wyler... Wyprowadziła się z domu.

Raglan rzuciła Greene'owi szybkie spojrzenie. Carmichael wyprostował się na krześle.

- Czy widywałeś się z nią po wyprowadzce? - pytała dalej.
 - Tak. Kumplowaliśmy się.
 - Mój klient nie odpowie na więcej pytań na ten temat - wtrącił adwokat Brandona.
 - Teraz może nie odpowiadać. Ale na rozprawie obrońca pani Wyler będzie drażył tę kwestię.
 - Ale chyba zgłosisz sprzeciw?
 - Na jakiej podstawie?
 - Braku związku ze sprawą.
 - Samantha Wyler została oskarżona o zabójstwo swojego męża. Jeśli twój klient miał z nią romans, jej obrońca musi go wziąć na cel. O wiele lepiej byłoby, gdyby zeznał to przede mną, od razu, a nie wystawiał mu się do odstrzału. Bo ja nie zrobię z siebie idiotki przed ławą przysięgłych i nie zgłoszę sprzeciwu tylko po to, żeby sędzia go oddaliła.
- Legacy opuścił głowę, kręcąc w palcach kosmyki włosów.
- Tak naprawdę to było trochę inaczej - wymamrotał.
 - Brandon, nie odpowiadaj na te pytania - ostrzegł Carmichael.
 - Właściwie to tylko się przyjaźniliśmy - ciągnął dalej chłopak, po raz pierwszy spoglądając prokuratorce prosto w oczy. Oczyma

duszy Raglan zobaczyła go za dziesięć lat: skóra czysta, zero pryszczycy, ostrzyżony, elegancko ubrany. Byłby uroczym młodym człowiekiem i świat stałby przed nim otworem - gdyby nie ta czarna chmura kładąca się wiecznym cieniem na jego przeszłości.

- Opowiedz o tamtej nocy, kiedy zamordowano Terrance'a Wylera - poprosiła, myśląc, że należy wycisnąć z Brandona, co tylko się da. Zresztą - być może Carmichael miał rację. Gdyby obrońca naprawdę spróbował zrzucić winę na tego chłopaka, ośmieszyłyby się tylko. To w zasadzie był jeszcze dzieciak. I tak właśnie musiała pokazać go ławnikom.

- Rodzice wyjechali na północ, do domku letniskowego - zaczął mówić Brandon. - Ja pracowałem na basenie, jako ratownik. Sam wpadła do mnie po robocie.

- Jak dotarła do twojego domu?

- Nie wiem. Nie ma prawa jazdy. Lubi chodzić. Mieszka mniej więcej dziesięć przecznic ode mnie.

Raglan złowiła wzrokiem spojrzenie Carmichaela. Zabrzmiało to tak, jakby Brandon bywał u Samantha Wyler.

- Kiedy się u ciebie zjawiała?

- Przed dziesiątą. Na pewno. O dziesiątej oglądaliśmy powtórkę „Niesamowitego wyścigu”. To jej ulubiony program. Ten odcinek kręcili w Moskwie.

- Do której to trwało?

- Eee... Do jedenastej, bo odcinek trwa godzinę. Potem posiedzieliśmy trochę i wyszła.

- Czy to było w jakiś sposób nietypowe zachowanie z jej strony?

Legacy obejrzał się na swojego adwokata.

- W pewnym sensie tak. Bo czasem zostawała tak jakby dłużej. Do późna.

Powiedział to cicho, niemal szeptem.

- Piliście razem alkohol? - zapytała Raglan.

Chłopak potrząsnął głową. Nie pouczała go już, że odpowiada się „tak” albo „nie”.

- Narkotyki?

Ponowne zaprzeczenie.

- Czy robiliście coś jeszcze?

Brandon zaczął się wiercić i skubać paznokcie. Wreszcie wypalił:

- Trochę się, tego... Zabawialiśmy.

Powiedział to takim tonem, jakby pójście do łóżka z kobietą prawie dwukrotnie starszą to było zupełnie nic. Czy mój własny syn, pomyślała Raglan, też niedługo zacznie tak swobodnie mówić o seksie?

- A potem powiedziała, że musi iść - dokończył Legacy.

- Dlaczego?

- Dostała e-maila na blackberry. Od Terry'ego... to znaczy, od pana Wylera. - Chłopak zwiesił głowę. Niechlujny nastolatek zniknął, a na jego miejscu pojawił się ktoś, kto otarł się o ludzką tragedię.

- Czytałeś tego e-maila?

- Nie.

- Czyli to ona ci o nim mówiła?

- Tak.

- Co powiedziała?

Legacy zerknął na adwokata. Carmichael skinął głową.

- Powiedziała: „A to skurwiel. Tyle nieprzyjemności mi zafundował, a teraz pisze, że przyjmuje moją propozycję. Mam do niego przyjść. Wszystko załatwimy, we dwoje, tylko on i ja”. Odpowiedziałem jej wtedy: „To może iść?”, a ona: „Wiem, jak załatwić to raz na zawsze”. I wyszła.

Kapitałna puenta mowy końcowej, pomyślała Raglan. „Wiem, jak załatwić to raz na zawsze”. Jak powiedziała, tak i zrobiła, szanowni sędziowie przysięgli.

- A ty zostałeś w domu. I co?

- Wszedłem do sieci i przez parę godzin grałem w symulator lotów. Sprawdziłem konto na Facebooku. Pracowałem od rana, a dzień był upalny. Byłem zmęczony, więc wstałem późno.

Kiedy skończyli, dochodziła czwarta. Po pożegnaniu Canton Carmichael spojrzął na swój drogi zegarek i objął Brandona ramieniem.

- Najwyższy czas zawieźć naszego młodzieńca do domu. Jutro ma egzamin z matematyki i musi się uczyć. - Mrugnął porozumiewawczo do Raglan i Greene'a za plecami swojego klienta, po czym obaj wyszli.

Prokuratorka podjęła już decyzję: Brandon Legacy złoży zeznanie przed sądem. Przysięgli go nie polubią, ale dzięki niemu znienawidzą Samanthę Wyler.

51.

Ławnika prosi się, aby spojrzął na oskarżoną. Oskarżona, proszę spojrzeć na ławnika - wyrecytował sekretarz sądowy.

Sala rozpraw była nabita ludźmi. Pierwszy dzień rozprawy dobiegał już końca, a Ted DiPaulo był zmęczony. Sądy zazwyczaj kończyły pracę o czwartej trzydzieści, tymczasem dochodziła już szósta. Dzień był długi; od samego rana trwało kompletowanie składu ławy przysięgłych. Wybrano już jedenastu, a ponieważ został tylko jeden, sędzia Norville zawzięła się, żeby zakończyć sprawę przed zamknięciem posiedzenia.

DiPaulo patrzył, jak kandydatka na dwunastą ławniczkę wchodzi za barierkę i zajmuje miejsce dla świadka.

- Ławnika prosi się, aby spojrzął na oskarżoną. Oskarżona, proszę spojrzeć na ławnika - padły słowa formułki powtarzanej na każdej rozprawie podczas selekcji przysięgłych. Po jej usłyszeniu kandydat był zobowiązany nawiązać kontakt wzrokowy z osobą, którą miał później osądzić pod przysięgą.

Samantha Wyler stała u boku swojego adwokata za stołem dla obrońcy. Za specjalnym pozwoleniem sędzi Norville podczas procesu nie musiała siedzieć na ławie oskarżonych. DiPaulo widział, jak jego klientka unosi wzrok na potencjalną ławniczkę; jej brązowe oczy były puste, bez śladu emocji.

W trakcie kompletowania składu ławy przysięgłych zarówno oskarżyciel, jak i obrońca dysponowali dwudziestoma wnioskami peremptoryjnymi, za których pomocą mogli bez podawania przyczyny

wykluczyć dowolnego kandydata. W składzie znalazło się już siedem kobiet i czterech mężczyzn, brakowało tylko jednej osoby. DiPaulo trzymał się nieźle: utracił tylko siedemnastu kandydatów, gdy tymczasem Jennifer Raglan, prokurator, wykorzystwała dziewiętnaście wniosków.

W Stanach Zjednoczonych oskarżyciel i obrońca mogą dokładnie przesłuchać każdego kandydata na ławnika, jednakże w Kanadzie nie zezwala się na zadawanie szczegółowych pytań. DiPaulo i Raglan dysponowali tylko takimi informacjami jak nazwisko, wiek i zawód.

Na początku posiedzenia adwokat poprosił przewodniczącą rozprawie o pozwolenie zadawania pytań uściślających w wypadku, kiedy podana nazwa zawodu nie jest dostatecznie precyzyjna. Sędzia Norville zgodziła się, choć niechętnie, a przed samą przerwą na lunch doszło z tego powodu do komicznej wymiany zdań, kiedy miejsce za barierką zajęła kandydatka w średnim wieku.

- Za pozwoleniem, wysoki sędzie - powiedział DiPaulo - pani Platt podała, że pracuje „w centrali”. Chciałbym wiedzieć dokładniej, o jaką centralę chodzi.

Sędzia pokręciła głową.

- Nie rozumiem, po co to panu, ale proszę bardzo, tylko krótko.

- Pani Platt, w jakiej centrali pani pracuje? - zapytał adwokat.

Biała kobieta, twardo zaciskająca zęby, zaczerwieniła się po same uszy.

- W centrali policji wodnej - odpowiedziała. Cała sala wybuchnęła wesołością; znikło napięcie narastające przez całe długie przedpołudnie. Uśmiech pojawił się nawet na obliczu sędzi Norville.

W środowisku prawniczym krąży mnóstwo teorii na temat wyboru ławników: Azjaci ponad wszystko cenią prawo i porządek, kobiety są bardziej życzliwe dla mężczyzn, a mniej dla kobiet, Murzyni nie mają wyrozumiałości dla osób o tym samym kolorze skóry, pielęgniarki z reguły ufają policjantom, bo są przyzwyczajone do kontaktów z nimi, nauczyciele zawsze próbują wszystkich poganiać.

Clarke Whittle, właściciel tysiąca par okularów (miał też, jak sam mawiał, tyle samo kobiet) powiedział rano Tedowi DiPaulo:

- Zawsze wybieram co najmniej jedną atrakcyjną babkę, żeby mieć na czym zawiesić wzrok, gdyby podczas zeznania wyszło na jaw coś paskudnego.

DiPaulo wolał jednak kierować się w wyborze zawodem kandydata bądź też kandydatki. Najchętniej widział na ławie przysięgłych inżynierów, księgowo i maniaków komputerowych, słowem ludzi, którzy nad emocje przedkładają logikę.

Przede wszystkim zaś kierował się własnym wyczuciem. Uważnie obserwował kandydatów zasiadających za barierką, a gdy sekretarz sądowy wzywał do spojrzenia na oskarżonego, DiPaulo śledził ich oczy. Jeśli patrzyli wprost na jego klienta, często mówił „Przyjmuję”, w ten uprzejmy sposób dopuszczając kandydata do składu ławy przysięgłych. Jeśli jednak unikali kontaktu wzrokowego, zawsze odpowiadał „Wnioskuje o wykluczenie”.

Jak dotąd był całkiem zadowolony z jedenastu ławników, którzy mieli wziąć udział w procesie Samantha Wyler. Trzydziestodwuletni inżynier wietnamskiego pochodzenia (i tyle zostało z teorii zakazującej wybierać Azjatów) i czterdziestosześcioletnia programistka komputerowa z jakiegoś słowiańskiego kraju - to była dwójka jego ulubieńców. Miał przeczucie, że jedno z nich zostanie na koniec rzecznikiem ławy przysięgłych.

Kandydatka na dwunastą ławniczkę, kobieta nazwiskiem Eunice Brown, wtoczyła się ociężałe za barierkę. Miała dwadzieścia kilka lat i potężną nadwagę, a skrzywione usta nadawały jej twarzy wyraz wiecznego niezadowolenia. Inna teoria dotycząca wyboru ławników radziła adwokatom, co następuje: jeśli bronisz atrakcyjnej kobiety, nigdy nie wybieraj brzydkiej ławniczki. Zrób wszystko, aby wśród przysięgłych znalazło się jak najwięcej mężczyzn. Jak na razie było ich tylko czterech, więc swój następny wniosek o wykluczenie DiPaulo zamierzał wykorzystać przeciwko tej właśnie kobiecie,

ponieważ za nią w kolejce czekali trzej panowie.

Raglan obróciła się w jego stronę, tak aby ławnicy nie widzieli jej twarzy, i wyróciła oczami. Rachunek był prosty: jeśli DiPaulo utraci Eunice Brown, będzie mógł wybrać sobie ławnika mężczyznę.

- Czy oskarżenie przyjmuje kandydata do składu ławy przysięgłych? - zapytał sekretarz sądowy.

- Przyjmuję - odparła bez wahania, chcąc zmusić swojego przeciwnika do wykorzystania jednego z trzech pozostałych wniosków peremptoryjnych.

- A czy obrona przyjmuje, czy może chce wykluczyć kandydatkę?

DiPaulo zdążył już przekreślić nazwisko Brown grubą czarną kreską i chciał właśnie powiedzieć „Wnioskuje o wykluczenie”, ale spojrzawszy jeszcze raz na kobietę za barierką, zawahał się, chociaż stając przed ławą przysięgłych, nigdy nie pozwalał sobie na niezdecydowanie. Kandydatka nie odrywała wzroku od Samantha. Była to rzadkość, ponieważ większość ławników poświęcała oskarżonym tylko przelotne spojrzenie.

- Wysoki sędzie - powiedział - pani Brown w rubryce „zawód” napisała „studentka”. Czy mogę zapytać, co studiuje?

- Jeśli pan musi - odparła sędzia Norville, która zsunęła się już na sam skraj swojego fotela, tak że prawie na nim leżała.

- Pani Brown - zwrócił się do kobiety za barierką, zaglądając w głęboko osadzone w nalanej twarzy małe oczka, które odpowiedziały mu spojrzeniem - co pani studiuje?

- Inżynierię lądową - wyjaśniła. - Chcę budować autostrady na północy.

- Przyjmuję kandydatkę. - DiPaulo posłał ostatniej ławnicze swój najładniejszy uśmiech. Nie doczekał się żadnej reakcji.

Jennifer Raglan uniosła brew, obracając ołówek w palcach i wycierając coś na kartce w segregatorze.

- Doskonale. - Sędzia Norville wyprostowała się na fotelu. - Zdążyliśmy pierwszego dnia wybrać skład ławy przysięgłych. W porządku.

Eunice Brown została zaprzysiężona i przewodnicząca zamknęła posiedzenie. Kilka minut później DiPaulo siedział już w opustoszałym pokoju dla adwokatów, popijając kolejną tego dnia kawę i potrząsając głową.

Dlaczego ją wybrałem? Bezszykownie łamał sobie głowę, gryzmołając ołówkiem po jakiejś kartce. To było czysto instynktowne zagranie. Koniec końców, na tym w ogromnej mierze opierała się praca adwokata podczas procesu. Jeśli przegram, pomyślał, będę przeklinać dzisiejszy dzień.

52.

Detektyw Ari Greene zazwyczaj jako pierwszy zjawiał się rano w sądzie. Lubił mieć trochę czasu, żeby oswoić się z otoczeniem. Uporządkować sobie wszystko. Rozszyfrować razem z sekretarzem sądowym kilka haseł z jego krzyżówki, pożartować z protokółantką, pogawędzić z co starszym policjantem sądowym. Tego dnia usiadł sobie przy stole dla oskarżenia, wyjął nowy blok do notatek i nowe pióro. Nie był to żaden bajer, ale miało miękki piankowy uchwyt, dzięki czemu lepiej leżało w palcach. Greene postawił jedynekę w rogu pierwszej strony i napisał na górze: „R, v. Samantha Wyler, dzień drugi, wtorek, 01.02”.

W Kanadzie każda sprawa przed sądem karnym nosiła nazwę zaczynającą się skrótem „R, v.”, czyli *Regina versus*, co oznaczało „Królowa przeciwko”. Greene wyjaśnił to Margaret Kwon, kiedy przyleciała pisać o procesie.

- Jednego nie rozumiem - odpowiedziała mu wtedy. - Macie tu królową, a księżę Karol?

- Jego jeszcze nie mamy.

Kwon znów zawitała do Toronto, więc w tygodniu umówili się na obiad. O April Goodling na razie wszelki słuch zaginał.

Aktualnie jednak Greene miał w głowie tylko i wyłącznie proces. Zjawił się w sądzie już o siódmej rano, aby przejrzeć pudła z zeznaniami oraz listę świadków zaplanowanych do przesłuchania w tym tygodniu i wynotować jakieś brakujące informacje, o które w ostatniej chwili poprosił Ted DiPaulo.

Jennifer Raglan opadła na krzesło obok niego. Spod czarnej togi wyglądała wyprasowana biała koszula, co prezentowało się bardzo dobrze. Nie ma to jak kobieta w mundurze, pomyślał. Tego dnia miała wygłosić mowę otwierającą; był to ważny moment, więc Greene starał się schodzić jej z drogi.

- Ładnie wyglądasz - powiedział.
- Dzięki.
- Gotowa?
- Trochę się denerwuję - przyznała - ale to może tylko wyjść na dobre.
- Dzień dobry, drodzy państwo - powiedziała sędzia Norville, zasiadając na swoim podwyższeniu. Była dokładnie dziesiąta rano. - Proszę wprowadzić moich ławników - poleciła policjantowi sądowemu.

Jakby posyłała kamerdynera po samochód, pomyślał Greene, patrząc, jak przysięgli, szurając nogami, wchodzą do sali, ubrani znacznie mniej oficjalnie niż poprzedniego dnia, na kompletowaniu składu. Wiedział, że z każdym następnym tygodniem procesu ich stroje będą stawać się coraz swobodniejsze.

Ławnicy zajęli miejsca, na których mieli odtąd zasiadać codziennie. Jennifer Raglan wyszła zza swojego stołu - oskarżyciel zawsze dostawał stół bliżej ławy przysięgłych - i wstąpiła na drewniane podwyższenie znajdujące się tuż obok barierki, za którą siedzieli, naprzeciwko pierwszych miejsc ławy.

- Szanowni sędziowie przysięgli, witam państwa.

Zaczęła mówić, a Greene starannie notował jej słowa, starając się wyobrazić sobie, że pierwszy raz słyszy o zgromadzonych dowodach winy oskarżonej. Miało to wskazać słabe i mocne punkty wyводу.

Raglan zaczęła od ogólnego obrazu sytuacji. Terrance i Samantha Wyler. Pobrali się przed pięcioma laty. Kiedy się poznali, ona, finansistka, pracowała już od roku w Wyler Foods, jego rodzinnej firmie. Rok po ślubie urodził się ich syn Simon. Niedługo potem odeszli z Wyler Foods, aby założyć własny interes, co spowodowało, że Terrance oddalił się od rodziny. Interes jednak upadł, małżeństwo się

rozpadło, a po ostatecznym rozstaniu Terrance zaczął się spotykać z April Goodling, amerykańską aktorką. Greene i Raglan uznali, że o tej sprawie najlepiej będzie powiedzieć prosto z mostu, żeby nie wyglądało, jakby mieli coś do ukrycia.

Detektyw zerknął na ławników. Kilku z nich rzucało na oskarżoną ukradkowe spojrzenia; Samantha Wyler, która przysłała do sądu w stonowanym, tradycyjnym stroju, patrzyła wprost przed siebie.

Raglan stopniowo się rozpędziała, relacjonując z kolei pojednanie Terrance'a z rodziną, które nastąpiło po tym, jak żona oskarżyła go przed sądem o groźby. Potem poinformowała, że na rozprawie uznano go za niewinnego zarzuconych mu czynów i opisała burzliwe postępowanie rozwodowe, wspominając, co rozżłoszczona Samantha pisała w e-mailach oraz mówiła w nagraniach zostawianych na poczcie głosowej. Na koniec opowiedziała, jak wyglądało kilka ostatnich dni życia Terrance'a Wylera, wspominając, że w niedzielę, na kilka godzin przed pierwszą rozprawą rozwodową, wysłał żonie e-maila, w którym zapraszał ją do siebie, ponieważ zgodził się przyjąć jej warunki ugody.

- Dowiedzą się też państwo - Raglan uniosła lekko głos - że oskarżona, pani Samantha Wyler, była tej upalnej letniej nocy tuż obok, w domu sąsiadów, w towarzystwie osiemnastoletniego chłopca nazwiskiem Brandon Legacy. Chłopiec ten był sam, ponieważ jego rodzice wyjechali na weekend. To on jako ostatni widział Samanthę Wyler przed morderstwem.

Słowo „chłopiec” wymówiła ze szczególnym naciskiem. Niektórzy ławnicy kiwali głowami, spoglądając już śmielej na podsadną.

- Ten sam chłopiec, Brandon, opowie państwu, że Samantha Wyler wyszła od niego wielce wzburzona, mówiąc, że udaje się do domu ofiary, aby, cytując, „załatwić to raz na zawsze”.

Raglan zesza z podwyższenia i okrążyła je, stając dokładnie naprzeciwko ławy przysięgłych. Nie miała w dłoni żadnej kartki z notatkami. Nie spieszyła się.

- Poznają państwo również Simona, syna Wylerów, który ma dopiero cztery lata. Na szczęście nie będzie musiał zjawie się tutaj osobiście. Obejrzymy nagranie wideo z rozmowy, którą przeprowadził z nim detektyw Ari Greene. - Wskazała Greene'a ławnikom. - Pan detektyw dowodzi śledztwem w sprawie morderstwa Terrance'a Wylera i od wczesnych godzin porannych dnia siedemnastego sierpnia pracuje nad nim bez chwili przerwy.

Greene uniósł głowę znad swoich notatek i pozdrowił ławników skinieniem głowy. Krótko i uprzejmie, tak jak to ustalili.

- Na wspomnianym nagraniu Simon opowie, co widział w nocy, kiedy zamordowano jego ojca. Na całe szczęście oszczędzono mu widoku samej zbrodni, państwo jednakże zobaczą zdjęcia policyjne. Proszę mi wierzyć, że nie jest to przyjemny widok. Ofiara otrzymała siedem ran kłutych, a zwłoki pozostawiono w kuchni, na podłodze. Dziecko spało wtedy w pokoju na piętze.

Raglan powiodła wzrokiem po twarzach przysięgłych, jak operator reflektora punktowego niespiesznie szukający swojego celu.

- Simon powiedział detektywowi Greene'owi, że tej nocy przyszła do niego mama. Płakała. Powiedziała chłopcu, że przez długi czas nie będą się widzieć.

Raglan wróciła do stołu, za którym siedział Greene, a on podał jej cienką teczkę, z której wyjęła fotografię pokaleczonych zwłok Terrance'a Wylera, leżących na kuchennej podłodze. Ponownie stanęła na podwyższeniu, przyglądając się zdjęciu, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Ławnicy obserwowali ją uważnie.

- Pokażę państwu tylko jedno zdjęcie - powiedziała, wciąż trzymając je tak, aby nie mogli nic zobaczyć - i przeczytam tekst e-maila, który oskarżona wysłała mężowi dwunastego sierpnia, pięć dni przed morderstwem.

Zerknąwszy na sędziego Norville, Greene zauważył, że pilnie nastawiła ucha.

Raglan odwróciła trzymane w dłoniach zdjęcie i pokazała je najpierw ławnikom w pierwszym rzędzie, a potem uniosła, aby ci

siedzący za nimi też mogli się dobrze przyjrzeć. Wszyscy jak na komendę otworzyli szeroko usta. Prokuratorka przedefilowała przed nimi, po czym odłożywszy fotografię, ponownie sięgnęła do teczki.

- E-mail Samantha Wyler brzmiał następująco. - Zniżyła ton głosu, aby zapisane słowa mogły mówić same za siebie i zaczęła czytać: - „Dwunasty sierpnia. Do rozprawy został tydzień, a twoja prawniczka zmienia żądania i chce dostać wyłączną opiekę nad dzieckiem? Że niby Simon nie jest bezpieczny, kiedy zostaje u mnie na noc? Za kogo ty się uważasz, do jasnej cholery? Nóż w plecy - to bardzo w twoim stylu. Widzę, że chcesz grać ostro. Uważaj. Inni też mają noże”.

Doczytawszy do końca, odwróciła się błyskawicznie w kierunku oskarżonej i wycelowała w nią wyprostowany palec wskazujący.

- Prokuratura zamierza dowieść - oznajmiła donośnym tonem - że Samantha Wyler za pomocą kuchennego noża zadała swojemu mężowi siedem ran i jest winna zabójstwa z premedytacją.

Pokazanie kogoś palcem w miejscu publicznym to wyjątkowo mocny gest, a dodatkowo widać było, że Raglan z trudem panuje nad gniewem. Efekt był piorunujący.

Greene obserwował Samanthę, która przez całą mowę prokuratorzką siedziała nieruchomo, patrząc prosto przed siebie. Teraz jednak, kiedy wytknięto ją palcem, kiedy spoczęły na niej niechętnie spojrzenia dwunastu sędziów przysięgłych, powoli odwróciła głowę, automatycznym ruchem, niczym sowa, która ze stoickim spokojem wypatruje hałasującego dziecięcia. I nie mrugnęła nawet powieką.

53.

Ted, co się stało?

- Nic. - Wstając z łóżka, DiPaulo bardzo się starał nie obudzić Chiary. Nie udało się. Radio z budzikiem na nocnym stoliku wskazywało trzecią nad ranem. - Mało sypiam - wyjaśnił. - Każdy proces tak na mnie działa.

- Jeśli chcesz, mogę wrócić do domu. - Usiadła na posłaniu, wsuwając pod plecy poduszkę.

Chiara i DiPaulo zaczęli się spotykać. Można by powiedzieć, że chodzili ze sobą, gdyby nie pewien drobny szczegół: ona miała pięćdziesiąt trzy lata, on wkrótce miał skończyć pięćdziesiąt jeden. Po Nowym Roku zaczęła u niego nocować. Lauren utrzymywała, że dla niej to jest „w porzo”, lecz jej ojciec i tak czuł się dziwnie, kiedy jedli razem śniadanie, cała trójka w piżamach. Jego kłopoty ze snem miary jednak zupełnie inną przyczynę.

- Zostań, proszę - powiedział. - Pierwszy tydzień zawsze jest najgorszy dla obrońcy. Przez trzy dni wałkowaliśmy raporty kryminalistyczne, odciski palców, ślady krwi, zdjęcia zwłok, zakrwawiony nóż i ręcznik, w który był zawinięty. Potem poszły e-maile i nagrania z poczty głosowej, wszystkie w jednakowo wściekłym tonie. Jest tego coraz więcej. Kiedy pokazali wideo, na którym syn Wylerów rozmawia z detektywem Greene'em i ławnicy usłyszeli, że tamtej nocy mama była u niego w pokoju, spojrzeli na mnie jak na degenerata, który podjął się obrony jakiegoś potwornego bandyty.

Pot łał się z niego strugami. Zawsze sypiał we flanelowych piżamach; Olive nieraz żartowała sobie z tego, a Chiara, kiedy w końcu

spędziła u niego noc, również nie kryła rozbawienia. Bez gustu, powiedziała, a Lauren ją poparła. Ten niespodziewany sojusz córki i jego „nowej kobiety” sprawił mu sporą przyjemność. Miło było stać się celem przytyków z ich strony.

Może faktycznie powinienem kupić sobie coś lżejszego, pomyślał, czując wilgoć na ramionach i plecach. Podszedł do okna wychodzącego na tyły domu. Myśli, jak zwykle, gonily jedna drugą. Nigdy nie opuszczał żaluzji, bo od tej strony były tylko drzewa, a działka, na której stał dom, dotykała głębokiego wąwozu. To właśnie podobało mu się tutaj najbardziej: poczucie osamotnienia. Nie umiał sobie nawet wyobrazić, jak ludzie żyją w śródmieściu, w blokach przypominających olbrzymie pudła.

Niebo było czarne, jakby ktoś zarzucił je grubym kobiercem aż po sam horyzont. Nadeszły pierwsze dni lutego, czyli sam środek kanadyjskiej zimy.

- Co z Samanthą? Trzyma się? - Nagle zobaczył Chiare u swojego boku. Nie słyszał, jak wstawała z łóżka. Poczuł jej dłoń pod bluzą pizamy, a jego skórę musnęło chłodne powietrze.

- Wczoraj już mało brakowało, żeby wyszła z siebie - przyznał.

- Co się stało?

Adwokat długo wpatrywał się w ciemność. Wreszcie odpowiedział:

- W podziemiach sądu jest mały bufet. W porze lunchu zawsze pełno tam ludzi. Sam stanęła w kolejce, ale tuż obok niej znalazł się Zachery Stone z „Toronto Sun”. I zaczął ją namolnie wypytywać.

- Mówiłeś, że w sądzie nie spuszczasz z niej oka.

- Musiałem zajrzeć do biblioteki i sprawdzić kilka archiwalnych spraw. Poleciałem biegiem na dół. Sam stała przy kasie, czerwona jak burak. Stone tkwił obok. To jest mały facet, dobre trzydzieści centymetrów niższy od niej.

- Tylko nie to... - Chiara przebiegła palcami po jego plecach, w górę i w dół.

- Trzasnęła tacą o ladę i zasyczała: „Odpierdol się ode mnie”, ale tak, że chyba wszyscy usłyszeli. - DiPaulo wzdrygnął się cały. - Zjawiłem się w samą porę.

- Ten Stone nie może o tym napisać, prawda?

- Nie, nie może. Martwi mnie co innego: zaraz za nimi stał detektyw Greene. Wszystko słyszał.

- I co powiedział?

- On raczej nie jest gadatliwy, ale ja wiem, co sobie pomyślał: że moja klientka chyba nie potrafi panować nad złością. - Kiedy oczy przywykły już do ciemności, DiPaulo dostrzegł nikły poblask na ciemnym niebie.

Chiara zgięła palce, drapiąc go lekko paznokciami, niemalże łaskocząc. Bez słowa.

- A ja wtedy powiedziałem sobie: Ted, taka jest prawda. Samantha ma w sobie bardzo dużo złości.

Kobieta wsunęła dłoń do jego dłoni, spłótła palce z jego palcami.

- Na pierwszym roku studiów jeden profesor dał nam najlepszą radę dla adwokata, który chce poradzić sobie na procesie: zapomnij o kodeksach. Postaraj się, aby sędzia i ławnicy polubili twojego klienta, a oni już zawsze znajdą sposób, żeby go uniewinnić.

- Jak chcesz sprawić, żeby polubili kogoś takiego jak ona? - zapytała Chiara.

- Ona sama jest swoim największym wrogiem. Indywidualistka. Nieporadna w interakcjach społecznych. Woli uczyć dorosłych czytania, niż przebywać z ludźmi równymi sobie. Sprawia wrażenie zimnej i nieczułej. Dusi w sobie emocje, a kiedy one wybuchają, robi głupie rzeczy, jak na przykład ten romans z nastolatkiem. Przysięgli będą ją mieli w pogardzie, już Raglan się o to postara.

Chiara oswobodziła dłoń, musnęła palcami jego przedramię. Nagle zza ściany dobiegło ciche pstryknięcie.

- Chyba Lauren już nie śpi - powiedział DiPaulo i pocałowałszy ją w policzek, wymknął się bezszelestnie na korytarz.

Pod drzwiami pokoju jego córki lśniła kreska elektrycznego światła. Dziewczyna musiała usłyszeć kroki ojca, bo rozległo się kolejne pstryknięcie i szczelina pociemniała. Ta zabawa w kotka i myszkę miała długą historię w tym domu; trwała, odkąd Lauren skończyła cztery lata i czytała bez przerwy, a on próbował zagonić ją do spania.

Przystanął na chwilę, nie wiedząc, co należy zrobić.

- Lauren, śpisz? - Uchylił odrobinę drzwi.
- Tak jakby - odparła, pociągając nosem.
- Mogę wejść?
- Dobra.

Lampka nocna obok łóżka oświetliła jej zapłakaną twarz.

Dla adwokata prowadzącego sprawę o morderstwo najgorsze jest to, że praca odbija się w bolesny sposób na jego rodzinie. Mijają tygodnie, a on jakby wyprowadził się na inną planetę: nawet kiedy jest w domu, myślami błądzi gdzieś indziej. Z biegiem lat jego dzieci nauczyły się rekompensować sobie ten ubytek. Mówiły tak: „Sami zrobimy sobie śniadanie i obiad, sami możemy wystawić w środę posegregowane odpady do wywiezienia”.

Ale teraz Kyle wyjechał na studia, a Lauren bardzo często musiała zostawać sama na całą noc. I chociaż zapewniała, że wszystko jest w porządku, czas zajmuje jej nauka, której zawsze jest więcej niż trzeba i coraz to nowi znajomi, którzy odwiedzają ją na Facebooku i „w realu”, DiPaulo wiedział, że tak samo jak on, jego córka czuje się samotna w tym wielkim domu.

Przysiadł na skraju jej łóżka.

- Wiem, że to przykre - powiedział. - Strasznie się wciągnąłem w tę sprawę.

Lauren przygryzła wargę.

- Proces skończy się za kilka...
- Już nie jestem z Lennym - przerwała mu z rozpaczą, kryjąc twarz w dłoniach.

Lenny. Poszukał w pamięci. Wydawało mu się, że wśród jej znajomych z letniego kursu rzeczywiście był jakiś Leonard. To imię

przewijało się też, kiedy Lauren opowiadała mu o znajomych, z którymi „chodziła na miasto” w weekendy; lista była długa, ale owszem, był na niej ktoś taki. Raz DiPaulo nawet odniósł wrażenie, że o tymże Leonardzie jego córka wspomina częściej niż o innych, jednakże nawał pracy przy procesie Samantha Wyler wyparł mu z głowy wszelkie myśli tego rodzaju.

Na widok jej łez poczuł się tak, jakby ktoś otworzył mu klatkę piersiową i wyciął skalpelem kawałek serca. Przytulił dziewczynę do siebie.

- Nie powiedziałam ci, że z nim chodzę... - jęknęła pomiędzy jednym głębokim oddechem a drugim.

- Nic się nie stało.

- Miałeś tyle pracy przy tym procesie, a ja...

Kiedy, myślał DiPaulo, kiedy po raz ostatni tak ją trzymałem? Chyba parę lat temu.

- Wszyscy o tym wiedzą - chlipnęła. - Lenny i Lauren. Znajomi często żartowali sobie z naszych imion.

DiPaulo lekko rozchylił ramiona, spojrział na nią.

- Kiedy prowadzę sprawę w sądzie, piątkowy wieczór to dla mnie jedyna naprawdę wolna chwila. Chodźmy dzisiaj na sushi. Tylko we dwoje.

- Ale przecież Chiara...

- Do tej knajpki niedaleko Dovercourt, tej, którą mama tak lubiła. Można tam samemu skomponować uramaki.

Jego żona odkryła ten lokal rok przed wykryciem choroby. Nazywał się Tokyo Sushi, a prowadziła go para młodych ludzi, którzy pracowali przez siedem dni w tygodniu.

- Chiara się nie obrazi? - zapytała Lauren.

- Przeciwnie, ucieszy się.

- Mogę ci coś powiedzieć w tajemnicy? - Sięgnęła pod kołdrę, wyciągając starego sfatygowanego pluszaka, misia koala, którego Olive przywiozła dla niej z pamiętnej wyprawy do Australii. - Czasa, gdy zaczynam naprawdę za nią tęsknić, zasypiam z tym miśkiem, jak kiedyś. Ale nie lubię rozmawiać o mamie, bo wiem, jakie to przykre dla ciebie.

DiPaulo pociągnął misia za wytarte ucho. Lauren pogłaskała przytulankę po łapce.

- Chiara jest świetna, tato. Ale są chwile, kiedy tak bardzo brakuje mi mamy... To było niesprawiedliwe.

Przytulił ją z powrotem i zaczął kołysać.

- Przepraszam cię - szepnęła. - Masz teraz na głowie ten proces i tak dalej. Ale Lenny to był mój pierwszy chłopak.

- To tobie należą się przeprosiny. - Pokręcił głową.

Nie mówiąc już więcej ani słowa, dziewczyna wyciągnęła się na posłaniu. Ojciec położył się obok, zgasił światło i objął ją ramieniem. Okno pokoju wychodziło na ulicę, a blask latarni wyciekał spod zastony i rozlewał się na ścianie. DiPaulo patrzył w sufit, wiedząc, że już nie zaśnie.

Przypomniała mu się książka, którą najbardziej lubił czytać swojej córce, kiedy była jeszcze mała: „Madeline”. Wałkowali ją bez końca. To z tej książki Lauren dowiedziała się o Paryżu. Adwokat dobrze pamiętał swój ulubiony dwuwiersz:

A rysa na suficie miała we zwyczaju

Przypominać zwierzę króliczego rodzaju.

Lauren oparła głowę na jego ramieniu i zasnęła, a on powrócił myślami z paryskich uliczek do bufetu w podziemiach sądu i zobaczył wykrzywioną we wściekłym grymasie twarz Samantha Wyler, a tuż obok - domyślny uśmiezek detektywa Greene'a. Wiedział, że dopóki nie wstanie słońce, będzie miał przed oczami te dwa obrazy w nieskończonej pętli.

54.

Dzięki Bogu, że już piątek, pomyślała Jennifer Raglan, dzięki Bogu, że ten cholerny tydzień się już kończy. Uniosła wzrok, spoglądając na ścienny zegar, który powoli doganiał wskazówkami dziesiątą rano. Jeszcze tylko jeden dzień. Pomimo zmęczenia była całkiem zadowolona.

Przez trzy dni przesłuchiowano świadków. Arceli Ocaya, opiekunka Simona Wylera, składała zeznania jako pierwsza, we wtorek przed południem., Denerwowała się, ale poszło jej nieźle. Po niej wystąpiła Brygida Zieliński, technik kryminalistyki. Mówiła z wyraźnym polskim akcentem, ale i tak zrobiła spore wrażenie. Na koniec dnia Raglan zostawiła sobie prezentację zakrwawionego noża, zamkniętego w przezroczystym plastikowym pudełku. Zawsze należy się starać, aby przysięgłym zapadł w pamięć jakiś makabryczny szczegół.

Następnego dnia wezwała na świadka detektywa Greene'a, który przedstawił większość ustaleń śledztwa: życiorys Terrance'a Wylera, przebieg rozwodu, nagrania i e-maile, które zmarły otrzymywał od żony, łącznie z tym ostatnim, wysłanym nocą z niedzieli na poniedziałek, w którym było napisane, że przyjmuje jej warunki ugody. Wspomniał także, co Samantha odpowiedziała na ten e-mail: niedługo się zjawię. Na koniec odtworzył nagranie swojej rozmowy z Simonem w pokoju dla dzieci w komendzie policji. Przysięgli powinni wychodzić z sądu wzruszeni, najlepiej do łez.

Czwartek był nudny. Zeznawali pozostali funkcjonariusze pracujący na miejscu zbrodni: specjalista od fotografii kryminalistycznej

i rysownik, który sporządził szkic wystawiony podczas procesu na sztalugach, aby sędzia, ławnicy, oskarżyciel i obrońca mogli go widzieć. Przesłuchano także różnych fachowców z Centrum Kryminalistyki, którzy badali krew, włosy i włókna. Raglan miała tego dnia łatwą pracę. Najczęściej zadawane przez nią pytanie brzmiało: „Co jeszcze zdołał pan ustalić?”.

Ted DiPaulo siedział spokojnie na swoim miejscu. Przez cały tydzień był niemalże niewidoczny. Każdemu świadkowi zadawał kilka zdawkowych pytań, aby przypomnieć ławnikom o swojej obecności. Uśmiechał się tym uroczo i ani razu nie zgłosił sprzeciwu, nawet kiedy Raglan sugerowała świadkom odpowiedzi, a było kilka takich momentów. Prokuratorka czuła, że jej przeciwnik się przyczaił i wyczekuje sposobności. Wiedziała, że teraz musi już tylko dotrzeć do końca dnia - i do weekendu.

- Jako pierwszego świadka oskarżenie wzywa doktora Arthura Burnsa - oznajmiła, gdy sędzia Norville oraz wszyscy przysięgli zajęli już swoje miejsca.

Burns, lekarz sądowy, który przeprowadził sekcję zwłok Terrance'a Wylera, był to arogancki typ, święcie przekonany, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkał nikogo, kto by dorównywał mu inteligencją; aby przekazać tę informację, zazwyczaj wystarczyło mu pierwszych pięć minut rozmowy. Miał zezę w prawym oku, które błędziło spojrzeniem, nigdy się na niczym nie zatrzymując, skutkiem czego każdy rozmówca odnosił wrażenie, że pan doktor odwraca od niego wzrok, co było irytujące. Do tego natura poskąpiła mu wzrostu, i to mocno. Możliwe, że właśnie dlatego uwielbiał występować w sądzie jako biegły: krzesło dla świadka stało na podwyższeniu, dwa stopnie ponad podłogą.

Raglan otrzymała raport z wynikami jego pracy kilka tygodni wcześniej i przesłała kopię Tedowi DiPaulo. Przypadek był oczywisty: siedem ran kłutych zadanych w różne części ciała, przyczyna śmierci - utrata krwi.

Słyszając wezwanie, doktor Burns, osobnik postury gнома, wyskoczył z pierwszej ławki i wetknąwszy pod pachę wysłużoną skórzaną

teczkę, popędził na podwyższenie.

- Panie doktorze - zwróciła się do niego prokuratorka, kiedy został już, zgodnie z procedurą, zaprzysiężony i stanął za barierką, bo należy dodać, że nigdy nie siadał, zawsze musiał stać. - Panie doktorze, jest pan specjalistą w dziedzinie medycyny sądowej i od dwudziestu trzech lat pracuje pan w Toronto, w Centrum Kryminalistyki.

- Zgadza się - potwierdził Burns, wyciągając z teczki dwa grube skoroszyty. - Przeprowadziłem ponad dwa tysiące autopsji, zeznawałem jako biegły ponad czterysta razy, na prośbę adwokatów, jak również prokuratury. Występowałem także jako biegły podczas procesów sądowych oraz dochodzeń koronerskich w każdej z dziesięciu prowincji Kanady, w kanadyjskich Terytoriach Północno-Zachodnich, w dwunastu stanach USA oraz w sześciu obcych krajach. Przygotowałem dla wysokiego sądu swój życiorys zawodowy oraz obszerny spis publikacji mojego autorstwa. Jest ich ponad trzyście. Zostały przetłumaczone na siedem języków. Mam też, oczywiście, jeden egzemplarz dla obrony.

I nie czekając na wezwanie, wręczył grubą teczkę sędzi, która cofnęła się odruchowo, jakby były na niej jakieś zarazki.

- Ja się tym zajmę, jeśli pan pozwoli - poprosiła Raglan, wiedząc, że tego właśnie należało się po nim spodziewać. Burns był jak klasowy prymus, ale trzeba było nad nim zapanować.

- Przekażę pański życiorys i spis publikacji sekretarzowi sądowemu, który wciągnie je na listę dowodów i zaprezentuje wysokiemu sądowi.

Mały człowieczek spojrział wymownie na ławników i potrząsnął głową, jakby chcąc im dać do zrozumienia, że to będzie czysta strata czasu.

- Oskarżenie wnosi, aby na podstawie złożonego oświadczenia oraz przedstawionych dokumentów uznać kwalifikacje doktora Burnsa jako specjalisty w dziedzinie medycyny sądowej i zezwolić mu na wystąpienie w charakterze biegłego - wyrecytowała Raglan, po czym usiadła.

Zerknąwszy w stronę stołu dla obrony, niespodziewanie ujrzała na nim duży stos skserowanych kartek, których jeszcze przed chwilą tam nie było. Do tej pory była pewna, że DiPaulo nie będzie się sprzeciwiał powołaniu Burnsa jako biegłego, jednakże on najwi-
doczniej miał inne zamiary.

- Panie mecenasie, czy chce pan coś powiedzieć? - zapytała sędzia Norville, nie unosząc głowy znad życiorysu lekarza, dostarczonego do jej rąk przez sekretarza sądowego. Jej zdaniem sprawa również nie ulegała kwestii.

DiPaulo powoli wstał zza stołu. Począł, aż sędzia spojrzy na niego; na jej twarzy malowało się zaskoczenie.

- Sprzeciwia się pan powołaniu doktora Burnsa jako biegłego? - zapytała zaskoczona.

- Referencje pana doktora nie są dla mnie oczywiste, wysoki sędzie - odparł. - Chciałbym mu zadać kilka pytań.

Postarał się, aby zabrzmiało to mocno i stanowczo. Niezły jest, pomyślała Jennifer Raglan. Trzy dni siedział jak mysz pod miotłą, a kiedy w końcu się pokazał, przysięgli od razu nastawili uszu.

- Proszę bardzo - zgodziła się Norville, wyraźnie zaciekawiona.

- Panie doktorze, porozmawiajmy o publikacjach, które wymienił pan na swojej liście - zaczął adwokat.

- Z miłą chęcią. - Burns oblizał wargi, uradowany, że będzie mógł mówić na swój ulubiony temat, czyli o sobie.

- Zeznał pan, że opublikował ponad trzysta artykułów. Mnie wyszło trzysta siedem. Czy to się zgadza?

- Wierzę panu na słowo. Moja sekretarka uzupełnia listę co miesiąc. Jeśli mam być szczerzy, nie zwracam sobie głowy takimi rachunkami.

- Napisał pan także pięć książek, czy tak?

- Owszem. Tym razem na pewno jest ich pięć. Miło mi powiedzieć, że wszystkie są cały czas dostępne na rynku.

DiPaulo puścił mimo ucha ten żarcik i nacierał dalej:

- Przeprowadziłem pewne obliczenia. Wynik jest taki: pańskie publikacje liczą ponad siedem tysięcy stron, co daje grubo powyżej

dwóch i pół miliona słów, przy założeniu, że na jednej stronie mieści się ich czterysta. Czy zgadza się pan z takim wyliczeniem?

Raglan zdawała sobie sprawę, jak potężną bronią są w sądzie tak wysokie liczby. Fakt poparty takim argumentem ogromnie zyskuje na wiarygodności.

Burns uśmiechnął się szeroko, z błogością.

Pycha poprzedza upadek, pomyślała biblijnie prokuratorka. Była pewna, że jej dawny mentor do czegoś zmierza i nie spodziewała się niczego dobrego.

- Dwa i pół miliona słów. - Na twarzy Burnsa pojawił się lekki uśmiezek. - Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. Ładnie to brzmi, przyznaję.

- Pisał pan o postrzałach, trucicielstwie, pobiciach z użyciem tępego narzędzia, przypadkowych i nieprzypadkowych upadkach z wysokości, uduszeniach, zadławieniach, urazach tępych, utonięciach i śmierci w ogniu. Czyli praktycznie o wszystkim, prawda?

Lekarz sądowy łypnął zezem i wydał policzki. Efekt był isticie groteskowy.

- Zdaje się, że tak - przyznał.

Cholera jasna, zakłęła w myśli Raglan. Zrozumiała, do czego zmierza DiPaulo.

- O wszystkim oprócz ran zadanych nożem, zgadza się? - Adwokat mówił łagodnym tonem, ale jego słowa były jak ze stali.

- Możliwe. - Burns zaczął tracić głowę; sięgnął po długi spis swoich publikacji i zaczął go kartkować. To było najgorsze, co mógł zrobić świadek podczas zeznania. O wiele lepiej jest przyznać się otwarcie.

- Może pan szukać do woli, panie doktorze - powiedział DiPaulo. - Zapewniam, nie ma tam ani jednego artykułu na temat noży ani ran kłutych.

- Być może nie napisałem oddzielnego artykułu na ten konkretny temat, ale przeprowadziłem tysiące autopsji ofiar zamordowanych nożem i wielokrotnie zeznawałem w sądzie na ten temat. Uważam się za eksperta w tej dziedzinie.

- Pozwólmy może, aby wysoki sąd to ocenił - zaproponował DiPaulo.

- Cóż, no tak. Oczywiście.

- Dwa i pół miliona słów. I ani jednego na temat ran zadanych nożem. Zgadza się pan?

- Nie do końca. Jestem pewien, że w wielu publikacjach wspominałem o tym - przynajmniej na marginesie.

- Z pewnością. - DiPaulo porzucił już rolę adwokata dżentelmena. - Ale w tytułach nie ma o tym mowy.

- Hmm...

- Nie mam więcej pytań do tego świadka - oznajmił DiPaulo, słowo „świadek” wymawiając tak, jakby chciał powiedzieć: „Doktor Burns jest totalnym oszustem”.

Raglan wstała z miejsca. Chcąc zrehabilitować swojego świadka, poprosiła go o odczytanie życiorysu zawodowego i nie przerywała, kiedy rozwodził się nad tym, ile razy wykonał autopsję człowieka uśmierconego za pomocą noża. Widziała jednak, że pechowy doktor sam się wykańcza tym monologiem, jakby czuł na własnej skórze każdy z opisywanych ciosów. Tego właśnie chciał DiPaulo.

Kiedy skończyła przesłuchanie, sędzia Norville spojrzała na nią, a potem na jej przeciwnika.

- Czy obrona zgłasza jakieś uwagi w kwestii kwalifikacji doktora Burnsa i tego, czy można zezwolić mu na wystąpienie w tym procesie w charakterze biegłego? - zapytała.

- Nie mam żadnych uwag - odparł adwokat.

Sprytnie, Ted, pomyślała Jennifer Raglan. Teraz Norville nie ma wyboru; musi przyjąć Burnsa jako biegłego, a ja nie mogę go już zamienić na nikogo innego.

Obejrzała się na zegar ścienny. Jedenasta trzydzieści. Kiedy w końcu zacznie się ten weekend?

55.

Panie doktorze - zaczął błyskawicznie Ted DiPaulo, zrywając się z miejsca, ledwie Jennifer Raglan zdążyła usiąść. Była już piętnasta. Raglan maglowała doktora Burnsa przez całe przedpołudnie, a potem jeszcze godzinę po przerwie na lunch, omawiając jego raport z sekcji zwłok oraz siedem ran, które zadano denatowi nożem.

DiPaulo z całym rozmysłem unikał spoglądania na przysięgłych, czuł jednak, że siedzą jak na szpilkach. Po jego poprzednim, niespodziewanym ataku zakończonym podważeniem kwalifikacji biegłego wiedzieli już, że coś się kroi. Jego plan był następujący: przeciągnąć to przesłuchanie do końca posiedzenia, tak aby każdy z ławników po powrocie do domu przez cały weekend myślał tylko o doktorze Burnsie.

- Ran kłutych było siedem, zgadza się? - zapytał.
- Tak, przed chwilą o tym mówiłem - odparł lekarz sądowy.
- W swoim raporcie z sekcji zwłok nadał pan im kolejne numery, tak? I te same numery widać na tym szkicu, który ustawił pan na naszych sztalugach?
 - To standardowa procedura.
 - Czy mogę poprosić dowód rzeczowy piętnaście E? - zwrócił się DiPaulo do sekretarza sądowego, po czym, chwyciwszy w dłoń raport doktora Burnsa, podszedł szybkim krokiem do barierki dla świadka.
 - Rany otrzymały numery od jednego do siedmiu, ale nie odnosi się to do kolejności, w której zostały zadane, prawda? - zapytał, podsuwając raport autorowi pod sam nos.

- Tak, to prawda - odpowiedział Burns z ociąganiem.

Adwokat poszedł za ciosem.

- Wyjaśnijmy sobie pewną rzecz, panie doktorze. - Bardzo ważne było, aby pytania padały w szybkim tempie, bo świadek przy-party do muru zaczyna odpowiadać coraz wolniej, co dodatkowo podkreśla jego niepewność. - Nie istnieje żadna naukowa metoda pozwalająca ustalić, która z tych ran została zadana jako pierwsza, druga czy też ostatnia. Czy mam rację?

- Owszem.

- Nie można nawet mieć całkowitej pewności, czy zadano je tym samym nożem, prawda?

To pytanie zaskoczyło Burnsa.

- To... prawda - zająknął się - ale... proszę zauważyć, że rany numer trzy, cztery, pięć i siedem to rany klute zadane jednosiecznym ostrzem, można zatem mówić o pewnej spójności.

- Podobnie jak rana numer jeden, która co prawda jest powierzchowna, ale najprawdopodobniej również została zadana jednosiecznym ostrzem. Dobrze mówię? - DiPaulo chciał pokazać ławnikom, że rozumie materiał dowodowy równie dobrze, o ile nie lepiej, niż tak zwany „biegły” powołany przez oskarżenie.

- Tak. - Burns się uśmiechnął. - Zastanawiałem się, czy nie wspomnieć o tym, ale nie można było mieć stuprocentowej pewności.

Adwokat też się uśmiechnął, szeroko i serdecznie.

- A zeznając pod przysięgą w procesie o morderstwo, musi pan być absolutnie pewny swoich racji, jeśli chce pan przedstawić wnio-ski ławnikom.

- Otóż to. - Twarz lekarza liliputa pojaśniała.

- Teraz zapytam o godzinę zgonu. W serialach kryminalnych zawsze udaje się ją precyzyjnie określić, to jednak czysta fikcja, prawda? - Mówiąc to, DiPaulo wrócił szybko do swojego stołu i podniósł z niego gruby plik kartek. - Jeden z ponad trzystu artykułów pańskiego autorstwa porusza ten temat.

Podał jedną kopię prokuratorce, z drugą podszedł do stołu sędziowskiego i wręczył ją sekretarzowi, aby dotarła do sędzi. Trzecią chciał dać Burnsowi, ale lekarz uniósł dłonie obronnym gestem.

- Serdecznie dziękuję, ale nie muszę tego czytać. Pamiętam, co napisałem.

- Sprawdźmy. Wysoki sędzie, na stronie czwartej podkreśliłem kolorem żółtym następujący fragment: „Ustalenie godziny zgonu to największa mistyfikacja medycyny sądowej. W przypadku niedawnego zgonu uczciwy lekarz sądowy może powiedzieć najwyżej tyle, że nastąpił on po zadaniu śmiertelnych obrażeń, a przed odnalezieniem zwłok”.

- Właśnie tak - zgodził się Burns.

- A zatem - ciągnął dalej DiPaulo - w tym wypadku nie można ustalić przybliżonej godziny zgonu?

- W żaden sposób. - Burns przerzucił kartki swojego raportu. - Zgadza się.

- Nie wiemy, o której godzinie zamordowano Terrance'a Wyle-
ra i w jakiej kolejności zadano mu siedem ciosów nożem. Mam rację?

- Można powiedzieć, że tak.

- Mimo to ustalił pan jednak, który z nich był śmiertelny. Oznaczył go pan numerem dwa, dobrze mówię?

- Owszem - potwierdził Burns. - To właśnie jest niecodzienne w tej sprawie: śmierci nie spowodowały największe obrażenia, ale małe trafienie, które przecięło tętnicę szyjną. A właściwie tylko ją drasnęło.

- I to mógł być równie dobrze ostatni cios, jak pierwszy. Nie sposób tego ustalić, zgadza się?

- Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

- Panie doktorze, proponuję, aby o tym, co w tej sprawie ma znaczenie, a co nie, pozwolił pan decydować wysokiemu sądowi oraz ławie przysięgłych. - DiPaulo rzadko pozwalał sobie okazać złość na sali rozpraw, ale tym razem wcale nie udawał. Facet naprawdę był nie do zniesienia. Adwokat obejrzał się na sędziego Norville. Widać było,

że mały doktor z wielkim ego przestaje jej imponować. Doktor Smerf, pomyślał drwiąco DiPaulo.

- Nie o to... Nie o to mi chodziło - wyjąkał Burns.

Adwokat odszedł od barierki i stanął przy sztalugach, gdzie ustawiony był szkic zwłok z zaznaczonymi ranami.

- Zacznijmy od początku - powiedział, wskazując szyję. - To jest rana numer dwa, którą będę nazywał śmiertelną. Ta rana mogła zostać zadana jako pierwsza, zgadza się?

- Cóż, skoro tak pan chce to ująć, owszem, jest to możliwe.

- Panie doktorze - DiPaulo uniósł głos - proszę mi nie wmawiać czegoś, czego nie powiedziałem. Składa pan zeznanie. Czy to możliwe, że rana numer dwa, jedyna śmiertelna ze wszystkich siedmiu, została zadana ofierze jako pierwsza? Tak czy nie?

- Tak - odpowiedział Burns z niepewną miną.

- Jeśli rzeczywiście tak było, zgon nastąpił w dość krótkim czasie, zgadza się?

- Tak. Ofiara zmarła z wykrwawienia.

- Cztery minuty, tyle pan podał w swoim raporcie?

- Tak.

- Zabójca miałby wtedy dość czasu, aby zadać kolejnych sześć ciosów, prawda?

- Tak mi się wydaje... - Burns spojrział na adwokata. W jego oczach pojawił się strach. - To znaczy, chciałem powiedzieć, że owszem, to byłoby możliwe.

Wycofuje się, pomyślał DiPaulo. Czas na decydujący cios.

- Takie draśnięcie w szyję nie wymaga dużej siły, zgadza się?

- Niekoniecznie.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy to prawda, czy nieprawda, że takie draśnięcie w szyję nie wymaga dużej siły?

- Tak. To znaczy: tak, to prawda.

- Szyja należy do najbardziej zagrożonych części ciała. Na przykład z tego właśnie powodu wprowadzono wymóg, aby młodzi hokeiści nosili ochraniacze na szyję. Zgadza się?

DiPaulo obejrzał się na Jennifer Raglan. Wiedział, że jej dwaj starsi synowie grają w hokeja, a niedawno słyszał od niej samej, że córka poszła w ich ślady. Taki argument musiał do niej trafić. I do przysięgłych też. Wśród dwunastu Kanadyjczyków nie mogło zabraknąć chociaż jednego rodzica młodego hokeisty.

Raglan notowała coś zawzięcie, schylona nad kartką, adwokat widział jednak wyraźnie, jak się wzdrygnęła.

- Owszem, ochraniacz ma chronić - powiedział doktor Burns, chichocząc z własnego dowcipu, który poza nim nie rozbawił nikogo.

DiPaulo przyłożył dwa palce do szyi, tuż pod uchem.

- W tym miejscu wyczuwa się puls, prawda?

- Tak - potwierdził lekarz, małpując jego gest. Adwokat był pewien, że kiedy ławnicy wyjdą na naradę, będą się obmacywać w ten sam sposób.

- Skóra jest delikatna, łatwo ją uszkodzić.

- Domyślam się, że napastnik musiałby wiedzieć, gdzie trafić nożem. - Doktor Burns powiódł wzrokiem po ławie przysięgłych, zadowolony z celnej uwagi.

- Bez domysłów, proszę. Skórę na szyi łatwo jest uszkodzić, nawet przypadkiem - powiedział DiPaulo. - Zgadza się?

Nie przypominał już, że należy odpowiadać „tak” albo „nie”. Na takim etapie przesłuchania przysięgli oczekują jednoznaczności. Niekonkretna odpowiedź nie zrobi na nich wrażenia.

- Nie sądzę, żeby siedem ciosów nożem można było zadać przypadkiem - odparł lekarz sądowy.

- Pytam pana o ranę numer dwa, o tę śmiertelną ranę, która mogła być pierwsza. Czy taką ranę można zadać przypadkiem?

- Nie wyobrażam sobie tego.

- Czy to ma znaczyć, że nie? Czy chce pan zeznać pod przysięgą, na procesie w sprawie zabójstwa z premedytacją, że rana oznaczona przez pana numerem dwa nie mogła być dziełem przypadku? Czy tak ma brzmieć pańskie orzeczenie, jako biegłego? - W tym momencie DiPaulo złamał podstawową zasadę przesłuchiwania

świadków: pytania zadaje się po jednym. I dobrze, pomyślał. Zasady są po to, aby je łamać.

Burns zaśmiał się, zerkając na sędziego, ale jej odpowiedzią było tylko ciężkie spojrzenie i kamienna twarz. Zaczął się nerwowo rozglądać po sali.

- Nigdy nie słyszałem o takim „przypadku”. W mojej ocenie takiej rany nie można zadać przypadkowo. - Teraz jego bronią był sarkazm; usiłował ośmieszyć pytanie o „przypadek”, sprawić, aby zabrzmiało dziecinnie. Potoczył wzrokiem dookoła, najwidoczniej bardzo z siebie dumny.

- Nigdy pan nie słyszał o takim zajściu: dwie siostry kroją jabłko na szarlotkę i nagle starszej nóż wylatuje z ręki i śmiertelnie rani młodszą? - zapytał adwokat.

Burns spojrzął na niego, usiłując przywołać na twarz wyraz współczucia.

- Dla mnie to brzmi jak jakiś wymysł. Nigdy w życiu nie słyszałem o podobnym wydarzeniu.

Trafiony, zatopiony, pomyślał DiPaulo. Uwielbiam tę robotę.

Powrócił do swojego stołu, aby zabrać z niego drugi plik skserowanych kartek, które ułożył tam wcześniej, czystą stroną do wierzchu.

- A czy słyszał pan może o „Magazynie Kryminalistycznym”, panie doktorze? - zapytał, zbliżając się do przesłuchiwanego niczym rekin, który powoli okrąża ranną ofiarę.

- Publikowałem wielokrotnie na jego łamach.

- A czy jest panu znane nazwisko doktora Andrew Flacksa? - DiPaulo obejrzał się na ławników. Chociaż był już piątek, godzina szesnasta, a przesłuchania świadków trwały cały tydzień, wszyscy byli przytomni i skupieni.

Burns zachichotał.

- Doktor Flacks to jeden z największych autorytetów medycyny sądowej na świecie.

- A takie ekspert w dziedzinie ran zadanych nożem - dodał DiPaulo. - Ma na koncie pięćdziesiąt siedem publikacji na ten temat. Zgadza się?

- Andrew jest dobry, jeśli chodzi o noże.
- Proszę rzucić okiem na artykuł doktora Flacksa z zeszłego roku. - DiPaulo podał jeden egzemplarz tekstu swojej przeciwnicze, Jennifer Raglan, a drugi sekretarzowi sądowemu, aby przekazał go sędzi, po czym bez pośpiechu, okrężną drogą, podszedł do protokółantki, aby wręczyć jej trzecią kopię. Dopiero potem powrócił do Burnsa. - Proszę przeczytać podkreślony fragment, panie doktorze - polecił, sam zaś stanął wprost przed ławą przysięgłych. Jego wzrok przyciągnęła dwunasta ławniczka, siedząca daleko, w samym kącie. Ta wybrana jako ostatnia, studentka inżynierii lądowej. Patrzyła prosto na niego. - Czy może pan na początek odczytać tytuł? - poprosił.

Burns z szelestem przewracał stronę za stroną.

- Tytuł brzmi: „Nieszczęśliwe przypadki zgonów w następstwie ran zadanych nożem” - odezwał się po chwili. - Artykuł napisał Andrew... to znaczy, doktor Flacks. Ponad rok temu.

Przysięgli wodzili oczami od adwokata do zeznającego i z powrotem. Tylko studentka inżynierii nie spuszczała wzroku z DiPaulo, a on twardo milczał.

Znów zaszeleściły przewracane kartki.

- Co roku czytam setki opracowań medycznych i staram się być na bieżąco z literaturą fachową... - powiedział doktor Burns. - Rzeczywiście, jest tutaj mowa o niecodziennej sytuacji, którą nam pan opisał.

- Panie doktorze, bardzo proszę, niech pan przeczyta zaznaczony fragment. - DiPaulo robił, co mógł, aby zachować neutralny wyraz twarzy. Prawnikowi w żadnym wypadku nie wolno pokazać ławnikom, że cieszy się z wygranej.

W sali rozpraw nigdy nie jest cicho. Zawsze ktoś coś mówi: sędzia, oskarżyciel, obrońca, świadkowie. Nawet przysięgli robią hałas, szurają, przesuwają krzesła, od czasu do czasu któryś z nich kaszlnie.

Kiedy w olbrzymim pomieszczeniu pełnym ludzi zapada całkowita cisza, wrażenie jest piorunujące. Ted DiPaulo nie znał cudowniejszego uczucia.

Od strony ławek dla publiczności dobiegł metaliczny łoskot. Ławnicy odwrócili głowy. To Jason Wyler upuścił jedną łaskę, która upadła i potoczyła się po podłodze. Inwalida dźwignął się z siedzenia, a widząc, że jego matka podniosła łaskę, wyrwał jej ją z ręki i pokuśtykał do wyjścia. Pani Wyler wstała i obejrzawszy się zbolowanym wzrokiem, ruszyła za synem, powoli, krok w krok.

Dopóki masywne dębowe drzwi, otwarte przez policjanta sądowego, nie zamknęły się za nimi, nikt na sali nie odezwał się ani słowem.

Nigdy nie wolno ci zapomnieć, że za pompą i ceremonią, które towarzyszą każdej rozprawie, kryją się prawdziwi ludzie i ich prawdziwe cierpienie, upominał się w myślach DiPaulo.

Doktor Burns odchrząknął.

- Czytam: „Młodsza z dziewcząt, Tabatha, krojąc jabłko (gatunek - szara reneta), wypuściła z dłoni nóż, który wyleciał w powietrze i uderzył jej starszą siostrę Marię w szyję od lewej strony. Ostrze przebiło skórę i otworzyło tętnicę szyjną. Zgon nastąpił po czterech minutach”.

DiPaulo pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Ławnicy patrzyli na niego, kiwając z aprobatą głowami.

Prawnik może porozumieć się z sędziami przysięgłymi, ale ta komunikacja jest bardzo nienaturalna, jednokierunkowa: jedna strona mówi bez przerwy, druga musi milczeć. Kontakt jest możliwy jedynie dzięki spojrzeńcom i drobnym ruchom głową.

DiPaulo powiódł wzrokiem po twarzach ławników. Widać było wyraźnie, co sobie myślą, nawet gdyby zaczęli krzyczeć, nie mógłby zrozumieć ich lepiej: ten doktor to zarozumiały kretyn. Oczywiście, że to mógł być nieszczęśliwy przypadek.

Odwrócił się od ławy przysięgłych i podszedł do Burnsa. Na twarzy małego człowieczka płonął czerwony rumieniec. Adwokat wyjął mu z dłoni raport z sekcji zwłok i spacerowym krokiem powrócił do swojego stołu. Odpuść, dopóki prowadzisz. Tę zasadę wpajał dzieciątkom studenckich roczników.

Upuścił raport na blat, z zadowoleniem łowiąc uchem głośne trzaśnięcie. Spojrzał na zegar ścienny. Szesnasta trzydzieści. Udało mu się pokrzyżować plany oskarżenia, i to mocno. Ławnicy przez cały weekend będą teraz myśleć o tym, co usłyszeli. DiPaulo podsunął swojej klientce deskę ratunku i mógł już tylko mieć nadzieję, że Samantha się jej chwyci.

- Wysoki sędzio, nie mam więcej pytań do biegłego powołanego przez prokuraturę.

Jego głos ociekał sarkazmem, a przysięgli dobrze zrozumieli, co to miało znaczyć: doktor Burns jest niekompetentnym osłem.

56.

Prawnik prowadzący sprawę o morderstwo żyje z dnia na dzień w ustalonym, niezmiennym rytmie. Jennifer Raglan znała to dobrze z własnego doświadczenia i wiedziała, że za każdym razem jest dokładnie tak samo. Dopóki nie zaczął się proces, bała się pomyśleć, jak będzie wyglądać jej życie w tym młynie, ale po tygodniu albo dwóch zaczęła się przyzwyczajać, przewidując zawczasu, że kiedy wszystko dobiegnie końca, będzie jej brakować tej niesamowitej intensywności. U człowieka, który musi dzień w dzień siedzieć godzinami w tej samej sali, a każdą chwilę poza nią poświęcać pracy, objawia się coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego, czyli miłość do tych, którzy go uwięzili. W przypadku Jennifer Raglan nie byli to jednak uzbrojeni terroryści, ale bezustanna presja; to ona nie pozwalała jej oderwać się od procesu.

Z biegiem dni całe jej życie podporządkowało się sądowej rzeczywistości. Nawet czas liczył się inaczej. Zamiast godzin i minut byli świadkowie. Ilu już zeznawało? Ilu jeszcze zostało? A oprócz świadków - kolejne dni procesu. Ile ich już było? Ile jeszcze będzie?

Pocieszenie przynosiła jej chyba codzienna rutyna. Pobudka - o piątej trzydzieści; Raglan schodziła do kuchni i przez godzinę przeglądała notatki na temat świadków zaplanowanych na bieżący dzień, sporządzone dnia poprzedniego. Potem robiła kawę dla siebie i Gordona, a dla dzieci przygotowywała pudełka z drugim śniadaniem, chowając do nich kolorowe karteczki z napisem „Kocham Cię, Mama”. O siódmej wchodziła pod prysznic, a pół godziny później była

już w tramwaju. Droga trwała również pół godziny, które można było poświęcić na przejrzenie kolejnych notatek; o ósmej Raglan zjawiała się w prokuraturze. Następane dwie godziny mijały jak z bicza strzelił: trzeba było przygotować się do długiego dnia pracy, włożyć toż, ustalić z Greene'em taktykę. Posiedzenia w sądzie kończyły się o szesnastej trzydzieści, a potem Raglan musiała wrócić do prokuratury i odbyć rozmowy ze świadkami, przejrzeć protokoły, zebrać materiały z prawniczych źródeł, przygotować pytania na kolejne przesłuchania; przegryzała sałatką i pizzą, a dzieciom mówiła dobranoc przez telefon. Starła się wracać do domu najpóźniej o dziesiątej wieczorem. Zostawiała papiery w kuchni, a rano ten sam taniec zaczynał się od nowa.

Jedyną chwilą wytchnienia od nieustającej presji był właśnie piątkowy wieczór. Tylko wtedy mogła zapomnieć o sprawie, przynajmniej na kilka godzin. Zasłużyłam sobie na to, pomyślała, zbliżając twarz do łazienkowego lustra i usuwając wacikiem resztki makiżażu, które oparły się perspiracji i stresowi kolejnego długiego dnia.

Wyszczotkowała zęby, wyłączyła światło w łazience i wsunęła się pod kołdrę obok Gordona. Należało przyznać, że mąż okazywał jej wiele wsparcia od samego początku tej sprawy. Dzień już się skończył, lecz ona wciąż jednak była spięta, potrzebowała czegoś, co przyniesie jej ulgę, oderwie myśli od pracy. Codzienna - a raczej conocna - rutyna objęła także seks.

Co było tego powodem? Być może takie życie na pełnych obrotach, być może bliski kontakt z morderstwem, ze śmiercią. Tak czy inaczej, Jennifer Raglan odczuwała niemalże rozpaczliwą potrzebę seksu. Noc w noc. Miało to pewną dodatkową zaletę: Gordon był spokojny, zadowolony i zawsze brał jej stronę - pomimo dodatkowych obowiązków, które musiał wykonywać.

Sięgnął do wyłącznika nocnej lampki po swojej stronie łóżka i natychmiast ogarnęła ich fantastyczna ciemność. Mężczyźni są tacy prości w obsłudze, pomyślała Raglan, wyciągając po niego rękę. Gordon nie potrzebował wiele, aby być gotowy do czynu. I dobrze. Nie miała ochoty czekać.

W myślach zaczęła analizować dotychczasowy przebieg procesu. Przesłuchania świadków poszły nieźle, z jednym wyjątkiem - doktora Burnsa. Arogancki fiut. Ted DiPaulo przytarł mu nosa, ale czego w ten sposób dowiódł? Że Samantha Wyler zabiła męża przypadkiem? Niby w jaki sposób, robili razem sushi? A potem dźgnęła go jeszcze sześć razy dla zabawy? To się nie trzymało kupy.

Gordon wspiął się na nią. Oparła mu dłonie na barkach i odepchnęła na bok. Miała ochotę pofiglować. Usiadła na nim, mrużąc głośno prosto do ucha.

O wszystkim miał przesądzić jej następny świadek: Brandon Legacy, osiemnastoletni „przyjaciel” Samantha. Co przysięgli pomyślą o kobiecie po trzydziestce, która uprawia seks z nastolatkiem?

Gordon lubił mawiać, że ma siłę w palcach, bo przez cały dzień ściska w nich ołówki. To była rzekomo największa zaleta pracy księgowego. Raglan musiała przyznać: miał silne ręce, a jego palce znały każdy centymetr jej ciała.

Niestety, Legacy był jak dzoker - nikt nie mógł przewidzieć, jaki efekt da jego przesłuchanie. Raglan i Greene zastanawiali się wspólnie, czy warto brać go na świadka. Gdyby DiPaulo chciał z jego pomocą udowodnić, że oskarżona ma alibi, prokuratorka przesłuchiwałaby go tak czy inaczej. Gdyby jednak postanowiła z niego zrezygnować, istniało ryzyko, że obrona też go nie powoła, a wtedy przysięgli nie poznaliby jego zeznań. Ocenili, że to ryzyko jest zbyt wysokie.

Położyła dłonie na biodrach Gordona i obróciła się na plecy, ciągnąc go za sobą. Chciała zmienić pozycję; miło było położyć głowę na poduszce. W zeszłym roku, po tym jak się z nim rozstała, Gordon zaczął chodzić na siłownię. Teraz był szczuplejszy, jędrniejszy w okolicach talii. Podobało jej się to.

Nie należało też zapominać o ostatnich słowach, które Legacy usłyszał od Samantha Wyler: „Wiem, jak załatwić to raz na zawsze”. To jedno krótkie zdanie powinno wystarczyć, aby ława przysięgłych uznała ją za winną nieumyślnego spowodowania śmierci. Co najmniej.

Adwokaci bardzo często muszą odpowiadać na następujące pytanie: jak można bronić oskarżonego, wiedząc, że jest winny? Jednakże Ted DiPaulo, w czasach, kiedy jeszcze szefował prokuraturze, zwrócił Raglan uwagę na drugą stronę medalu: jak można prowadzić postępowanie przeciwko komuś, kto z całą pewnością jest niewinny? Albo, żeby problem nabrał subtelniejszych odcieni - winny, ale nie zarzucanego mu czynu, tylko czegoś innego, znacznie mniej poważnego?

Kiedy Jennifer Raglan wróciła do domu i do męża, w geście pojednania wybrała się z nim do sklepu meblowego, aby kupić nowe łóżko do sypialni. Zdumiała ją, jak wielki wybór oferuje się klientom. Ostatecznie zdecydowali się na podwójne łóżko z osobną regulacją na każdą stronę; ona od samego początku nie znosiła tej konstrukcji, ale Gordon był zachwycony. Cóż, przynajmniej nie skrzypi jak tamto stare, myślała, czując na sobie ciężar jego ciała.

Był też jeszcze jeden powód przemawiający za tym, aby Brandon Legacy wystąpił jako świadek, nawet gdyby miał w ten sposób zaszkodzić oskarżeniu: jego zeznanie stanowiło dowód na to, że Samantha Wyler poszła do domu męża w złym nastroju. Teraz wystarczyło dodać to, co DiPaulo wyciągnął od doktora Burnsa - że śmiertelna rana mogła być dziełem przypadku - i przysięgli z łatwością dojdą do wniosku, że oskarżona ugodziła męża w napadzie wściekłości, bez morderczych zamiarów. A zatem - nieumyślne spowodowanie śmierci. Raglan szła o każde pieniądze, że tak właśnie będzie brzmiał werdykt ławy przysięgłych. Zwłaszcza jeśli Samantha Wyler odmówi zeznań.

Gordon obrócił się na bok, wyciągnął przy niej. Wkrótce zaczął oddychać równo, miarowo; poczuła, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz, a potem nadszedł sen, sygnalizowany zwiotczeniem mięśni i pochrapywaniem. Świetnie, pomyślała z przekąsem. Tyle przeszliśmy, aby powrócić do punktu wyjścia.

57.

Ta data była ustalona i niezmienna. Jak wykuta w kamieniu. Dosłownie. Ari Greene nosił ją w osobistym kalendarzu od wielu miesięcy, jak chwilę pewności w nieprzewidywalnym świecie. Odległą, ale z każdym dniem coraz bliższą. Tego dnia miała się odbyć ceremonia odsłonięcia macewy na grobie jego matki. Zgodnie z żydowską tradycją po ustawieniu nagrobka najbliższa rodzina zmarłej osoby gromadzi się na cmentarzu, dookoła zasłoniętej całunem macewy. Ponieważ w sobotę obchodzi się szabat, macewy odsłania się w niedzielę.

Nad grobem stał Greene u boku swojego ojca. Kwatery była duża, na dwie osoby, ale drugie miejsce pozostało puste, czekało na Icchaka Greene'a, który miał spocząć obok żony. Zgodnie z przewidywaniami na cmentarzu zjawili się kilkoro znajomych z synagogi oraz garstka ludzi, którzy pracowali z matką detektywa w fabryce. Greene nie spodziewał się jednak zobaczyć w ten niedzielny poranek komendanta Hapa Charltona ani też Daniela Kennicotta, którzy przyszli, lecz trzymali się z boku, chcąc w ten sposób okazać szacunek.

Był też ktoś, kogo najchętniej by nie oglądał tego dnia, mianowicie rabbi Climans, który już od roku, odkąd pojawił się w ich synagodze, piekielnie irytował jego ojca, doczekawszy się u niego przezwiska „rabbi Klitus-Bajduś”. Był to człowiek udający szczerą, zupełnie jak polityk ubiegający się o urząd. W kazaniach lał wodę, a głębi nie było w nich za grosz, jeszcze gorsze miał jednak mowy pogrzebowe, szablonowe do bólu, zwłaszcza kiedy wygłaszał je nad grobem starszej kobiety. Obu Greene'om niedobrze się robiło, kiedy

musieli wysłuchiwać, że „dla pani takiej i takiej rodzina była zawsze na pierwszym miejscu, a jej ukochany mąż, cudowne dzieci i najdroższe wnuki znaczyły dla niej więcej niż wszystkie skarby świata”.

Ari Greene ze wstrętem myślał o tym, że rabbi Climans będzie przemawiał nad grobem jego matki. Próbował zaprosić starszego kantora, który czasami zastępował „tego błazna” (kolejne przezwisko, którym często szafował stary Greene), ale nie dalej niż tydzień przed ceremonią ojciec powiedział mu tak:

- O nic się nie martw. Zająłem się rabinem.
- W jaki sposób? - zapytał detektyw.
- Poinformowałem go, że jeśli znów walnie swoją zwykłą mówkę o rodzinie na pierwszym miejscu, to wezmę tę macewę, która miała stanąć na grobie twojej matki i wepchnę mu ją do gardła.
- Tato... - jęknął Greene, unosząc brwi z niedowierzaniem.
- Tylko wyraziłem się bardziej kulturalnie.
- Może to i dobry pomysł...

Grób znajdował się w otoczeniu innych skromnych pomników, na skraju cmentarza, niedaleko niskiego ogrodzenia, za którym widać było podwórka sąsiadujących posesji. Greene dostrzegł tam ciemnoskórą kobietę, z wyglądu Somalijkę, o okrągłej twarzy i pięknych rysach. Wyprostowana z niezwykłą godnością, obserwowała ceremonię, trzymając na rękach dziecko.

Greene myślał o innych pogrzebach, tych, w których musiał uczestniczyć Daniel Kennicott. Najpierw jego rodzice zginęli w wypadku spowodowanym przez rzekomo przypadkowego pijanego kierowcę. Potem zamordowano jego brata Michaela. Teraz zaś pojawiły się pewne wątpliwości na temat owego kierowcy. Nazywał się on Arthur Frank Rake i niedawno odnalazł się we włoskich Apeninach, w Gubbio, tym samym mieście, do którego Michael wybrał się ostatniego dnia przed śmiercią. Daniel pojechał do Gubbio latem, ale niestety, wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Rake zniknął.

Rabbi Climens odśpiewał kilka modlitw, po czym Greene i jego ojciec ujęli w palce cienki całun okrywający macewę i zerwali przytrzymujące go sznureczki. Miękkosć zwiewnej tkaniny przynosiła

pociechę. Greene długo się zastanawiał, jaką inskrypcję zamówić na nagrobek. W końcu wybrał takie słowa:

CHANA GREENE - PRZEŻYŁA SVOJE ŻYCIE.

Przez całe życie nikt nie mówił o jego rodzicach inaczej, jak tylko: to ci, którzy przeżyli Zagładę. Nie cierpiał tego. Owszem, przeszli przez obozy i widzieli potworności, których on nie miał szans choćby ogarnąć rozumem. Owszem, jego matka straciła oboje rodziców, dziadków z obu stron, wujów, ciotki, kuzynów, przyjaciół, a nawet młodszego brata. Ale mimo wszystko jej życie nie zamknęło się w czasach Zagłady. Być może zasługiwała, żeby wyglądało zupełnie inaczej, ale z wyjątkiem ostatnich kilku lat było to dobre, potrzebne życie.

Rabbi Climans wsunął modlitewnik pod ramię i wystąpił do przodu.

- Dla rodziny zmarłego powrót na grób ukochanej osoby w towarzystwie kilku bliskich przyjaciół to bardzo ważny obrządek. Są to chwile większego wyciszenia, bardziej prywatne niż czas pogrzebu. Dlaczego żołnierze powracają na pole bitwy? Ta fundamentalna ludzka potrzeba jest udziałem nas wszystkich.

Który raz, pomyślał Greene, który raz już to powtarzasz?

- Kiedy przyjechałem pełnić posługę w Toronto, postanowiłem odwiedzić chorych członków naszego zgromadzenia, tych w najpoważniejszym stanie - mówił dalej rabin, wymawiając nazwę „Toronto” w denerwujący sposób, z akcentem na pierwszą sylabę. - W zeszłym tygodniu rozmawiałem z panem Greene, mężem zmarłej. Do tej pory nigdy nikomu nie wspominałem o wizytach u jego żony. To były trudne chwile.

Ta kobieta przeszła bardzo wiele, a choroba Alzheimera zmusiła ją do przeżywania na nowo wszystkich koszmarów z młodych lat. Oczywiście, nie miała pojęcia, kim jestem. Pewnego dnia, gdy byłem dla niej hitlerowskim strażnikiem, rzuciła we mnie basenem. Innym razem wydawało jej się, że widzi swojego brata Chaima i rzuciła mi się na szyję, ściskając tak mocno, że musiałem wezwać pielęgniarkę, aby się uwolnić, nie robiąc jej przy tym krzywdy. Pamiętam, jak

wołała: „Gdzie jest Chaim? Gdzie jest Chaim”.

Upłynęło już siedem lat, odkąd Chana Greene zapadła na chorobę, która postępowała z okrutną prędkością. W ciągu kilku miesięcy matka przestała rozpoznawać własnego syna, a wkrótce potem nawet mąż stał się dla niej obcym człowiekiem. Na myśl o tym, że ostatnie lata upłynęły jej na beznadziejnej walce z koszmarnymi wspomnieniami, które niespodziewanie odżyły, Ari Greene czuł czarną wściekłość. Przeszłość człowieka zawsze musi mieć tę władzę nad jego przyszłością, zawsze może ją zniszczyć.

- Pewnego dnia zacząłem śpiewać starą piosenkę w jidysz, której nauczyła mnie babcia. - Rabbi Climans mówił głośniej, porzucając swój zwykły, miękki, jakby rozmyty ton. - Pani Greene przyłączyła się do mnie. Trzymając się za ręce, jak dzieci w przedszkolu, śpiewaliśmy wspólnie, wciąż od nowa. Powtórzyliśmy całą piosenkę dwadzieścia, może trzydzieści razy. Straciłem rachubę, a zresztą - liczenie nie miało większego sensu. To było coś wspaniałego. Nie jestem w stanie pojąć, jak wyglądało życie pani Chany Greene. Poruszyła mnie odwaga, którą u niej dostrzegłem, i modłę się, aby te słowa przyniosły choć trochę pociechy jej rodzinie.

Matka Ariego Greene'a, choć umarła niedawno, odeszła już przed wieloma laty, na różne sposoby. Ale to, co powiedział rabin Climans, na jedną krótką chwilę przywróciło ją do życia.

Greene opuścił głowę i nagle zauważył, że wciąż ściska w dłoni całun, który okrywał macewę. Wiedział, że już nadszedł czas, aby pozwolić mu opaść.

58.

Niedzielny wieczór to dla prawnika prowadzącego sprawę w sądzie najgorszy moment tygodnia. Ted DiPaulo zabarykadował się w kancelarii i siedział tam przez cały weekend, przygotowując się na nadchodzący tydzień, pięć długich dni. Był bliski totalnego wyczerpania, ale lista rzeczy do załatwienia nie miała końca.

Sala konferencyjna, czyli sztab procesu Samantha Wyler, przypominała bardziej pokój w akademiku niż kancelarię prawniczą. Wszędzie leżały porzucane długopisy, ołówki i odbłaskowe flamastry. Dwa kosze na śmieci pękały w szwach od pudełek po pizzy, puszek po coli i kubków po kawie. Powietrze czuć było stęchlizną.

Na twarzy Samantha Wyler malowało się ogromne znużenie. Nancy Parish właśnie skończyła z nią próbne przesłuchanie, bardzo drobiazgowo. Sam poradziła sobie z zeznaniem całkiem nieźle, ale DiPaulo widział wyraźnie, że takie maglowanie zachwiało jej pewnością siebie. Dla ludzi nieobeznanych z sądem przesłuchanie zawsze było upiornym przeżyciem.

I na to właśnie liczył. Bo wciąż miał dwa wyjścia z sytuacji. Dzięki wnikliwości Samantha, która uważnie przeczytała dokumenty procesowe, przesłuchał doktora Burnsa w taki sposób, że wciąż można było powołać oskarżoną na świadka, aby zeznała, że po wejściu nocą do domu znalazła zwłoki męża na podłodze w kuchni. Nadeszła chwila podjęcia ostatecznej decyzji na temat linii obrony

- Sam, chodźmy do mnie. Musimy porozmawiać - powiedział.

Kobieta opadła na fotel, ten, który zawsze wybierała, najbliżej

drzwi. DiPaulo zostawił je otwarte. Usiadł obok swojej klientki.

- Wiesz już, jak ciężko może być na przesłuchaniu - powiedział.

Przygryzła wargę.

- Jest inna opcja - poinformował ją. - Może było tak, że przyszedłeś do męża na umówione spotkanie i podczas rozmowy doszło do kłótni. W oświadczeniu, które złożyłaś do sądu rodzinnego stoi czarno na białym, że Terrance ukrywał drugą stronę swojego charakteru. Miewał napady złości. Może to on rzucił się na ciebie z nożem. Zaczęliście się szarpać i oberwał przypadkowo.

Milczała.

- Przysięgli w to uwierzą. Doktor Burns bardzo im się nie spodobał.

Samantha zawiesiła na nim ciężkie spojrzenie.

- Powiedzmy, ale teoretycznie, że kiedy przyszedłam, Terry kroił owoce na śniadanie dla Simona.

DiPaulo poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. O to właśnie chodziło.

- Teoretycznie - odparł - to on zaatakował ciebie. Działałaś w obronie własnej. Kiedy otrzymał ranę, która okazała się śmiertelna, w napadzie furii zadawałaś mu kolejne ciosy.

Umilkła znowu.

Adwokat był w kropce. Opuścił głowę, złożył dłonie w daszek, stykając razem czubki palców.

- Wyjdę na wariatkę - odezwała się wreszcie Sam.

- To nie było szaleństwo, tylko gniew - poprawił, myśląc: na pewno jej ulży, kiedy w końcu zrzuci ten ciężar z serca. - Wiem, jakie to trudne - dodał po chwili.

- Nie, nie wiesz. - Uśmiechnęła się. - Powiedziałam to, żeby cię wy badać. Miło tak sobie podyskutować „teoretycznie”, ale fakty są inne. Powiedziałam sędzi, że nie przyznam się do winy, bo to nie ja zaatakowałam go tym nożem. Kiedy przyszedłam, już nie żył.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o obronę opartą na zeznaniu doktora Burnsa, pomyślał DiPaulo.

- A więc kto to zrobił? - zapytał.
- Nie wiem. - Ścisnęła dłońmi czoło. - Wciąż się zastanawiam, ale nie potrafię tego wyjaśnić.

Adwokat wstał z miejsca.

- Przepraszam cię. Pytam jak prokurator. Nie będziemy nikogo wyręczać. To na oskarżeniu spoczywa ciężar dowodu.

W porządku. Zadam ci teraz pytanie, które zadaję wszystkim klientom, kiedy sprawy zajdą już tak daleko: czego mi nie powiedziałaś? Każdy coś ukrywa.

Spodziewał się wybuchu złości, tymczasem Samantha odwróciła tylko głowę w kierunku sali konferencyjnej.

- Czy możemy rzucić okiem na listę świadków na ten tydzień?
- zapytała.

Wyszli na korytarz. DiPaulo czuł dziwną ulgę. W kwestii zeznania Samantha pozostało mu już tylko jedno wyjście: wszystko albo nic. Wymyślił, że wezwie, jednego po drugim, dwoje świadków. Najpierw psychologa, który zezna, że reakcja oskarżonej na widok zwłok męża - to, że zabrała zakrwawiony nóż, poszła do Simona i wałęsała się godzinami, chociaż nic z tego wszystkiego nie pamięta - była możliwa, zwłaszcza u kogoś takiego jak Samantha, która jako nastolatka przeżyła podobny szok. Potem postanowił przesłuchać Lillian Funke, bibliotekarkę z New Liskeard, aby przedstawiła Sam w bardziej ludzkim świetle, opowiadając o jej miłości do książek i o tym, jak uczyła dorosłych czytać.

- Czy oskarżenie na pewno wezwie tych wszystkich świadków?
- zapytała jego klientka, przesuując palcem po liście przekazanej przez Jennifer Raglan.

- Nie. To czysta grzeczność, że dostaliśmy tę listę. W każdej chwili prokuratura może zmienić zdanie.

Samantha obróciła kartkę na drugą stronę.

- A gdybyśmy specjalnie chcieli, żeby kogoś wezwali? Co trzeba zrobić?

DiPaulo stłumił chichot.

- Nic. To znaczy, jeśli oskarżenie się dowie, że zależy nam na którymś z ich świadków, to na pewno z niego zrezygnuje. To my musimy go wezwać, a oni wtedy mogą go przesłuchać, kiedy przyjdzie ich kolej.

Samantha zatrzymała palec na jednym z nazwisk i uśmiechnęła się do adwokata, a jej spojrzenie nabrało klarowności.

- Miałeś rację - przyznała. - Czegoś ci nie powiedziałam. Postaraj się, za wszelką cenę, aby Raglan powołała tego świadka. Chcesz wiedzieć dlaczego?

59.

Margaret Kwon przypatrywała się młodemu Brandonowi Legacy, który wstał z ostatniej ławki i szeleszcząc szerokimi nogawkami dzwonów, przemierzył całą salę rozpraw, aby zasiąść na miejscu dla świadka. Pikantny obrazek, w sam raz na poniedziałkowy poranek, pomyślała, wyobrażając sobie niesamowitą okładkę najbliższego numeru magazynu „Faces” i notując pomysły na nagłówki: *Młody kochanek Sam Wyler zeznaje* albo krótko: *Brandon puścił farbę*.

Dziennikarka w dalszym ciągu ze wszystkich sił starała się wpaść na trop April Goodling. Aktorka jakby zapadła się pod ziemię: nikt nie widział jej od miesiący. Kwon zdołała przekonać swojego naczelnego w Nowym Jorku, że Goodling może pojawić się na rozprawie. Ogłosiła stan najwyższej gotowości dla swoich informatorów z Toronto; najważniejszym z nich był kierowca limuzyny, którą zwykle wynajmowała aktorka. Jednakże przez pierwszy tydzień procesu Goodling nie dała znaku życia, a Ari Greene był tak zajęty, że tylko raz udało im się umówić na kolację. Zabrał Kwon na Gerrard Street, do niecodziennej hinduskiej restauracji pod wielkim namiotem - Lahore Tika House. Nie było tam obrusów, a jadło się plastikowymi sztućcami z plastikowych talerzy. Połowa kobiet nosiła sari. A jedzenie było niesamowite. Wymarzone miejsce dla Greene'a.

- Proszę podać nazwisko - zwrócił się sekretarz sądowy do Brandona.

Młody Legacy przekrzywił głowę, a blond grzywa opadła mu na oczy. Nie odgarnął włosów. Mało uprzejmy, pomyślała Kwon, ale śliczny.

- Brandon Legacy. - Głos chłopaka był niższy, niż się spodziewała.

- Chce pan przysiąc na Biblię, czy złożyć świecką przysięgę? - zapytał sekretarz.

Nastolatek spojrział na księgę w jego dłoni takim wzrokiem, jakby była jakimś starym muzealnym eksponatem.

- Ee... Świecką - odpowiedział.

Jennifer Raglan wstała z miejsca, przerzuciła papiery leżące przed nią na stole. Widać było, że przy tym świadku po raz pierwszy zabrakło jej pewności siebie.

- Brandon - zaczęła - czy zeznawałeś już kiedyś w sądzie?

- Nie.

- A czy widziałeś salę rozpraw od środka?

- Widziałem.

- Kiedy to było?

- Na wycieczce klasowej.

Pięknie, pomyślała Margaret Kwon. Chłopak jest mistrzem telegraficznego skrótu. Sfrustrowana mina prokuratorki sprawiała jej niezłą frajdę.

Przez kilka minut Raglan wypytywała chłopaka o rodzinę (był jedynakiem), szkołę (ulubiony przedmiot - sztuka filmowa) i o to, co lubi robić w wolnym czasie (deskorolka, gry komputerowe). Na każde pytanie odpowiadał totalnie znudzonym głosem.

- Teraz poproszę cię, żebyś opisał swoją znajomość z oskarżoną, panią Wyler. - Raglan przeszła do kolejnej części przesłuchania.

- Przyjaźniliśmy się - rzucił krótko, zanim zdążyła o cokolwiek zapytać.

- Rozumiem. - Skinęła głową. Po raz pierwszy od początku procesu nie wyszła z za swojego stołu. Kwon zauważyła, że jest niezwykle ostrożna, czai się jak harcerka, która zobaczyła grzechotnika.

- Brandon, nie chcę robić ci wstydu...

- Nie ma się czego wstydzić. Mówię: przyjaźniliśmy się.

W sali rozpraw zaiskrzyło. Kwon obejrzała się na przysięgłych; wszyscy byli pochłonięci tym, co słyszą.

- Jak wyglądała wasza „przyjaźń”? - zapytała prokuratorka.

- Często graliśmy razem na komputerze. Nieźle jej szło. Czasem też czytaliśmy. Ona bardzo dużo czyta.

Raglan pokiwała głową, jak nauczycielka zawiedziona słabą odpowiedzią ucznia.

- Czy wasza znajomość miała podłoże intymne?

- Sprzeciw! Oskarżenie naprowadza świadka - huknął DiPaulo, zrywając się z miejsca. Jeszcze nigdy nie zaprotestował tak podniesionym głosem, pomyślała Kwon. Spojrzenia całej sali zwróciły się na niego. - Wysoki sędzie - mówił dalej adwokat - pan Legacy jest świadkiem oskarżenia. Pani prokurator już dwukrotnie pytała go o znajomość z oskarżoną, a on odpowiedział. To ostatnie pytanie jest z wszech miar niewłaściwe, o czym zresztą moja szanowna koleżanka doskonale wie.

- Wysoki sędzie - Raglan także uniosła głos, w którym zabrzmiała nuta gniewu - mamy do czynienia z niedoświadczonym świadkiem, a sprawa jest złożona, tak jak złożone są relacje pomiędzy dwójgim ludzi. Chcę dać temu młodemu człowiekowi szansę, aby mógł przedstawić ławie przysięgłych wszystkie istotne informacje.

Raglan i DiPaulo wbili wzrok w Norville, która wyglądała na poruszoną. Rzuciła okiem na zegar wiszący ponad głowami ławników. Margaret Kwon zauważyła to spojrzenie. Dochodziła jednakże dopiero dziesiąta piętnaście. Pod żadnym pozorem nie można było zarządzić porannej przerwy, żeby zadzwonić do kancelarii mężusia - dziennikarka wiedziała od Greene'a, że sędzia Norville często tak robi.

Detektyw wyjaśnił jej również, że w Kanadzie prawnikom nie wolno podchodzić do sędziego i rozmawiać z nim po cichu. Nie mogą się z nim naradzać, tak jak w Stanach. Wszystko mówi się głośno i otwarcie, w przeciwnym razie ławnicy muszą opuścić salę, a to

zabiera czas i w ogóle dużo jest z tym zawracania głowy.

- Panie DiPaulo - powiedziała wreszcie sędzia. - Moim zdaniem pani prokurator ma rację. Musimy stworzyć temu świadkowi należyte warunki do złożenia zeznań. Jednocześnie zwracam uwagę pani prokurator, że pan DiPaulo też miał rację. To było podchwytliwe pytanie.

Raglan i DiPaulo skinęli głowami. Norville uśmiechnęła się, najwidoczniej bardzo z siebie zadowolona.

- Brandon, pozwól, że zapytam inaczej - podjęła prokuratorka. - Przyjaźniłeś się z oskarżoną, graliście na komputerze, czytaliście książki - czy robiliście razem coś jeszcze?

Nieźle, pomyślała Kwon. Teraz wszyscy wiedzą, o co jej chodzi: czy młody chłopak pieprzył się z mężatką, która kiedyś mieszkała po sąsiedzku? Nawet jeśli zaprzeczy, nikt mu nie uwierzy.

- Czasem się pukaliśmy - powiedział Legacy.

Pyszenie, pomyślała Kwon. *Mamuśka puka do młodego sąsiada.*

- Nie rozumiem. - Raglan uniosła brwi. - W co się pan pukał z oskarżoną?

- W nic. No, wie pani. To znaczy, że było figo-fago.

Raglan zamarła. Na sali odezwały się stłumione chichoty.

Sędzia Norville strzeliła zirytowanym spojrzeniem. Greene tłumaczył dziennikarce z Nowego Jorku, że kanadyjscy sędziowie nie mają młotków, tak jak ich amerykańscy koledzy, ale z tego, co Kwon zdążyła zaobserwować, takie akcesoria były całkowicie zbędne. W Kanadzie wszyscy są cholernie uprzejmi. Prawnicy stroją się na rozprawę w czarne togi, kłaniają się sędziemu, wchodząc i wychodząc z sali, a do siebie nawzajem zwracają się per „mój szanowny kolega”, nawet jeśli się nie znoszą. Można było sobie niemalże wyobrazić, że oskarżona któregoś dnia przyniesie gitarę i... cała sala śpiewa z nami.

- Brandon, w sądzie obowiązuje taka zasada - Raglan odzyskała głos - że należy mówić jednoznacznie. „Figo-fago”, to znaczy, że...

- Uprawialiśmy seks. Od czasu do czasu. To nie było nic takiego. Głównie graliśmy na kompie.

Bomba, pomyślała Kwon. *Chłopiec wolął komputer niż seks z eks.*

- Rozumiem - powiedziała Raglan lekko drżącym głosem.

Kwon zauważyła zatroskane spojrzenie Greene'a. Wiedziałam, zawołała w myśli. Od początku mi się wydawało, że tych dwoje coś łączy.

- Do niczego mnie nie zmuszała, nic z tych rzeczy, a z mężem byli już wtedy w separacji - ciągnął dalej Brandon Legacy. - On też sobie kogoś znalazł, miał tę swoją zdirowatą aktorkę, więc w czym problem?

Cudownie, rozczuliła się Kwon. *Byczek Brandon: »April to zdi-
ra«.*

Chłopak przecesał włosy palcami, odgarniając je z czoła.

- Panie Legacy - Raglan przestała zwracać się do świadka po imieniu - proszę odpowiadać na moje pytania, nic więcej.

Nastolatek znowu przekrzywił głowę, a włosy z powrotem opadły mu na oczy.

Przesłuchanie ciągnęło się przez kolejne dwie godziny. Prokuratorka krok po kroku uzyskała pełny opis tego, co zaszło w noc morderstwa: najpierw Samantha Wyler i Brandon Legacy oglądali razem telewizję, potem grali na komputerze w symulator lotów („Świetna jest w te klocki”, powiedział chłopak, a Kwon zanotowała: *Osiemna-
stolatek przeleciał się z mamą z sąsiedztwa*), aż wreszcie ona odebrała e-maila, w którym mąż informował ją, że przyjmuje jej warunki i zaprasza do siebie na rozmowę.

- I wtedy wyszła? - zapytała Jennifer Raglan.

- Tak. Doleciała do Maroka, wylądowała i poszła.

- A czy przed wyjściem coś mówiła?

Legacy opuścił głowę, milcząc jak głaz.

- Panie Legacy - przypomniała mu prokuratorka - przed rozpoczęciem procesu złożył pan w mojej obecności zeznanie.

Mam tutaj jego kopię. Czy chce pan przejrzeć ten tekst? Może to odświeży panu pamięć?

Podeszła do barierki. Podziałało. Świadek spojrzął jej prosto w oczy.

- Nie potrzebuję niczego czytać. Pamiętam. - Rzucił okiem na Samanthę Wyler siedzącą za stołem dla obrońcy. - Powiedziała: „A to dupek. Tyle nieprzyjemności mi zafundował, a teraz pisze, że mam do niego przyjść i wszystko załatwimy, we dwoje, tylko on i ja”. Odpowiedziałem jej wtedy: „To może idź?”, a ona: „Wiem, jak załatwić to raz na zawsze”. I wyszła.

Ktoś na ławie przysięgłych zachłysnął się powietrzem.

Nastolatek obciąża byłą kochankę, zapisała Kwon. To już nie była zabawa. Takie zeznanie musiało pogrążyć oskarżoną.

Raglan wróciła do swojego stołu. Minę miała zadowoloną. Odkładając kopię wcześniejszego zeznania, mrugnęła do Greene'a, co nie uszło uwagi dziennikarki. Flirciara, pomyślała Kwon.

- Sam ciągle rzucała takie teksty - odezwał się nieoczekiwanie Legacy.

Prokuratorka zmarszczyła brwi.

- Powiedziała mi kiedyś, że jest tchórzliwa jak zając - mówił dalej chłopak. - Musiała robić dzikie awantury, żeby pan Wyler w ogóle zwrócił na nią uwagę, ale tak naprawdę nie umiałyby skrzywdzić nawet muchy.

Raglan porwała wydruk ze stołu, odwróciła się do niego gwałtownie.

- Dlaczego nie wspomniał pan o tym w zeznaniu? - warknęła wściekle.

- Sprzeciw! - DiPaulo zerwał się na równe nogi. - Tego rodzaju pytania należą do strony przeciwnej.

Kanadyjscy sędziowie nie mają młotków, ale w razie potrzeby potrafią podnieść głos.

- Proszę państwa! - zawołała sędzia Norville. - Tylko bez kłótni!

Na sali zapanowała cisza. Legacy obejrzał się na przewodniczącą rozprawie.

- Nikt mnie wcześniej nie pytał, czy Sam mówiła takie rzeczy -

wyjaśnił. - Ona często się denerwowała, ale mówiła mi, że nie potrafiłaby nikogo skrzywdzić. Kiedyś, w liceum, jakiś chłopak chciał ją zaciągnąć do łazienki i przyłożyła mu tak, że zemdłał. Strasznie się wystraszyła, tak samo jak wtedy, gdy znalazła zwłoki swojego taty. Powiedziała, że boi się przemocy. Pod każdą postacią.

W jego głosie brzmiało zakłopotanie. I szczerłość.

Sędzia Norville potrząsnęła głową.

- Świadek nie powinien zwracać się bezpośrednio do mnie. - Spojrzała na zegar. Wskazywał dwunastą trzydzieści. - Jest jeszcze wcześniej, ale zrobimy przerwę. Czasu na obiad będzie tym razem nieco więcej niż zwykle. - Sędziowie zawsze lubili podkreślać w protokole, jak niezmiernie rzadko robią dłuższe przerwy w posiedzeniu. - Powrócimy do niniejszej kwestii o wpół do trzeciej po południu i wtedy też się do niej ustosunkuję.

- Nie ma potrzeby, wysoki sędzie - powiedziała Jennifer Raglan. - obrońca ma rację. Pan Legacy to mój świadek i nie powinien zadawać mu pytań należących do strony przeciwnej. Zakończymy przesłuchanie.

Było oczywiste, że jej celem jest odsunięcie Brandona Legacy od dalszych zeznań. Margaret Kwon wiedziała jednak, że wyrządzonej szkody już nie da się naprawić. *Brandon broni swojej flamy: »Ona nie mogła nikogo zabić«.* Cudowny nagłówek.

60.

Śmierdzący gnojek! - Raglan rzuciła papierową teczkę z aktami sprawy na biurko i zatrzasnęła za sobą drzwi gabinetu. Mało brakowało, a przytrzasnęłaby rękę Ariego Greene'a, który szedł tuż za nią. - Wystawił mnie, rozumiesz? Wystawił mnie!

Ciężkim krokiem okrążyła biurko i rzuciła się na fotel, zwyczajny tani fotel urzędnika państwowego. Greene widywał już jej wybuchy złości, ale tak wściekła nie była jeszcze nigdy.

- Musieli to ukartować we dwójkę! - wrzasnęła. - Ale już wiem. Bilingi telefoniczne. Musimy uzyskać nakaz sądowy i sprawdzić bilingi. Samantha nie ruszała się na krok z Cobalt, więc musiał do niej dzwonić.

Greene spokojnie otworzył swoją teczkę z dokumentami procesowymi i z wewnętrznej przegródki wyjął kilka złożonych kartek.

- Wpadłem na ten sam pomysł w zeszłym tygodniu, kiedy Legacy złożył u ciebie zeznanie. Oskarżyłem go pod przysięgą i dostałem nakaz wydania wykazów połączeń z dwóch numerów: jego i Samantha Wyler.

- Masz je? Świetnie. I co?

- I nic. - Greene rzucił kartki na blat. - Ani on nie dzwonił do niej, ani ona do niego. Kontaktowała się wyłącznie ze swoim adwokatem. Nie pisała też żadnych e-maili ani SMS-ów. Cisza.

Raglan ścisnęła dłońmi czoło.

- Legacy miał rację: nie zapytaliśmy go, czy słyszał już kiedyś coś takiego od Samantha Wyler. Prawda?

- Prawda. Nie zapytaliśmy.
- Ani o to, czy wspominała mu coś o swoim stosunku do agresji.
- O to też nie.
- Ani o to, czy mówiła mu, że jest w stanie zrobić komuś krzywdę.

Greene potrząsnął przecząco głową.

- Szlag by to trafił. - Raglan oblała się rumieńcem. - Nie powinnam od razu rzucać się na taką sprawę. Straciłam formę.

- Błędów nie da się uniknąć przy żadnej sprawie. - Greene zebrał z biurka bilingi telefoniczne.

- Ari, dlaczego my w ogóle brniemy w ten proces? - zapytała. - Było tak: małżeństwo Wylerów się rozpadło, Terrance związał się z inną kobietą, a Samantha, tak jak powiedziała sędzia Norville, straciła panowanie nad sobą. Powinna się przyznać do nieumyślnego spowodowania śmierci.

- Martwisz się, że ława przysięgłych skaże ją za zabójstwo z premedytacją, prawda?

- Prawda. - Raglan przeczesła palcami włosy. - A ja nie mam w zwyczaju wsadzać ludzi do więzienia za coś, czego nie zrobili.

- Ja też. Ani nikt inny.

- Rozumiem tę Samanthę. Dziewczyna z małego miasteczka przyjeżdża do Toronto. Ja wychowałam się w Welland, kilometr od kanału łączącego jeziora Ontario i Erie. Największą rozrywką były wycieczki nad kanał, żeby popatrzeć, jak statki towarowe przechodzą przez śluzy. Moi rodzice uwielbiali machać marynarzom z Rosji albo na przykład z Nigerii.

- Nikt nie powiedział, że masz łatwą pracę.

- Czemu wszystko musi być aż tak pogmatwane? Moja mama kupowała najtańszą farbę do włosów, w Woolworth's. - Raglan przetarła oczy. - Kiedy to się skończy, zabieram dzieciaki i jedziemy do niej. Nie widzieliśmy się dobre parę miesięcy.

- Wszyscy już jesteśmy zmęczeni. - Greene ponownie otworzył

teczkę. - Którego świadka chcesz teraz przesłuchać? Pozostali nam tylko bracia i rodzice Wylera.

Westchnęła.

- Dziś rano wpadł do mnie Ted DiPaulo. Nasłuchałam się od niego różnych miłych rzeczy. „Daj spokój, Jen”, powiedział, „chyba nie zamierzasz wzywać na świadka kogoś z rodziny, żeby się rozpłakał przed ławą przysięgłych?”. Ted nie znosił takich szopek, kiedy był prokuratorem. Mówił, że to drugorzędny teatr.

- Nie mamy wyboru - zwrócił uwagę Greene. - Nie możesz zakończyć przedstawiania sprawy na zeznaniu Brandona Legacy.

- Masz rację.

- Poza tym Jason Wyler może powiedzieć różne mocne rzeczy o swojej ostatniej rozmowie z Samanthą. Podobno była bardzo zła na Terrance'a.

- Wiem. Przysięgli muszą wiedzieć, jak brzmiały ostatnie słowa, które od niej usłyszał. Już widzę, co powie Ted: „Kończy sprawę zeznaniem inwalidy? Daruj mi, Jennifer, bo się popłaczę”.

Spojrzeni po sobie. Nagle Raglan wstała i wyszła zza biurka.

- Przykro mi, Ari - oznajmiła - ale musisz mnie na chwilę przytulić.

Greene objął ją i cofnął się pod same drzwi gabinetu.

- Ale miło... - Przyłgnęła do niego.

- Opowiedz, co u twoich dzieci - poprosił.

- Ostatnio zaczęliśmy jadać wspólne śniadania w niedzielę przed południem. - Ujęła w palce jego dłoń. - Dana bardzo lubi piec gofry. Znalazłam pewien szwedzki przepis. Ciasto robi się dzień wcześniej. Chłopcy lubią świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Cała torba idzie na raz.

- Pycha. - Detektyw otworzył dłoń, a ich palce splotły się ze sobą.

- Faktycznie, niezłe - przyznała, odnajdując opuszką miękkie miejsce pomiędzy jego kciukiem a palcem wskazującym.

- Jest jedna rzecz, której ci nie powiedziałem - mruknął po chwili.

- Jaka? - oderwała się od niego.
- Nie mówiłem o tym, bo uważałem, i nadal uważam, że to nie jest istotne dla sprawy, ale powinnaś o tym wiedzieć, zanim zaczniesz przesłuchiwać Jasona Wylera.
- Mów, Ari.
- Terrance był jego przyrodnim bratem. Pani Wyler miała romans.
- Skąd masz takie informacje? - Łypnęła na niego wściekłym wzrokiem.
- Od Nathana. Powiedział mi o tym w listopadzie, kiedy Samanta wycofała przyznanie się do winy. Tylko on i jego brat o tym wiedzą. Ojciec nie ma o niczym pojęcia, i bardzo dobrze, bo niezły z niego choleryk.
- Szlag by to trafił - zaklęła. - Nagły szlag by to trafił. Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś, do diabła?
- Pomyśl, co by się stało, gdyby to się rozeszło. Stary Wyler dostałby szału, a to straszny facet. Jego żona i bez tego ma dosyć zmartwień. A Simon kiedyś na pewno się o tym dowie. To by był kolejny cios dla rodziny.
- Więc ukryłeś to przede mną.
- Dla twojego własnego dobra. - Greene też zaczął się denerwować. Żadne z nich nie podniosło głosu; bali się, że ktoś może coś usłyszeć. Mówili do siebie szeptem, przez zaciśnięte zęby. - Nie wiedząc o tym, nie miałaś obowiązku przekazać tej informacji obrońcy. Inny prokurator podziękowałby mi za to.
- Co to znaczy: „inny prokurator”? Uważasz, że nie nadają się do tej sprawy?
- Nie gadaj głupot, Jennifer. Świetnie sobie radzisz.
- Nie musisz mnie chronić.
- Uznałem, że ta wiadomość nie jest istotna dla sprawy i nie ma potrzeby jej ujawniać. Nadal zresztą tak uważam. Gdybyśmy przekazali ją DiPaulo, on powiedziałby wszystko Samancie. Czy to coś da? Co za różnica, kto był ojcem Terrance'a Wylera?

- Naprawdę tak sądzisz?

- Naprawdę.

Raglan walnęła zaciśniętą pięścią o dłoń.

- Jesteś na mnie zły, że wzięłam tę sprawę, co?

- Nie przesłuchuj mnie jak prokurator.

- Uważasz, że zrobiłam to tylko dlatego, żeby być blisko ciebie?

- Sama zadałaś pytanie, więc sama na nie odpowiedz. - Greene spojrział na nią surowo. Serce waliło mu jak młotem. - To nie było jedyne zabójstwo w tym mieście.

- „Jest na świecie tyle miast i tyle knajp, a ona musiała wejść akurat do mojej” - odpowiedziała cytatem. - Czy nie tak właśnie myślisz, Ari? Przecież wszystkie kobiety kochają się w przystojnych, tajemniczych detektywach, prawda? Więc możesz sobie teraz po prostu odejść.

Greene cisnął przez cały pokój teczkę, którą wciąż jeszcze trzymał w dłoni. Upadła z trzaskiem na podłogę.

- Mogę zlecić nadzór nad procesem Kennicottowi. - Sięgnął za siebie i uchylił drzwi. - Nie chciałem cię o to pytać, ale sama zaczęłaś. Słucham. Dlaczego wzięłaś tę sprawę?

- Z powodu Jo Summers. - Raglan odwróciła wzrok.

- Słucham? - Greene puścił klamkę.

- Pracuje w prokuraturze. To córka sędziego Summersa.

- Wiem, kto to jest Jo Summers.

- A wiedziałeś, że Terrance Wyler był jej przyrodnim bratem?

Greene zatrzasnął drzwi z powrotem.

- Wiedziałem od Nathana Wylera, kim był ojciec Terrance'a. Ale nie miałem zamiaru zdradzić tego nikomu, nawet tobie. Dlatego właśnie wspominałem ci tylko, że pani Wyler miała romans, ale nie powiedziałem z kim.

- Jo panicznie się bała, że to się rozejdzie - mruknęła Raglan. - Błagała mnie, żebym wzięła tę sprawę. I tylko dlatego ją prowadzę.

- Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Nazajutrz po morderstwie. Nie mogłam jej odmówić.

- A więc oboje wiedzieliśmy, i to od samego początku - podsumował Greene.

- Ty działałaś w interesie Wylerów, a ja chciałam chronić Jo - przytaknęła Raglan. - Kiedy spotkaliśmy się w sierpniu, po naszej rozmowie w tym nagrzanym pokoiku w Starym Ratuszu, byłam zdecydowana wykręcić się od tej sprawy. Bałam się być tak blisko ciebie. A potem zadzwoniła Jo i nie miałam już wyjścia.

Dzieliły ich centymetry. Greene ponownie sięgnął ręką za siebie i zablokował drzwi. Szczęknięt zimny metal.

- Na szczęście oboje umiemy dochować tajemnicy. - Raglan rozpięła górne guziki swojej koszuli i chwyciwszy jego dłoń, wsunęła ją pod cienki materiał.

- Wszystko przez sędziego Norville - zdążył jeszcze powiedzieć, zanim ją pocałował. - I przez jej dłuższą niż zwykle przerwę na obiad.

61.

Przez całą przerwę obiadową Ted DiPaulo zachodził w głowę: jaki będzie kolejny ruch Jennifer Raglan? Dochodziła czternasta piętnaście, a prokuratorka nie zjawiała się jeszcze na sali. To było do niej niepodobne. Zazwyczaj przychodziła z wyprzedzeniem. DiPaulo z całej siły trzymał kciuki za powodzenie swojej porannej akcji dywersyjnej. Bał się, i to bardzo, że Raglan zamknie sprawę i zrezygnuje z przesłuchań kolejnych świadków. Jej decyzja mogła się okazać punktem zwrotnym całego procesu. Drzwi stanęły otworem i ukazała się w nich prokuratorka. Podeszła prosto do adwokata. Była wyraźnie zaczerwieniona.

- Ted, musimy porozmawiać - szepnęła.
- W porządku.
- Czy może pan przekazać wysokiemu sądowi, że proszę o dodatkowe pięć minut? - zwróciła się Raglan do sekretarza sądowego. - Muszę porozmawiać z szanownym kolegą w pilnej sprawie
- Dobrze. - Sekretarz odłożył swoje sudoku i sięgnął po telefon. Prokuratorka odwróciła się z powrotem do DiPaulo.
- Ted, wezwę teraz na świadka średniego syna Wylerów, Jasona - poinformowała ponurym głosem.
- Tego inwalidę? - Zmarszczył brwi, udając rozczarowanie.
- Jason ma konkretne informacje dotyczące swojej ostatniej rozmowy z Samanthą. Nie chodzi o to, że chcę pokazać przysięgłym inwalidę. Czytałeś protokół z przesłuchania przedprocesowego.

- Skoro nalegasz... - Wzruszył przesadnie ramionami. Raglan zrobiła zakłopotaną minę.
- Wiem, że nie znosisz tego typu rzeczy.
- To twoja decyzja. - Odwrócił wzrok, myśląc: Za taką rolę należy mi się Oscar. Bo w rzeczywistości był wniebowzięty. Po tym, co jego klientka powiedziała mu w sobotę rano przesłuchanie Jasona Wylera było dla niego absolutną koniecznością.
- Tętnica szyjna. - Raglan westchnęła ciężko. - Ochraniać na szyję. Dana musi nosić ochraniacz na treningach, pilnują tego jak wariaci. Przyznaję: to rozumiem. Ale dlaczego Wyler nie przyznała się do nieumyślnego spowodowania śmierci?
- Przekonywałem ją.
- Możemy się jeszcze dogadać. Pójdę wam na rękę, zażądam piętnastu lat zamiast osiemnastu.
- To sprzeczne z kodeksem - odparł z lekką drwiną. Kodeks prokuratorski stanowił, że po rozpoczęciu procesu nie można było już się układać w kwestii kwalifikacji czynu i wysokości wyroku.
- Mam gdzieś kodeks. Pójdziemy do Norville. Przekonam ją nawet, żeby zasądziła dwanaście lat. Twoja klientka wyjdzie po czterech. Sam mnie uczyłeś, że prokurator nigdy nie wygrywa. Nieumyślne spowodowanie śmierci to uczciwa opcja. Niższego wyroku nie dostaniecie w żadnym wypadku. A po zeznaniu Jasona rodzina Wylerów rozpadnie się na dobre. Pogrzebią ją wzajemne pretensje.
- Oboje wiedzieli, że Raglan ma rację, ale DiPaulo wiedział coś jeszcze, coś, o czym ona nie miała najmniejszego pojęcia: jeszcze gorszym zagrożeniem dla rodziny Wylerów były nowe informacje, które uzyskał w niedzielę.
- Jesteś dobrą prawniczką i porządnym człowiekiem, Jennifer - powiedział - ale ja mam związane ręce. Klientka żąda procesu.
- Chce zeznawać? - zapytała Raglan z nagłą złością.
- Tego wciąż jeszcze nie wiem. - W ogniu bitwy czasami niewinne kłamstewko było nieodzowne.

- Każdego innego adwokata posłałabym prosto do diabła - warknęła, a w jej oczach błysnęły wściekłe płomienie.

- Nie wybieramy sobie świadków ani też klientów - odpowiedział równie wściekłym sykiem, udając, że też zaczyna się złościć. - Wiesz o tym dobrze.

- Tak chcesz to rozegrać? W porządku. Ale nie zapominaj, że chciałam się dogadać. - Raglan wyprostowała się, odwróciła do sekretarza sądowego. - Proszę zawiadomić panią sędzię, że jesteśmy gotowi - powiedziała, zmuszając się do pogodnego tonu. - Musieliśmy z szanownym kolegą porozumieć się w kwestii formalnej.

DiPaulo poczuł nagłe zdenerwowanie. Będzie rzeźnia, pomyślał.

- Jako ostatniego świadka oskarżenie wzywa pana Jasona Wylera - ogłosiła Jennifer Raglan, kiedy sędzia i przysięgli zajęli swoje miejsca.

Wyler siedział na tyłach sali. DiPaulo odwrócił się, aby spojrzeć na niego, podobnie zresztą jak wszyscy obecni. Tani chwyt, Jennifer, pomyślał, specjalnie posadzić inwalidę jak najdalej, żeby podkreślić, w mało subtelny, szczerze mówiąc, sposób, jak bardzo musi się namordować, żeby dotrzeć na miejsce dla świadka.

W sali zapadło całkowite milczenie. Jason Wyler kroczył przejściem pomiędzy ławkami, z wysiłkiem przestawiając nogi. Jego dwie laski z piskiem tarły wypastowaną podłogę. DiPaulo złowił spojrzenie Samantha i wskazał oczami leżące przed nim papiery, w ten milczący sposób nakazując jej opuścić wzrok. W miarę zbliżania się do miejsca dla świadka Jason Wyler oddychał z coraz większym trudem. Adwokat rzucił okiem w kierunku ławy przysięgłych. Wszyscy albo patrzyli w bok, albo siedzieli ze spuszczoneymi głowami - byle tylko nie patrzeć na człowieka wspartego ciężko na dwóch laskach.

W końcu Wyler dotarł do barierki. Sekretarz sądowy obejrzał się na sędzię, przechylając głowę w niemym pytaniu: Czy mam mu pomóc? Norville potrząsnęła przecząco głową.

Stękając ciężko, Jason Wyler wspiął się po schodkach i chwycił barierki, aby utrzymać równowagę. Potem usiadł.

- Proszę zaprzysiąc świadka - zwróciła się do sekretarza Jennifer Raglan, tonem swobodnym, jakby mówiła o człowieku, który przybiegł tutaj w podskokach, bez najmniejszego trudu.

- Panie Wyler - zaczęła, wychodząc zza swojego stołu, gdy urzędnik odłożył Biblię. - Terry był pańskim bratem.

Ślicznie, Jennifer, pochwalił w myśli DiPaulo. Mów o ofierze morderstwa jak o bliskim, o członku rodziny.

- Rodzice mieli nas trzech - odparł Jason. - Ja byłem średni, a Terry najmłodszy.

- Był panu bliski?

To pytanie nie miało najmniejszego znaczenia, ale Raglan wiedziała dobrze, że DiPaulo nie zgłosi sprzeciwu. Zdenerwowałyby ławników, że przerywa biednemu inwalidzie.

- Nasza rodzina jest mocno zżyta. Od dzieciństwa nam wpajano, że mamy trzymać się razem. Pracujemy we trzech w... - Wyler zamknął oczy, potrząsnął głową. - Chyba powinienem powiedzieć: pracowaliśmy. Bo teraz mój brat nie żyje.

Raglan zbliżyła się do barierki.

- Czy zna pan oskarżoną? - zapytała poufałym tonem, pochylając się nad świadkiem i tak samo jak podczas swojej mowy początkowej wskazała Samanthę Wyler palcem.

- Od sześciu lat - potwierdził Jason. - Odkąd rzuciła posadę w banku i zaczęła pracować w naszej firmie. - Zmierzył ją wściekłym spojrzeniem, a ona, według instrukcji DiPaulo, który to przewidział, opuściła głowę.

- Z tego, co mi wiadomo, oskarżona poznała pańskiego brata mniej więcej rok po przyjęciu pracy w Wyler Foods. Terrance przyjechał wtedy do Kanady, aby odwiedzić rodzinę.

- W tamtym czasie Terry mieszkał w Stanach. Co roku, latem, urządzamy u nas w domu firmowego grilla, więc przyjechał do nas. Ja nie mogłem już wtedy pracować, więc był nam potrzebny. Poznał Sam i zanim zdążyliśmy się obejrzeć, byli już parą. Mama chciała im wyprawić duże wesele, ale oni uciekli i wzięli ślub potajemnie.

Oczywiście to był pomysł Samantha.

- Dlaczego mówi pan: oczywiście? - zapytała Raglan.

- Ona zdominowała całe jego życie. Simona, który przyszedł na świat rok później, prawie nie widywaliśmy. Mama zapraszała wszystkich na niedzielny obiad, a Samantha zawsze umiała znaleźć jakąś wymówkę, żeby tylko nie przyjść. Zmusiła Terrance'a do odejścia z Wyler Foods. Założyli razem własny sklep. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że chce go odciąć od rodziny.

DiPaulo wiedział, że przy takim świadku sprzeciw można zgłosić tylko raz. Postanowił wykonać ten ruch.

- Przepraszam - odezwał się, bez pośpiechu odmierzając słowa.

- Nie chciałbym przerywać zeznania, ale być może wysoki sąd ze chce poinstruować pana Wylera, że wolno mu mówić wyłącznie o tym, czego sam był świadkiem, nie może natomiast wyrażać przed sądem niczyich poglądów, własnych ani też cudzych.

Wyler łypnął na niego ze złością. DiPaulo wiedział, że ławnicy niezwykle szybko uczą się podstawowych reguł składania zeznań i zorientują się, że racja jest po jego stronie. Współczucie współczuciem, ale z całą pewnością nie spodoba im się, że świadek próbuje koloryzować.

- Pani Raglan, pan DiPaulo ma słuszość - oznajmiła sędzia Norville, nie pytając nawet prokuratora, co sądzi o tym sprzeciwie. Raglan rozumnie uznała, że lepiej się nie stawiać.

Przewodnicząca rozprawie uniosła się z fotela i pochyliwszy się nad świadkiem, powiedziała takim tonem, jakby powierzała mu wielką tajemnicę:

- Panie Wyler, wszyscy rozumiemy, że to dla pana niezwykle trudne, ale bardzo proszę mówić tylko o tym, co sam pan widział i słyszał. W porządku?

- Tak, wysoki sędzie - odparł, ale nie było po nim znać skrucy.

- Czy często widywał pan brata w towarzystwie oskarżonej? - zapytała Raglan.

Jason uniósł prawą rękę - widać było, że łokieć ma mocno zdeformowany - i oskarżycielsko wycelował w Samanthę palec.

- Prawie zawsze, kiedy widziałem ich razem, coś musiało się stać.

Przez kolejne pół godziny Raglan wyciągała od średniego z braci Wylerów kolejne opisy rodzinnych niesnasek, a on opowiadał o tym, jak to w pierwsze Boże Narodzenie po ślubie Terrance i Samantha pokłócili się na kolacji w domu rodziców, jak raz Samanthą wyszła z przyjęcia urodzinowego jego matki, a on wybiegł za nią i jak urządzili widowisko w jachtklubie.

- Czy widział pan kiedyś, aby dochodziło pomiędzy nimi do aktów przemocy małżeńskiej?

- Na własne oczy? Nie, nie widziałem. - Było jednak ewidentne, że bardzo wiele mu się wydawało i aż się skręca, żeby o tym opowiedzieć. Sprzeciw zgłoszony przez DiPaulo był jak oliwa wylana na fale; trzymał, ale ledwo co.

- Czy pański brat rozmawiał z panem na temat swoich relacji z żoną?

Wyler potrząsnął głową, oblewając się nagłym rumieńcem.

- Mój brat był dla mnie jak otwarta księga. W dzieciństwie mieszkaliśmy w jednym pokoju. Ale o Samancie nigdy nie chciał mówić.

Raglan przytaknęła ze zrozumieniem.

- A może oskarżona rozmawiała z panem na temat Terrance'a? - zapytała.

DiPaulo poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach.

- Jeden raz - odpowiedział Jason Wyler.

Adwokat przebiegł wzrokiem po twarzach ławników. Chłonęli każde słowo.

- Co pan wtedy od niej usłyszał?

DiPaulo znał odpowiedź na to pytanie, czytał protokół z przesłuchania, bo otrzymał go z prokuratury, nie mógł jednak w żaden sposób zapobiec złożeniu tego zeznania. To była cena za blef, dzięki któremu jego przeciwniczka powołała średniego z braci Wylerów na świadka.

- Mówiła, że czasami bierze ją taka złość, że trudno jej nad sobą zapanować.

- Kiedy padły te słowa?

- Ostatniego dnia przed morderstwem mojego brata.

- Czy Samantha wyjaśniła panu, co ją tak bardzo złości?

- Wszystko ją złościło. Że mąż ją zostawił dla innej kobiety. Że nie przykładał się do pracy nad ich wspólnym interesem. Że buntuje Simona przeciwko niej. Ona nienawidziła całej mojej rodziny.

- Czy mówiła coś jeszcze? - ciągnęła dalej Raglan.

- Zadzwoiła do mnie z prośbą, abym porozmawiał z Terryem i spróbował go przekonać, żeby przyjął jej propozycję ugody, którą złożyła mu w ostatniej chwili.

- Co pan odpowiedział na tę prośbę?

- Że już próbowałem i jeszcze będę próbował, ale lepiej nie liczyć, że mi się uda, bo Terry podjął już decyzję.

- I co na to Samantha?

- Zdenerwowała się.

- Czy coś mówiła?

DiPaulo wzdrygnął się nieznacznie, wiedząc, że teraz zaboli.

- Powiedziała: „Pocałujcie mnie w dupę, ty i cała ta wasza rodzina”. A potem rzuciła słuchawką.

- Czy rozmawiał pan z nią po tym zajściu?

Jason obejrzał się na Samanthę, która nie spuszczała z niego wzroku.

- To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem.

- Dziękuję, panie Wyler - powiedziała prokuratorka. - Nie mam więcej pytań - oznajmiła, wracając na miejsce.

Inwalida sięgnął po swoje laski i obrócił się na siedzeniu, chcąc zejść z podwyższenia. DiPaulo wstał zza stołu.

- Przepraszam, wysoki sędzie. Chciałbym zadać świadkowi własne pytania.

Mówiąc to, czuł na sobie niechętnie spojrzenia ławników; wiedział, że gardzą nikczemnym adwokacina, który chce dręczyć

biednego, pogrążonego w rozpacz kalekę, każąc mu składać dodatkowe zeznania.

Sędzia Norville, również porwana nastrojem chwili, chętnie zwolniłaby Wylera. Zmierzyła DiPaulo gniewnym wzrokiem, szybko jednak się otrząsnęła.

- Oczywiście. Panie Wyler, niestety nie może pan jeszcze wrócić na miejsce. Obronca ma do pana kilka pytań.

A skąd wiesz, pomyślał adwokat, że to będzie tylko kilka?

Jason Wyler zauważalnie oklapł. Wyglądał na wyczerpanego. Sędzia sama, bez pytania, podała mu szklankę wody. Pił z niej długo.

DiPaulo wyszedł zza swojego stołu, aby nie tworzyć zbytecznego dystansu. Nie mógł się jednak zdecydować, które miejsce sobie wybrać. Gdyby stanął w pobliżu świadka, wyszedłby na groźnego, agresywnego inkwizytora, nie miał więc innego wyjścia, jak wcisnąć się między ławę przysięgłych a stół dla oskarżenia. Ławnicy nie będą mogli okazywać mu niechęci i złości, kiedy stanie im tuż przed samym nosem.

Powoli przeszedł na upatrzone miejsce. Nie zabrał żadnych notatek. Najtrudniejsze w przesłuchaniu świadka strony przeciwnej było pierwsze pytanie, które musiało trafić w dziesiątkę. DiPaulo wiedział jednak z praktyki, że choćby przygotowywał się nie wiadomo ile, to pytanie zawsze przyjdzie mu do głowy dopiero w ostatniej chwili.

A w wypadku tej ławy przysięgłych nie mógł liczyć na cierpliwość. Musiał wstrzelić się z miejsca.

62.

Ari Greene patrzył, jak Ted DiPaulo przystaje tuż obok barierki przed ławą przysięgłych i zwraca wzrok na Jasona Wylera siedzącego na krześle dla świadków. Adwokat był mężczyzną o imponującej posturze, a teraz wszedł lwu prosto w paszczę. Trzeba było przyznać, że nie brakuje mu odwagi.

W sądzie Greene zawsze starał się zachowywać neutralnie. Nie unosił wysoko głowy, regularnie notował i starał się, aby przysięgli widzieli w nim wcielenie obiektywności. Trudno mu było jednak nie obserwować tego, co się działo, pokusa była zbyt wielka. Jeszcze żaden świadek nie powiedział prokuratorowi całej prawdy. A DiPaulo nigdy nie zdecydowałby się przesłuchać inwalidy, który potrzebuje dwóch lasek, żeby chodzić, gdyby nie miał jakiegoś asa w rękawie.

- Panie Wyler, czy to prawda, że moja klientka od chwili aresztowania w żaden sposób nie próbowała się z panem kontaktować? - Adwokat zaczął spokojnie, rzeczowym tonem.

- Tak, to prawda - przyznał Wyler.

Początek był dobry: dowieść, że oskarżona okazała szacunek rodzinie zamordowanego.

- To trochę dziwne, nie sądzi pan? Przecież o ile się nie mylę, przez sześć lat utrzymywaliście państwo stały, niemalże codzienny kontakt. Mylę się?

Twarz Jasona zapłonęła gniewem. Rzucił bratowej nienawistne spojrzenie, po czym zaciął usta. Greene zauważył, jak ławnicy wyciągają szyje i nadstawiają uszu.

- Dzwoniliście państwo do siebie i pisaliście e-maile, a raz na jakiś czas spotykaliście się potajemnie w Rosedale, na ustronnej kładce dla pieszych. - Głos adwokata nabrał twardości. - Czy tak było?

Wyler obejrzał się na Jennifer Raglan, potem na ławę przysięgłych. Miał wzrok zwierzęcia w potrzasku.

- Tak właśnie było, prawda, panie Wyler? - powtórzył DiPaulo.
- Czasami się kontaktowaliśmy - przyznał inwalida.

Greene opuścił głowę, zanotował tę odpowiedź. Taka niejednoznaczność sugerowała, że świadek ma coś do ukrycia.

- Korzystaliście z anonimowego konta e-mailowego, które pan założył, zgadza się? - DiPaulo, nie czekając na reakcję, wrócił do swojego stołu, wziął teczkę i wyjął z niej plik kartek. Dwie położył przed Jennifer Raglan, a kolejne dwie, dla przewodniczącej rozprawie, wręczył sekretarzowi sądowemu. Następną kopię przekazał protokolantowi, po czym wrócił do świadka i stanąwszy tuż przed samą barierką, podał mu jedną kartkę z dwustronicowego, jak się wydawało, kompletu.

- Firma nazywa się bigstring.com. To jest wydruk z ich strony internetowej. Piszą o sobie tak: „Korporacja BigString oferuje nową, rewolucyjną usługę e-mail, dzięki której użytkownicy mają kontrolę nad wysyłanymi wiadomościami”. I dalej, chwileczkę, niech zobaczę... Jest: „Atutem konta BigString jest poufność i bezpieczeństwo twojej poczty”.

Wyler nawet nie spojrzął na podsuniętą mu kartkę.

- Innymi słowy, te e-maile są niewykrywalne - wyjaśnił DiPaulo.

Świadek w dalszym ciągu milczał.

- Czy to się zgadza? - zapytał adwokat.

Wyler przytaknął bez słowa.

- Wysoki sądzie - poprosił DiPaulo - czy można zaprotokołować, że świadek przytaknął skinieniem głowy?

- Proszę - zgodziła się sędzia Norville.

Adwokat położył przed Wylerem drugą kartkę.

- Do zacierania śladu rozmów telefonicznych posłużył się pan witryną covercalling.com - oznajmił i odczytał: - „Dzięki covercalling.com zmiana identyfikatora dzwoniącego staje się prosta”. W ten sposób tuszował pan fakt, że dzwoni do bratowej. - To już nawet nie było pytanie, ale stwierdzenie faktu.

Wyler patrzył się tępo przed siebie, odwracając wzrok od ławki, na której siedziała jego rodzina.

Greene znów zaczął notować, ale myślał przy tym gorączkowo. Po aresztowaniu Samantha Wyler polecił Danielowi Kennicottowi sprawdzić jej blackberry, laptopa i wszystkie inne wykazy połączeń telefonicznych. Żaden ze znalezionych tam numerów nie należał do jej kalekiego szwagra.

W końcu Jason Wyler przemówił:

- Pisaliśmy do siebie e-maile. Lubię komputery. W firmie pracuję właśnie na komputerze. Mogę śledzić ceny żywności na całym świecie. Blackberry zapewnia mi ciągły kontakt z braćmi... No, teraz już z jednym bratem.

Odpowiedź w takim stylu, długa i rozwlekła, była normą, gdy świadek chciał odejść od tematu. Greene zerknął na Raglan. Prokuratorka patrzyła prosto przed siebie, robiąc dobrą minę, ale on i tak wiedział, że w środku cała się gotuje. DiPaulo wywiódł ją w pole: odstawił przed nią szopkę, a ona uwierzyła, że przesłuchanie Jasona Wylera jest mu nie na rękę. Dała się nabrać.

- Gdybym panu powiedział - ciągnął dalej adwokat - że korespondencja e-mailowa pomiędzy panem a moją klientką trwała siedemdziesiąt dwa miesiące i osiągnęła łączną liczbę tysiąca czterdziestu dziewięciu wiadomości, to mam wrażenie, że zgodziłby się pan z tym szacunkiem, prawda?

Wszystkie cyfry wyrecytował z pamięci, dzięki czemu jego słowa zyskały na autentyczności.

- Możliwe - odparł Wyler i to wystarczyło: równie dobrze mógłby powiedzieć „tak”.

- A przerwa w korespondencji nigdy nie wyniosła dłużej niż dziesięć dni. Tak było?

- Chyba tak. Samantha też lubiła porozmawiać.
- A poza tym zdobywała dla pana informacje, prawda?
- Interesowała się moją chorobą. Jest inteligentna. Bez przerwy szukała nowych kuracji, nowych leków.

Raglan napisała coś na kartce, którą podsunęła siedzącemu obok niej Greene'owi, zasłaniając dłonią, żeby sędzia nie zauważyła. *W mordę*, było tam napisane, *Ted wystawił mnie do wiatru. Kiedy mam zgłosić sprzeciw?*

Greene rzucił okiem na ławników. Nie odrywali wzroku od świadka. *W ogóle*, odpisał. *Wyjdzie na to, że bronisz Wylera. Tylko pogorszysz tym sprawę.* Wsunął jej kartkę pod łokieć.

Raglan przebiegła spojrzeniem wiadomość i skinęła krótko głową na znak, że się zgadza.

- Nie chcę sugerować, że pański kontakt z bratową był w jakimkolwiek sensie nie na miejscu - dodał DiPaulo. - Wręcz przeciwnie. Wspieraliście się nawzajem. Utrzymywaliście kontakt nawet po tym, jak rozstała się z mężem.

- To prawda.

DiPaulo wziął głęboki wdech.

- Zwracaliście się do siebie wymyślonymi skrótami. Samantha nazywała pana „mdr”, co miało oznaczać „mądrała”, a pan ją „knk”, czyli „kujonka”.

Wyler zakotłosał głową. Atmosfera sądu ma to do siebie, że w sposób równie niepojęty jak alchemia budzi w ludziach pamięć, odsyła do przeszłości. I to właśnie działo się z Jasonem Wylere. Ze wszystkich sił czepiał się złości, chcąc pozostać tu i teraz, ale bez skutku: wpadał w koleiny wspomnień.

- Ze względu na urodę ludzie źle oceniali Sam - powiedział niespodziewanie donośnym głosem. - Woleli, żeby nie była zbyt inteligentna.

Wciąż podpierał się laskami, ale jedna dłoń obsunęła mu się i zaczęła dygotać. Chwytał się barierki. Obecni na sali ludzie zadrżeli, jakby słowa tego świadka były wstrząsem sejsmicznym zdolnym zaburzyć równowagę całego procesu i zachwiać oskarżeniem. Jason

Wyler wyzywającym gestem uniósł jedną ze swoich lasek.

- Wszyscy inni widzieli we mnie tylko to, ale nie Sam. Ona mnie słuchała, naprawdę słuchała. Myślałem, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

Sędzia Norville strzeliła gniewnym spojrzeniem najpierw w kierunku DiPaulo, a potem zwróciła wzrok na Jennifer Raglan. Było w nim nieme pytanie: „Do czego pan mecenas zmierza i kiedy wreszcie pani prokurator zgłosi sprzeciw?”. W sali było cicho jak makiem zasiał.

- Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości - powiedział adwokat. - Zdaje się, że nie mam już więcej pytań.

Widać było, że Jason Wyler jest zdezorientowany. Teraz, gdy jego sekret wyszedł już na jaw, był gotów stawić zacięty opór.

DiPaulo wrócił za stół dla obrony, pochylił się nad swoją klientką i zaczął szeptać jej coś do ucha, uważając, żeby nie załonić widoku ławnikom. Greene siedział w takim miejscu, że dostrzegł, jak Samantha Wyler kiwa potakująco głową, spoglądając w stronę podwyższenia dla świadka. Jason unikał jej wzroku. Detektywowi przyszło do głowy, że tych dwoje ludzi prawdopodobnie widzi się ostatni raz w życiu.

Samantha podała adwokatowi kawałek papieru, a on, rzuciwszy na niego okiem, położył jej dłoń na ramieniu.

- Panie Wyler... - Urwał, spoglądając jeszcze raz na kartkę. - Chcę panu podziękować za odwagę i uczciwość, którymi się pan dziś wykazał.

Zabrzmiało to podniośle, a nie, tak jak zwykle, gładko i pewnie. Słychać było wyraźnie, że adwokat odczytuje słowa swojej milczącej klientki.

Kiedy wsuwał się za stół, aby usiąść, Samantha, która na wszystkich rozprawach siedziała w niemalże całkowitym bezruchu, nagle wyciągnęła dłoń w stronę kartki, pokazując mu, żeby czytał dalej.

DiPaulo odchrząknął i pociągnął za poję swojej togi.

- Hmm... Jeszcze jedno...

Samantha Wyler ponownie spojrzała tam, gdzie siedział świadek,

a Jason już nie unikał jej wzroku. Po raz pierwszy popatrzyli sobie w oczy.

- Dziękuję za odwagę i uczciwość nie tylko dziś, ale i zawsze - powiedział DiPaulo.

Wyler wyprostował się i skinął Samancie głową. Adwokat zamachał rękami w powietrzu.

- Wie pan, gdy się nosi taki strój i trzeba przestrzegać wszystkich sądowych formalności, czasami łatwo zapomnieć, że tak naprawdę podczas każdego procesu chodzi o człowieka. - W jego głosie znów brzmiała dawna pewność siebie. Odnalazł właściwy rytm. - Z całą pewnością wszyscy tutaj zgromadzeni rozumieją, że dla pana i pańskiej rodziny było to niezwykle trudne przeżycie.

Greene miał natomiast całkowitą pewność czego innego: że Jason Wyler kompletnie nie słyszy tych ostatnich, rzucanych naprędce uwag DiPaulo. Zamiast go słuchać, wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w kobietę, która była prawdopodobnie najlepszą przyjaciółką, jaką miał w całym swoim życiu.

63.

Jako swojego pierwszego świadka obrona wzywa panią Samanthę Wyler - oznajmił Ted DiPaulo, kładąc palce na grubym bloku, w którym miał zapisane pytania do oskarżonej - łącznie trzydzieści sześć stron. Jego taktyka była następująca: wyczerpać temat samego, tak aby przysięgli usłyszeli całą prawdę, tę dobrą, tę złą i tę brzydką, a oskarżenie nie miało już o co zapytać.

Kiedy Samantha składała przysięgę, adwokat patrzył na ławników. Widział spojrzenia pełne wrogości i fascynacji zarazem. Przypatrywali jej się od pierwszego dnia procesu, a do tej pory mieli okazję usłyszeć z jej ust tylko trzy słowa: „Nie przyznaję się”.

Podczas przesłuchania każdego świadka cała sztuka polega na tym, aby pozwolić mu być sobą. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. DiPaulo wiedział, że nie ma żadnych szans, aby przysięgli polubili Samanthę Wyler. Mógł liczyć co najwyżej na to, że ją zrozumieją, a dzięki temu zaczną jej wierzyć.

Zaczął od pytań o dzieciństwo w Cobalt, śmierć ojca, którego odnalazła na rodzinnej stacji benzynowej, stypendium na Uniwersytecie Miasta Toronto. Następnie zainteresował się jej przerwana kariera bankowa, przejściem do Wyler Foods, gdzie zatrudnił ją Nathan Wyler, pierwszym spotkaniem z Terrance'em, ślubem, narodzinami dziecka i otwarciem własnego sklepu.

- Jak pani sądzi, czy to było udane małżeństwo, czy nie? - zapytał w pewnym momencie.

Tak jak to ustalili, Samantha spuściła wzrok i złożyła dłonie na kolanach.

- Udał nam się Simon, nie udało - wspólne życie. Oboje byliśmy temu winni, chociaż ja pewnie bardziej. Po urodzeniu dziecka pracowałam cały dzień w naszym sklepie. Nie poświęcałam Simonowi tyle czasu, ile trzeba.

O Brandona Legacy adwokat zapytał dopiero po porannej przerwie na kawę.

- Pani Wyler, przed sądem zeznawał młody syn państwa sąsiadów...

- Brandon. - Zgodnie z planem Samantha skrzyżowała ramiona w geście pełnym bezradności. - To prawda, że byłam tamtej nocy u niego. Nie skłamałam też, mówiąc, że do zażyłości pomiędzy nami dochodziło tylko sporadycznie. Oczywiście, nie jest to żadne usprawiedliwienie.

Bardzo długo szukali odpowiedniego słowa, aby powiedzieć o seksie. „Zażyłość” była jak znalazł. Oskarżona potrząsnęła głową.

- Nie powinnam do tego dopuścić, ale tak się stało. To była moja wina, w całej rozciągłości. Czułam się bardziej jak jego mentorka niż... niż jak... Brak mi słów.

Udało jej się idealnie wyważyć proporcję pomiędzy wstydem a zażenowaniem. Umówili się, że powie: „tak się stało”, bezosobowo, tak jakby przygodny seks z nastolatkiem był czymś naturalnym, niczym nagła burza, której zwyczajny śmiertelnik nie może powstrzymać w żaden sposób.

- Porozmawiajmy o pani napadach złości. O e-mailach do męża i nagraniach na pocztę głosową. - DiPaulo skrupulatnie odtworzył każde nagranie i odczytał po kolei wszystkie e-maile. Trwało to tak długo, że wszyscy zaczęli się nudzić.

Kiedy skończył, Samantha Wyler bezwładnie opuściła skrzyżowane ręce, co miało oznaczać, że jest bezbronna wobec własnych emocji i nie potrafi utrzymać ich w ryzach.

- Przyznaję, były takie dni, kiedy nie umiałam zapanować nad złością. Dzwoniłam wtedy do niego, pisałam e-maile. To było głupie. Nie mam usprawiedliwienia. Bardzo się wstydzę. Szukałam

choćby zamiast kontaktu z mężem. Nie chciałam go krzywdzić, tylko utrzymać ten kontakt.

- Z mężem - powtórzył DiPaulo. To słowo było mu potrzebne. Chciał pokazać ławnikom kobietę opuszczoną, która cierpiała męki samotności, ale bynajmniej nie snuła morderczych planów. Razem podjęły decyzję, że podczas składania zeznań Samantha będzie miała na palcu ślubną obrączkę.

Do południa ławnicy zapoznali się z tym, co oskarżona robiła w noc morderstwa; usłyszeli, że w niedzielę wieczorem była w domu Brandona Legacy i grała z nim na komputerze, a potem dostała e-mail z wiadomością, że „mąż” zgadza się na zaproponowane przez nią warunki ugody.

Samantha Wyler była bezlitośnie samokrytyczna, a atmosfera na sali rozpraw z godziny na godzinę ulegała zmianie.

- Co pani zobaczyła po wejściu do domu męża? - Tak brzmiało pierwsze pytanie, które zadał jej DiPaulo po przerwie na obiad. Ta część zeznania nie była zbyt starannie wyreżyserowana, ponieważ przede wszystkim zależało mu na autentyczności. Odpowiedzi musiały być spontaniczne. Przysięgli zawsze umieją poznać, kiedy świadek recytuje wykute na pamięć kwestie.

Samantha mrugnęła oczami, błędząc spojrzeniem gdzieś ponad głową adwokata.

- To było tak, jakbym cofnęła się do dnia, kiedy zginął mój ojciec. Podnośnik hydrauliczny nie wytrzymał. A ja go znalazłam. To samo poczułam, widząc Terry'ego na podłodze w kuchni. Dokładnie to samo.

Po jej policzku spłynęła łza.

- W jednej chwili cała zeszywniałam - powiedziała, wyęzając wszystkie siły, aby nie zgiąć karku i nie opuścić głowy. Na kolejne łzy nie zwracała już uwagi.

- Proszę. - Sędzia Norville podała jej pudełko chusteczek.

Samantha Wyler potrząsnęła głową, ocierając twarz wierzchem dłoni. Wyglądało to tak, jakby opędzała się od natrętnych komarów.

- Pobiegłam na górę, do Simona. Płakałam. Wydawało mi się, że to już koniec mojego życia. Byłam w szoku. Zawinęłam nóż w ścierkę do naczyń i wyszłam z domu. Szłam przed siebie, a kilka godzin później znalazłam się przed drzwiami kancelarii mojego adwokata rodzinnego. Było już jasno. Nie wiem nawet, jak tam dotarłam. Nic więcej nie pamiętam.

Do tego fragmentu przesłuchania DiPaulo nie przygotował sobie żadnych pytań. Sądowy dramatyzm był niezwykle cenny właśnie dlatego, że miał własny wyraz. Musisz być pewny siebie, upomniał się w myślach. Zaufaj instyktowi.

Zegar wskazywał piętnastą trzydzieści. Adwokat wiedział, że gdyby teraz zakończył przesłuchanie, to sędzia Norville zrobi dwudziestominutową przerwę, a jego przeciwniczce zostanie już dosłownie chwila do końca posiedzenia. Jeśli nie zacznie swojego przesłuchania, to ławnicy zapamiętają oskarżoną w bardzo pozytywny sposób i wrócą do domu nastawieni do niej zyczliwie.

Siedząca za barierką Samantha wyglądała na bezradną i bezbronną, a jednocześnie biła od niej determinacja. Nic więcej już nie zdziałasz, podszeptał mu wewnętrzny głos.

- Wysoki sędzie, to wszystkie pytania z mojej strony - oznajmił, a zanim usiadł, spojrzął jeszcze na Jennifer Raglan. - Świadek jest do dyspozycji oskarżenia.

Norville zerknęła na zegar.

- Czas na popołudniową przerwę. - Uniosła się z fotela.

Raglan natychmiast zerwała się na równe nogi.

- Bardzo przepraszam, wysoki sędzie.

- Słucham. - Norville spojrzała na nią krzywo.

- Za pozwoleniem wysokiego sądu, mam pewną prośbę. Jak wysoki sąd zapewne zauważył, detektyw Greene, prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Terrance'a Wylera, po przerwie obiadowej nie wrócił razem ze mną na salę rozpraw.

DiPaulo obejrzał się na stół dla prokuratora. Samantha tak bardzo zaprzętnęła jego uwagę, że nawet nie spostrzegł nieobecności Greene'a. Gdzie on się podział?

- Detektyw Greene wróci jutro rano - wyjaśniła Raglan - i wtedy, jeśli można, wolałabym rozpocząć przesłuchanie świadka.

Norville uniosła dłoń w geście sprzeciwu.

- Pani Raglan, jest pani doświadczoną prokuratorką. Ława przysięgłych jest obecna w pełnym składzie, a ja nie chcę tracić cennego czasu pracy sądu.

- Ten proces toczy się bardzo sprawnie. - Raglan była zdecydowana się bronić.

- Panie DiPaulo, co pan na to? - zapytała sędzia.

Adwokat nie miał pojęcia, co zamierzają jego przeciwnicy, był jednak pewien, że jeśli zacznie się stawiać, prokuratorką zażąda, aby przysięgłych wyprowadzono i powie sędzi coś w takim stylu: „Podczas przedpołudniowego przesłuchania świadka pojawiła się pewna kwestia. Detektyw Greene opuścił sąd, aby zbadać sprawę, a ja nie mogę rozpocząć przesłuchania oskarżonej, dopóki nie dowiem się, co ustalił”.

Sędzia Norville będzie musiała zgodzić się na prośbę oskarżenia, a Raglan zyska to, że ławnicy będą uważnie słuchali jej jutrzejszego wystąpienia. Ponieważ jednak przysięgli zawsze są zadowoleni, gdy mogą wyjść z sądu trochę wcześniej, uznał, że najlepiej będzie postąpić szlachetnie i przy okazji nabić sobie trochę punktów.

- Wysoki sędzie, wiem, że powinienem zostawić własną opinię dla siebie - powiedział - ale widzę, że zeznanie mojej klientki zrobiło na wszystkich tak duże wrażenie, że moja szanowna koleżanka będzie potrzebować nieco więcej czasu, aby dobrze się przygotować do przesłuchania.

Od strony ławy przysięgłych dobiegły stłumione chichoty.

- Proszę przysięgłych, aby nie brali pod uwagę autopromocyjnego komentarza pana DiPaulo - parsknęła sędzia Norville.

- Miło mi widzieć koleżeńską grzeczność pomiędzy obroną a oskarżeniem. Pani Raglan ma rację. Wszyscy pracowaliśmy bardzo ciężko. Posiedzenie rozpocznie się jutro o dziesiątej rano.

Jutro o dziesiątej rano, powtórzył w myśli DiPaulo, spoglądając na swoją klientkę, tkwiącą samotnie za barierką dla świadka. Ten

widok obudził w nim wspomnienie chwili, kiedy zauważył, że jego dzieci zaczynają się usamodzielniać. Dla Samantha Wyler, tak jak i dla nich, zrobił wszystko, co było w jego mocy. Teraz, zdana wyłącznie na własne siły, musiała się zmierzyć z potężnym przeciwnikiem, jakim była Jennifer Raglan. I z jej pomocnikiem, Arim Greene'em. Gdzie on się podział? Czego się dowiedział?

64.

Już wiem, co mnie tak dziwi, myślał Ari Greene, maszerując główną ulicą New Liskeard. Skrzypiący pod podszewami śnieg. Od samego urodzenia detektyw zazwyczaj spędzał zimę w Toronto, gdzie pogoda była mniej sroga, a powietrze mniej suche. W małym miasteczku na północy prowincji Ontario powitał go natomiast czterdziestostopniowy mróz; skale Celsjusza i Fahrenheita spotkały się na termometrze, a w trzaskającym powietrzu jego kroki brzmiały twardo, przenikliwie i bardzo wyraźnie.

Nikomiu z miejscowych mróz, zdawało się, nie przeszkadzał w najmniejszym stopniu.

- Przyzwyczajają się człowiek - wyjaśnił Greene'owi pracownik stacji benzynowej na autostradzie numer jedenaście, gdzie detektyw zatrzymał się około siódmej wieczorem, aby zatankować. Facet nie nosił nawet rękawiczek.

- Nie znoszę zimy w Toronto. Okropna wilgoć - poinformowała go z kolei kobieta zagadnięta na przejściu dla pieszych w centrum miasteczka. Nie miała nawet czapki na głowie.

Główna ulica New Liskeard zwracała uwagę klimatem retro, rodem z lat pięćdziesiątych. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tam witryny lokalnych sklepików i zakładów usługowych: tu obuwniczy, tam dwa z konfekcją damską i jeden z męską, rzeźnik, fryzjer, jubiler, sprzęt elektroniczny, rowery, kilka restauracji. Ani jednego sieciowego domu towarowego. Za szybą biura podróży piętrzył się kopczyk białego piasku z zatkniętym plażowym parasolem, a dookoła

niego leżały książki o wakacjach w ciepłych krajach. Najbardziej rzucał się w oczy tytuł „Rejsy wycieczkowe dla opornych”.

New Liskeard leży na zachodnim brzegu jeziora Timiskaming, którego środkiem przebiega granica prowincji Ontario i Quebec. Ponieważ w Quebecu dominuje język francuski, na ulicach miasta - w mowie oraz przy okazji wszelkiego rodzaju napisów i znaków - dawała się zauważyć zupełnie swobodna dwujęzyczność. Greene nie zdziwił się wcale, widząc księgarnię o nazwie Le Chat Noir.

Księgarnia miała swojską, domową atmosferę, wzbogaconą elementami nieco bardziej wyszukanyymi, jak ciemne drewniane regały oraz dach kryty blachą, w bardzo dobrym stanie. Gustowne wrażenie robiła także knajpka we włoskim stylu, otwarta drzwi obok. Przy kasie wisiał ręcznie wymalowany plakat z ogłoszeniem, że tego dnia odbywa się „Piżamowy wieczór czytania książek”. Greene patrzył, jak w drzwiach kłębi się tłumek dzieci i rodziców, a wszyscy po kolei zdejmują długie zimowe płaszcze, spod których ukazują się piżamy, wyciągają z toreb kapcie i rozsiadają się na okrągłym dywanie przed sztucznym kominkiem.

Detektyw wszedł do włoskiej kawiarenki i zamówił ziołową liściastą herbatę, którą podano mu w niedużym dzbanku z filtrem i tłoczkiem. Łatwo było przelać z niego napar bez rozlewania, co było dużym plusem w porównaniu z restauracjami w Toronto, gdzie dzbanki przeważnie były z cienkiej blachy i ciekły na potęgę. Greene znalazł sobie miejsce i wyjrzał przez okno; po drugiej stronie ulicy stał gmach publicznej biblioteki, jednej z wielu ufundowanych przez słynnego biznesmana Andrew Carnegiego.

Przed wstąpieniem do kawiarenki zapoznał się z rysem historycznym tej placówki, podanym na tablicy stojącej na zasypanym śniegiem trawniku. W początkach dwudziestego stulecia Carnegie fundował biblioteki w całej Ameryce Północnej; większość z nich wybudowano w tym samym klasycznym stylu: fasada z miejscowego kamienia, a od frontu szerokie schody i funkcjonalny hol.

Ponieważ czasu miał dość, przejrzał sobie lokalną gazetę, „The Voice of the Shores”, czyli „Głos wybrzeża”. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: „Podejrzany przyznał się do kradzieży znaków drogowych”, a artykuł poniżej opisywał, jak to miejscowa policja zatrzymała osiemnastolatka, a po przeszukaniu jego pokoju znalazła kolekcję znaków „stop”, „ustęp pierwszeństwa przejazdu” oraz „uwaga, łosie na drodze”. W szafie krył się do kompletu zbiór dekli. Prawdziwa fala zbrodni, pomyślał Greene.

Mniej więcej za dziesięć ósma z biblioteki zaczęli wychodzić ludzie, zapinając szczelnie kurtki i płaszcze dla ochrony przed mroźnym wieczorem. Nie było ich zbyt wielu. Niedługo potem pogasły światła we wszystkich oknach z wyjątkiem jednego, na parterze.

Greene zapłacił za herbatę, kupił sobie dzbanek do parzenia oraz prezent dla ojca - biografię Tima Hortona, słynnego hokeisty i jeszcze słynniejszego założyciela wszechobecnej kanadyjskiej sieci barów. Horton pochodził właśnie z Ontario, a urodził się w kolejnym górniczym mieście, Timmins; tutaj, na północy, wciąż był gwiazdą hokeja.

Detektyw zabrał kurtkę i włożył ją na siebie, wychodząc na zewnątrz. Pomimo trzaskającego mrozu było zupełnie cicho: nie szumił wiatr, tylko kroki skrzypiały na śniegu. Przecinając ulicę, Greene zobaczył, jak Lillian Funke, bibliotekarka, zamyka drzwi na noc. Zapamiętał ją z rozpatrzenia wniosku o kaucję; matka Samantha Wyler wskazała ją na sali rozpraw.

- Już zamknięte - powiedziała spłoszona na widok obcego człowieka, który niespodziewanie wychynął z mroku.

- Jestem detektyw Ari Greene z Toronto. - Greene okazał jej odznakę. - Muszę z panią porozmawiać.

- Mam za sobą długi dzień pracy.

- To zajmie tylko kilka minut.

Bibliotekarka odetchnęła głęboko.

- Czy to może poczekać do jutra?

- Obawiam się, że nie. Wejdziemy do środka? Po chwili wahania Funke odpowiedziała:

- Sam nie złamała warunków zwolnienia, kiedy mieszkała tutaj. Prowadziła lekcje czytania w pomieszczeniu w piwnicy, a do domu wracała z bratem albo autobusem międzymiastowym. Czasem nawet szła pieszo. Ona uwielbia spacerować.

Wiatru nie było, ale mimo to mróz przenikał do szpiku kości. Greene zaczął dygotać.

- Mam nakaz rewizji. - Poklepał się po kieszeni na piersi. - Wołałbym go nie egzekwować w bibliotece publicznej.

Lillian Funke westchnęła: z jednej strony sympatia i przywiązanie, z drugiej - obowiązki pracownika na państwowej posiadzie.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. - Rzeczywiście, nie popisałam się gościnnością. Tu, na północy, bardzo o to dbamy. Proszę do środka. Zaparzę herbatę. W czym mogę panu pomóc?

W głównym holu, pełnym książek i plakatów, panowała ciepła, życzliwa atmosfera. Greene uznał, że gdyby był stąd, to nie szukałby schronienia nigdzie indziej, tylko tutaj.

- Potrzebna mi karta biblioteczna Samantha Wyler - oznajmił.

Lillian Funke cofnęła się o krok.

- To są poufne informacje.

Detektyw uśmiechnął się szczerze.

- Zgadzam się z panią w całej rozciągłości. Podobnie jak ona, w dzieciństwie praktycznie mieszkałem w czytelni mojej miejscowej biblioteki, na skrzyżowaniu Bathurst Street i Lawrence Avenue w Toronto. Do tej pory pamiętam panią Calvert, która dała mi do przeczytania „Folwark zwierzęcy”, kiedy miałem dziesięć lat.

- A więc rozumie pan.

- Rozumiem, że biblioteki mają swoje reguły i wiem, co to jest prywatność. Dlatego właśnie nie przekazałem egzekucji tego nakazu miejscowej policji, ale przyjechałem tutaj osobiście, aby pokazać pani, że chodzi o coś innego. - Zademontrował bibliotekarce dokument. - Pani Wyler jest oskarżona o zabójstwo z premedytacją. Te informacje mogą zadecydować o jej losie. Może nie zaszkodzą, ale właśnie pomogą. Co będzie - tego nie wiem, ale mogę pani powiedzieć jedno: musi mi pani udostępnić tę kartę.

65.

Pierwszy lepszy adwokat, myślała Jennifer Raglan, przesłuchuje swojego klienta przez godzinę albo dwie, a potem oddaje go oskarżeniu i modli się, żeby wyszedł cało z tej próby. Tylko że Ted DiPaulo nie był pierwszy lepszy. On przesłuchiwał Samanthę Wyler niemalże cały dzień. I było to znakomite posunięcie.

Kiedy oskarżona usiadła za barierką, Raglan postanowiła, że nie pozwoli sobie na sympatię do niej, jednakże w miarę jak padały odpowiedzi na kolejne pytania, czuła, że jej determinacja słabnie. Z każdą chwilą patrzyła łaskawszym okiem na tę surową, pełną frapujących sprzeczności kobietę. Była w niej jakaś samotność, jakaś bezbronność. I oczywiście, właśnie dlatego DiPaulo tak przeciągał przesłuchanie i rozwodził się nad każdym wybojem na drodze jej życia: chciał, aby jego przeciwniczka, kiedy nadejdzie jej kolej, nie miała o co zapytać.

Greene już wrócił i od rana siedział za stołem dla oskarżenia. Podróż do New Liskeard i z powrotem zajęła mu dwanaście godzin. Wrócił do Toronto o czwartej nad ranem, ale niczego nie było po nim znać. Był spokojny i opanowany jak zwykle.

Raglan zdawała sobie sprawę, że przysięgli czekają na fajerwerki, oczekują od niej, że zdemaskuje Samanthę Wyler, przejrząwszy jej naciąganą bajeczkę na wylot. Ona wiedziała jednak, że w prawdziwym sądzie nie ma miejsca na sensację prawniczą rodem z Hollywood. Nie było co liczyć na to, że oskarżona się złamie i przyzna do winy albo że nagle ktoś zerwie się z ławki i zawoła: „Ona mówi prawdę! Ja to zrobiłem!”.

Od czego zatem należało zacząć? Raglan nie chciała torpedować wersji wydarzeń przedstawionej przez Samanthę; wystarczyło ją podważyć. Zasiać chociażby jedną wątpliwość.

- Pani Wyler, ile ciosów nożem zadała pani mężowi? Siedem, zgadza się? - zapytała, wychodząc zza swojego stołu. Wyler, rzecz jasna, musiała zaprzeczyć, ale trzeba było pokazać, jak się wskakuje prosto w wir bitwy.

- Nie zabiłam swojego męża. Kiedy zjawiłam się u niego, już nie żył.

- Jest pani pewna? W tej kwestii pamięć pani dopisuje?

- Nie zadałam mu żadnych ciosów nożem.

- Proszę mi odpowiedzieć na pytanie. Czy dopisuje pani pamięć w tej kwestii?

- Tak.

- Ale była pani tej nocy w jego domu?

- Nie żył już wtedy.

- Pani Wyler, proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy była pani tej nocy w domu Terrance'a Wylera?

- Tak.

- Wybrała się pani tam, aby załatwić z nim sprawy, raz na zawsze. Zgadza się?

- Tak powiedziałam Brandonowi. Chciałam uniknąć procesu rozwodowego.

- I niby przypadkiem była pani tuż obok, u sąsiadów. Wygodnie.

- Wygodna nie miała z tym nic wspólnego.

- Ale była pani wtedy w domu sąsiadów?

- Tak.

Prokuratorka specjalnie starała się, aby każde jej pytanie było podchwytliwe, a oskarżona musiała odpowiadać tylko „tak” albo „nie”.

- A gdy zjawiła się pani u męża, co pani zobaczyła?

- Najpierw poczułam jakiś wstrętny zapach. To było coś nowego.

- Pamięta pani zapach?
- Bardzo dokładnie.

Raglan natychmiast uświadomiła sobie swój błąd. Ostatnim pytaniem sama zaakcentowała szczególnie dodający zeznaniu wiarygodności: po wejściu do domu zamordowanego oskarżona poczuła smród zwłok. Trzeba było kontrować, i to szybko.

- I nie wspomniała pani o tym na wczorajszym przesłuchaniu? - podchwyciła.

- Nie pomyślałam o tym.
- Zapomniała pani o czymś takim?
- Po prostu... dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

Raglan musiała nacierać dalej.

- Ale pamięta pani, jak poszła na piętro, do pokoju syna?

- Tak.

- I jak powiedziała mu pani, że teraz długo nie będziecie się widzieć?

- Tak.

- A to, jak zabrała pani nóż?

- Zawinęłam go w ścierkę do naczyń. Biało-czerwona.

- Czy są jakieś szczegóły, których pani nie pamięta?

- Nie.

- Wszystko ma pani wyraźnie przed oczami?

- Pamiętam jeszcze, że kiedy wyłączyłam muzykę, usłyszałam swój oddech.

- Muzykę? Jaką muzykę? - Raglan momentalnie pożałowała tego pytania.

- Z płyty. Piosenki Billy'ego Joela. Terry bardzo go lubił.

- O tym także nie wspomniała pani wczoraj ani słowem.

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Zapomniała pani?

- Pamiętam krew, zapach i odgłos swojego oddechu. Pamiętam muzykę.

Oskarżyciel zawsze musiał być świadomy pewnego ryzyka, a mianowicie tego, że sam, własnymi pytaniami, doda świadkowi

wiarygodności. Łatwo było przesadzić. Raglan zrozumiała, że jeszcze chwila i zacznie to wyglądać tak, jakby czepiała się kobiety, która naprawdę robi, co może, aby sobie przypomnieć, ze wszystkimi szczegółami, bardzo zawiłe i dramatyczne przejścia. Nadeszła pora, aby wrzucić drugi bieg. Dobrać się do czułych miejsc.

- A więc myślała pani jednak na tyle racjonalnie, aby sprawdzić, co się dzieje z pani synem, tak?

- Tak.

- I zawiązać nóż w ścierkę do naczyń?

- Tak.

- Jak nam już wiadomo, nie była pani dotąd karana. Czy to prawda?

- Nie. To znaczy: nie byłam. To prawda.

Widać było, że zaczyna się denerwować. Raglan dalej rzucała pytania w tym samym tempie.

- Nie była też pani nigdy aresztowana, zgadza się?

- Nigdy.

- A policjanci, którzy przyszedli do pani jeszcze przed śmiercią męża w związku z pani telefonami oraz e-mailami do niego, rozmawiali z panią grzecznie, mam rację?

- Bardzo grzecznie.

- Nie zgłaszała pani żadnych skarg na ich zachowanie?

- Nie.

- I nie bała się kontaktu z policją, prawda?

- Nie.

- Ale mimo to zeznała pani, że znalazłszy męża martwego na podłodze w kuchni, nie zadzwoniła na numer alarmowy. Dlaczego?

Dobrze było od czasu do czasu przerwać rytmiczny ciąg podchwytliwych pytań i dla odmiany dać świadkowi możliwość swobodniejszej wypowiedzi. Zresztą nad tym właśnie zastanawiali się w tej chwili przysięgli: dlaczego Samantha Wyler nie wezwała policji? To nie mogło dobrze wyglądać, niezależnie od odpowiedzi.

- Tego żałuję najbardziej - odparła oskarżona.

- Ale nie ma pani wyjaśnienia?

- Byłam w szoku.
- Tylko tyle? Zostawiła pani dziecko, zabrała zakrwawiony nóż, nie wezwała policji i to jest wszystko, co ma pani do powiedzenia? „Byłam w szoku”?

Samantha Wyler opuściła głowę. Jej smukła szyja oblała się pąsem. Jeszcze trochę i jest moja, pomyślała Raglan.

- Nie zadzwoniłam na policję - przyznała oskarżona - bo... bo... Nie wiem.

- Nie wie pani? Przecież nawet nie zamknęła pani drzwi na klucz. Zgadza się?

- Nie przypominam sobie, żeby zamknęła drzwi.
- Nie przypomina sobie pani?
- Byłam w szoku. Chciałam zawiadomić swojego adwokata rodzinnego, żeby on się wszystkim zajął, bo ja się kompletnie pogubiłam.

- Aha. Czyli pamięta pani, jak się wtedy czuła.

- Tak.

- Mamy uwierzyć, że nie pamięta pani, w jaki sposób dostała się do śródmieścia i co robiła przez kilka godzin, bo tyle upłynęło, zanim pani adwokat rodzinny, pan Feindel, przyjechał do pracy? Nic pani nie pamięta, żadnego szczegółu?

- Bardzo tego żałuję.
- Ale mimo tego żalu nic pani nie pamięta, tak?
- Pewnie doszłam tam pieszo.
- Pieszo? Nie zarejestrowały pani żadne kamery w metrze, nie zapamiętał pani żaden kierowca autobusu albo taksówkarz. Wie pani o tym, prawda?

- Wiem:

To był dobry moment na atak z innej flanki. Raglan odwróciła się do swojego stołu, wzięła do ręki teczkę leżącą na blacie.

- Mam tutaj pani świadectwa ze szkoły średniej. Od pierwszej klasy same piątki. Sporo uniwersytetów proponowało pani nawet stypendia, zgadza się?

- Uczyłam się dobrze.

- Wręcz była pani prymuską.

Tego już Samantha nie skomentowała.

- Proszę pozwolić, że podsumuję pani zeznanie – powiedziała Raglan. - Otóż twierdzi pani, że po przyjeździe do domu męża, znalazłszy jego zwłoki na podłodze, zabrała pani zakrwawiony nóż, zawinęła go w ścierkę do naczyń i wyszła?

- Ja tak nie twierdzę. Tak właśnie to wyglądało. Byłam w szoku. Zabrałam ten nóż, żeby Simonowi nie stała się krzywda.

Raglan potrząsnęła głową, chcąc pokazać ławnikom, że nie da sobie wcisnąć kitu.

- Czy mogę prosić o dowód rzeczowy numer cztery F? - zwróciła się do sekretarza sądowego, z którym załatwiła uprzednio, aby przygotował ten dowód na dzisiejsze posiedzenie. Wziąwszy z jego rąk zdjęcie, stanęła przed świadkiem.

- Czy rozpoznaje pani ten przedmiot? - zapytała tonem pełnym pogardy.

Samantha Wyler rzuciła okiem.

- To jest kuchenny stojak na noże - szepnęła.

- Stojak na noże - powtórzyła Raglan jak echo, ale już zupełnie innym głosem: pewnie i donośnie, aż rozległo się w całej sali. - Ile noży znajduje się w tym stojaku?

- Wydaje mi się, że sześć.

- Proszę je zatem policzyć. - Prokuratorka wcisnęła jej fotografię w dłoń. - Jako finansistka jest pani dobra z rachunków.

Samantha upuściła zdjęcie, jakby nie chciała go dotykać. Szybkim ruchem głowy odrzuciła włosy, które opadły jej na twarz.

- Sześć - odpowiedziała.

Raglan zabrała fotografię i niespiesznym krokiem przedefilowała wzdłuż ławy przysięgłych, demonstrując swój dowód rzeczowy.

- Tych sześciu noży pani nie zabrała?

- Nie.

- Zostawiła pani w kuchni sześć noży i wyszła z domu, nie zamykając drzwi na klucz; wszystko po to, aby Simonowi, pani czteroletniemu synowi, nie stała się krzywda. Tak ma brzmieć pani zeznanie?

- Wiem, że powinnam była postąpić inaczej, ale tak właśnie się stało. - Samantha Wyler zaczęła drżeć na całym ciele.

Przez chwilę Raglan była już bliska współczucia.

- Powtarza nam pani, że była w szoku.
- Bo byłam.
- Nie jest pani lekarzem, prawda?
- Nie, nie jestem.
- Skąd zatem zna pani objawy szoku psychicznego?
- Nie umiem inaczej wytłumaczyć tego, co się stało.

Raglan obejrzała się na Greene'a. Przygotowali sobie ten występ bardzo starannie. Z kartonowego pudła stojącego na skraju stołu detektyw wyjął, jeden po drugim, pięć opastych podręczników medycyny i ułożył je grzbietami do przodu, aby oskarżona, sędzia oraz wszyscy przysięgli mogli przeczytać tytuły.

Samantha Wyler zrobiła wielkie oczy.

Prokuratorka wiedziała, że w sądzie nie ma nic skuteczniejszego niż dowód rzeczowy. Takie rekwizyty jak te książki były na wagę złota.

Obrzuciwszy wzrokiem podwyższenie w centrum sali, zauważyła, że sędzia Norville z ciekawości ledwie może usiedzieć na miejscu.

- Pani Wyler - podjęła. - Przez ostatnich kilka miesięcy mieszkała pani w Cobalt razem ze swoją matką i bratem, czy to się zgadza?

Oskarżona skinęła głową, nie odrywając wzroku od grubych tomów.

- Należy odpowiadać: „tak” albo „nie” - pouczyła ją prokuratorka.

- Przez ostatnich kilka miesięcy mieszkałam w Cobalt.

- Detektyw Greene wybrał się wczoraj w tamte strony i odwiedził miejscową bibliotekę, tę w New Liskeard, kilka kilometrów od Cobalt. Zna ją pani dobrze, prawda?

- Prowadzę tam kurs czytania dla dorosłych. - Głos oskarżonej nabrał monotonnego, płaskiego brzmienia.

- Poznaje pani te książki?
- Wypożyczyłam je do czytania, kiedy mieszkałam w Cobalt.

Raglan wróciła do stołu i z głośnym kłaśnięciem położyła dłoń na stosie książkowych cegieł, po czym szybko odwróciła się do oskarżonej.

- Pięć medycznych tekstów, a wszystkie o tej samej tematyce: szok psychiczny. Zgadza się?

- Tak. - Twarz Samantha Wyler była biała jak kreda. - Lil, bibliotekarka, sprowadziła je dla mnie.

- Chciała się pani podszkolić?

- Szukałam informacji. Chciałam zrozumieć, co się ze mną działo.

- Żeby pasowało do zeznania.

- Nie. To samo się ze mną działo, kiedy umarł mój ojciec. Nie mogłam mówić i niczego nie pamiętam.

- Ach, znów pani nie pamięta.

- Wiem, że to wygląda jak...

- ...jakby chciała pani przygotować się do odpowiedzi z tego tematu.

- Nie, ja tylko...

- Taka piątkowa uczennica jak pani może bez problemu obkuć się na blachę i wyprowadzić przysięgłych w pole.

- Ja nie...

- Wszystkim zamydlić oczy.

- Sprzeciw, wysoki sędzie! - Ted DiPaulo wstał z miejsca. - Pani Raglan nie daje mojej klientce dojść do słowa. Pani Wyler stara się wyjaśnić swoje zachowanie.

Raglan zgrnęła trzy książki leżące na samym wierzchu, podeszła do barierki i rzuciła z hukiem pierwszą z nich na drewnianą poręcz.

- Proszę bardzo, pani Wyler: niech pani wyjaśni sędziom przysięgłym, dlaczego czytała pani książkę pod tytułem „Szok: działanie ludzkiego umysłu w sytuacji przymusu”.

- Sprzeciw - zawtórował jej DiPaulo.

Raglan położyła przed oskarżoną kolejny tytuł.

- „Szok i uraz psychiczny a pamięć”.
- Sprzeciw! - Tym razem DiPaulo już krzyczał.
- „Alchemia umysłu”. - Raglan dorzuciła trzeci tom.
- Wysoki sędzie... - prosił adwokat.

- Proszę państwa! - zawołała sędzia Norville, rzucając gniewne spojrzenia obojgu prawnikom. To nagłe ożywienie atmosfery najwidoczniej ją zaskoczyło.

- Nie mam więcej pytań do świadka - oznajmiła Raglan, starając się, tak samo jak jej przeciwnik, kiedy już skończył z doktorem Burnsem, lekarzem sądowym, aby ławnicy nie przeoczyli sarkazmu, z jakim wypowiedziała słowo „świadek”, sarkazmu, który miał oznaczać, że dla niej ten świadek jest zwyczajnym kłamcą.

66.

Oczekiwanie na werdykt ławy przysięgłych to było najdłuższe pięć dni w życiu Teda DiPaulo. Wreszcie przyszła niedziela. Ławnicy właśnie podjęli obrady po przerwie na lunch. W całym sądzie nie było żywej duszy, czasem tylko korytarzem przemknęła się sprzątaczką z odkurzaczem. Dopóki trwało uzgadnianie werdyktu, DiPaulo miał obowiązek czekać osobiście w pomieszczeniu dla adwokatów, a ponieważ przysięgli mogli dojść do porozumienia w każdej chwili, czekał ubrany w togę. W ciągu dnia, kiedy ławnicy rozchodzili się na lunch albo obiad, sekretarz sądowy dzwonił do niego i wtedy DiPaulo miał około godziny dla siebie: mógł wyjść na spacer albo do restauracji i przynajmniej spróbować się nie zadrećczać, nie myśleć, że coś powinien zrobić inaczej, a coś innego lepiej było sobie darować. Te myśli były jak ciekący kran, którego nie da się żadnym sposobem naprawić.

Nancy Parish, Chiara i Lauren bardzo mu pomagały. Przychodziły go odwiedzić, przynosiły domowe ciastka i przekąski. Miał z nimi o czym rozmawiać, ale jakoś trudno mu było cokolwiek powiedzieć. Wiedział, że w tej chwili nie jest najlepszą osobą do towarzystwa. Wolał być sam.

Właśnie skończył lunch i zabrał się do krzyżówki, ale nie szło mu zbyt dobrze. Siedział bez togi, żabot i kołnierzyk koszuli miał rozpięte. Nagle zadzwoniła jego komórka.

- Panie DiPaulo, mamy już werdykt. - W słuchawce zabrzmiał głos sekretarza sądowego.

- Aha, w porządku - odpowiedział, niepotrzebnie głośno. Zabrzmiało to idiotycznie.

- Wysoki sąd oczekuje pana na sali rozpraw za dwadzieścia minut. Poinformowałem już także dziennikarzy.

DiPaulo zadzwonił do Nancy Parish, ale włączyła się poczta głosowa. Nagrał wiadomość, po czym pobiegł do toalety i spryskał twarz zimną wodą. Zapiął koszulę, włożył żabot, narzucił togę. Przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Jakie mógł mieć szanse? Herbert Hoover, czyli dwadzieścia pięć procent? Pięćdziesiąt, czyli Eisenhower? A może Gerald Ford - siedemdziesiąt pięć? Nie umiał tego określić, ale wiedział, że następnym razem, kiedy spojrzy w to lustro, niewiadoma przestanie być niewiadomą.

Dotarł na salę rozpraw. Szczęknęła klamka bocznych drzwi i przysięgli wymaszerowali gęsiego z pomieszczenia, gdzie obradowali. Istnieje wiele teorii na temat tego, jak poznać, co postanowili ławnicy; jest ich tyle samo co niepisanych „zasad” doboru składu ławy przysięgłych. Jedna z nich mówi, że trzeba obserwować oczy - kiedy ławnicy odwracają wzrok od klienta, adwokat może zacząć się martwić.

DiPaulo wolał patrzeć na ręce: palce rozluźnione czy sztywne? A może zaciśnięte? Każdy z wchodzących do sali przysięgłych miał jakąś sztywność w ruchach rąk. Co gorsza, ostatnia ze składu, kobieta, numer dwunasty, szła nachmurzona, z zaciśniętymi pięściami.

Pozostało jeszcze tylko kilka sekund.

W przełomowej chwili życia, pomyślał, ku czemu kierują się myśli człowieka? Jego własna pamięć ruszyła wstecz. Usłyszał głos matki: „Lando, ojciec jest w szpitalu...”. Zobaczył wiersze listu z uczelni prawniczej Osgoode Hall: „Szanowny panie DiPaulo, z przyjemnością informujemy, że...”. Olive, jego żona, uśmiecha się: „Różowa kreska, kochanie, nareszcie jestem w ciąży...”. Specjalista z onkologii: „Wolałbym przekazać panu lepszą wiadomość...”.

- Rzecznika ławy przysięgłych proszę o powstanie - wezwał sekretarz sądowy. Na jego biurku nie pozostało już ani śladu po krzyżówkach, sudoku czy innych łamigłówkach.

Wstał inżynier, Wietnamczyk z pochodzenia. Ten wybrany jako trzeci. Jeden z dwójga typowanych przez DiPaulo do tej funkcji.

- Czy uzgodniliście państwo werdykt? - zapytał sekretarz.

- Tak. - Ławnik spojrział mu prosto w oczy.

Nie trzymaj kciuków, rozkazał sobie adwokat; osobisty przesąd nakazywał mu zrobić znak powodzenia na odwrót.

- Każdy zarzut można rozpatrzyć w dwojaki sposób - oznajmił sekretarz. - Wymienię je teraz po kolei, rozpoczynając od najcięższych. Jeśli ława przysięgłych nie uzna winy oskarżonej, przejdę do następnego. Jeśli ława przysięgłych uzna winę, dalsze pytania staną się zbędne. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak. - Twarz ławnika była nieprzenikniona.

- Czy zatem ława przysięgłych uznaje oskarżoną winną zarzucanego jej zabójstwa z premedytacją?

- Nie.

Zimny, wstrząsający dreszcz przebiegł adwokatowi po kręgosłupie. Samantha Wyler westchnęła.

- Czy ława przysięgłych uznaje oskarżoną winną zarzucanego jej zabójstwa bez premedytacji?

- Tak.

To słowo spadło ciężko, niczym głaz na betonową płytę. Samantha Wyler apatycznie zwiesiła głowę. DiPaulo poczuł, jak każda część ciała zaczyna go rwać nagłym bólem.

- Dziękuję - powiedział sekretarz sądowy. - Proszę usiąść.

Przysięgły numer trzy wrócił na miejsce. Wszystko trwało mgnienie oka, chociaż każda chwila była dziwnie wyrazista, jakby oglądana w zwolnionym tempie.

Samantha Wyler oddychała nierówno, urywanie.

- Oskarżona może usiąść - poinformował ją sekretarz.

Odwróciwszy się do swojej klientki, DiPaulo dostrzegł w jej oczach łzy.

- Usiądź - szepnął.

Potrząsnęła tylko głową. Nie słyszy mnie, pomyślał. Dotknął jej ręki; była ciężka i bezwładna. Samantha spojrzała na niego. Jej

ośniewające oczy były pociemniałe i przepełnione niewyobrażalnym cierpieniem.

- Ale... - wyjąkała. - Przecież to nie ja.
- Usiądź, proszę cię. Usiądź.

Opadła na krzesło. DiPaulo dostrzegł, że z kątów sali rozpraw ruszyli się dwaj policjanci sądowi, dwie szachowe wieże wyprowadzone z narożnych pól, aby zakończyć partię.

- Panie DiPaulo? - sędzia Norville uniosła brwi.

Wstał.

- Dziękuję, wysoki sędzie. Czy mogę poznać indywidualny werdykt każdego z sędziów przysięgłych?
- Oczywiście, to pańskie prawo.

To była najbardziej dramatyczna chwila dla każdego adwokata. Kiedy oskarżony zostaje uznany winnym zarzucanego mu czynu, jego obrońcy przysługuje prawo zapytania każdego z przysięgłych z osobna, czy zgadza się z tą decyzją. Ławnikowi podczas procesu nie wolno zabierać głosu - wyjątkiem jest ta jedna wypowiedź oraz ogłoszenie werdyktu przez rzecznika ławy przysięgłych.

Jest jednak pewien problem; prawdopodobieństwo tego, że podczas takiego odpytywania któryś z ławników zmieni zdanie, a tym samym unieważni cały werdykt, wynosi jak jeden do tysiąca. Dawny wykładowca Teda DiPaulo, profesor Parker Graham, mawiał: „To jest tak, jakby dwunastu ludzi po kolei wbijało ci ostatni gwóźdź do trumny”.

Ale on, mimo wszystko, musiał chwycić się tej promilowej szansy.

- Jak brzmi werdykt pierwszego ławnika? - Adwokat stanął przed ławą przysięgłych i spojrzał prosto w oczy pierwszej ławnicze, szczupłej kobiecie.
- Winna - odpowiedziała.
- Jak brzmi werdykt drugiego ławnika?
- Winna.

Pytał dalej, każdego po kolei. Winna, winna, winna, niesło się po sali jak echo w kiepskim filmie grozy. Twoja żona umiera, umiera,

umiera. Twoja klientka winna, winna, winna. Mogło być inaczej, gdybyś nie namówił jej do zeznań. Ale to zrobiłeś. Namówiłeś. Winna, winna, winna. Raz po raz, bez końca.

- Jak brzmi werdykt dwunastego ławnika? - DiPaulo nie marzył już o niczym innym, jak tylko wyjść z tego sądu, wrócić do domu, położyć się do łóżka i zakopać pod kołdrą. Schować się przed całym światem, odciąć od niego łomotem gitary Kurta Cobaina i jego zawodzącym lamentem o porażce i odrzuceniu.

Spojrzał w zmrużone oczy ostatniej ławniczki, przypominając sobie, jak zaciskała pięści, wchodząc na salę rozpraw. Palce wciąż miała przykurczone. I po co, zapytał się w myśli, po co ja ją wybrałem?

A potem usłyszał. Usłyszał ciszę. Bo ławniczka milczała.

Boże, jęknął w duchu.

Rzecznik ławy przysięgłych, ten wybrany jako trzeci, spojrzał na koleżankę. Dwoje inżynierów; DiPaulo miał wrażenie, że napięcie pomiędzy nimi jest wręcz namacalne, gdyby miał pod ręką nożyczki, mógłby je przeciąć, jak rozciągniętą linę. Pracował w tym zawodzie już tyle lat, a czegoś takiego nie widział jeszcze nigdy.

Dwunasta ławniczka głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Winna - wyrzuciła z siebie, jakby to słowo miało rozerwać jej duszę.

Adwokat zrozumiał, co się stało. Ława przysięgłych chciała skazać Samanthę Wyler za zabójstwo z premedytacją. Jedenaścioro ławników było przekonanych o jej winie, ale dwunasta uważała, że jest inaczej i przez pięć długich dni twardo obstawała przy uniewinnieniu. Wyrok za zabójstwo bez premedytacji był ostatecznym kompromisem.

DiPaulo wrócił na swoje miejsce. W sali narastał gwar; adwokat miał niejasne wrażenie, że dziennikarze zaczynają przepychać się w kierunku drzwi. Dwaj policjanci sądowi podeszli do Samanthy, obrócili ją i zatrzasnęli kajdanki na nadgarstkach.

- Zaraz do ciebie przyjdę i porozmawiamy - odezwał się, a ona spojrzała jeszcze na niego, po czym zniknęła za bocznymi drzwiami.

- Pani prokurator, panie mecenasie, dziękuję państwu - powiedziała sędzia Norville, pakując swoje teksty pomocnicze. Starczyło jej godności przynajmniej na tyle, aby nie uciec z sali jak najszybciej.

- Ted... - DiPaulo poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obok niego stała Nancy Parish. Nie wiedział, że przyszła do sądu.

- Przyleciałam od razu, kiedy tylko odsłuchiłam wiadomość od ciebie. Strasznie mi przykro.

- Widziałas tę ostatnią ławniczkę? - zapytał. - Mało brakowało...

Czuł, że opada z sił. Był wyczerpany, tak jak kiedyś, po pożegnaniu ostatniego żałobnika, który przyszedł na czuwanie przy trumnie Olive wystawionej w domu pogrzebowym. Była godzina czternasta trzydzieści. Tak to już jest z procesami: kiedy sprawa dobiega końca, człowieka nagle ogarnia dojmujące poczucie bylejakości. Dni stają się puste. Ted DiPaulo był bardzo zmęczony.

- Szkoda, że nie pracujemy już razem. Brakuje mi tego. - Znów usłyszał kobiecy głos. To Jennifer Raglan podeszła do niego z wyciągniętą ręką. - Ta sprawa nie była łatwa. Nie zdręczaj się teraz. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Szok, gniew, zaprzeczenie, negocjacje. Targały nim emocje rozbuchane jak ogień ryczący pod kotłem lokomotywy. W uszach wciąż rozbrzmiewało echo słów, które padły przed kilkoma minutami. Niewinna. A potem winna. I znów: winna, winna, winna, winna, winna, winna, winna, winna, winna, winna, winna... Winna.

- Dziękuję - odpowiedział swojej dawnej podwładnej. - A ty wróciłaś do sądu jak do siebie.

- Czułam, że nie jestem w takiej formie jak kiedyś.

- Nic takiego nie zauważyłem.

Usiedli razem przy stole.

- Nie chciałam być oskarżycielem tej biednej kobiety - przyznała się Raglan. - Strasznie się bałam, że przysięgli skażą ją za bójstwo z premedytacją.

- Nawet mi nie mów - westchnął.

- Cholera. - Prokuratorka uderzyła w stół pięściami, tak jak Samantha we wrześniu, na rozpatrzeniu wniosku o kaucję. Upłynęło zaledwie pięć miesięcy, a miało się wrażenie, że to już cały rok, może nawet dwa. - Dlaczego ona nie chciała pójść na ugodę?

DiPaulo zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Co by było gdyby... Czuł, że opadają go wątpliwości, niepoliczalne i nieprześlągane niczym stado żarłocznych mrówek; bezsenne noce miał jak w banku. Nie wyobrażał sobie, jak zdoła się przed nimi obronić, a co gorsza - jak będzie mógł żyć, mając w pamięci ostatnie słowa Samantha Wyler: „Przecież to nie ja...”.

CZEŚĆ PIĄTA

Kwiecień

67.

Prima aprilis! Lecę do Toronto! - wypaliła Margaret Kwon, kiedy tylko Greene odebrał telefon. Nie przywitała się, nie powiedziała nawet, kto dzwoni. - Samolot startuje za pięć minut.

- Margaret? - zapytał detektyw.

Kwon zachichotała.

- No tak. Ciągłe zapominam. Mam być uprzejma, mam się witać i o zdrowie pytać. Będę w Toronto za godzinę.

- Tym razem posmakujesz prawdziwego kanadyjskiego mrozu.

Kolejny chichot.

- Przecież jest kwiecień.

- To najgorszy miesiąc - poinformował ją Greene. - W zeszłym tygodniu ludzie jeździli na rowerach, ale dzisiaj powiało z północy. Koniec marca był surowy. Co się dzieje?

- Dzisiaj są czterdzieste urodziny April Goodling. Mówiłam, prima aprilis. - Podkreśliła ostatnie słowo. - Dostałam cynk od swojego człowieka, który jeździ u was limuzyną. April przyleciała wczesnym rankiem.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Kazała się zawieźć do wypożyczalni samochodów w śródmieściu.

- Wiesz, do której?

- A jak ci się wydaje? - parsknęła Kwon i podyktowała detektywowi nazwę, adres, telefon, faks oraz e-mail wypożyczalni, którą wybrała April Goodling.

- Na jakim lotnisku lądujesz?
- Na Island Airport. Mogę wziąć taksówkę.
- Nie wygłupiaj się. Przyjadę po ciebie.
- Jeszcze coś - powiedziała na koniec dziennikarka. - Goodling

wypożyczyła do samochodu fotelik dziecięcy.

Kilkadziesiąt minut później Greene witał się z Kwon schodzącą z pokładu promu dla pasażerów przybywających i odlatujących z lotniska na Wyspach Toronto.

- Ależ ziąb na tym statku - marudziła. - Dlaczego nie zbudują mostu? Pełno tu u was mostów.

- To poważny problem. Polityczny.
- Zmarznięty tyłek to jest problem polityczny?

Greene objął Kwon ramieniem i ruszyli do samochodu, garbiąc się dla ochrony przed wiatrem. Po otwarciu drzwi dziennikarka opadła na siedzenie pasażera.

- Nad jeziorem jest zimniej - pocieszył ją Greene, włączając silnik. W środku było jeszcze ciepło, bo przyjechał niedawno.

- A ty dalej się tłuczysz tym zabytkiem?

- To najbezpieczniejszy pojazd na naszych drogach - odparł.

Ogrzewanie pracowało na najwyższych obrotach.

- I tak się nie znam. Na Manhattanie nikt nie ma własnego samochodu. Muszę napić się kawy.

- Znam jedno dobre miejsce.

- A to niespodzianka. - Szturchnęła go łokciem pod żebro.

Greene ruszył na wschód, brzegiem jeziora, a potem skręcił w Parliament Street, zawdzięczającą swoją nazwę gmachowi pierwszego parlamentu prowincji, który stanął tutaj pod koniec osiemnastego wieku. Obecnie ulica prezentowała bezładną mieszaninę ekskluzywnych butików urządzonych w starych wiktoriańskich domach, sklepów z tanimi meblami oraz takich, gdzie można było płacić wyłącznie gotówką. Detektyw zaparkował nieprzepisowo i położył za szybą swój egzemplarz regulaminu policyjnego.

Tę część miasta, znaną pod nazwą Cabbagetown, zamieszkiwała modna śmietanka towarzyska, wielorasowa społeczność emigrantów

oraz zasiedziała biała biedota, pamiętająca jeszcze czasy, kiedy były tutaj irlandzkie slumsy. W kawiarni o nazwie Jet Fuel Café każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Prosty, niewyszukany wystrój, dudniąca muzyka oraz systematycznie zmieniająca się ekspozycja przeróżnych obrazów i fotografii na wysokich ścianach przyciągały różnorodną klientelę; regularnie zaglądali tutaj kurierzy rowerowi, miejscowi hipsterzy i osobnicy nieustannie stukający na laptopach. Pomimo mrozu przed lokalem stało całkiem sporo rowerów, i to niezbyt tanich, sądząc po wyglądzie.

- Kanadyjczycy... - jęknęła Kwon. - Rower w taką pogodę?
- Są twardziele, którzy jeżdżą przez okrągły rok.
- Ta knajpa jest jak żywcem przeniesiona z Nowego Jorku - oznajmiła dziennikarka, kiedy przebili się przez stadko palaczy słończonych przed wejściem. Zamówiła latte, a Greene herbatę z plasterkiem prawdziwego imbiru; napoje dostali w wysokich przezroczystych szklankach.

Na ścianach gościła aktualnie wystawa wielkoformatowych fotografii ukazujących budowniczego fortepianów przy pracy. W tle Billy Joel śpiewał piosenkę „Piano Man”.

Główna sala była pełna, więc weszli po schodkach do drugiej, dalszej, która bardziej przypominała czytelnię jakiegoś ekscentrycznego uniwersytetu, ponieważ przy każdym stoliku siedział gość z nosem w ekranie laptopa. Co chwilę ktoś wchodził albo wychodził drzwiami prowadzącymi na zaplecze; wionęło stamtąd mroźne powietrze przesycone wonią marihuany.

- Czuć imprezę - zauważyła Kwon.
- Zima była długa - wyjaśnił Greene.

Przez salę przechodził właśnie chłopak niosący na ramieniu rower. Przemknął się do tylnych drzwi i postawiwszy rower na podłodze, chciał wyprowadzić go na zewnątrz. Miejsca było niewiele i podpórka z gumową końcówką zaczepiła mu się o framugę; utknął, nie mogąc nawet dobrze zobaczyć, co go trzyma.

Greene wstał od stolika i pomógł mu się uwolnić.

- Dzięki. - Chłopak się uśmiechnął. - Mam nadzieję, że nie zostawiłem żadnych śladów.

Detektyw zerknął w dół. Kilkanaście centymetrów powyżej progu na białej farbie widniała skośna czarna smuga.

- Zmyje się - uspokoił rowerzystę.

- Cholernie jesteś uprzejmy- skomentowała Kwon, kiedy Greene wrócił na miejsce.

- Prawdziwy Kanadyjczyk - odparł machinalnie, bo prawdę mówiąc, słuchał piąte przez dziesiąte. Nie mógł oderwać wzroku od tego czarnego znaku na framudze. Kilkanaście centymetrów ponad podłogą.

68.

Dla męża Jennifer Raglan, zapalonego kibica Toronto Blue Jays, pierwszy mecz sezonu był wielkim wydarzeniem. Trochę to potrwało, ale w końcu nawet ona sama, ku własnemu zdziwieniu, polubiła ten doroczny rytuał, mimo że musiała poświęcić na niego cenny dzień urlopu.

Gordon robił wszystko według ustalonego porządku. Także i ten dzień nie był wyjątkiem: najpierw długie śniadanie we francuskiej knajpce przy Queen Street East (najlepsze croissantsy w mieście), potem jazda tramwajem (bo „tak to się robi” w Toronto), a ostatni odcinek drogi - pieszo. Dzisiejszy stadion Rogers Centre, zanim przeszedł w prywatne ręce, nosił nazwę SkyDome, czyli „sklepienie niebieskie”. Zawdzięczał ją podatnikom, którzy wyłożyli grube miliony na pierwszy na świecie w pełni ruchomy dach. Co prawda baseballowi puryści narzekali na „sterylność” takiego obiektu, ale w zimny, wietrzny dzień, a taki właśnie się zdarzył, mecz na zadaszonym stadionie to była czysta przyjemność.

Kiedy Raglan zaczęła się spotykać z przyszłym mężem, musiała sobie przyswoić zasady baseballowej punktacji. To także należało do ustalonego porządku: Gordon na każdy mecz zabierał dwie karty wyników, dwie podkładki oraz garść zatemperowanych ołówków.

Wiedziała dokładnie, jakie to dla niego ważne. Niedługo po urodzeniu Dany, kiedy była jeszcze na urlopie macierzyńskim, wpadła raz w szał porządków i wysprzątała cały dom. W jednej z szaf, na najwyższej półce, znalazła głęboko ukryte pudełko po butach.

Ciekawe, co Gordon tutaj trzyma, pomyślała i nie bez wyrzutów sumienia zajrzała do środka.

Były tam karty z punktacjami wszystkich meczów, które razem obejrżeli - na pierwszy z nich poszli w dniu swojej pierwszej randki. Raglan rozkleiła się zupełnie i płakała prawie przez godzinę, zanim schowała pudełko z powrotem.

- Ja dzisiaj kupię jedzenie - oznajmiła po trzeciej rundzie, zakończonej bezpunktowym remisem. Najlepszy zawodnik Blue Jays nie wyszedł jeszcze na boisko, wiedziała więc, że Gordon będzie siedział kamieniem na swoim miejscu.

- Dzięki. - Uśmiechnął się do niej.

Nowi właściciele stadionu, pragnąc tchnąć odrobinę życia w betonowe mury, próbowali podnieść standard usług dostępnych na terenie obiektu; efekt był, chociaż raczej umiarkowany. Za kluski dla Gordona Raglan zapłaciła jakąś absurdalną cenę, sushi, które zamówiła dla siebie, wcale nie było tańsze. Dołożyła jeszcze paczkę fistaszków, bo zawsze chrupali je razem na meczu.

W połowie piątej rundy Blue Jays prowadzili trzy do zera, przy czym drużynie przeciwnej nie udało się odbić ani jednej narzuconej piłki. Dwóch pałkarzy zostało już wyautowanych, a przy kiju był aktualnie środkowy zawodnik pola. Gordon odłożył ołówek i wziął żonę za rękę.

- Wszystko w porządku, Jen? - zapytał.

- Świetny mecz - skinęła głową.

- Nie o to mi chodziło.

- Gordon, przestańmy już gadać o nas. Mamy za sobą terapię małżeńską i inne takie przyjemności. To już się robi męczące. Nie możemy po prostu pobyc razem?

Gordon rozłupał w palcach fistaszka, podał go jej na dłoni.

- Nie pytałem o nas. Mnie też już przejadł się ten temat.

- Więc o co chodzi?

- O to, jak mocno przeżyłaś proces Samantha Wyler.

Raglan nie zwierzyła się nikomu ze swoich uczuć względem tej sprawy, z tego, jak bardzo ją dręczyło, że wygraną zawdzięczała

własnym umiejętnościom, a nie temu, że taki wynik był po prostu sprawiedliwy. No, może nie nikomu; wspominała co nieco Greene'owi, który, widać to było wyraźnie, także nie czuł się z tym najlepiej. Ale Gordon, rzecz jasna, nie mógł wiedzieć o niczym. Najlepiej było udawać nieczułą.

- Wiem, że gryziesz się tym od samego ogłoszenia wyroku - dodał.

- Czemu miałabym się tym gryźć? Wyler mogła pójść na ugodę, ale odrzuciła tę szansę. A ja wygrałam.

- O tym właśnie mówię. - Gordon wsunął ołówek do kieszeni koszuli, a kartę rzucił na ziemię. - Tobie zależy na czymś więcej niż tylko na wygranej.

To ją rozczuliło. Poczwała, jak łzy napływają jej do oczu. Gdzieś w oddali rozległ się trzask kija, który trafił w piłkę. Raglan wyciągnęła ręce, chcąc rzucić się mężowi na szyję.

Tylko że on, tak jak wszyscy dookoła, właśnie w tej chwili zerwał się na równe nogi. Jej dłonie trafiły w pustkę.

69.

Ari, słyszałeś, co mówiłam?

- Przepraszam, co mówiłaś? - mruknął Greene, nie odrywając wzroku od ciemnej smugi na framudze.

- Tutaj jest za głośno. - Margaret Kwon uniosła w dłoni swój telefon. - Dzwonił mój ojciec.

- Chodźmy do pierwszej sali - zaproponował. - Co się stało?

Wzruszyła ramionami z przerysowaną obojętnością.

- Miał drobną operację serca. Trzeba było naprawić zastawkę. Siedział tyle lat w więzieniu w Korei Północnej i nawet tortury znosił bez słowa skargi, a u lekarza robi się nagle jak małe dziecko. Nie okazuję mu współczucia i to go doprowadza do szału.

- Jakbym widział własnego ojca. - Greene się uśmiechnął. W pierwszej sali, pod dużym oknem od ulicy, zauważył dwa wolne stołki.

- Co słyszać u twojego taty? - zapytała Kwon.

- Marudzi, że musimy wyremontować podjazd.

- Jeszcze jeździ samochodem?

- Tak, ale nie wolno mu wyjeżdżać na autostradę.

- To dobrze.

- Jemu to powiedz.

Komórka Kwon odezwała się ponownie.

- Tato, poczekaj chwilę - rzuciła dziennikarka do słuchawki i chwyciwszy swoją torbę, wyszła na zewnątrz. Greene obserwował ją przez okno. Skręciła na południe, aby nie zawiewało jej tak mocno.

Wciąż myślał o tamtej smudze po gumowej końcówce nóżki od roweru. Kojarzyła mu się ona ze śladem na tylnych drzwiach domu Terrance'a Wylera. W toku śledztwa nie udało się wyjaśnić, kto go pozostawił. Myśl, że ktoś jeszcze mógł tam być w noc morderstwa, nie dawała mu spokoju.

Ekspres do kawy stojący za barem zasyczał głośno. I nagle coś przyszło mu do głowy. Za szybą dostrzegł Kwon, która nadal rozmawiała przez telefon, składając drwiąco usta i wywracając oczami.

- Biedne maleństwo... - Bez trudu odczytał słowa z ruchu jej warg.

Maleństwo...

Widziałem już kiedyś coś takiego.

Ta myśl uderzyła go tak nagle, że zaczął machać do dziennikarki jak szalony, nie zastanawiając się nawet, co właściwie robi.

70.

Daniel Kennicott jechał na północ ulicą o nazwie Bayview Avenue, szeroką, wygodną i równie nudną jak cała ta zamożna okolica. Skąd wzięła się ta nazwa - „panorama zatoki” - nie miał zielonego pojęcia. W pobliżu nie było ani zatoki, ani żadnej panoramy, tylko podmiejskie rezydencje, kilometr za kilometrem.

Czasami nuda jest zaletą policyjnej pracy. Proces Samantha Wyler skończył się przed ponad sześcioma tygodniami, a on, po tylu miesiącach pełnej emocji pracy przy morderstwie, wciąż jeszcze przyzwyczajał się do patrolowej normalki. Któregoś wieczoru, około tygodnia po zakończeniu procesu, zadzwoniła do niego Jo Summers. Rozmawiali długo, ale w jej głosie czuło się dawną powściągliwość. Kiedy już mieli się pożegnać, powiedziała:

- Daniel, to, co się wydarzyło, było straszne i bardzo mnie wyczerpało. Nie chcę, żebyś poczuł się oszukany, ale muszę powrócić do dawnego życia. Nie udźwignę w tej chwili żadnych dodatkowych obowiązków.

- Rozumiem - odparł. - Też przez to przeszedłem.

Nie umiał powiedzieć, czy czuje się rozczarowany, czy może jednak mu ulżyło. Wiedział tylko, że nareszcie będzie miał trochę czasu, aby popracować nad sprawą swojego brata.

Wiał zimny wiatr, więc dookoła nie było żywej duszy. Kiedy Kennicott mijał Hillside Drive, ulicę, na której mieszkał Terrance Wyler, nagle wpadł na pewien pomysł. Zawrócił i po przejechaniu sześciu przecznic stanął przed dawnym domem zamordowanego.

Detektyw Greene nauczył go, że po zamknięciu śledztwa dobrze jest powrócić jakiś czas później na miejsce zbrodni. Był zdania, że nawet najlepszy policjant zawsze musi coś przeoczyć, więc warto rozejrzeć się jeszcze raz, na świeżo.

Kennicott wysiadł z radiowozu i obrzucił spojrzeniem skąpany w blasku kwietniowego słońca dom. Mieszkała tu już nowa rodzina, a zieleń zagospodarowano na nowo. Idąc podjazdem, policjant próbował wyobrazić sobie, że jest tutaj pierwszy raz. Kiedy przyglądał się wolno stojącej tablicy do koszykówki z olbrzymim emblematem Toronto Raptors, zadzwoniła jego komórka. Numer, który zobaczył na wyświetlaczu, był dla niego potężnym zaskoczeniem.

- To ty?
- Daniel, dzwonię do ciebie, bo wynikła nagła sprawa - powiedziała Jo Summers. - Gdzie jesteś?
- Mam służbę. Co się stało?
- Musisz przyjechać na cmentarz. Natychmiast.
- Na jaki cmentarz?
- Mount Pleasant. Na grób Terrance'a. Gdzie jest detektyw Greene?

- Nie wiem. Zadzwoń do niego.
- Kiedy tutaj będziesz?

Kennicott ruszył z powrotem do radiowozu.

- Za jakieś dziesięć minut. Pojadę na sygnale.
- Pospiesz się. Nie możemy się stąd ruszyć. On stoi na wiadukcie i krzyczy, że będzie rozmawiał tylko z Greene'em.
- Kto stoi na wiadukcie?

Powiedziała mu, a Kennicott rzucił się pędem do samochodu, wbijając palec w klawisz skrótu, pod którym miał numer Greene'a, i modląc się, aby detektyw odebrał.

71.

Pokaż mi swój aparat - poprosił Greene, kiedy tylko Kwon stanęła w drzwiach baru. - Muszę go obejrzeć.

- Po co ci mój aparat?
- Jak długo przechowujesz filmy, które nim nagrywasz? - odpowiedział pytaniem.

- Co najmniej rok. - Sięgnęła do torby.
- Pokaż mi April Goodling w hotelu Gladstone. Złapałaś ją w momencie, gdy dowiedziała się o śmierci Wylera.

- Chcesz zobaczyć zdjęcie, które daliśmy na okładkę?
- Nie. Chcę jeszcze raz obejrzeć ten film.
- Już nie jesteś wzorem dyskrecji, co? - parsknęła, odwracając aparat wyświetlaczem do niego. Po chwili na krótkim nagraniu detektyw zobaczył April Goodling w hotelowym pokoju: aktorka chwyciła się za brzuch i otworzyła szeroko oczy, a jej usta poruszyły się w niemyim okrzyku.

- Puść to jeszcze raz - powiedział Greene.
- Całość?
- Nie, nie. Tylko ten fragment, kiedy ona krzyczy. Na pewno nie słyszałaś, nic nie pamiętasz?
- Trudno się skupić na nasłuchu, kiedy się pada na twarz. O, to ten moment, patrz.

Greene uważnie śledził ruchy warg April Goodling.

- Powiedziała „maleństwo” - szepnął. - „Moje maleństwo”.
- Jakie maleństwo?

Razem obejrzeni nagranie po raz trzeci, pochylając się ku sobie i stykając głowami, aby dostrzec coś na miniaturowym ekranie. Greene przypomniał sobie rozmowę z aktorką w kancelarii Phila Cutiera; April Goodling trzymała przed sobą plik dokumentów. Zasłaniała brzuch.

- Była w ciąży... - westchnęła Kwon. - Boże... Ten fotelik do samochodu. Jak myślisz, dokąd pojechała?

Greene wyrzął przez okno. Ulicą przejeżdżały pojazdy, przechodnie mijali bar. Nagle w kieszeni zadzwoniła mu komórka. Spojrzał na wyświetlacz.

- Nie uwierzysz - pokazał dziennikarce numer dzwoniącego. A właściwie dzwoniącej.

Kwon otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, pani Goodling - powiedział Greene do słuchawki. - Domyślam się, że zawitała pani do Toronto. Czym mogę służyć?

72.

Kennicott wrzucił bieg. Ponieważ Greene nie odebrał za pierwszym razem, nagrał mu pilną wiadomość i już miał ponownie wybrać jego numer, ale w tej chwili komórka zadzwiała.

- To pan, detektywie?
- Kennicott, gdzie jesteś?
- Jadę na cmentarz Mount Pleasant. Przed chwilą dzwoniła do mnie Jo Summers, a ja próbowałem się dodzwonić do pana.
- Do mnie dzwoniła April Goodling. Ona też tam jest. Nie mogą się ruszyć. Będę na miejscu za trzy, cztery minuty. Gdzie dokładnie jesteś?
- Właśnie ruszyłem spod domu Terrance'a Wylera na Hillside Drive. Wpadłem tam, żeby rozejrzeć się jeszcze raz.
- Gaz do dechy. Przełączę cię teraz na drugą linię, bo muszę coś sprawdzić w rejestrze drogówki. Dobrze zrobiłeś, wracając do domu Wylera - pochwalił Greene i zawiesił połączenie.

Pędząc na wyjąłym sygnale, Kennicott zjechał z Bayview na Eglinton Avenue, szeroką płatną przelotówkę, którą teoretycznie powinno podróżować się najszybciej. Okazało się jednak, że zakorkowały ją przyczepy jakiejś ekipy filmowej, skręcił więc z powrotem w boczną ulicę, gdzie musiał zwolnić. Uważaj, powtarzał sobie, dzieciaki lubią wybiegać na jezdnię. Po pierwsze: nie szkodzić.

W słuchawce ponownie odezwał się Greene.

- Drogówka potwierdza: siedemnastego sierpnia, o czwartej zero trzy nad ranem, wjechał na czterysta siódmkę z Bayview Avenue.

Zjechał na autostradę numer czterysta dwadzieścia siedem o czwartej trzydzieści osiem. Od samego początku coś mi mówiło, że ktoś jeszcze był w tym domu. Kiedy dotrzesz na miejsce?

- Za pięć, sześć minut. - Kennicott dostrzegł na ulicy dzieci grające w hokeja małą plastikową piłką.

- Będziesz musiał wysiąść ze dwie przecznice od cmentarza. Radiowozy zablokowały dojazd z obu stron. Mam przyjść do niego sam. Zagroził, że rzuci się z wiaduktu, jeśli ktoś inny spróbuje się zbliżyć. Z tego, co rozumiałem, podjechał na wiadukt własnym wozem, od północy, więc będziesz miał minimalną osłonę. Ja wejdę od południowej strony i spróbuję odwrócić jego uwagę.

- Wszystko jasne - zameldował Kennicott i odłożył telefon.

- Uwaga, samochód! - zawołał jeden z małych graczy, odciągając lekką bramkę do hokeja na chodnik, a zrobił to tak umiejętnie, że policjant nie musiał nawet hamować. - Nie, to jest radiowóz! - wykrzyknął, poprawiając obcisłą czapkę w niebiesko-białych barwach Toronto Maple Leafs.

Drużyna rozstąpiła się na boki. Chłopcy - i kilka dziewczynek - stanęli na chodnikach, a trzymane pionowo kije upodabniały ich do małych zabawkowych wartowników. Drugą bramkę, stojącą trochę dalej, sprzątnięto tak samo sprawnie. Na skrzyżowaniu z Mount Pleasant Avenue Kennicott zatrzymał się przed znakiem „stop” i zerknął w lusterko; bramki stały już z powrotem na ulicy, a gra toczyła się w najlepsze.

73.

Margaret Kwon obserwowała detektywa Greene'a, który puł na złamanie karku przez pełne samochodów śródmieście, jednocześnie rozmawiając przez komórkę i słuchając policyjnego radia. Patrzył prosto przed siebie i nie zapomniał włączyć syreny. Bez dwóch zdań, ten facet potrafił sobie radzić w sytuacjach stresowych.

Nie spodziewała się takiej rewelacji, a do tego jeszcze znalazła się w samym centrum wydarzeń. April Goodling była w ciąży ze swoim zamordowanym kochankiem! *Prima aprilis: Goodling rodzi pogrobowca.*

Po wejździe na autostradę jezdnia zrobiła się szeroka. Mknęli przez dolinę, mijając w pędzie przepiękne stare rezydencje usadowione na stokach. Zawrotna prędkość uświadomiła dziennikarce, że stare auto Greene'a naprawdę daje poczucie bezpieczeństwa.

- Dojeżdżamy na Mount Pleasant - poinformował ją detektyw. - Cementarz znajduje się za tym wzgórzem, kilka przecznic na północ.

Za oknem przesunął się pasaż handlowy, przykuwający uwagę mrowiem prześlicznych witryn. Kwon zatrzymała wzrok na jednej z nich. Sklep nazywał się U George'a, a sprzedawano tam modele pociągów. Przed wejściem stał starszy pan w stroju dawnych konduktorów, z poduszkowatą, pasiastą czapką. Rozdawał broszurki.

Nie mogłabym tutaj mieszkać na stałe, pomyślała dziennikarka z Nowego Jorku. Kanadyjczycy przeginają z tą grzecznością.

- Cholera jasna! - krzyknął nagle Greene. Utknęli w korku, za długim rzędem samochodów, z których każdy miał na masce tabliczkę z napisem „Pogrzeb”. - Kurwa mać! - dołożył, wtaczając wóz

na chodnik i szarpiąc za klamkę drzwi.

- Panie detektywie, proszę się wyrażać, bo pana spiszą. - Kwon chwyciła torbę na aparat i wyskoczyła na ulicę.

- Wiem, wiem, to szokujące. - Greene rzucił się biegiem na drugą stronę ulicy.

Kwon popędziła za nim. Wściekły północny wiatr smagał ich prosto w twarze. Zatrzymali się na szczycie wzgórza. W poprzek ulicy stały dwa radiowozy, blokując wjazd na długi wiadukt biegnący ponad cmentarzem. W dole Kwon dostrzegła April Goodling z dzieckiem na ręku. Obok niej stał Simon, pani Wyler, Arceli Ocaya - opiekunka chłopca oraz jasnowłosa kobieta, której dziennikarka nie знаła. Otaczali ciasnym półkręgiem grób Terrance'a Wylera. Simon w jednej ręczce trzymał bukiet kwiatów, a w drugiej małą lokomotywę.

- Po co oni tu przyszli? - zapytała Kwon.

- A po co żołnierz wraca na pole bitwy? - odparł Greene.

- April Goodling chciała się z nim pożegnać bez tłumy gapiów.

Dziś są jej urodziny.

Podeszła do nich młoda ciemnoskóra policjantka.

- Panie detektywie - odezwała się do Greene'a - on powiedział, że będzie rozmawiać tylko z panem, z nikim innym. Jego rodzina musi pozostać przy grobie. Zagroził im, że jeśli odejdą, to skoczy.

- Dziękuję, posterunkowa Mudhar. Dobra robota.

Młoda policjantka uśmiechnęła się, a oni pobiegli dalej.

Trzymajcie mnie, pomyślała Kwon. Czy on naprawdę zna wszystkich w całym mieście?

Na wiadukcie stał samochód, a przed nim widać było sylwetkę mężczyzny.

Greene zatrzymał się przy schodach wiodących w dół, na cmentarz i wyciągnął komórkę.

- Kennicott, widzę go. Spróbuję z nim pogadać i namówić, żeby zszedł. Wiatr wieje w moją stronę, więc uważaj, bo dźwięki będą się niosły. Podkradniesz się i wyskoczysz na niego. Trzeba go złapać i ściągnąć stamtąd.

Wyłączył telefon.

- Margaret, zostań tutaj. To jest poważna sprawa.

Gdy ją mijał, dotknęła go w przelocie.

- Powodzenia, Ari.

Obejrzał się przez ramię.

- Dzięki.

Odczekała, aż detektyw wejdzie na wiadukt, po czym zbiegła schodami na cmentarz. Mogła przynajmniej mieć oko na April Godling.

74.

Witam, panie detektywie - powiedział Jason Wyler. - Miło mi, że wpadł pan na moje przyjęcie pożegnalne.

Stał na betonowej barierze biegnącej skrajem wiaduktu. Jego dwie laski, zaklinowane pomiędzy dwiema równoległymi metalowymi poręczami, dawały bardzo słabe oparcie zniekształconemu przez chorobę ciała.

- Jak widzę, przekazano panu, że chcę z panem porozmawiać - dodał kaleka.

- Jason! - krzyknął Greene, zrywając się do biegu. - Wiem, co się stało!

Wyler wyszarpnął jedną laskę zza poręczy i wycelował ją w detektywa.

- Stać! - wrzasnął. - Ani kroku dalej!

Greene wyhamował. Mroźny wiatr szczypał go w policzki.

Jason Wyler machnął laską w stronę grobu swojego brata, gdzie stały cztery kobiety oraz Simon. Wszyscy patrzyli na niego przerażonym wzrokiem.

- Proszę, jaki piękny zjazd rodzinny - prychnął.

- Wiem, że wróciłeś do domu Terrance'a po rodzinnej kolacji. - Greene rzucił okiem na drugi koniec wiaduktu. Kennicotta nie było jeszcze widać.

- Miło ostatni raz zobaczyć razem wszystkie kobiety z rodziny. Powiedziałem im, że mają tam zostać i być cicho, bo jak nie, to skaczą.

- Znalazłem numer twojego samochodu w ewidencji pojazdów poruszających się po autostradzie czterysta siedem.

- Znowu miałem pecha. Prześladowuje mnie od samego urodzenia. Cztery morderstwa tej samej nocy - i policja zablokowała wszystkie trasy szybkiego ruchu oprócz tej jednej.

Jason z trudem cedził słowa; każde zdanie było urwane. Greene przyłożył dłonie do ust, żeby głos niósł się dalej.

- Nie dawało mi spokoju, dlaczego wyszedłeś z sali podczas przesłuchania doktora Burnsa. Teraz widzę, że Ted DiPaulo miał rację. To nie było morderstwo. Zraniłeś brata przypadkiem. Twoja rodzina to zrozumie.

- Moja rodzina. Ha! Klan Wylerów. Czy pan nie widzi, że jestem wybrakowany?

Greene postąpił krok do przodu.

- To był wypadek, nie morderstwo.

- Odwiozłem opiekunkę do domu, a potem wróciłem porozmawiać z Terrym. Kroił owoce na śniadanie dla Simona. Rodzina przekonała go, żeby odrzucił propozycję ugody, którą złożyła mu Samantha. Dla mnie oznaczało to koniec wszystkiego. Ja tylko nie chciałem stracić przyjaciółki. Ale Terry mnie nie słuchał. Kroił te pieprzone świeże owoce od Wylerów. Chwyciłem nóż, kiedy go na chwilę odłożył. Próbował wyrwać mi go z dłoni, ale ja jestem silniejszy, niż się wydaje. Tylko że się potknąłem.

Greene zrobił jeszcze jeden krok.

- Nie. - Wyler machnął laską w jego stronę.

- Stoję. - Detektyw uniósł ręce, jakby celowano do niego z pistoletu. Kątem oka rozglądał się za Kennicottem, ale jego wciąż nigdzie nie było.

- Jeśli wyjmę drugą laskę - ostrzegł inwalida - to koniec. Spadnę na beton z ponad piętnastu metrów. Zmierzyłem. Pan mógłby to przeżyć. Ja nie. W żadnym wypadku.

- Poślizgnąłeś się na podłodze. To był nieszczęśliwy wypadek - powiedział Greene.

- Nie poślizgnąłem się, tylko potknąłem. O to. - Jason chwycił

laskę pod pachę i wyjął z tylnej kieszeni niebiesko-czerwoną zabawkę. - O Tomka, lokomotywę.

- Ulubiony pociąg Simona - westchnął detektyw. Ileż to razy chłopiec wypytywał o swojego Tomka?

- Pewnie zostawił go w kuchni - mruknął Jason. - Nastąpiłem na niego, straciłem równowagę i trafiłem brata nożem prosto w szyję. Nie chciałem tego.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Greene. - Zejdz. Zwrócisz bratankowi jego zabawkę.

Dostrzegł wreszcie Kennicotta, ale daleko, co najmniej dwie przecznice od wiaduktu. Policjant pędził co sił w nogach.

- Jest z jednej strony cała popękana - powiedział Jason Wyler.

- Tam stoi twoja rodzina. - Greene wskazał dłonią ludzi dookoła grobu, a spojrzawszy w dół, zauważył też Margaret Kwon. O nie, jęknął w myśli. Ona chce robić zdjęcia.

- Moja matka ma teraz drugiego wnuka, zdrowego jak ryba. Widzi pan? Z chęcią zapomni o wybrakowanym synu - zgrzytnął zębami kaleka. - Wiedziałem, że April jest w ciąży i domyśliłem się, że przyjedzie tutaj w swoje urodziny, żeby pożegnać się z Terrance'em. Ja też tak zrobiłem. Przyszedłem na jego grób tego dnia, gdy Sam miała przyznać się do winy. To wtedy wymyśliłem sobie ten plan. Teraz go wykonam, a kochana mamusia sobie popatrzy. Na żywo i w kolorze.

Greene zobaczył, jak Kwon wyciąga ręce do kobiet stojących nad grobem i odwraca je tyłem do wiaduktu, a potem robi to samo z Simonem. Zerknął ukradkiem w drugą stronę: Kennicott zbliżał się, ale wciąż był dalej niż przecznicę od wiaduktu.

- Co ci to da? - zapytał.

- Wszystko. - Jason Wyler obejrzał się na niego. - Terry potwornie krwawił. Nie mogłem nic zrobić. Zacząłem krzyczeć: „Niech cię cholera! Nie umieraj mi tutaj!”. Byłem na niego wściekły. On zawsze miał wszystko. A teraz wszystko zepsuł.

- Jason, posłuchaj...

- I zacząłem go dźgać tym nożem, raz, potem drugi, trzeci i dalej.

- Jason...

- A kiedy już było po wszystkim, wziąłem jego blackberry i wysłałem e-maila do Sam. Podszycłem się pod niego, żeby ściągnąć ją do jego domu. Zbrodnia doszła do skutku!

Greene spojrział na jego laskę, która miała na końcu gumową nakładkę. Pomyślał o półksiężycowatym przytarciu i smużce krwi na framudze tylnych drzwi domu Terrance'a Wylera, kilkanaście centymetrów nad progiem.

- Podjechałeś od tyłu - domyślił się. - Tamtędy wszedłeś i wyszedłeś.

- Od przodu są schody. Nie dałbym rady. Wyszedłem, wsia-
dłem w samochód i zatrzymałem się za rogiem. Tam znalazłem sobie
drzewo, zza którego mogłem obserwować ulicę. Niedługo potem
zjawiła się Samantha. A dalej nic się nie działo. Nie wiedziałem, co
robić. Chyba musiałem zasnąć, bo nagle zrobiło się późno. I jeszcze
te zablokowane autostrady. .. Musiałem pojechać czterysta siódmką,
żeby zdążyć do domu przed tymi głupimi ogrodnikami.

Greene przypomniał sobie śmieszny plastikowy tabliczka na wy-
pielęgowanym trawniku przed domem Wylerów: „*Ranny Ptaszek* -
cotygodniowa pielęgnacja zieleni, poniedziałek, 17 sierpnia, godz.
5.00”. Teraz już wiedział, dlaczego ktoś tak inteligentny jak Jason
Wyler wrócił do domu płatną autostradą, gdzie kamery rejestrują
każdy wjazd i wyjazd.

- Rodzina jest z tobą. Możesz na nich liczyć. - Greene znów
dyskretnie spojrział w bok: Kennicottowi została jeszcze jedna prze-
cznica.

- Rodzina Wylerów nie wybacza tym, którzy ją skrzywdzili -
oznajmił Jason. - To się udało tylko Terry'emu. Jemu było wolno
zniknąć i nie pokazywać się całymi latami, a potem wrócić jak gdyby
nigdy nic, założyć własny sklep i robić nam konkurencję. Cokolwiek
działo, zawsze witali go z otwartymi rękami, jak syna marnotrawne-
go. A wie pan, dlaczego? Bo był bez skazy, a nie taki felerny jak ja.

Kennicottowi zostało już tylko pół przecznicy.

- Samantha była twoją przyjaciółką. Dlaczego zrobiłeś jej taką
krzywdę?

- Przyjaciółką? Tak, miałem być jej najlepszym przyjacielem. Tyle nocy przegadaliśmy. Sami, we dwójkę, tylko ona i ja. I co? Nigdy mnie nawet nie pocałowała. A z tym gówniarzem mogła się pieprzyć? To ma być sprawiedliwość? Miała przyznać się do winy, więc postanowiłem, że następnego dnia zrobię to, co teraz chcę zrobić. Ale kiedy zmieniła zdanie, pomyślałem: a niech się jeszcze trochę pomęczą.

- Samantha nie chciałyby, żebyś to zrobił.

- Stchórzyłem. Pozwoliłem, żeby postawili ją przed sądem. - Jason Wyler wyszarpnął drugą laskę do połowy i zachwiał się, wychylając poza krawędź, lecz szybko odzyskał równowagę i wrócił do pionu, jak marionetka podciągnięta na sznurkach.

Kennicott był już na miejscu. Skradał się niczym kot, zgarbiony, nisko przy ziemi. Zostało mu najwyżej dziesięć metrów. Greene musiał teraz skupić uwagę Jasona na sobie.

- Nathan cię kocha - zapewnił. - Nie ma już więcej braci, tylko ciebie. Nie będzie chciał...

- Gdyby Sam wygrała proces, wszystko byłoby idealnie. To jest moje wyjście awaryjne. Musiałem tylko poczekać, aż przyjedzie April z dzieckiem. I tak już prawie jestem trupem. Samantha dosyć się wycierpiała. Powinna wyjść na wolność. - W jego głosie zadźwięczała złość.

- Jason, możemy przecież porozmawiać.

Kennicott schował się za samochodem.

- Ona jest niewinna.

- W porządku. Wypuścimy ją.

Kennicottowi zostało już tylko pięć metrów.

- Obiecuje pan?

- Obieuję. A teraz przestań już...

Kennicott był prawie na miejscu.

- Tego wszyscy chcieli, prawda? Przyznania się do winy. - Jason Wyler szybkim ruchem wyciągnął drugą laskę do końca.

- Nie! - krzyknął Greene.

Kalekie ciało, pozbawione oparcia, złożyło się wpół jak nadmuchiwana lalka, z której uszło powietrze. Jason skłonił się w pas i zniknął za barierką, lecąc głową naprzód, tak jak skoczek do wody. Mignęły jeszcze wykrzywione nogi i już go nie było.

Kennicott rzucił się do przodu, wychylił za barierkę. Greene pobiegł za nim. Młody policjant się wyprostował. Ręce miał puste.

- Już prawie go miałem... - wydyszał, zaciskając pięści w bezsilnej złości. - Już prawie...

75.

Jest smutek. Jest noc. Jest ciemność. I jest chandra po przegranej sprawie.

Podczas procesu Samantha Wyler Ted DiPaulo zaliczył wiele bezsennych nocy, ale to było jeszcze nic w porównaniu z tym, co się działo po tym, jak ława przysięgłych uznała ją za winną. Przez sześć tygodni budził się zlany potem. Noc w noc, jak w zegarku, o drugiej trzydzieści zrywał się z posłania: mokra koszulka lepiała się do ciała, z włosów kapało, serce tłukło się jak oszalałe. Czuł się jak obłożnie chory i kompletnie nic nie mógł na to poradzić.

A gdyby nacisnął Samantha trochę mocniej, przekonał ją, że warto przyznać się do winy? Gdyby nie pozwolił jej zeznawać? Ale z drugiej strony co by było, gdyby - Boże drogi! - gdyby nie wybrał tej ostatniej ławniczki? Wszystko się w nim skręcało na myśl, że jego klientka praktycznie o włos uniknęła dwudziestu pięciu lat więzienia. A gdyby... A gdyby, a gdyby?

Po ogłoszeniu werdyktu ławy przysięgłych wszyscy okazali mu wiele serca, tak samo jak po śmierci Olive. Słyszał zewsząd te same frazesy: świetnie sobie poradziłeś, sprawa była trudna, nie obwiniaj się, zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Przez kilka dni nie wychodził z łóżka, a ściany trzęsły się od gitarowego łomotu Nirvany, puszczonej na cały regulator. Przestał spotykać się z Chiarą; powiedział jej, że to jeszcze nie czas, że nie jest gotowy na poważny związek. Kiedy wreszcie zawlókł się do pracy, w stosie codziennej, nudnej poczty znalazł płaską kwadratową

paczkę zawierającą piękny jedwabny krawat i liścik od Chiary następującej treści: „Jesteś dobrym człowiekiem, świetnym ojcem i znakomitym prawnikiem”.

Potem wrócił do sądu - i od razu pierwszego dnia, w przebieralni dla adwokatów, napatoczył się na Clarke'a Whittle'a, który, rzecz jasna, miał nowe okulary, równie modne co wszystkie pozostałe pary - tym razem z grubej szarej stali.

- Nieźle się starałeś, Ted - powiedział, klepiąc DiPaulo po plecach. - A pamiętasz, co powiedział Casey Stengel, kiedy w sześćdziesiątym drugim trenował New York Mets, jeden z najgorszych składów w historii baseballu?

- Co? - Adwokat wstrząsnął się, czekając na puentę.

- „Ja trenowałem dobrze. To oni źle grali”.

Wszyscy dookoła wybuchnęli zgodnym śmiechem: nic dodać, nic ująć.

- Odwagi, *mon ami*. - Whittle zdjął okulary i wyciągnął pomarańczową szmatkę, aby je przetrzeć. Francuski znał dobrze, miał nawet wiarygodny akcent. - Otrząśniesz się z tego.

DiPaulo wciąż słyszał takie teksty. Cóż, przynajmniej nie miał już w perspektywie kolejnej samotnej nocy w swojej sypialni. Ode-rwawszy wzrok od okna, poszedł do toalety na tyłach kabiny samolotu.

Przejrzał się w małym lustrze nad umywalką. Był nieogolony; miał na sobie błękitną koszulę i krawat od Chiary. Nacisnął na krany z całej siły, ale ciepła woda jakoś nie chciała lecieć. Opuścił głowę, a kiedy nabrał w dłonie wody, aby przemyć twarz, samolotem zatrzęsło i oblał się cały.

- Cholera jasna... - warknął przez zaciśnięte zęby, czując, jak budzi się gniew, który za nic nie chciał się od niego odzepić.

Wytarłszy twarz szorstkim papierowym ręcznikiem, spróbował, bez powodzenia, osuszyć koszulę i krawat, dziękując przy tym w myślach opatrności za swoje troskliwe dzieci, które do spółki z Nancy Parish uknuły, że wyślą go na tę wycieczkę. I wysłały, jak paczkę pocztą kurierską. Przesyłka ekspresowa, duży gabaryt,

zawartość: jeden zdefektowany adwokat, cel/przeznaczenie: urlop w Paryżu.

Wrócił do kabiny. Wszyscy pasażerowie spali w swoich fotelach. Spojrzał na zegarek. W Toronto dochodziła pierwsza czterdzieści pięć w nocy. Samolot był na pół pusty, więc adwokat miał dla siebie cały rząd, trzy miejsca. Usiadł, wbijając wzrok w głęboką czerń nocy za oknem.

Spać... Ted, kiedy wreszcie zaśniesz?

- Przepraszam, że panu przeszkadzam. - Z ciemności wyłoniła się twarz stewardesy pochylonej nad dwoma pustymi siedzeniami obok niego.

Stewardesa. Nie pasowało mu to określenie do funkcji znacznie bardziej złożonej niż podawanie posiłków na pokładzie. Są słowa, które po prostu źle brzmią. Na przykład: wdowiec. Brzmi to jak kiepski dodatek do prawdziwego, podstawowego terminu, którym jest wdowa.

- Widzę, że pan nie śpi. - Uroczy francuski akcent idealnie harmonizował z uniformem linii Air France.

- Niestety, mało sypiam - odparł, zauważając, że kobieta jest atrakcyjna; może nie powala urodą, ale bije od niej swojego rodzaju łagodność, delikatność.

Spać... Wszyscy ludzie, których znał, byli w tej chwili w łóżkach i spali. Jego syn i córka. Jego współpracowniczka i koledzy po fachu, pracownicy prokuratury, sędziowie, jego klienci, nawet Samantha Wyler w więzieniu dla kobiet miała przed sobą jeszcze kilka godzin snu.

I tylko on wciąż nie mógł zasnąć. A teraz jeszcze przyszła do niego ta całkiem przystojna kobieta. Nie bądź głupi, zgał się w myśli. Przystojna - to za mało powiedziane. W tym półmroku była po prostu ładna.

- Pan DiPaulo, prawda?

- Owszem - przytaknął, zastanawiając się, skąd zna jego nazwisko. Doszedł do wniosku, że pewnie z listy pasażerów.

- Mam dla pana wiadomość...

- Coś się stało? - Dzieci, pomyślał DiPaulo, sztywniejąc.

- Och, *non. Pardon*. Proszę wybaczyć. Nic złego się nie stało. Zarumieniła się? Nie umiał powiedzieć. Dopiero w tej chwili zauważył w jej dłoni kartkę.
- Mam przekazać panu wiadomość. Zapisał ją drugi pilot, tak jak umie po angielsku. *Monsieur* Greene, detektyw z Toronto, prosił, aby zawiadomić pana, kiedy tylko się pan obudzi.
- *Monsieur* Greene? - powtórzył adwokat i natychmiast się zawstydził, że robi z siebie idiotę. A do tego zdradza się z tym, że zauroczył go jej francuski akcent.
- Tak - potwierdziła. - Powiedział, żeby pan do niego zadzwonił po wylądowaniu w Paryżu.
- DiPaulo wziął od niej kartkę, czując wyraźnie galopujący puls.
- Zatrzyma się pan w Paryżu, prawda?
- Tak. - Wyprostował się w fotelu.
- Proszę. - Stewardesa sięgnęła do przycisku nad jego głową. Rozległo się ciche pstryknięcie i światło lampki wydobyło na moment z półmroku jej ramiona i piersi zarysowane pod wyprasowanym mundurem.

Ted,

chciałem przekazać ci to jak najszybciej. Okazało się, że to nie twoja klientka zabiła Terrance'a Wylera.

Jego brat Jason przyznał się do zabójstwa. Czyli miałeś rację. To był wypadek. Jason niechcący zranił Terrance'a nożem, a potem wpadł w szal i pchnął go jeszcze sześć razy. I wrobił Samanthę w morderstwo, wysyłając e-maila z blackberry swojego brata.

Niestety, popełnił samobójstwo.

Dzwoniłem już do twojej współpracownicy, Nancy Parish. Jutro twoja klientka stawi się w sądzie i zostanie zwolniona.

Odezwij się po wylądowaniu. Wszystko ci wyjaśnię.

Paris me manque.

Ari

PS April Goodling była w ciąży z Terrance'em. Urodziła chłopca i nadała mu imię ojca.

DiPaulo wbił wzrok w kartkę oświetloną mdłym światłem samolotowej lampki. Samantha niewinna. Jason, przypadkowy zabójca, odebrał sobie życie. April Goodling urodziła Terrance'owi syna.

Czuł, jak trzęsą mu się ręce. *Jutro twoja klientka stawia się w sądzie i zostanie zwolniona... Paris me manque.* Tęsknię za Paryżem.

- Panie DiPaulo, dobrze się pan czuje?

Kto to mówi? Aha, stewardesa. Opiekunka pasażerów. Kobieta z cudownym akcentem.

- Dziękuję. - Skinął głową. - Czuję się dobrze. Miło, że przekazała mi pani tę wiadomość.

Ogarnęła go nagła ochota, aby dotknąć jej ręki, na jedną krótką chwilę. Upewnić się, że to nie jest sen.

- Przepraszam - powiedział - muszę iść do łazienki.

Uniósłszy się z fotela, zgięty i zgarbiony, jak to w samolocie, otarł się palcami o przedramię stewardesy. Rękaw marynarki uniformu był szorstki. Prawdziwy.

Wrócił do toalety, z której niedawno wyszedł i odetchnął powietrzem z wentylatora. Zdjąwszy z szyi krawat od Chiary, zwinął go i schował do tylnej kieszeni, po czym odkręcił wodę. Znow była letnia, tak jak poprzednio. DiPaulo opłukał twarz i sięgnął po kostkę mydła, małą i śliską w dotyku. Wciągnął w nozdrza jej ostry, niemalże kwaśny zapach.

Miałeś rację. To był wypadek. Jason niechcący zranił Terrance'a nożem. Nie, to mu się nie śniło. Wszystko do siebie pasowało. DiPaulo przypomniał sobie, jak przesłuchiwał tego aroganckiego lekarza sądowego, doktora Burnsa, a Jason Wyler nagle wstał i wyszedł z sali. Pamiętał stukot jego lasek na podłodze. A policja znalazła ślad krwi na tylnych drzwiach domu Wylera. Znak, że był tam ktoś jeszcze.

Kiedy wyszedł, stewardesa czekała na niego w przejściu pomiędzy rzędami foteli. W rękach miała koc i poduszkę. Oprócz nich dwojga nikt nawet nie drgnął. Wszyscy spali.

Myliłem się, pomyślał. Wszyscy ludzie, których znam, są teraz na nogach. Samantha Wyler po raz ostatni krąży nocą po celi. Nancy

Parish nie może zasnąć z emocji. Jennifer Raglan chodzi na palcach po domu i nie wie, co myśleć o tym, że cały jej prawniczy kunszt obrócił się przeciwko niewinnej kobiecie. A Ari Greene...? Dziękuję ci, Ari.

- Życzy pan sobie koc albo poduszkę? - zapytała stewardesa.

- Z miłą chęcią. - Przecisnął się obok niej i wrócił na swój fotel.

Przyszło mu do głowy, że mógłby poprosić, aby usiadła przy nim na chwilę. Drżał na całym ciele.

- Na pewno dobrze się pan czuje?

- Ta wiadomość - wyjaśnił - była bardzo dobra, ale niespodziewana. Wciąż jestem w szoku.

- Proszę. - Podała mu poduszkę.

Jestem w szoku, powtórzył w myślach. Tak jak kilkunastoletnia Sam Frankland, kiedy znalazła ciało swojego ojca w warsztacie na stacji benzynowej.

- Może przynieść panu coś do czytania?

Dorośla Samantha Wyler czytała opracowania medyczne, usiłując zrozumieć, co się z nią działo pod wpływem szoku. A Jennifer Raglan wykorzystała to, żeby załatwić ją podczas przesłuchania. No i ten inżynier, rzecznik ławy przysięgłych.

Potem DiPaulo pomyślał o Jasonie Wylerze. Biedny człowiek. Proces wyciągnął na światło dzienne jego potajemne kontakty z bratową. Zrobił z niego zdrajcę rodzinnego sojuszu. Jego przyznanie się do winy naprawdę miało sens. Samotny, umierający człowiek. Kochał się w Samancie. Jak mógłby żyć ze świadomością, że pozwolił jej cierpieć za swoją pomyłkę?

Wyjrzał przez okno, szukając na niebie choćby najlżejszej poświaty, ale ciemność była nieprzebita. Przypomniał sobie ostatnie słowa, które Samantha poleciła mu przekazać Jasonowi, kiedy skończył składać swoje zeznanie: „Dziękuję za odwagę i uczciwość nie tylko dziś, ale i zawsze”.

- Ale i zawsze... - szepnął.

- *Monsieur?* - zapytała stewardesa.

- Przepraszam. - Obejrzał się na nią. - To nic takiego.

Być może Samantha miała przecucie co do Jasona i w ten sposób chciała przemówić do jego sumienia. Może to właśnie dlatego tak bardzo jej zależało na tym, żeby zeznawał.

- Nie skorzysta pan z poduszki?

Adwokat nie zauważył nawet, że trzyma ją na kolanach. Wsunął sprężysty prostokąt na właściwe miejsce.

- Proszę się ułożyć - powiedziała stewardesa. - Okryję pana kocem. Tak będzie panu wygodniej. I jak?

Poczuł pod głową wygodną miękkość, a chwilę później otulił go koc i fala ciepła rozlała mu się po skórze. Szczęknął jakiś przełącznik.

- To będzie przyjemne - usłyszał czarujący głos stewardesy, a z góry popłynęło chłodniejsze powietrze, w którym wyczuł jakąś szczególną nutę aromatyczną.

I w końcu zamknął oczy. Nareszcie mógł spokojnie zasnąć.

Podziękowania

Siedzę w czytelni biblioteki prawniczej znajdującej się w gmachu sądu przy University Avenue 361, czyli tam, gdzie w dużej części rozgrywa się akcja niniejszej książki. Jest to wspianała, okrągła sala - niecodzienny widok w Toronto, gdzie ulice przeważnie są proste, a kwartały idealnie kwadratowe. Bywałem tam często: zagłębiałem rankiem, nerwowo wertując notatki przed rozpoczęciem rozprawy o dziesiątej, wpadałem podczas dramatycznie krótkiej przerwy na lunch, w gorączkowym pośpiechu szukając niezbędnego precedensu, przysiadłem ukradkiem z laptopem po skończonym dniu pracy, aby napisać rozdział albo kilka rozdziałów swojej książki.

To miejsce przypomina mi o dwóch zmarłych niedawno kolegach po fachu. Odeszli w sile wieku, o wiele za wcześnie. Ken Danson był adwokatem o niespożytej energii i ciętym dowcipie, oddanym bez reszty swojej profesji i swoim klientom. Paul Vesa, prokurator, z którym prowadziłem wspólnie wiele spraw, miał urocze zamiłowanie do kiepskich kalamburów i żywił niewzruszone przekonanie o słuszności przepisów prawa. Nie były to bliskie znajomości, jednakże brakuje mi ich, podobnie jak wszystkim ludziom, z którymi zetknęła tych dwóch prawników praca i obowiązki służbowe. W taki dzień ów brak daje się odczuć szczególnie mocno.

Za pomoc przy mojej drugiej powieści podziękowania należą się bardzo wielu osobom. Nie będę wliczał szczegółowo, kto miał jaki wkład - za niego chętnie podziękuję każdemu osobiście. Wymienię tylko wszystkich z nazwiska, nie trzymając się żadnej konkretnej

kolejności: Douglas Preston, Ricki Wortzman, Alan Bardikoff, Ann Birch, Glen Gaston, Kate Parkin, Howard Lichtman, Kathy McDonald, Cheryl Goldhart, Kevin Hanson, Alison Clarke, Amy Cormier, Amy Jacobson, radca królewski Eddie Greenspan, Tom Klatt, Deb Klatt, Corinne LaBalme, Michael Levine, David Flacks, Barbara Silverstein, Andras Schrek oraz Shel Whitteker - Shel prowadzi księgarnię w Haliburton, gdzie mamy domek letniskowy.

Specjalne wyrazy wdzięczności należą się mojej redaktor prowadzącej Sarze Crichton oraz wszystkim pracownikom agencji literackiej Levine Greenberg, która mnie reprezentuje, a w szczególności - Elizabeth Fisher, która włożyła ogromny wysiłek w promocję i sprzedaż moich książek na całym świecie.

Z agentką Victorią Skurnick pracujemy razem już od trzech lat. Wiem, wiem: każdy autor pisze w podziękowaniach, że uwielbia swojego agenta. Straszne nudziarstwo. Z tym, że Victoria, choć bez cienia wątpliwości błyskotliwa, niezłomna i lojalna (tak jest... wszyscy autorzy to powtarzają), odznacza się także prawością w każdym calu, a to już cecha niezmiernie rzadka. Jest dla mnie kimś zupełnie wyjątkowym.

Dwie rodziny, które posiadam - moi współnicy Alvin Shidlowski i Jacob Jesin oraz moja żona Vaune Davis wraz z trójką naszych niesamowitych dzieci - trwały przy mnie, kiedy w bólach rodziła się moja druga powieść. Im, oczywiście, jestem wdzięczny najbardziej.

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA SIERPIEŃ	9
CZEŚĆ DRUGA WRZESIEŃ	151
CZEŚĆ TRZECIA LISTOPAD	205
CZEŚĆ CZWARTA STYCZEŃ	279
CZEŚĆ PIATA KWIECIEŃ	389